

Zofia
Mąkosa

MAKOWA
SPÓDNIKA



KAMIEŃ W WODĘ

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Zofia Mąkosa

MAKOWA
SPÓDNICA



KAMIEŃ W WODĘ



Książnica

Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt serii, okładki i stron tytułowych
ANNA SLOTSZ / ARTNOVO.PL

Ilustracje na okładce i we wnętrzu
© Polona.pl

Koordinacja projektu
ALEKSANDRA CHYTRON-KOCHANIEC

Redakcja
ELŻBIETA SPADZIŃSKA-ŻAK

Korekta
URSZULA WŁODARSKA

Skład
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Zofia Mąkosa, Publicat S.A. MMXXII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6231-1

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



Książnica

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Literatura, która w największym stopniu pomogła mi w tworzeniu świata przedstawionego w powieści

Przypisy

ROZDZIAŁ I





Za poźólkłą kępą trawy czai się kot. Jego spojrzenie koncentruje się na kobiecie stojącej przed chatą. Kilka razy rzuciła mu jakieś resztki, może więc i teraz się uda zapełnić pusty brzuch. Tymczasem przygarbiona postać szczelnie owija się grubą chustą, podnosi głowę i wciąga nosem zimne powietrze. Schyla się jeszcze, poprawia rzemienie opasujące niekształtne buty i odchodzi. Zielone oczy tracą czujność. Zwierzę wyłania się z ukrycia, zbliża do chałupy, obwąchuje próg i wspina się na tylne łapy, próbując pchnąć ciężkie drzwi. Czasem zastaje je uchylone. Zakrada się wtedy do sieni, gdzie stoją beczki i gliniane garnce z zapasami, a między tym wszystkim kręcą się tłuste myszy. Tym razem drzwi nie ustępują. Wkrótce czarny wychudzony stwór niknie w lesie.

Kobieta idzie w przeciwnym kierunku. Zapach wiatru powiedział jej, że przed zimą jeszcze na krótko wróci deszcz. A w deszczu nie będzie mogła szukać Doroty.

Córka zniknęła akurat wtedy, gdy drzewa rozebrały się z liści i grube złoto-rude dywany zasłały ścieżki i leśne polany. Wiga szukała jakiegokolwiek śladu Dorotki, lecz oczy, podrażnione łzami i patrzeniem, niczego prócz złota i rudości nie potrafiły dostrzec, więc znienawidziła to, co dotąd kochała. Drażnił ją szelest pod stopami i krzyki dzikich gęsi przelatujących nad głową, bo nie mogła usłyszeć wołania swego dziecka. Od nieustannej wędrówki bolały stopy i krwawiły nagie łydki poszarpane kolczastymi pędami jeżyn. Las nie był już sprzymierzeńcem. Stał się wrogiem, który ukrył Dorotę za przewalonymi drzewami, zasłonił parasolami paproci, schował w dziuplach dębów, zakrył czarną wodą stawów, odgradził od matki niedostępnymi bagnami.

Dzisiaj znowu rusza na poszukiwania. Musi, choć w chacie śpi mała

córeczka Doroty. Dała jej wywaru z maku, wie jednak, że dziecko wkrótce się obudzi i będzie płakać. Dziewczynka stała się dla niej nieoczekiwanym ciężarem, a przecucie, że ma jakiś związek ze zniknięciem swej matki, sprawia, że stała się niewrażliwa na jej łzy.

Najpierw idzie nad rzekę. To nic, że była tam setki razy. Dzisiaj jest inaczej. Nocny przymrozek ściał błoto i pokrył lodem kałuże. Dzięki temu Wiga może spenetrować rozlewiska nad Obrą, do których wcześniej nie miała dostępu. Jeśli tam znajdzie swoją Dorotkę, będzie to oznaczało, że córka nie żyje. Ale ona wciąż w to nie wierzy. Po co więc idzie na mokradła i przemierza ścieżki leśnej zwierzyny? W jakim celu rozgarnia kopczyki zgniłych liści? Dlaczego zagląda do wszystkich dołów? Czemu zadziera głowę, jakby chciała sprawdzić, czy wśród konarów ktoś Dorotki nie ukrył?

Siada na chwilę na przewróconym drzewie i znowu poprawia rzemienie podtrzymujące własnoręcznie uszyte wielkie, niezgrabne buty z baraniej skóry. Wciąż się przesuwają, rozluźniają i wymagają zacieśniania. Traci przez to cenny czas, lecz filcowe łapcie zdarła do szczętu, a boso o tej porze roku nie chodzi. Musi na siebie uważać. Nie może się rozchorować, bo wtedy przestałaby szukać.

Rozgląda się i zastanawia, w którym kierunku powinna pójść. Dłoń zaciska na kiju służącym jej za podpórkę. Rusza w końcu w stronę słońca wskazującego, że niedługo będzie południe. W trzcinach porastających małe bagienko nie znajduje niczego. W dodatku pod wpływem promieni twarda gruda znowu stała się błotem, a szklane tafle na kałużach zniknęły. Czas iść do chaty. Zawraca, lecz obiera inną drogę niż ta, którą przyszła na mokradła. Sprawdza jeszcze okolice małego stawu, przy którym często widuje stado pięknych łani i prowadzącego je jelenia.

Nagle szarpnięcie zatrzymuje ją w miejscu. Ogarnięta przerażeniem spogląda na swoje nogi. Są całe. Za to kij, którym się podpierała, zwisa w jej rękę, a jego dolna część tkwi w żelaznym potrzasku. Ktoś zastawił tu pułapkę na zwierzynę. Gdyby w metalowych szczękach znalazła się jej noga, mogłaby się nie uwolnić, a jeśli nawet, czy dotarłaby do domu ze

strzaskaną łydką?

Wiga cała drży. Wyobraźnia podsuwa jej straszne obrazy. A co, jeśli właśnie to spotkało Dorotkę? Mogła umierać w mękach i nikt nie słyszał jej krzyku. „Zaraz, zaraz – uspokaja się w myślach. – Przecież bym ją znalazła. Przetrzęsnęłam każdy kawałek lasu w pobliżu domu. Nie ma jej tutaj. Żyje. Na pewno żyje”.

Spogląda w stronę leśnego stawu. Woda jest czarna i mętna, a na dnie na pewno zalega muł. „Gdyby ktoś tam wpadł... – Kobiecie przychodzi do głowy kolejna przerażająca myśl. – Nie! To niemożliwe! Po co Dorota miałaby tu chodzić?”

Wraca do chaty. Z daleka słyszy rozdzierający płacz, lecz nie przyspiesza. Jest przyzwyczajona. Na widok babki dziewczynka podnosi się z klepiska. Na moment cichnie, jakby czekała, że zaraz za babką wejdzie matka. Gdy nadzieja okazuje się płonna, znowu zaczyna szlochać.

Wiga zostawia drzwi otwarte na oścież, by wpuścić trochę światła do ciemnego wnętrza i uczynić powietrze w środku bardziej znośnym do oddychania. Idzie prosto do paleniska. Najwyższy czas rozniecić ogień i zrobić coś ciepłego do jedzenia. Płacz dziecka słyszy tuż za plecami. Po chwili czuje dotknięcie rączki na garbie. Nie ogląda się, nie ma czasu i ochoty na czułość. Chce znowu pójść do lasu. Energicznie uderza krzesiwem o krzemień. Niebawem postrzępiony kawałek hubki zaczyna się żarzyć. Wkłada go w kopczyk suchej trawy i kory jałowca i już po chwili płomienie strzelają do góry, obejmując drewnienka. Dym krąży najpierw po chacie, wkrótce jednak znajduje ujście w kamiennym kominie. Kobieta nalewa wody do małego kociołka wiszącego nad ogniem. Zanim się zagotuje, może się zająć kozami mieszkającymi w chacie za przepierzeniem. Ich beczenie denerwuje Wigę nie mniej niż płacz dziecka. Podrzuca im garstkę siana i korzystając z tego, że zwierzęta są zajęte jedzeniem, doi dorosłą kozę, a potem obie – matkę i córkę – wypędza na zewnątrz do zagrody. Wszystko dzieje się przy akompaniamencie dziecięcego szlochania.

Wiga jest coraz bardziej zdenerwowana. Pragnie ciszy, która pozwoli

na zastanowienie, a tu nieustanny płacz. „Zrobiłabym wszystko, żeby nareszcie przestała! – myśli. – Dam jej takich ziół, że zaśnie na cały dzień – postanawia, ale zaraz pojawia się wahanie. – Są za mocne dla dziecka. Mogą ją zabić. Co by Dorotka na to powiedziała?”

Zrezygnowana bierze małą na kolana i przystawia do jej ust kubek pełen koziego mleka. Dziewczynka połyka płyn tak zachłannie, że babka musi na chwilę oderwać naczynie od małych warg, jednak ręce dziecka same się wyciągają i wkrótce na dnie zostaje parę białych kropel. Babka, uznawszy, że spełniła swój obowiązek, sadza dziecko na wiązce słomy w kącie i sięga po garnek z kaszą stojący na belce nad paleniskiem. Ona też jest głodna. Niestety, dziecko pozostawione samo sobie znowu zaczyna płakać.

– Nie wytrzymam tego dłużej! Nie mam już sił! Przestań!

Krzyk Wigi przepełniony jest gniewem. Może dlatego dziewczynka milknie i w napięciu wpatruje się w wykrzywioną twarz kobiety.

– Masz być cicho! – krzyczy Wiga, nie zwracając uwagi na to, że mała przestała płakać. – Zobaczysz, w końcu dam ci coś, żebyś zamilkła na zawsze – grozi przerażonemu dziecku.

Głośne kasznięcie za plecami sprawia, że garbuska odwraca się gwałtownie.

– To ty, Wojciechu! – mówi na widok pomocnika kowala z Karge. – Na drugi raz się nie skradaj, bo ci kości porachuję.

– Jeszcze się nie zdarzyło, żeby mi baba kości rachowała. I nie skradałem się. Krzyczałaś tak głośno, że mógłbym walić w drzwi, a i tak byś nie słyszała.

– Po coś przylazł? – Wiga jest zła, że Wojciech usłyszał, jak grozi dziecku. Jeśli małej coś się przytrafi, ludzie gotowi gadać, że to jej sprawka.

– Kowalowi znowu w plecach strzeliło. Przysłał mnie po borsucze sadło.

– Niewiele go mam. Mógł sobie kupić na jarmarku. Jego wciąż coś

boli. Młody nie jest. Syn powinien zmienić go w kuźni. Czemu stary nie odpocznie?

– Skąd mam wiedzieć? To dzieciak twojej Doroty? – Wojciech zmienia temat. – Niepodobny do nikogo.

– Nie widzisz, że do matki?

– Nie. Wcale. Jak mu na imię?

– Przecież to dziewczyna. Sobótka.

– Mówisz na nią Sobótka? Nie ma chrześcijańskiego imienia? Twoja córka w pogańskich zabawach brała udział? Wiesz, że to zakazane?

Wiga, która najchętniej ugryzłaby się w język, wzrusza ramionami.

– Głupia dziewczucha poleciała tańczyć przy ognisku i z kimś się w lesie zapomniała. Tylko tyle. Jeśli był jakiś grzech, to ten, że się z obcym na mchu położyła.

Widząc, że Wojciech ma ochotę ciągnąć temat zakazanych sobótkowych zabaw, Wiga sięga po garnek z sadłem. Złość jednak nie mija.

– A właściwie po co pytasz o dziecko? Nieraz z Dorotą ją widziałeś. Pierwszy we wsi wszystkiego się dowiadujesz i po ludziach roznosisz, a tu wielce zdziwiony jesteś. Może dam ci jakie ziele na długi język? Niedużo policzę.

– Cicho bądź, jędz! Sadło dawaj!

– Masz i się wynoś. Jutro zajdę do kowala i z nim się rozliczę. A ona – mówi, wskazując na dziecko – ma na imię Rozalka.

Dopiero kiedy szerokie plecy pomocnika kowala znikły za krzakami, spluwa ze złością i mruży pod nosem przekleństwa. Ludzie ze wsi boją się wejść do jej chałupy. Widze to odpowiada. Nie potrzebuje, żeby ktoś się tu kręcił, kiedy jej nie ma. Tylko ten człowiek nic sobie nie robi z aury otaczającej chatę zielarki. Nikt nie lubi pomocnika kowala. Kiedy tylko ma do kogoś sprawę, wchodzi do domu. Robi to nawet wtedy, gdy zorientuje się, że gospodarzy nie ma. Niczego nie zabiera, ale przegląda kąty. Niby dojrzały mężczyzna, a jak dzieciak musi wszystko wiedzieć,

widzieć i znać sekrety. To samo na jarmarku. Chodzi, wypytuje, plotki rozsiewa. O tym, że Dorotka ma sobótkowe dziecko, wie cała wieś. Niedługo będzie trzecia wiosna, jak wnuczka pojawiła się na świecie. Przecież czegoś takiego nie da się ukryć.

Wiga już ma wejść z powrotem do chaty, kiedy tknięta nagłą myślą rusza w pogoń za pomocnikiem kowala. Okazuje się, że nie odszedł daleko. Opuściwszy portki, załatwia potrzebę pod sosną. Ani on, ani zielarka nie czują zakłopotania.

– Wojciechu, a nie słyssałeś czegoś o mojej Dorotce?

– Nie słyssałem – odpowiada mężczyzna, podcierając się garścią mchu zmieszanego z igliwem. – Twoja córka najpewniej poszła z żołnierzami. Widać w matkę się wdała – drwi, podciągając portki. – Nie masz po co jej szukać. Sama wróci, jak brzuch jej urośnie.

– Interesuj się brzuchami swoich dziewczuch, bo coraz to któraś po zioła przychodzi.

– Jakie zioła? Gadaj, babo, co to za choroba!

Wiga, wzruszywszy ramionami, odwraca się na pięcie i odchodzi. Za plecami słyszy przekleństwa i groźby. Tylko udaje, że nic sobie z nich nie robi. Jest ludziom potrzebna, ale wystarczy złe słowo albo niedobra chwila, żeby zwrócili się przeciwko niej. Dotąd zawsze się pilnowała i trzymała język za zębami. Zaginięcie córki sprawiło, że traci nad sobą panowanie.

Wąską dróżką wraca do siebie. Jej chata leży na skraju liściastego lasu. Jest tak niziutka, że garbata Wiga, idąc wzdłuż drewnianej ściany, prawie dotyka głową strzechy. Przy tej niskości dziwacznie wygląda górujący nad dachem kamienny komin.

Komin! Jaka była dumna, że zamieszka w domu, który ma komin! Minęło wiele wiosen, odkąd pan Żychliński, ówczesny właściciel Karge, ją tu przywiózł. Była młoda i mało umiała, ale nikogo to nie obchodziło. Po śmierci staruszki, która dotąd pomagała okolicznym mieszkańcom, potrzebny był ktoś, kto ją zastąpi. Niezadowoleni chłopci gadali przeciwko panu, bo jak żyć bez mądrej baby, która w chorobie poratuje, da zioła

i zaklęcia na nieszczęśliwą miłość albo pomoże kobiecie pozbyć się kłopotu.

Radość, że oto ma chałupę z kominem i jest sobie panią, minęła szybko. Zastąpił ją strach, bo chata była położona przy lesie i blisko rozległych mokradeł. Kiedy pierwszej samotnej nocy usłyszała pohukiwania sów, krzyki zajęcy rozszarpywanych zębami drapieżników, wycie wilków, kroki, szmery, posapywania i jęki leśnych duchów, skuliła się z zimna i ze strachu na twardej ławie i obiecała sobie, że jeśli dożyje rana, natychmiast stąd odejdzie. Nie zrobiła tego, bo pójść nie miała dokąd.

Znowu słyszy płacz. Niechętnie wchodzi do chaty. Wie, że dziecku, które wcześniej było radosne i uśmiechnięte, brakuje matki. Dorotka nosiła córeczkę na rękach, szeptała do ucha pieśńotliwe słowa, śpiewała piosenki i tuliła do snu. Z dnia na dzień wszystko się skończyło. Wiga nie ma serca ani czasu dla wnuczki. Wcześniej też nie była jej przychylna, ale odkąd zabrakło Doroty, obecność dziecka traktuje jak przykrą konieczność.

Mimo że wciąż jest dzień, w chacie panuje mrok. Małe okienko zabezpieczone wołowym pęcherzem nie wpuszcza wiele światła. Zielarka idzie prosto w stronę paleniska. Kamienie nadal są ciepłe, ale w popiele nie tli się nawet iskierka, a woda, w której miała ugotować kaszę, znowu wymaga podgrzania. Musi ponownie rozniecić ogień. Dopiero kiedy blask płomieni rozprasza ciemność, rozgląda się za dzieckiem. Mała, zostawiona na słomie, wpełzła pod ławę i skulona w wilgotnym kąciku ni płacze, ni skamle jak porzucony psiak. Odkąd nie ma matki, nie powiedziała ani słowa. Płacze, śpi, je, patrzy na drzwi i znowu płacze.

Wiga z ciężkim westchnieniem schyla się i wyciąga dziewczynkę spod ławy. Siadając blisko paleniska, bierze ją na kolana. Od czasu do czasu sięga po grzebaczem do płonących polan, poprawiając ich położenie. Później przekłada do miski część gorącej kaszy i wlewa do niej mleko. Jedzą razem, zanurzając na przemian drewniane łyżki w gęstej zupie.

Sytość i ciepło w chacie sprawiają, że zmęczenie staje się bardziej odczuwalne. Wiga nie ma już ochoty wychodzić. Przygania kozy do

chałupy i znowu siada przy ogniu z wnuczką na kolanach. Ze sterty drewna leżącego w zasięgu ręki dorzuca do ognia trzy polana i opiera się o belkę, by dać wytchnienie krzywym plecom. Nie tylko one ją bołą. Całe ciało domaga się odpoczynku. Wpatrzona w ogień, zasypia ukojona ciepłem i ciszą. Dziecko przytulone do jej piersi też śpi.

Niedługo wychyli się zza drzew okrągła tarcza księżycy, a wokół chaty zielarki zaczną swój taniec strzygi, leśne duchy i zjawy. W zacisznym wnętrzu zabezpieczonym zaklęciami nie musi się ich bać. Poza tym wie, że gorszy od wszystkich upiorów jest żywy człowiek.



– Pada. Mam tego dość. – Agata stawia wiadra z wodą przy palenisku i z westchnieniem siada na ławie. – Powiedz, Wigo, kiedy to się skończy?

– Deszcz czy co innego?

– Jedno i drugie. Wszędzie błoto, zimno, ciemno, a w dodatku samotnie. Nie wiem, czy zostać, czy wrócić do siebie.

– Na pewno niedługo ktoś się zjawi. Nowy właściciel nie zostawi gospodarstwa na zmarnowanie.

– Jakie zmarnowanie? – oburza się Agata. – Ludzie dbają o cały dwór^[1]. Każdy robi to, co do niego należy. Żadne zwierzę nie głoduje, a nad domem mamy pieczę razem z Albertem.

– Dobrze wiesz, że kiedy kota nie ma, myszy harczą. Wszystko trzyma się kupy, bo pan Zaręba wyjechał zaledwie trzy dni temu. Tylko patrzeć, jak pan Unrug przyśle nowego zarządcę.

– No właśnie patrzę i patrzę. Wiesz, jak mi straszno nocować tu samej? Leżę w ciemnościach i nasłuchuję. Belki skrzypią, coś stuka, na strychu nietoperze albo myszy piszczą. Gdyby nie to, że dom całkiem jeszcze nowy i nikt w nim nie umarł, można by pomyśleć, że dusze nieczyste nie dają mi spokoju.

– Póki co Albert mógłby tu nocować.

– A gdzie tam! – Kobieta oblewa się rumieńcem. – Od razu wzięliby mnie na języki. On jest sługą dochodzącym, ma rodzinę we wsi i niech tak zostanie. Wigo – Agata zmienia temat – ja tu głupstwami się przejmuję, a nawet nie zapytałam o Dorotę. Masz o niej jakieś wieści?

– Nic. Kamień w wodę. Do ciebie przyszedłem zapytać, czy czego nie wiesz, bo we wsi mi powiedzieli, że twój Maciej dwa dni temu był w karczmie. Może on gdzieś spotkał Dorotę?

– Nic o niej nie mówił. Plótł tylko jakieś głupstwa. Wiesz, jaki jest. Lubi gadać, byle go słuchali. Chwalił się, że był po niemieckiej stronie i widział, jak czarownicę spalili. Powiedziałam mu, żeby nie opowiadał takich rzeczy, bo jak można człowieka spalić. A on na to, że to nie człowiek, tylko czarownica, co się z diabłem parzyła. Wigo, co myślisz? Mogła to być prawda?

– Jak ludzi wieszają albo ścinają głowy, to i palić potrafią. Słyszałam o czymś takim od ciotki, co mnie uczyła zielarstwa. Czy Maciej mówił coś jeszcze?

– Nie, pieniędzy tylko chciał. Dałam. Co miałam robić? Wigo, jaka ja zła na siebie jestem! Poszłam za niego, bo gładki i miał swoją chałupę. Dwa lata żyliśmy ze sobą jak mąż i żona, ale to wcale nie było dobre życie. Nieraz chodziłam posiniaczona. – Na twarzy Agaty znowu pojawia się rumieniec, a niebieskie oczy wypełniają się łzami. – Kiedy sobie poszedł, wcale się nie zmartwiłam. A jak pan Zaręba wziął mnie do dworu za kucharkę, całkiem dobrze się zrobiło. Trzeci rok mija, jak Maciej się włóczy nie wiadomo gdzie. Przed zimą zawsze się zjawia po pieniądze, a potem znowu przepada. Wigo – kobieta spogląda w oczy gościa, marszcząc brwi – powiedz, czemu dobrej dziewczyny, co jest matką, nie można znaleźć, a taki gałgan całkiem nie zniknie? Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Chociaż siedząca po przeciwnej stronie stołu Wiga ma większe troski, szkoda jej młodej ni mężatki, ni wdowy. Patrzy ze smutkiem na twarz próbującą ukryć się w dłoniach i nieskazitelnie biały czepek na włosach. Nie rozumie Macieja, który woli wieść życie włóczęgi zamiast się cieszyć

ładną i miłą żoną.

– Nie ma takiego, co by wszystko pojał – mówi, podnosząc się z ławy. – Czas na mnie. Przestało padać. Zajdę do chaty, zobaczę, co z Rozalką, a potem jeszcze poszukam Dorotki.

– Weź chleb. – Agata zrywa się z miejsca i sięga do glinianego garnka, w którym chowa pieczywo przed myszami. – Upiekłam parę bochnów dla pana Zaręby, ale zabrał tylko dwa.

Zatrzymują się jeszcze na progu. Deszcz rzeczywiście nie pada, ale ciemne chmury wiszą nad dachami dworskich zabudowań, odbijając się w ogromnych kałużach.

– Zobacz. – Kucharka łapie Wigę za ramię. – Tam, przy drewnie. Widzisz? – pyta półgłosem. – Kot. Jaki dziwny!

Rzeczywiście, przy okrągłym stogu porąbanego drewna kuli się duży kot. Skośne, zielonkawe oczy utkwiał w rozmawiających kobietach. Jest czarny, ale nie całkiem. Przyczyną jego dziwnego wyglądu jest umaszczenie głowy. Wygląda tak, jakby ktoś zadał sobie trud dokładnego wyznaczenia środka między uszami i od tego miejsca przez nos i pyszczek poprowadził w dół kreskę kończącą się pod brodą. Po prawej stronie kreski oblicze kota jest czarne, a po lewej białe. Stąd jedno zielone oko przecięte wąską, pionową źrenicą tkwi w czerni, a drugie w białej, równo ukrojonej łacie.

– Już go kiedyś widziałam – wyznaje kucharka. – Siedział na drzewie przy młynie, a kilku chłopców rzucało w niego kamieniami. Zapytałam, po co to robią. Powiedzieli, że młynarz kazał. W pewnej chwili zeskoczył na ziemię i uciekł.

– Czemu rzucali kamieniami? Przecież kot we młynie zawsze się przyda.

– Nie rozumiesz? On nie wygląda jak wszystkie koty. Jest inny. Młynarz go nie chciał, bo nie wiadomo, co w takim odmieńcu siedzi.

– Teraz wiem, dlaczego się kręci przy mojej chałupie i czemu za mną przyszedł. Pozwalam mu czasem łowić myszy w sieni.

– Może lepiej go wygoń? Nie mówię, że masz w niego ciskać kamieniami, ale chociaż nie dawaj mu okazji do polowania.

– Ja miałabym odmieńca wygnąć? – Wiga nagle unosi się gniewem. – Popatrz na mnie. Czy ja wyglądam tak samo jak inni ludzie? – Kobieta schodzi z progu prosto w błoto. Okręca się przed oczami kucharki, dając okazję do dokładnego przyjrzenia się jej postaci. – Widzisz mój garb? On jeden starczy, żeby mną gardzili. Potrzebują mnie, inaczej dawno poczułabym ich kije na plecach.

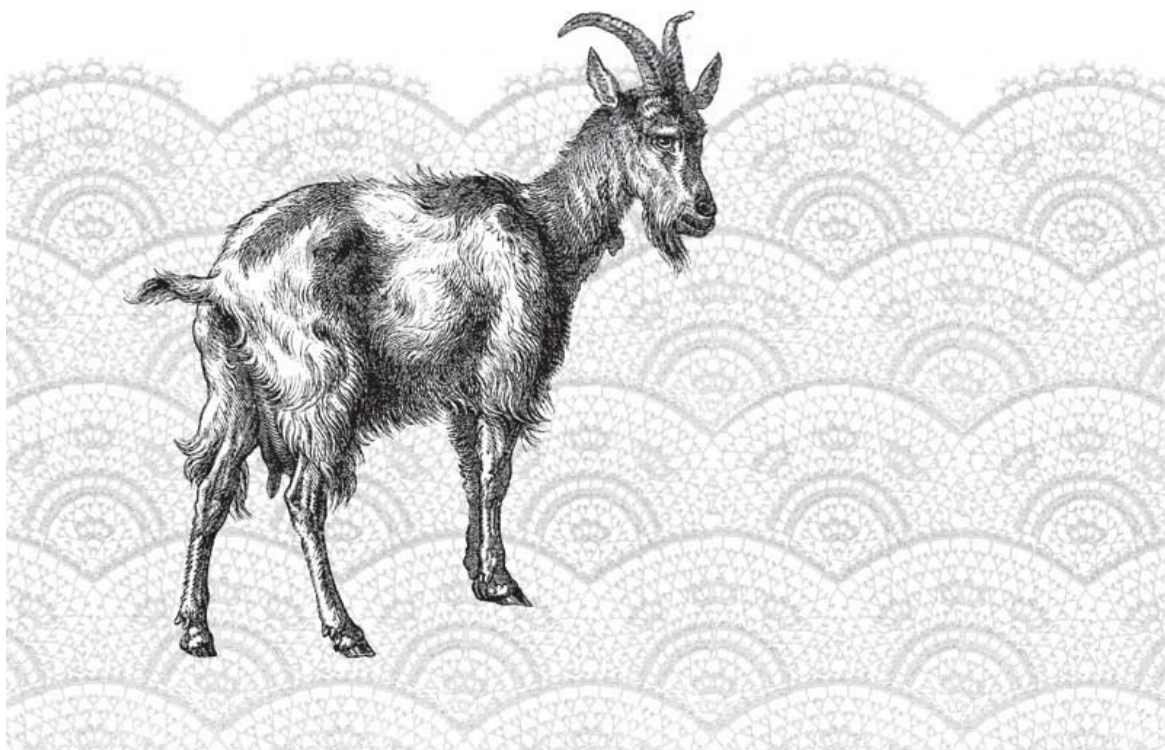
– Wigo, nie mów tak. Jesteś niesprawiedliwa.

– Ty jesteś dobra, wiem o tym. Dziękuję ci za chleb. Naprawdę muszę iść.

Przygarbiona, okryta wielką chustą postać w czarnej, sięgającej niemal do ziemi spódnicy, nie bacząc na kałuże, zmierza prosto do bramy. Zatrzymuje się jeszcze na chwilę i patrzy na chudzielca skulonego przy stogu drewna.

– Chodź, kocie. Idziemy do domu – mówi.

ROZDZIAŁ II





Myszołów krążący nad równiną na próżno wypatruje ofiary. Dobre czasy się skończyły. Gryzonie się schowały, a z padliny zostały tylko kości. Pora porzucić przyjazne niegdyś miejsce i szukać nowych terenów łowieckich. Ptak rezygnuje z polowania i daje się ponieść prądowi powietrza.

Tylko jeden z trzech jeźdźców śledzi go wzrokiem. Dwaj pozostali są całkowicie pochłonięci szukaniem punktu orientacyjnego. Miało być wielkie nadpalone drzewo, potem krzyż oraz kamień na rozstaju dróg. Z tego wszystkiego trafili jedynie na rozwidlenie, ale żadnego kamienia tam nie było. Wybrali szlak prowadzący w kierunku wschodnim, teraz jednak z każdą chwilą rośnie w nich obawa, że zabłądzili. Na domiar złego któryś rzucił z pozoru błahą uwagę, że ciemność zapada dziwnie szybko, i nagle wszystko wokół stało się groźne, mimo że do zmierzchu zostało jeszcze trochę czasu. Najchętniej podgoniliby konie, by jak najprędzej opuścić odludną okolicę, ale nie da się pospieszyć na błotnistej, porytej głębokimi koleinami drodze.

Dwaj młodzi wiekiem jeźdźcy są dworzanami polskiej królowej Ludwiki Marii Gonzagi, żony Władysława IV. To z jej polecenia obserwowali w Westfalii przebieg rozmów toczących się między dotąd zwalczającymi się stronami wojny trwającej od niemal trzydziestu lat^[2]. Wraz z całym ekwipunkiem i służbą wracają teraz do Warszawy, bo obrady zostały zawieszane do przyszłego roku. Jednym z młodych panów jest polski szlachcic Wawrzyniec Umiłkowski. Drugi to Niemiec, przedstawiciel dużego i liczącego się rodu Unrugów. Christoph von Unruh, z gałęzi rodu osiadłej w Wielkopolsce, zalicza się do swojaków^[3], być może dlatego często używa spolszczonej wersji imienia i nazwiska, nazywając siebie Krzysztofem Unrugiem. Jako że królowa wyjątkowo go

ceni, właśnie jego uczyniła dowódcą tej wyprawy. Trzeci ze zbłąkanych podróżnych, Baltazar von Lest, jest ponadpięćdziesięcioletnim mężczyzną. Mimo wieku to on najlepiej prezentuje się w siodle, a z postawy można wywnioskować, że ma wojskową przeszłość. Baltazar jest krewnym Krzysztofa ze strony jego matki. Odkąd młody Unrug rozpoczął studia i wiążące się z nimi podróże, kuzyn porzucił wojaczkę i stał się jego towarzyszem, a po cichu aniołem stróżem.

Zaraz po śniadaniu w oberży jeźdźcy oddzielili się od swojej grupy. Część osób dotąd im towarzyszących wraz z wozami dołączyła do innych podróżnych podążających w tym samym kierunku, a młody Unrug i jego dwaj kompani zbiegli z głównego traktu. Nie uśmiechała się im wolna jazda i oglądanie na wlokące się wozy. Pan Krzysztof uznał, że jest okazja, by odwiedzić przyjaciela, z którym studiował w Lejdzie. Ponownie mieli się połączyć w zajeździe we Frankfurcie, by już razem przejechać przez most na Odrze.

Od tamtej pory nie spotkali żywego ducha. Dwie nędzne wioski, które minęli, wyglądały na dawno opustoszałe. Nie dziwił ich widok zapadających się strzech, otwartych na oścież drzwi, przemarzniętego gąszczy chwastów w ogrodach i pól zmieniających się w ugory. Wszak tak wygląda wiele krain stanowiących Rzeszę, będących polem bitew i przemarszów wojsk. Mieszkających tu niegdyś chłopów spotkało zapewne to samo, co innych z miejsc mijanych po drodze. Mogli zostać zabici przez żołnierzy, a jeśli ich oszczędzili, to zostawili na pewną śmierć, zabrawszy całą żywność i zwierzęta. Śmierć z głodu bądź z rąk żołnierzy to tylko jedna z wielu możliwości przedwczesnego zakończenia żywota. Słabych i głodnych łatwiej dopada morowe powietrze przywlezione przez wojsko albo przez nie mniej wycieńczonych mieszkańców miast.

Chłód, wilgoć, ołowiane chmury, mrok trwający od rana, niemożność znalezienia właściwej drogi – wszystko w ich głowach składa się na niepokojące podejrzenie. Czyżby jechali przez ziemie pełne niepogrzebanych kości pozbawionych modlitwy? Dlaczego Bóg tu nie

zagląda, nie rozprasza ciemności i nie pomaga podnieść się z upadku?

Tam, gdzie nie ma Jego, jest Szatan.

Trzej dorośli mężczyźni, którzy niejedno widzieli, teraz szepczą bezgłośnie pacierze do tego samego Boga, choć dwóch z nich to zwolennicy Lutra, a jeden rzymskiego Kościoła. Perspektywa spędzenia nocy na tym przeklętym pustkowiu przejmuje ich grozą.

– Stój! – Okrzyk Krzysztofa zatrzymuje ich w miejscu. – Stój! – powtarza jeździec, ściągając wodze. Nawet nie sprawdza, czy jego towarzysze wykonali rozkaz. Podnosi dłoń w skórzanej rękawicy i coś wskazuje. Nie od razu widzą, o co mu chodzi. Mrok jest na tyle gęsty, że przeszkoda na środku traktu równie dobrze może być zwierzęciem, jak zjawą.

Strach każe zawrócić i gnać przed siebie co koń wyskoczy. Wstyd sprawia, że żaden nie rusza się z miejsca. Stwór przed nimi nie przypomina ani psa, ani człowieka. To raczej szata zawieszona nie wiadomo na czym albo kupa szmat zwieńczona czymś podobnym do głowy.

Pierwszy rusza Krzysztof. Nie ma wyboru. Choć nie najstarszy wiekiem, tu jest najwyższy rangą. Nie zostawiają go samego. Trzech jeźdźców wolno zbliża się do dziwnej istoty. Zatrzymują się tuż przed nią. Konie są spokojne, więc lęk zaczyna ustępować zaciekawieniu. Krzysztof wyjmuje rapier i jego czubkiem zaczepia o grubą tkaninę. Lekko ją unosi i ściąga do tyłu. Ich oczom ukazuje się głowa zwieńczona spilśnionymi włosami tworzącymi coś w rodzaju czapki. Twarzy nie mogą dostrzec, bo postać jest zgarbiona, a głowa pochylona. Dalej nie wiedzą, na co, a raczej na kogo trafili. Ktoś bardzo mały tkwi nieruchomo w czarnej, zimnej mazi. Zdaje się spać albo konać.

Krzysztof Unrug pochyla się w siodle i rapierem lekko uderza w ramię dziwnej istoty. Nikłe poruszenie, jakby drgnięcie, i głowa się unosi.

Dziecko!

Na pustkowiu, pośrodku drogi prowadzącej do niewiadomego celu, klęczy dziecko. W brudnej, wychudłej twarzy wyraźne są tylko

nienaturalnie wielkie oczy. Nie ma w nich śladu zaciekawienia ani strachu. Jest tylko zmęczenie. Ono nie ma już siły, by wyrwać się z błota i wstać. Skądś się tu wzięło i już tak zostanie, aż końskie kopyta wdepczą je w ziemię.

Baltazar von Lest ogarnia wzrokiem okolice, próbując znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla obecności dziecka w tym odludnym miejscu. Pod samotnym dębem dostrzega to, czego szukał.

– Tam ktoś jest – mówi półgłosem i po krótkim wahaniu kieruje konia w stronę drzewa.

Starzec prawdopodobnie umarł oparty o pień. Potem ciało osunęło się w suchą trawę, dlatego trudno było je zauważyć.

– Obejrzę go. – Baltazar zsiada z konia i pochyla się nad zwłokami. Nie dotykając niczego, uważnie przygląda się zmętniałym oczom, otwartym ustom, językowi i odsłoniętym częściom ciała. – To nie od moru – uspokaja. – Chyba zwyczajnie była jego pora.

– Skąd możesz wiedzieć? – Wawrzyniec Umiłkowski nie ma zaufania do opinii heretyka.

– Nieraz widziałem umarłych na czarną śmierć. Wyglądali inaczej.

– Wszystko mi jedno. – Szlachcic wzrusza ramionami. – Próżno stoimy i gadamy. Jedźmy dalej, bo noc nas tu zastanie. Na co jeszcze czekamy?

– Mamy go tak zostawić? Na pewną śmierć?

– Baltazarze, dzieciak i tak zemrze. Nie nasza to sprawa. – Krzysztof upomina kuzyna, ale i w jego głosie słychać wahanie.

– To nie po chrześcijańsku. – Von Lest nie daje za wygraną.

– Wielu podobnych mineliśmy w drodze, a nie bolała cię twoja luterkańska dusza – wtrąca się Umiłkowski.

– Skąd wiesz, że nie bolała? – unosi się Baltazar. – Nic nie mówiłem, bo zawsze był ktoś, kto mógł nieszczęśnika poratować. Tu nie ma nikogo prócz nas. Jeśli zostawimy to stworzenie na łaskę losu, kara boska nie minie ani mnie, ani ciebie, Umiłkowski.

– Czyni, jak chcesz. Mnie do tego nie mieszaj. – Mówiąc to,

Wawrzyniec pozwala zniecierpliwionemu wierzchowcowi na zrobienie kilku kroków do przodu. – A jeśli jaką chorobę do domu zawleciesz, sam będziesz sobie winien.

To Krzysztof Unrug powinien ostatecznie zdecydować, ale ma dopiero dwadzieścia trzy lata, toteż nie czuje, że wszystkie rozumy pozjadał. Perspektywa choroby wcale nie jest nierealna. Nie wiadomo przecież, czy kuzyn prawidłowo ocenił przyczynę śmierci starca. Jeśli on był chory, istota tkwiąca w błocie może mieć tę samą przypadłość.

– Weź go, Baltazarze, skoro ci na tym zależy. Zostawimy znajdę gdzieś po drodze – oznajmia kuzynowi po długim wahaniu i odjeżdża.

Dziecko lekkie jak piórko ląduje na końskim grzbiecie przed von Lestem. Błoto z cuchnącej opończy zostawia smugi na odzieży szlachcica, a wszy wędrujące w skołtuniałych włosach widać nawet bez wypatrywania. Jeździec ze wszystkich sił tłumi w sobie uczucie obrzydzenia. Stara się myśleć o biblijnych przypowieściach, w których ludzie czynili dobro wbrew powszechnie przyjętym obyczajom. Trochę poprawia mu to nastrój i już raźniej popędza konia, pozwalając, by chude ciało oparło się o jego pierś i wróciło do stanu letargu.

Niedługo potem na horyzoncie pojawia się wieża kościoła, a później dachy domów jakiegoś miasteczka. Ten widok sprawia, że Baltazarowi przychodzi na myśl, iż dziecko na drodze było im przeznaczone i dobrze postąpili, nie zostawiając go krukowi na pożarcie.



Zanim wjechali w wąską, pełną wszelakich nieczystości ulicę, zapadł najbardziej zimny, ciemny i wilgotny wieczór, jaki można sobie wyobrazić. Skierowali się tam, gdzie zobaczyli blask ognia i poczuli dym. Długo musieli się dobijać do zaryglowanych drzwi, bo zamknięto je na noc z obawy przed rozbójnikami.

Siedzą teraz w oberży, czekając na posiłek. Z ognia płonącego na kamiennym palenisku korzysta nie tylko Unrug, który zapłacił za drewno.

Prócz jego kompanów i dziecka śpiącego na ławie przysuniętej w pobliże ognia grzeją się małe córeczki oberżysty i jakiś mężczyzna owinięty w czarną opończę. Prawdopodobnie to dla niego rozpalono wieczorem, a polecenie Unruga przedłużyło jedynie przyjemność wpatrywania się w płomień i wystawiania zziębniętych członków na gorąco bijące od paleniska. Nieco dalej, jakby brakowało mu śmiałości, siedzi młodzieniec. Zniszczony ubiór świadczy o tym, że dawno wyruszył w drogę, a skrzynka podróżna z uchwytnymi do zakładania na ramiona pozwala się domyślić, że jest jednym z wielu wędrownych czeladników pobierających nauki u mistrzów cechowych.

Para z kociołka zawieszzonego nad paleniskiem przypomina podróżnym, jak bardzo są głodni. Mężczyźni z uczuciem ulgi po kolei zanurzają dłonie w misie z ciepłą wodą, opłukując brud i przy okazji grzejąc zziębnięte palce.

Podczas gdy tamci się posilają rybną polewką, młodzieniec wyglądający na czeladnika wyjmując ze swej skrzynki kawałek suchego chleba i gryzie go pomалу. Widać, że jest zmęczony i senny. Zapewne wkrótce zaśnie wyciągnięty na twardej ławie. Żując chleb, wodzi spojrzeniem po czarnych od dymu ścianach, zatrzymuje wzrok na ogniu i kociołku, w którym na pewno zostało dość zupy, by mógł się posilić, gdyby miał czym zapłacić, a potem spogląda na dziecko leżące na ławie. Dotąd spało, teraz otworzyło oczy. Czelnik siedzi naprzeciwko. Nic dziwnego, że pierwszy dostrzega ożywienie małej istoty. Sprawdza, czy trzech szlachcice zwrócili na to uwagę. Oni jednak jedzą i rozmawiają o przebytej drodze. Nie widzą, jak spod szmat wysuwa się dłoń i wyciąga w stronę czeladnika. Ten jeszcze raz patrzy na trzech mężczyzn zatopionych w rozmowie, potem podchodzi do dziecka, przykuca i podaje mu chleb. Chude palce zaciskają się na ułamku czarnego pieczywa, a potem prowadzą go do ust. Leżące na ławie stworzenie nie gryzie, lecz liże, ssie i połyka rozmoczone okruszki. Robi to coraz chciwiej. Jego oddech przyspiesza, a głośne mlaskanie przyciąga wreszcie uwagę szlachciców.

– Krzysztofie, twoje znalezisko się ocknęło. Łazarz, jak Boga kocham! – dziwi się Umiłkowski.

– Widzę. Człowieku, zawołaj swoją kobietę! – Unrug wydaje polecenie oberżyskie i zaciekawiony podchodzi do młodzieńca. – Jak cię nazywają? – pyta.

– Tytus, panie. – Chłopak podnosi się i przyjmuje pozycję pełną pokory.

– Co tu robisz?

– Idę do rodziców. Uczyłem się na balwiera – odpowiada, nie patrząc szlachcicowi w oczy.

– Mówisz inaczej niż tutejsi. Skąd jesteś?

– Sam nie wiem.

– Jak to?

– Rodzice mieli dom w Pasewalk^[4], ale żołnierze cesarza spalili miasto. Wtedy zaczęło się wędrowanie ojca i matki. Mój brat umarł z głodu. W końcu osiedliśmy w Küstrin^[5], ale ja urodziłem się wcześniej, gdzieś w drodze. Ojciec jest balwierzem, więc i mnie posłał na naukę do mistrza balwierskiego. Trzy lata temu, kiedy wyruszyłem w zwyczajową dla czeladnika wyprawę, rodzina opuściła Küstrin.

– Dokąd więc idziesz?

– Do Wolsztyna^[6] na wschodzie. Rodzice postanowili zamieszkać tam, gdzie nie ma wojny.

– Wolsztyn? Mój ojciec kupił kilka wiosek niedaleko. Największa nazywa się Karge. Zapamiętaj. Na pewno brakuje tam balwiera i cyrulika. Kiedy się wyzwolisz, zgłoś się do mnie.

Rozmowie Unruga z chłopcem przysłuchuje się mężczyzna w czarnej opończy. Dotąd się wydawało, że drzemie rozleniwiony ciepłem, a nowi goście i to, co się dzieje w izbie, niewiele go obchodzi. Coś jednak przykuło jego uwagę do tego stopnia, że w pewnym momencie w otwartych gwałtownie oczach pojawiła się czujność właściwa zwierzętom wypatrującym zagrożenia.

Krzysztof ma ochotę dalej wypytywać młodzieńca, ale oberżysta już czeka. Krok za nim stoi kobieta o pełnych piersiach i twarzy rumianej od ognia. Nie wiadomo, jakiego polecenia się spodziewał właściciel zajazdu, bo jego żona umyła twarz i uczesała potargane włosy. Unrug nie czyni jednak nadziei na dodatkowy zarobek.

– Powiedz kobiecie, żeby dała dziecku zupy, potem niech je wykąpie i znajdzie czysty przyodziewek. On – wskazuje na młodzieńca – też może się najeść.

– Dziękuję, panie. Nie jestem głodny.

– Nie wstydz się. Widziałem, żeś podzielił się chlebem. Na pewno niewiele dla siebie zostawiłeś. Masz zjeść zupę, bo inaczej mnie obrazisz.

– Dobrze, zjem. Nie chcę, byście się gniewali. – Spojrzenia obu spotykają się po raz pierwszy, a na poważnej dotąd twarzy chłopca pojawia się uśmiech. Tytus nie miał w ustach ciepłej stawy od bardzo dawna, nie umie więc ukryć radości.

Po chwili zanurza łyżkę w tej samej cynowej misce, z której nabiera zupy żona oberżysty. Kobieta karmi dziecko, choć jest na tyle duże, że mogłoby jeść samo.

– Wystarczy – mówi w pewnym momencie czeladnik. – Niedobrze od razu jeść zbyt wiele. Przygotujcie ciepłą wodę.

Wszyscy obecni w oberży są świadkami zdejmowania odzieży, następnie kąpieli przypominającej rytualne obmywanie. Duży ceber stoi w pobliżu paleniska, a balwierz i dziecko są głównymi aktorami niemego spektaklu oglądanego przez sześciu dorosłych i dwie dziewczynki. Scena oświetlona jest tylko blaskiem ognia.

Krzysztof Unrug siedzi nieco z boku, dzięki czemu lepiej niż inni widzi grę światła na poruszającym się zwinnie młodzieńcu. Chłopak robi to, czego się nauczył podczas czeladniczej wędrówki. Wszak nie tylko golibrodą jest balwierz. Każdy jednocześnie jest cyrulikiem, musi więc umieć kąpać chorych, nacinać i leczyć wrzody, rwać zęby, nastawiać złamania, zszywać rany i puszczać krew. Młody szlachcic nieraz miał do czynienia z cyrulikami, lecz nigdy dotąd nie widział bardziej oddanego

swojej profesji.

Dotknięcia chłopaka są uważne i delikatne. Pilnie przygląda się strupom i rankom pokrywającym skórę dziecka. Ze skrzynki postawionej tuż przy naczyniu z wodą wyjmuje słoiczki ze smarowidłami i proszkami, przygotowując je do użycia. Kiedy nieruchomieje na moment, pochylony nad ciekącym ropą wrzodem, z ust Unruga wydobywa się ciche westchnienie. Uderza go nagła myśl, a raczej wspomnienie obrazów holenderskiego mistrza, które podziwiał podczas studiów w Lejdzie. Światło i cień malują twarz młodzieńca, dzieląc ją niemal dokładnie pionowo na połowę. Blask ognia wydobywa z mroku lekko zarumieniony policzek, grubą, prostą brew, brązowe loki spadające na czoło i ramię, połowę nosa, górną wargę ledwie przyciemnioną pierwszym zarostem i rękaw kaftana z wyraźnymi śladami cerowania. Poniżej pochylonej głowy młodego mężczyzny błyszczą odbitym światłem druga, mniejsza, zdobiona dziwną czapą ze spilśniałych włosów oraz chude ramię obciążone żółtą skórą.

Widać, że dziecko cierpi, mimo to potulnie poddaje się dłoniom czeladnika. Czasem się krzywi albo wygina w podkówkę zaciśnięte usta. Nie reaguje nawet, gdy młody balwierz wyjmuje brzytwę i unosi rękę nad jego głowę.

– Rozum ci odebrało? – Okrzyk Umiłkowskiego powstrzymuje dłoń trzymającą brzytwę. – Nie waż się ścinać kołtuna!

Chłopak spogląda pytająco, ale nie opuszcza ręki.

– Nie wiesz, gamoniu, że po ścięciu kołtuna ślepotą pewna?

Czeladnik, zaskoczony reakcją szlachcica, spogląda na pana Krzysztofa, jakby u niego szukał wyjaśnienia teorii.

Unrug czuje, że powinien zająć jakieś stanowisko, ale nie ma pewności, po czyjej stronie jest racja.

– Słyszałem, że w Polsce tak uważają, ale to chyba nie może być prawda – mówi z wahaniem.

– Najświętsza prawda! Ciotunia moja, która przez dziesięć lat na głowie

owo monstrum nosiła, aż do Częstochowy pielgrzymowała, żeby jej samo odpadło.

– I co? – ożywia się Baltazar. – Udało się?

– Ciotunia pielgrzymki nie przeżyła. Gorączka ją taka złapała w drodze, że tylko wieżę Jasnej Góry zdołała zobaczyć i ducha wyzionęła. – Przejęty smutnym wspomnieniem Umilkowski żegna się i ciężko wzdycha.

– Panie? – Czeladnik czeka na decyzję Krzysztofa.

– A ty? Co sam myślisz?

– Widziałem, jak balwierze usuwali brzytwą splątane włosy i nic się nie stało. Nie ma innej rady, tylko ściąć.

– Tnij więc.

– Róbcie, co chcecie. Umywam od tego ręce, ale pamiętajcie, że ostrzegałem. – Umilkowski z obrażoną miną sięga po dzban i udając, że stracił zainteresowanie tym, co się dzieje w karczmie, dolewa sobie piwa.

Operacja golenia przebiega zaskakująco sprawnie. Dziecko biernie poddaje się balwierzowi. Siedząc w wodzie, przechyla do tyłu głowę, a cuchnąca, pełna insektów czapa spada po chwili na posadzkę tuż za krawędzią naczynia. Młodzieniec łapie kołtun i wrzuca go do ognia. Izbę natychmiast wypełnia smród palonych włosów i ciche trzaski ginących w ogniu wszy. Nikt jednak nie zwraca na to uwagi. Wszyscy w napięciu czekają na oślepienie dziecka. Ono, nieświadome niczego, najpierw wpatruje się w żarzące w ogniu włosy, a potem unosi ręce i obejmuje nimi głowę. Nie ma w tym geście rozpacz. To raczej zdziwienie, że oto coś, co było tam, odkąd pamięta, nagle zniknęło.

W końcu z pomocą Tytusa wychodzi z wody i staje na kamiennej posadzce. W oczach nagiego, łysego, chudego i drżącego chłopięcia raz po raz pojawia się zaciekawienie. Najpierw przygląda się widzom tego spektaklu, a potem zatrzymuje wzrok na czeladniku i już nie patrzy na nikogo więcej.



Deszcz nie jest przyjacielem podróżnych. Zwłaszcza taki, który leje się z nieba niby zapowiedź biblijnego potopu. Jego szum usłyszeli, kiedy tylko ułożyli się do snu. Najpierw wydawał się zwykłą ulewą. Godzinę później nie tylko nie ustał, lecz wzmógł się jeszcze. Teraz wiatr i woda uderzają w drzwi jak rozgniewane monstra, targają nimi wściekle, próbując otworzyć i porwać do piekieł wszystkich, którzy schronili się pod dachem oberży.

Mężczyźni stający twarzą w twarz z wrogiem na polu bitwy leżą z otwartymi oczami i sercami pełnymi trwogi. Taka nawałnica musi być karą niebios lub dziełem Złego pragnącego do reszty wygubić ludzi. Nie da się walczyć ani z jednym, ani z drugim. Można tylko przyciskać się do twardej ławy i czekać na wyrok losu.

W oberży jest ciemno. Palenisko, z którego wieczorem płynęła fala ciepła, prawie wygasło. Pozostała jedynie mała, żarząca się cząstka przyciągająca teraz wszystkie spojrzenia. Jest punktem zaczepienia, kotwicą powstrzymującą przed szaleństwem, przed desperackim skokiem ku drzwiom i otwarciem ich przeznaczeniu.

Ogłuszający huk i uderzenie w ścianę tuż przy ławie, na której spoczywa von Lest, podrywa wszystkich na nogi. Chłopiec znaleziony na drodze zsuwa się pod stół, lament oberżystki miesza się z płaczem jej córek. Ostatnia iskra żaru gaśnie. W izbie zapada nieprzenikniona ciemność.

Umiłkowski i nieznany mężczyzna próbują szukać ratunku w głośnej modlitwie. Najpierw każdy z osobna, potem jednoczą siły we wspólnym odmawianiu łacińskich pacierzy. Monotonne mruczenie nikogo nie uspokaja. Przeciwnie, kobieta tuląca dziewczynki w pewnym momencie zrywa się na równe nogi i obraca w stronę, skąd dobiega modlitwa.

– Cicho! – krzyczy. – Żadnego Boga nie ma! Jesteście głupcami! Gdyby Bóg był, nie pozwoliliby na to wszystko!

Silny cios w plecy przerywa potok bluźnierstw. Oberżysta przestraszony słowami żony próbuje ją usprawiedliwiać.

– Panowie wybaczą. Ona ma nie po kolei w głowie. Nasz synek umarł

wiosną. Pomieszało się jej. I ten głód, wciąż głód. Gdyby nie jezioro i ryby, już by nas wszystkich na świecie nie było.

Nie śpią do świtu. Zarówno modlący się, jak i pogrążeni w ponurym milczeniu czekają, aż będzie można sprawdzić rozmiar szkód na zewnątrz. Wreszcie przez małe okienka zaczyna przenikać do środka wątpa zapowiedź dnia, a potępieńcze wycie nieco cichnie. Deszcz nadal pada, ale to nie powstrzymuje ich przed otwarciem drzwi. Okazuje się, że wyjście tarasuje konar drzewa. Po pokonaniu przeszkody spieszą do stajni. Niewiele z niej zostało. Dach nie istnieje, jedna z drewnianych ścian się przewróciła, drugą wiatr rzucił na kupę gnoju. Koni nie ma. To nie najgorsza wiadomość, bo przecież mogły zginąć przywalone ciężką belką lub fragmentem ściany. Najwidoczniej przerażone hałasem zerwały się z postronków i wybiegły na zewnątrz, zanim stajnia się rozpadła.

Nie zważając na deszcz oraz narzekania oberżysty, któremu wraz z budynkiem przepadł cały zapas siana, umówiwszy się co do kierunków poszukiwań, właściciele wierzchowców rozplývają się w szarości poranka. Chcą odnaleźć konie, zanim zrobi to ktoś inny.

Prócz rodziny właściciela na miejscu zostali tylko czeladnik i chłopiec. W izbie dla gości panuje przenikliwy, wilgotny chłód. Kobieta, która chcąc oszczędzić opał, gotowała wczoraj na ogniu grzejącym podróżnych, przeniosła się z dziećmi do kuchni. Mimo zamkniętych drzwi dobiegają stamtąd przytłumione odgłosy rozmowy, płaczu i kłótni.

Chłopiec leżący na ławie czuwa. Przebrany wieczorem w zbyt dużą koszulę właściciela oberży, wygląda nie mniej żałośnie jak wtedy, gdy miał kołtun, był brudny i wycieńczony. Łysa głowa chowa się między ramionami niczym łeb chorego ptaka. Kolana są prawie pod brodą, a skrzyżowane ręce giną w szerokich rękawach. Kuli się z zimna, bo jego opończa została oddana do prania i na pewno nie wyschła, a lniany przyodziewek nie wystarcza, by ogrzać chude ciało. Wielkie oczy dziecka są szeroko otwarte. Gdziekolwiek spojrzy, wraca zaraz ku postaci młodego balwierza. W jego wzroku widać psią wierność i oddanie.

Tytus śpi. Noc i strach tak go wyczerpały, że zasnął, jak tylko izba

opustoszała. Nie musi szukać konia, bo wędruje piechotą. Jego zmartwienia są inne niż troski bogatych panów. Przed nim długa droga. Listopadowa słońca i prawie pusta sakiewka na pewno mu nie pomogą w dotarciu do rodziny. Musi jednak dać sobie radę. Wyśpi się i ruszy dalej. Byle tylko przestało padać.

Tymczasem Baltazar von Lest szuka spłoszonych koni. Jest kompletnie przemoczony i zziębnięty, lecz nie może sobie pozwolić na zwłokę. Koń to cenna zdobycz. Za kradzież większego zwierzęcia płaci się gardłem, mimo to gotowych na ryzyko nie brakuje.

Chciałby iść szybciej, ale błoto wypełniające wąskie uliczki utrudnia zrobienie każdego kolejnego kroku. Napotkani ludzie nie zwracają uwagi na obcego. Oglądają swoje domy i liczą straty. Wichura nie oszczędziła żadnego zabudowania. Wszędzie leżą fragmenty dachów, czasem drzwi i cegły, a między tym wszystkim miotają się spłoszone kury, kozy, a nawet owce. Nie wiadomo, co jest czyje, więc wybuchają kłótnie o deskę albo mokre siano wywiane z obórki.

Tu z pewnością konia nie znajdzie, dlatego stara się czym prędzej opuścić miasteczko. Jeszcze parę kroków i ma za sobą krzyki i skargi na los. Przyspiesza. Coś go niepokoi, ale się nie ogląda. Wreszcie za kępą krzewów, na małej łące, dostrzega wszystkie poszukiwane wierzchowce. Uciekły razem, a teraz, nie przejmując się deszczem, skubią wątłą jesienną trawę. Zaraz do nich podejdzie, najpierw jednak musi sprawdzić, jakie zamiary mają osobnicy śledzący go, odkąd opuścił miasteczko. Spokojnie się obraca, by spojrzeć im w twarze. Są wychudzeni, obszarpani i gotowi na wszystko. Jeden trzyma w dłoni duży kamień, drugi zardzewiały łańcuch, trzeci grubą pałkę. Mężczyzna naprzeciwko jest sam, dlatego wydaje się im łatwą zdobyczą.

Baltazar się domyśla, że nie chodzi im tylko o sakiewkę, buty czy kaftan. Chcą go zabić. Skradają się przyczajeni do skoku niczym polujące zwierzęta. Nie, zwierzęta robiłyby to inaczej, mądrzej. Oni są razem, ale nie współpracują. Ten z kamieniem jest najbardziej nerwowy. Może to jego pierwszy napad. Szlachcic wie, że z tej strony powinien się

spodziewać pierwszego uderzenia, dlatego poświęca mu najwięcej uwagi. Nie spuszczać wzroku z bandytów, zdejmuje opończę i przewiesza ją przez lewą rękę, prawą ujmuje rękojeść rapiera i powoli wysuwa go z pochwy. Czeka.

Kamień leci w jego kierunku tak prędko i celnie, że nie ma dość czasu, by całkiem uniknąć trafienia. Gruby kaftan przyjmuje na siebie część impetu, ale Baltazar i tak gwałtownie nabiera powietrza, kiedy otrzymuje uderzenie w bok.

Drab z łańcuchem wyczuwa właściwy moment. Daje susa i już jest przy ofierze. Szlachcic instynktownie, od lat wyuczonym obronnym gestem, wyciąga lewe ramię z płaszczem. Łańcuch, który mógł być groźną bronią, owija się wokół tkaniny, a mocne pchnięcie rapierem wystarcza, by unieszkodliwić zbója. Dwaj pozostali, zaskoczeni obrotem sprawy, cofają się na bezpieczną odległość, potem się odwracają i biegną w kierunku lasu. Ten, który leży na mokrej trawie, już nigdzie nie pójdzie.

Baltazar z trudem wsiada na konia. Trzymając się grzywy, rusza w kierunku miasteczka. Pozostałe wierzchowce posłusznie podążają za nim. Pierwszy zagadnięty o stajnię mężczyzna prowadzi do swego krewnego. To kupiec, który od dawna nie ma czym i z kim handlować. Sprzedał swoje woły pociągowe, a budynki gospodarcze, choć nieco uszkodzone przez wichurę, są w miarę solidne. Za niewielką opłatę zgadza się przyjąć konie pod dach. Resztę drogi do oberży szlachcic pokonuje pieszo.

– Dlaczego tu tak zimno? – Głos Baltazara von Lesta wywabia oberżystę z kuchni.

– Już rozpalam. Nie wiedziałem...

– Łuczywo też przynieś! Ciemno jak w grobie. – Mówiąc to, Baltazar odrzuca przemoknięty kapelusz, ciężko opada na ławę, a potem z jękiem kładzie się na wznak.

Oberżysta zjawia się niemal natychmiast. Zapaloną łojową świecę w lichtarzu stawia na stole, a łuczywo umieszcza na stojaku.

– Panie?

Baltazar podnosi przymknięte przed chwilą powieki. Twarz młodego balwierza ma tuż nad sobą.

– Wybaczcie śmiałość. Usłyszałem jęk. Chyba coś was męczy. Może mógłbym pomóc.

– Zbóje mnie napadli, kiedy szukałem koni. Jeden rzucił kamieniem. To nic takiego. Przejdzie.

– Pozwólcie, że obejrzę.

– Oglądaj. Jestem zbyt zmęczony, by się z tobą spierać. Sam rozepnij kaftan.

Mężczyzna wyciągnięty na ławie znowu zamyka oczy, dzięki czemu balwierz może patrzeć bez skrępowania.

Zupełnie łyśa głowa Baltazara błyszczy w blasku świecy. Gęste, łukowato wygięte brwi i dwie pionowe zmarszczki między nimi nadają twarzy surowość, a przetykany siwizną kilkudniowy zarost bardziej pasuje do włóczęgi niż do szlachetnie urodzonego.

– Mógłbym was ogolić – proponuje balwierz.

– Później. Rób, co miałeś robić.

– Odzież macie solidną, kamień na pewno nie narobił wielkiej szkody – pociesza czeladnik, rozpinając drżącymi rękami kolejne guziki grubego kaftana. – I koszula pod spodem, będzie dobrze – kontynuuje, podciągając szorstkie płótno do góry. – Panie! Co to?

To nie rozległy krwiał na prawym boku wywołał ten okrzyk. Skóra na klatce piersiowej i brzuchu Baltazara ma strukturę pofałdowaną, pełną zgrubień, śladów nieumiejętnego szycia i blizn.

– Kto wam to zrobił?

– Wojna. – Baltazar dalej nie otwiera oczu. – I co powiesz? Co tam jeszcze zobaczyłeś?

– Pozwólcie, że was zbadam. Może boleć – uprzedza młodzieniec.

Nie doczekawszy się nawet pomruku, kładzie dłonie na plamie o krwawej barwie. Jego palce przesuwają się i naciskają, jakby chciały

dotknąć tego, co von Lest ma w środku. Nic nie przerywa ciszy, tylko zaciśnięcie szczęk przez pacjenta sygnalizuje, że czuje ból.

– Żebra nie są złamane. Mogą być pęknięte. Stąd ból – wyjaśnia chłopak po chwili. – Mnie się jednak zdaje, że jest coś jeszcze, jakaś inna przyczyna.

– Miałem tam ranę, która trudno się goiła. Kamień uderzył dokładnie w to samo miejsce. Poboli parę dni i przestanie.

– Oby. Powinniście zasięgnąć rady medyka. Stare, trudno gojące się rany mogą być zdradliwe.

Głośne wejście Umiłkowskiego przerywa rozmowę. Baltazar siada szybciej, niż powinien, dlatego stłumiony jęk znowu wydobywa się z jego ust. Polski szlachcic jest jednak zbyt podekscytowany, by zwrócić na to uwagę.

– Tu jesteś, Baltazarze! Zastanawiałem się, gdzie się podziałeś. Dowiedziałem się w miasteczku, że przyprowadziłeś konie z powrotem. Wielkie dzięki.

Pokłon oddany przez Umiłkowskiego wydaje się von Lestowi przesadny, a wdzięczność szlachcica mało wiarygodna, dlatego reaguje jedynie skinieniem głowy.

Niemal równocześnie w oberży zjawia się mężczyzna, który cały poprzedni wieczór spędził, nie bratając się z resztą kompanii. On też usłyszał o odnalezieniu koni, dlatego, stanąwszy przed Baltazarem, pochyla głowę w geście podziękowania.

– Jestem wam nieskończenie wdzięczny – mówi po łacinie. – Spieszę do Bawarii na pilne wezwanie tamtejszego biskupa. Bez konia nie zdążyłbym na czas.

Mężczyzna może mieć dwadzieścia kilka lat. Jest dość wysoki, ma szczupłą, zgrabną sylwetkę, włosy ciemne, proste, opadające na ramiona i bródkę strzyżoną na hiszpańską modłę. Jedynie chłodne spojrzenie szarych oczu nie pasuje do ujmującego wyglądu. Jest w nim coś takiego, że von Lestowi przychodzi do głowy myśl, iż nie chciałby mieć tego

człowieka za plecami. Dlatego z ulgą przyjmuje wiadomość, że zamierza on wyruszyć natychmiast, mimo późnej pory i niesprzyjającej aury.

– My wyjeżdżamy jutro o świcie – oznajmia towarzyszom Krzysztof, który przyszedł ostatni. – Przed nami długa droga.

– A on? – Umiłkowski pokazuje na małego chłopca przytulonego do czeladnika.

Krzysztof przygląda się przez chwilę osobliwej parze.

– Oddam go do klasztoru – odpowiada po namyśle.

– Klasztoru? Gdzie tu masz klasztor?

– Jest niedaleko. Dowiedziałem się, szukając koni. Szwedzi go złupili, ale zakonnicom udało się przetrwać. Powiedziano mi, że przygarniają sieroty. Będziemy musieli trochę zboczyć, żeby tam dotrzeć.

W drogę pełną błota i głębokich kolein wyruszyli z samego rana. Oberżysta wyjaśnił, że zakonnice mieszkają niedaleko. Trzeba jedynie trochę zboczyć na południe. Jak widać „niedaleko” jest pojęciem względnym, bo choć jeźdźcy zdążyli już zapomnieć o śniadaniu, zabudowań klasztornych wciąż nie ma.

Chłopiec siedzi na koniu razem z Baltazarem. Mężczyzna obserwuje drogę, ale myślami jest przy dzisiejszym poranku. Kiedy dzieciak zrozumiał, że czeladnik z nimi nie jedzie, uchwycił się kapoty balwierza i nie chciał puścić. Ciągnięty w drugą stronę, zaczął rozpaczliwie jęczeć, a potem krzyczeć. Można było nawet rozpoznać jakieś słowa. Krzysztofowi wydawało się, że to po francusku, ale nie był pewien. Oderwali go w końcu od balwierza i siłą wrzucili na konia. Teraz jest spokojny, albo raczej otępiały, pogodzony z losem jak wtedy, gdy siedział na piętach w błocie pośrodku drogi.

– To chyba klasztor, którego szukamy. – Na widok budowli wylaniającej się zza zakrętu Krzysztof Unrug wstrzymuje konia.

– Klasztor? – W głosie Umiłkowskiego słychać powątpiewanie. – Przecież to ruina. Tam nikt nie może mieszkać.

– Przekonajmy się.

Im są bliżej, tym większy czują niepokój. Murowany budynek, będący mieszkaniem zakonnic, stoi, choć wymaga solidnego remontu, a na fragmencie kamiennej ściany spalonego kościoła wyrosło już drzewko. Reszta, która niegdyś musiała być gospodarstwem i stanowić zaplecze żywnościowe dla sióstr, praktycznie nie istnieje. Gdzieniedzie sterczą w niebo nadpalone kikuty słupów dawniej podtrzymujących dachy spichlerza, stodoły i owczarni. Gdziekolwiek spojrzeć, widać nędzę i bezsilność. Domyślają się, jak doszło do upadku klasztoru. Przyczynili się do tego nie tylko Szwedzi sprowadzeni do Rzeszy przez luterańskich władców walczących z katolickim cesarzem. Klasztor na pewno posiadał co najmniej kilka wsi będących źródłem dochodu. Daniny i praca chłopów mogłyby pomóc w remontach i stopniowej odbudowie świetności. Niestety, wsie i ich mieszkańców spotkał taki sam los jak klasztor. Być może ziemię przejął jakiś szlachcic będący przeciwnikiem cesarza i nie chcąc podnosić ręki na kobiety, pozwolił im na wegetację i powolną śmierć.

Najgorsze ukazuje się ich oczom dopiero na dziedzińcu. Są tu dzieci. Część z nich stoi lub siedzi oparta o ścianę, czterech wyrostków dźwiga fragment pozieleniałej od wilgoci belki prawdopodobnie przeznaczonej na opał. Kilkanaście par wygłodniałych oczu wpatruje się z nadzieją w przybyłych jeźdźców. Kobieta w brudnej, zniszczonej zakonnej sukni chodzi między wychudzonymi istotami i z uwagą im się przygląda. Jest, podobnie jak one, blada i słaba, jednak pochyła się raz po raz, coś mówi, czasem kładzie rękę na głowie, jakby obdarzała słabnące dziecko otuchą. W pewnym momencie się zatrzymuje i żegna nad nieruchomą sylwetką. Chwilę się modli, a potem woła w stronę dwóch sióstr szarpiących się z resztkami drewnianej konstrukcji. Kobiety przerywają pracę i o nic nie pytając, podnoszą z ziemi zwłoki dziecka. Gdzieś je niosą, ale jeźdźcy już nie chcą widzieć niczego więcej.

– Krzysztofie, jedźmy stąd – prosi Baltazar.

– Jedźmy – ponagla Umiłkowski. – Czuć trupi zaduch. Zostaw go i jedźmy.

Baltazar uświadamia sobie, że siedzący za jego plecami chłopiec trzyma go w pasie tak mocno, że ból w boku odzywa się z nową siłą. Posyła pytające spojrzenie Krzysztofowi, ale ten odwraca wzrok.

Zakonnica, która wcześniej chodziła między dziećmi, zmierza w ich kierunku.

– Szukacie drogi? – pyta, zatrzymując się przed Unrugiem.

Umiłkowski już chce ją zganić, że powinna się przywitać po chrześcijańsku, ale odzywa się pan Krzysztof:

– Mówiono nam, że można tu zostawić znalezione na drodze sierotę.

Kobieta patrzy przeciągle w oczy Unruga, potem odwraca głowę w kierunku gromady dzieci.

– Można – odpowiada, spoglądając znów na Krzysztofa.

– One są chore? Morowe powietrze? – mówi szlachcic ze strachem, jakby dopiero teraz pojął niebezpieczeństwo.

– Nie musicie się bać, wam ta choroba nie grozi – drwi zakonnica. – Na imię ma głód.

– Dlaczego bierzecie do siebie dzieci, skoro nie macie dla nich jedzenia?

– Tu pożegnamy je jak ludzi. Gdzie indziej umarłyby w samotności i bez modlitwy. – Powiedziawszy to, podchodzi do Baltazara i próbuje zajrzeć w twarz dziecku. – To jego chcecie zostawić?

Na krótką chwilę chłopiec odrywa głowę od pleców von Lesta i obrzuca spojrzeniem dziedziniec. To zakonnicy wystarcza.

– Był u nas. Wygląda trochę inaczej, ale jestem pewna, że to on.

– Uciekł?

– Nie. Ktoś po niego przyszedł. Starzec, który powiedział, że szuka go od dawna. Nazwał go po imieniu, ale jakie było, nie pamiętam. Miał zaprowadzić go do matki.

ROZDZIAŁ III





Jeszcze przed chwilą Baltazar von Lest spał. Teraz nie śni. Widzi ją wyraźnie. Jest czarnym cieniem wędrującym po ścianie i suficie. Zawsze wyobrażał sobie, że Śmierć to piękna dziewczyna, która kiedyś po niego przyjdzie, delikatnie położy mu dłonie na oczach, da zapomnienie i wieczny sen.

Śmierć chodząca po jego komnacie nie jest piękną dziewczyną. To kobieta nieco wyższa od karła, przygięta do ziemi, z garbem na plecach. Śmierć nie wie, że na nią patrzy. W jednej dłoni trzyma miseczkę, z której unosi się dym, drugą macha w sinej smudze, pomagając wonnej substancji rozproszyć się po całym pomieszczeniu. Mruczy przy tym pod nosem coś jakby zaklęcia, a może modlitwy trzy razy po trzy powtarzane.

Oczy chorego podrażnione dymem zaczynają łzawić, a kaszel omal nie rozrywa płuc. Kiedy wyczerpany opada na poduszki, Śmierć się nad nim pochyla. Przygląda się uważnie jego twarzy, dotyka czoła, przykładą ucho do dyszącej piersi. „Teraz – myśli von Lest, posłusznie zamykając powieki. – Nareszcie koniec”.

– Nie śpij. – Słyszysz głos, który przed chwilą mruczał zaklęcia. – Pij – nakazuje.

Baltazar czuje zapach kwiatów czarnego bzu i jeszcze czegoś, czego nie potrafi zidentyfikować. Mocne ramię chwyta go z tyłu i lekko unosi. Cynowy kubek uderza o zęby. Pije, a potem zapada w nicość.

Obudziwszy się, nie otwiera oczu. „Co zobaczę? – zastanawia się. – Piekło czy raj? Co Bóg mi przeznaczył?” Jeszcze chwila i unosi powieki. „Nie umarłem”.

Nadal jest w tym samym pomieszczeniu, po którym chodziła Śmierć. Na krześle postawionym obok łóża drzemie jakiś człowiek. „Sługa” –

przypomina sobie chory. W komnacie jest jasno. Widać wszystkie sprzęty i kilimy na ścianach. Baltazar chce wstać, ale robi to zbyt gwałtownie.

– Co robicie, panie? – Służący zrywa się z krzesła i pomaga choremu z powrotem ułożyć się na poduszkach. – Mogliście upaść i się potłuc. Nie wolno wam wstawać.

– Kto tak powiedział? Śmierć?

– Śmierć? W imię Ojca i Syna! Co mówicie? Tfu! Żebyście w złą godzinę jej nie wezwali!

– To kto tu był?

– Wiga.

– Wiedźma?

– Baba, co choroby zamawia. Posłałem po nią swojego syna. Medyka u nas nie ma.

– Czarownicę do mnie wpuściłeś?

– Woleliście umrzeć? Skąd miałem wiedzieć? Kobieta z wyglądu czarownica, ale na choroby czasem pomaga. Na ziołach i zamawianiu zna się dobrze i na nabożeństwach też się pokazuje – dodaje szybko sługa, choć ostatecznie zapewnienie niewiele ma wspólnego z prawdą, bo długo musieliby się zastanawiać tutejsi luteranie, kiedy ostatecznie widzieli zielarkę na wspólnej modlitwie w kaplicy.

Szlachcic dalej ma wątpliwości. Badawczo przygląda się słudze. Mężczyzna w sile wieku, o sympatycznym, okrągłym obliczu, szarych oczach i uśmiechu ukazującym braki w uzębieniu czeka na następne pytanie.

– Jak cię wołają?

– Albert, panie. – Służący, który bał się nieco, że rozmowa pójdzie w kierunku spraw religijnych, odpowiada, uśmiechając się jeszcze szerzej.

– Albert? – Von Lest krzywi się z niesmakiem. – To stare szlacheckie imię. Nie pasuje do ciebie.

– Cóżem ja winien? Tak mi dali i już. A wy, panie, dziękować powinniście zamiast narzekać. Wiga wam pomogła. Dopiero co

widzieliście śmierć, a dzisiaj gadacie ze mną, jakbyście byli całkiem zdrowi.

– Nie nadto hardy jesteś?

– Nie wiem. Dawno tu żadnego pana nie było, żeby mnie do porządku przywołać.

Baltazar nie może powstrzymać uśmiechu. Powinien pokazać niepokornemu słudze, gdzie jego miejsce, ale od lat nie miał w swym otoczeniu osoby tak pogodnie usposobionej. Poza tym czuje, że słabnie. Bolą go oczy i kark, a ciało zaczynają ogarniać dreszcze.

– Idź – rozkazuje. – Głowa mi pęka od twojego gadania.

– Pewnie, że pójdę. Wiga kazała dać wam lekkie śniadanie i ziół na poty naparzyć. Powiem Agacie, żeby się wzięła do roboty.

– Kim jest Agata?

– Kucharką. Kto inny miałby się waszym śniadaniem zajmować? A! Zapomniałbym. – Sługa zatrzymuje się w progu. – Pod łóżkiem stoi urynał. Dacie radę sami czy wam pomóc?

– Dam radę. Idź! – Szlachcic ma serdecznie dość gaduły, a jego propozycja uświadamia mu, jak bardzo stał się zależny od innych ludzi. Z trudem, ostrożnie i powoli, zwleka się z łoża. Potrzebę ma rzeczywiście pilną, dlatego z ulgą korzysta z naczynia. Chciałby jeszcze podejść do okna, ale czuje, że sił mu braknie. Kładzie się więc z powrotem i po chwili zapada w niespokojny sen.

Jest wśród dragonów ścigających lisowczyków. Prawie ich dogania, ale oni rzucają się do rzeki i przepływają na drugi brzeg. Jego koń się wzbrania, wreszcie zmusza go do skoku w wartki nurt. „Zimno, Chryste, jak zimno” – jęczy, walcząc z wodą zalewającą mu usta. Powietrze pachnie lipą. Nie ma rzeki. Jest stare drzewo wrosnięte pniem w ścianę jego domu na Śląsku. Słyszy brzęczenie pszczół i śmiech swoich dzieci. „Uciekajcie!” – woła z daleka, ale głos ojca do nich nie dociera. Biegnie im na ratunek, lecz stopy ma jak z kamienia. Nie zdąży... Budzi się z krzykiem pełnym bóleści.

Znowu patrzy Śmierci w oczy.



Dwa tygodnie. Tyle życia niepostrzeżenie umknęło Baltazarowi. Sługa pomógł mu opuścić pokój i wyjść na powietrze. Mógł zostać na szerokim ganku, ale stamtąd już słońce odeszło, dlatego Albert postawił mu krzesło przy oświetlonej jego promieniami ścianie szczytowej. Teraz, w ciepłej czapie i opatulony kożuchem, próbuje uporządkować myśli i wydarzenia.

Zaczął się od gwałtownej ulewy, która ich spotkała, kiedy zostawili za sobą Frankfurt. Nie był to pierwszy deszcz, który kompletnie przemoczył mu ubranie, nigdy jednak się nie zdarzyło, żeby zaraz potem chwycił go taki ziąb.

Zgodnie z planem się rozdzielili, bo Krzysztof Unrug i Wawrzyniec Umiłkowski mieli jak najprędzej stawić się przed obliczem Ludwiki Marii, a on, na prośbę kuzyna, wraz z dwoma wozami i sługami skierował się do nowych dóbr, które sześć lat temu nabył ojciec Krzysztofa. Brak słońca, wilgotne ubranie i noclegi w zimnych oberżach sprawiły, że czuł się coraz gorzej. W końcu nie był w stanie utrzymać się na koniu. Do Karge dojechał, leżąc na wozie, ogarnięty taką gorączką, że nawet baranie kożuchy nie tłumili dreszczy.

Dwa tygodnie temu czyjeś ręce położyły go do łóżka, a przez kolejne dni zmieniały przepocone koszule, poiły i karmiły. Jeszcze teraz czuje się niepewnie na nogach. Wstał, mimo iż Wiga radziła, by jeszcze poleżał. Ma dość zaduchu, okadzania, nacierania, omywania, zaklęć, ziół, tłustych, cuchnących maści i załatwiania się do nocnika albo pod siebie.

Podnosi się i staje wyprostowany, choć ma ochotę oprzeć się o ścianę. Nie robi tego na złość słudze, który czeka, by w razie czego go podtrzymać. Wdycha świeże, mroźne powietrze i cieszy wzrok otwartą przestrzenią.

Dwór skierowany frontem na wschód stoi na niewielkim wzniesieniu, u stóp którego rozciąga się równina. Albert powiedział, że gdzieś tam

płynie rzeka. Stąd jej nie widać. Jest tylko biały dywan przykrywający łąki i stogi siana. Lasy zaczynają się dalej, czarną grubą kreską kreśląc linię horyzontu. Bliżej ludzkich siedzib są tylko pojedyncze kępy drzew i krzewów.

Karge jest bardzo rozrzuciona^[7]. Na uboczu, za jednym ze skupisk krytych strzechą chałup, stoi kuźnia. Dalej von Lest dostrzega jeszcze jedną siedzibę posadowioną tak, jakby z innymi nie chciała mieć nic wspólnego. Na południowy wschód od dworu, na skraju lasu, przycupnęła chatynka z nieproporcjonalnie wysokim kominem. Obecność człowieka w tym miejscu zdradza jedynie wstążka dymu wędrująca prosto w niebo.

– Albercie, we dworze widuję tylko ciebie i kucharkę. Nie ma tu żadnej innej służby?

– Teraz nie ma. Za pana Żychlińskiego było inaczej, ale po sprzedaży posiadłości część sług odeszła z dawnym państwem. Tu został tylko zarządca, pan Zaręba, ale niedawno i on poszedł za Żychlińskimi. Dom jest właściwie pusty.

– Z tyłu widziałem gospodarstwo. Kto tam pracuje?

– Sami dochodzący ze wsi. Bywa, że i do dworu ktoś do pomocy przychodzi, ale tylko wtedy, gdy przyjeżdża starszy pan Unrug. Smutno tu mamy – żali się Albert. – We dworze powinien być ktoś na stałe. Od razu inaczej by się żyło. Agata coś lepszego by gotowała, a nie tylko kapustę i groch.

Słońce jest wysoko, a jego blask połączony z bielą i błękitem staje się trudny do zniesienia. Oczy ozdowieńca zaczynają łzawić. Musi wejść do środka. Za nim podąża Albert z miną „A nie mówiłem?”.

– Posłałem sanie po Wigę – uprzedza Baltazara.

– Znowu? Mam dość tej baby.

– Winniśmy jej wdzięczność i zapłatę. Obejrzy was, a potem Agata da jej do sań woreczek kaszy, polec słoniny i parę jajek. Ona i jej wnuczka muszą coś jeść.

– Wnuczka? Nie mówiła, że ma wnuczkę.

– Bo w ogóle mało mówi. Ma dziecinę po swojej córce. Dorota jesienią gdzieś przepadła. Ludzie plotkują, że z żołnierzami poszła, ale ja nie wierzę. Ona nigdzie bez dziecka się nie ruszała. Stale je miała przy sobie.

– To co się mogło stać?

– Bóg jeden wie. Poszła do lasu i nie wróciła. Zwierz albo co gorszego ją zabrało.

– Co gorszego?

– Nie rozumiecie? Wiga wciąż ma do czynienia z duchami. Wygania je z chorych albo ziela szuka przy księżycu. Dość, żeby je zezłościć. Zemściły się, zabierając córkę.

– Przestań gadać głupstwa! – Baltazar przerywa słudze, bo jego samego zaczyna ogarniać lęk. – Chrześcijaninem jesteś! Nie wolno ci wierzyć w pogańskie opowieści!

– Mnie tam wszystko jedno, czy złe wilkołakiem, czy diabłem się nazywa. Przed jednym i drugim trzeba się mieć na baczności.

– Weź się, leniu, do pracy, zamiast siedzieć ze mną bez potrzeby. Już cię tu nie ma!

Albert, widząc, że wzmianką o duchach zepsuł Baltazarowi humor, podejmuje jeszcze jedną próbę podtrzymania rozmowy.

– A co tam w liście od pana Unruga napisane? Zjedzie na Boże Narodzenie? Pytam, bo może dom trzeba przygotować na przyjazd gości.

– Niczego nie musisz przygotowywać. Wynoś się wreszcie!

List zmartwił Baltazara. Nie zamierzał zostawać tu na dłużej. Planował, że jak tylko odzyska siły, dołączy do Krzysztofa. Tymczasem kuzyn pisze, że co prawda Boże Narodzenie spędzi z ojcem w Międzychodzie^[8], ale zaraz potem chce odwiedzić kilka wielkopolskich dworów, skąd otrzymał zaproszenia na karnawałowe przyjęcia. Prosi więc, by na ten czas on zarządzał jego tutejszym majątkiem.

Ma zarządzać majątkiem! Przecież dawno zapomniał, jak to się robi. Minęło prawie trzydzieści lat, odkąd oddał w dzierżawę swoje dobra na Śląsku i poszedł na wojnę. Już nigdy potem nie zajmował się czynszami,

dzierżawami, tartakiem, młynem i stadami. Nie jego zmartwieniem były susza albo deszcz.

Niewielkie okno w alkierzu^[9] wychodzi na wschód. Baltazar chucha na zamarznąłą szybę i wygląda na świat przez okrągły otwór w szronie. Jest tak samo biało i świetliście jak przed godziną. Na skraju lasu dostrzega jakiś ruch. To sanie ciągnięte przez konia suną w stronę dworu. Są coraz bliżej. Widać już oszroniony grzbiet zwierzęcia, woźnicę i babę z tobołkiem na kolanach. Wkrótce znowu spojrzy w oczy tej, którą wziął za Śmierć.



Są czarne, ale nie całkiem. Jest w nich jakaś przezroczystość, jakby malarz zbyt rozcieńczył farbę. I nie są stare, choć na pierwszy rzut oka kobieta taką się wydaje. Patrzą uważnie i nieufnie, bo co to za zwyczaj, żeby szlachcic kazał siadać jak równej sobie i chciał rozmawiać.

Niby o czym mieliby gadać.

Baltazar przygląda się babie, która wyciągnęła go z choroby. Nie tylko oczy są w niej ciemne. Skóra twarzy też przydymiona, a może na zawsze spieczona letnim słońcem. Chusta, która miała bronić przed mrozem, teraz przeszkadza, więc kobieta zsunęła z czoła grubą tkaninę, odsłaniając przy tym pasma czarnych włosów. Spod obszernej chusty wystaje ciężka wełniana spódnica, a jeszcze niżej kawałek gołej łydki i stopy w przetartych skórzanych łapciach.

Ich spojrzenia znowu się spotykają.

– Nie masz innych butów?

Pytanie szlachcica zaskakuje. W pierwszym odruchu zielarka chowa stopy pod krzesło. Potem jednak stawia je swobodnie.

– Mam, ale drewniane podeszwy ślizgają się na lodzie. Łatwiej się przewrócić.

Baltazar sam nie wie, dlaczego kazał kobiecie usiąść. Widzi, że się niecierpliwi, ale nie mówi, by odeszła. Cisza zaczyna ciążyć obojgu.

- Wydawało mi się w gorączce, że przy łożu stoi Śmierć, a to byłaś ty.
- Mogła stać i ona.

Te słowa sprawiają, że zimny dreszcz przebiega po plecach mężczyzny, tym bardziej że w pomieszczeniu robi się prawie ciemno.

- Naprawdę ją widziałas? Była tutaj? Jeśli tak, to dlaczego żyję?
- Nie wiem, co widziałam. A wy lepiej nie pytajcie.
- Szeptalaś zaklęcia. Co mówiłaś?
- Nie wolno wam wiedzieć. Wygnałam duchy, przez które byliście chorzy. To wystarczy.
- To duchy wywołały u mnie chorobę, a nie to, że zmoczył mnie lodowaty deszcz? – Mimo gniewu i zniecierpliwienia zielarki szlachcic nie daje za wygraną.
- To też, ale one zawsze czekają. Kiedy człowiek jest słaby, wchodzi do środka i męczy.
- I ty je wszystkie wygnałaś?
- Nie wszystkie.
- Co mówisz? Dlaczego pozwoliłaś, by któryś został? – Baltazar żartobliwym tonem próbuje ukryć zmieszanie.
- Jeden był tam wcześniej. Moje zaklęcia są na niego za słabe.
- Co to jest?
- Nie wiem. To nie jest taki duch, co męczy brzuch albo nogi. Macie go w głowie. – Powiedziawszy to, kobieta podnosi się z krzesła i odwraca do drzwi. Baltazar widzi jej garb w całej okazałości. Plecy zielarki wyglądają, jakby pod wielką chustą skrywała tobolek.
- Albert mówił, że masz wnuczkę. Gdzie ona?
- Z kucharką i waszym chłopcem.
- Moim chłopcem?
- Tym, co zawsze siedzi w kuchni, kiedy przychodzę. On nie wasz?
- Znaleziony przy drodze. Chyba sierota.
- Jest silny. Nie darmo go spotkaliście. Ktoś go na waszej drodze

postawił.

– Kto?

Zielarka namyśla się nad odpowiedzią.

– Pewnie Bóg – odpowiada po chwili.



Znowu jest sam. „Nie darmo go spotkaliście” – rzekła baba. Tak samo pomyślał, kiedy najpierw pobłądzili, a potem znaleźli oberżę. „Kim jest to chłopię?” – próbuje dociec Baltazar. Wtedy, w klasztorze, gdy chcieli go zostawić, złapał go w pasie tak, że aż mu dech zaparło. Zakonnica powiedziała, że już u nich był. Widział, jak umierały dzieci. Spodziewał się, że i jego to czeka, jeśli zostanie.

Prawda jest taka, że żaden z nich, nawet Umiłkowski, nie miał sumienia porzucać chłopaka na pewną śmierć. Kiedy więc przyszła pora, by decydować, Krzysztof wysupłał coś z sakiewki, podał zakonnicy, a potem odjechali w milczeniu, dziecko zaś, jakby wciąż nie mogło uwierzyć, nadal z całych sił trzymało się Baltazara. We Frankfurcie mały został przesadzony na wóz i tak dotarł do Karge. Podczas choroby szlachcic o nim zapomniał. Dopiero kiedy doszedł trochę do siebie, zapytał Alberta o znajdę. Dowiedział się, że jest zdrowy i pomaga kucharce. Parę razy zachodził do kuchni, chcąc go zobaczyć, ale nigdy chłopca nie zastał. Zawsze słyszał od Agaty, że poszedł po drewno albo po coś innego.

Słowa zielarki nadal dźwięczą mu w głowie. W kuchni pusto. „Gdzie się wszyscy podziali?” – zastanawia się, otwierając drzwi prowadzące na tyły dworu. Ciemne, ciężkie chmury prawie dotykają wierzchołków drzew. Ścieżką wydeptaną w śniegu przemyka czarny kot. Baltazara ogarnia dziwne uczucie. Cofa się do środka. Znowu zagląda do kuchni. Zatrzymuje się na parę chwil przy palenisku promieniującym ciepłem. Być może przez nagłą zmianę temperatury czuje, że kręci mu się w głowie. Przysiada na ławie i ukrywa twarz w dłoniach. Nie wie, czy przysnął, czy stracił na moment świadomość. Z odrętwienia budzi go

dotyk czyjejś dłoni na kolanie.

– Co to? Kto...?

Ledwie może dostrzec w mroku twarz chłopca, ale to na pewno on. Wyraźnie przejęty stoi przy Baltazarze.

– Skąd się tu wziąłeś? – pyta mężczyzna. Nie usłyszawszy odpowiedzi, domyśla się głośno: – Byłeś tu cały czas?

Niespodziewanie chłopak potwierdzająco kiwa głową.

– Zrozumiałeś! Pierwszy raz widzę, że wiesz, co do ciebie mówię – cieszy się szlachcic. – Jak ci na imię? – Brak odpowiedzi lekko go rozczarowuje, mimo to nie rezygnuje. – Ja się nazywam Baltazar von Lest – tłumaczy, pokazując na siebie palcem. – Baltazar – powtarza. – A ty? – Palec szlachcica kieruje się w stronę piersi dziecka.

– Jacob.

– Co mówisz? Nie rozumiem, co to znaczy.

– Jacob. – Chłopiec pokazuje na siebie tak, jak wcześniej robił to Baltazar.

– Masz na imię Jacob! – Von Lest klepie się w udo. – Jesteś Francuzem – stwierdza zdziwiony. – Skąd się wziąłeś w Brandenburgii?

Dziecko z uwagą patrzy szlachcicowi w oczy, jakby pragnęło spełnić jego życzenie, lecz nie może odgadnąć jego treści.

– Nie rozumiesz mnie, prawda? – domyśla się von Lest. – Kiedy byłem we Francji z panem Unrugiem, nie potrzebowałem znać twojego języka, bo dogadywałem się po łacinie – tłumaczy, choć zdaje sobie sprawę, że na próżno. – Pan Unrug zna francuski. O wszystko cię wypyta, gdy tu przyjedzie. Na razie musisz nauczyć się mówić jak tutejsi^[10].

Chłopiec patrzy, jakby od intensywności spojrzenia zależało, czy zrozumie, co się do niego mówi. Mimo że w kuchni panuje mrok, szlachcic dostrzega zmianę, jaka zaszła w wyglądzie dziecka. Ogoloną przez balwierza głowę pokrywają krótkie, gęste włosy, chude policzki się wypełniły, a oczy nabrały życia. Koszula i portki sięgające za kolana są na niego trochę za duże, podobnie jak rozpięty kaftan, który prędzej by

pasował dorosłemu, a nie dziecku wyglądającemu na pięć lat.

– Kto ci to dał? – pyta, dotykając płóciennej tkaniny na piersiach chłopaka.

– Ja – oznajmia Albert z taką dumą, jakby podarował dziecku kufer pełen skarbów.

Przybycie sługi psuje nastrój, a zapalona przez niego świeca sprawia, iż chłopiec znowu zamyka się w sobie i próbuje się wycofać do wnęki przy piecu. Albert nie zwraca na to uwagi. Musi przecież wyjaśnić von Lestowi swą doniosłą rolę w ubraniu malca.

– Kiedy go tu przywieźliście, wyglądał jak kupa nieszczęścia. Brudna koszula na karku i wyleniały kozuch. Wstyd! Jak to zobaczyłem, od razu mojej Kasi powiedziałem, że ma jakieś odzienie przygotować. Spłodziłem czterech synów – oznajmia z dumą. – Jeden po drugim portki nosi, dopóki nie ma do czego łąty przyszyć, ale coś tam w skrzyni się znalazło.

– Ma na imię Jacob. Jakub po waszemu.

– Jakub? Może być. Czemu nie? Przynajmniej wiadomo, że chrześcijanin.

– Kucharka mówiła, że jej pomaga.

– Tak mówiła? Żadna z niego pomoc. Przecież nic nie rozumie. Powiesz, żeby drewna przyniósł, to patrzy jak sroka w gnat. Z końmi w stajni całymi dniami siedzi. Tylko kiedy Wiga przychodzi, nagle w kuchni się zjawia. Jak sama, to idzie z powrotem do stajni, ale jak z tą małą, to zostaje i się z nią bawi. Bywa, że coś po swojemu do niej gada.

– W klasztorze powiedziano nam, że szuka go matka. Może ma też siostrę? – próbuje się domyślać Baltazar. Ta myśl sprawia, że gestem przywołuje chłopca z kąta. – Znaleźliśmy cię na drodze samego. Czy wcześniej ktoś z tobą był? – pyta.

Chłopiec stara się czytać z jego ust. Patrzy w oczy, próbując zrozumieć, czego od niego chce ten łysy mężczyzna. Niestety, marszczenie brwi nie pomaga. Dopiero kiedy z ust szlachcica pada łacińskie słowo *puella*, wzruszenie wywołuje skurcz gardła i nagły spazm wstrząsa ciałem

dziecka.

– *Gabrielle* – wyrywa się ze ściśniętej krtani. – *Gabrielle, ma soeur. Ils l'ont tuée*^[11].

Von Lest i Albert patrzą na siebie, nie rozumiejąc, co mówi chłopiec.

– Musimy czekać na pana Unruga. Póki co niech się uczy dogadywać po waszemu – zwraca się do sługi Baltazar.



Mróz zamknął Wigę i jej wnuczkę w chacie. Dziewczynka siedzi przed paleniskiem i bazgrze węgielkiem po klepisku, a babka przędzie wełnę.

– Dorzuć do ognia.

Rozalka posłusznie wykonuje polecenie i wraca do rysowania. Wiga odkłada na chwilę wrzeciono, by dać odpocząć ręce, w której trzymała wełnianą czesankę. Przygląda się dziecinnym bazgrołom. Nic z tego nie wynika prócz brudnego klepiska, ale babka nie strofuje wnuczki. Odkąd Dorota zaginęła, dziewczynka nie powiedziała ani słowa. „Czy tak już zostanie? Będzie niemową?” – martwi się.

Głuche stuknięcie w drzwi sprawia, że obie podnoszą głowy i nasłuchują. Ponowne uderzenie upewnia Wigę, że się nie przesłyszała. Ktoś się dobija, ale nie wchodzi.

Na zewnątrz stoi kobieta. Ma na sobie kozuch, chustę zakrywającą pół twarzy i wysokie filcowe buty.

– Wejdz. – Zielarka otwiera drzwi zapraszającym gestem.

– Nie! – Kobieta cofa się o krok. – Za nic w świecie.

– Chcesz, to sobie stój. Ja nie będę marzła – oznajmia Wiga i udaje, że zamierza wrócić do izby.

– Ja tylko po zioła. Zaraz pójdę.

– Wchodź, kobieto, mówię ostatni raz. Nie gryzę i w kożę cię nie zamienię, obiecuję. Pospiesz się, bo nie mam cierpliwości. – Zielarka denerwuje się coraz bardziej. Jest przyzwyczajona, że ludzie boją się

wchodzić do jej chaty, ale tym razem nie zamierza załatwiać sprawy na mrozie.

Kobieta, ociągając się, przestępuje próg.

– Siadaj. – Wiga wskazuje miejsce na ławie. – Czy ja cię znam? Taka poowijana jesteś. Pokaż mi swoją twarz.

Nieznajoma niechętnie zdejmuje chustę. We wnętrzu panuje półmrok, ale nawet w tych warunkach zielarka może stwierdzić, że nigdy jej nie widziała.

– Jesteś tutejsza? – pyta.

– Wiosną osiedliliśmy się w Dolnej Wsi. Moi krewniacy tu mieszkali, ale wszyscy pomarli. Dostała mi się chata po babce, trzeba było skorzystać. Mój mąż i najstarszy syn są drwalami. Najmują się do pracy w lesie. Hodujemy parę świnek, które pasą młodsze dzieci, a wiosną chcemy wydzierzawić ziemię i siać zboże.

– Ale że ja cię nigdy nie widziałam...

– Mało wychodzę z domu. Kupa dzieci. Jest co robić – tłumaczy się nieznajoma. Podczas rozmowy unika wzroku zielarki. Jej spojrzenie wędruje po izbie, zatrzymuje się na dziewczynce i jej rysunkach, potem przenosi się na półpięterko nad kozami, wraca, penetrując sprzęty i garnki. Interesujący jest nawet drybanek^[12], na którym stoi ronderek z kaszą gryczaną.

– Patrzysz i patrzysz. – Wiga żartobliwie komentuje zachowanie gościa. – Jak widzisz, żadnych złych stworzeń tu nie chowam. Rogi mają tylko kozy, ale znasz je chyba dobrze. Mów, z czym przyszłaś, bo jak się będziesz tak długo zbierać, noc cię u mnie zastanie.

– Ziół potrzebuję. Dziecka chcę się pozbyć – wyrzuca z siebie kobieta i kuli się przerażona tym, co powiedziała.

Wiga natychmiast poważnieje.

– Nie mam takich ziół. Nie wolno pozbywać się dzieci. Za to można się spotkać z katem. Sama powiedziałaś, że masz ich kupę. Jak urodzisz jeszcze jedno, nic złego się nie stanie.

– Nie chcę więcej! – Kobieta podnosi głos. Wygląda na zdesperowaną. – Daj mi zioła. Zapłacę albo świnie ci dam. Będziesz miała mięso – próbuje przekonać zielarkę. – Bieda u ciebie. Przyda ci się słonina.

– Niczego ode mnie nie dostaniesz.

– Powiedzieli mi, że ratujesz kobiety z kłopotów.

– Ratuję, ale nie z takich. Jeszcze mi życie miłe. Idź!

– Co ja ci zrobiłam, że nie chcesz mi pomóc?

– Nie znam cię. Nie wiem, po co tu przyszłaś w taki mróz, bo brzemienna na pewno nie jesteś.

– Skąd możesz wiedzieć, garbusko?

– To akurat wiem. Odejdź i więcej do mnie nie przychodź. A temu, kto cię przysłał, powiedz, że ja nie pomagam pozbywać się dzieci.



Do wszystkich dopustów, jakie niebo zsyła na ludzi, dołączyła niekończąca się zima. Nawet jeśli zdarzają się cieplejsze, pachnące wiosną dni, wkrótce się okazuje, że to kpiny z ludzkiej nadziei. Zaraz deszcz na powrót staje się śniegiem, a wiatr niosący zapowiedź lepszych czasów ustępuje lodowatym podmuchom.

W Karge, w którym przecież żadnej wojny nie ma, a najstarsi pamiętają jedynie kłótnie między dawnym właścicielem, panem Żychlińskim, a opatem klasztoru w Obrze i bójki ich pachołków, głód zaczyna zaglądać ludziom w oczy. Są tacy, którym skończyły się zboża, a jedynym pożywieniem są mąka z żołądzi, orzechy, dzikie jabłka schowane na czarną godzinę, nasiona traw i olej lniany. Krowom, owcom i kozom wydziela się resztki siana, dlatego mleka brakuje, a młode padają z niedożywienia.

Ludzkie dzieci też umierają częściej niż zwykle. Szczególnie te najmniejsze, dopiero co urodzone. Wiga ma pełne ręce roboty, bo

przychodzą na świat noworodki poczęte wiosną i latem, a potem gasną w objęciach zrozpaczonych matek. Zielarka się boi, że pewnego dnia ktoś powie, iż to jej wina, że coś zaniedbała albo weszła w konszachty z siłami nieczystymi.

Tutejszy pastor i katolicki ksiądz z pobliskiej Kopanicy prześcigają się w kazaniach w szukaniu winnych bożego gniewu. Wiara w zabobony i hołdowanie pogańskim zwyczajom są jednymi z głównych przyczyn nieszczęścia. Dochodzą do nich i inne, na przykład nieposłuszeństwo kobiet wobec mężów i ojców, pijaństwo, nieprzestrzeganie postu, rzadkie uczęszczanie na nabożeństwa, zbyt mała ofiarność na rzecz kapłana czy też lenistwo. Ach, ileż zła jest w ludziach! Ile powodów, by Bóg się od nich odwrócił.

Baltazar zdaje sobie sprawę, że pomoc poddanym Unruga jest jego obowiązkiem. Wiosną nie będzie żadnego pożytku ze słabych i chorych, toteż nakazał oszczędzanie żywności we dworze, a jej część polecił rozdzielić najbiedniejszym. Patrzy przez palce na to, że chłopci traktują rzekę jak swoją i bez pozwolenia łowią w niej ryby. Sam często wysyła sianie po ryby do folwarku nad jeziorem, a potem każe rozdawać potrzebującym. Za to każdy woreczek ziarna, mąki czy wiązka siana są skrzętnie odnotowane w księdze gospodarstwa. Prócz ryb nic nie jest za darmo. Wszystko trzeba będzie odpracować przy sianokosach, żniwach albo przy plewieniu warzyw. Von Lest pamięta, że nie on jest właścicielem majątku i że powinien się rozliczyć przed Krzysztofem.

Poddani szanują nowego zarządcę, ale go nie lubią. Porównują go z Zarębą, który potrafił do każdego zagadać, czasem nawet do karczmy zaszedł, a jeśli złapał na drobnej kradzieży, zrobił awanturę, a potem szybko zapomniał. U von Lesta nie ujdzie lenistwo, pijaństwo ani przywłaszczanie czegokolwiek. Zachowuje się jak dowódca, a pracownicy są niczym żołnierze zobowiązani do wykonywania rozkazów.

Za to von Lest zaczyna lubić miejsce, w którym miał zostać na chwilę. Zarządzanie posiadłością nie sprawia mu trudności. Jedyne, co zaniedbuje, to budynek mieszkalny. Nie wie nawet, że przechowalnie potrzebnych

i niepotrzebnych sprzętów były kiedyś izbami, w których toczyło się życie. Baltazarowi wystarczy jego alkierz. Przed laty był on pokojem pani Barbary Żychlińskiej, żony poprzedniego właściciela. Zarządca nigdzie więcej nie zagląda. Na poddaszu są pomieszczenia dla służby, ale tam też nikt nie przebywa, bo kucharka śpi w małej izbie przy kuchni, Jakub ma swój kąt przy piecu, a sługa Albert i pracownicy zajmujący się przyległym do dworu gospodarstwem mieszkają we wsi i zjawiają się tutaj skoro świt. Jediną izbą, do której prócz swej sypialni i kuchni zajrzał Baltazar, jest świetlica. Od Alberta wie, że służyła do przyjmowania interesantów, głównie dzierżawców lub handlarzy kupujących od dworu drewno, wełnę albo zboże. Póki trwa zima, to pomieszczenie nie jest używane.

Zarządca, obróciwszy się plecami w stronę kaflowego pieca, siedzi przy stole i patrzy to na ptaki za oknem, to w księgi, w których zapisuje wszystkie gospodarskie sprawy.

Spokojne niedzielne popołudnie przerywa mu ciche pukanie.

– Wejdz! – woła do Alberta.

– Pastor Schilberg przyszedł – oznajmia sługa, robiąc zagadkową minę.

– Wprowadź go i podaj grzane wino.

– Tu, do alkierza?

– Jeszcze bardziej nie wypada przyjmować gościa w kuchni. Gdzie indziej jest zimno. Czy mamy jakiś wybór?

Na tak postawione pytanie Albert nie znajduje odpowiedzi. Odwraca się i po chwili znowu się zjawia, prowadząc niewysokiego, drobnej budowy mężczyznę o surowym obliczu. Zarządca zna go z widzenia, ale prócz wymiany ukłonu nie miał z nim żadnego kontaktu.

Po powitalnych uprzejmościach pastor, sącząc ciepłe, pachnące korzeniami wino, wyjaśnia cel wizyty.

– Panie Baltazarze, mówiono mi, że jesteś zwolennikiem naszej prawdziwej religii.

– To prawda. Rodzice byli luteranami, więc i ja jestem.

– Dlaczego więc jeszcze nie odwiedziłeś naszej kaplicy? Masz ją tak

niedaleko. Wszak nakazano dzień święty święcić.

– Wiodłem dotąd żołnierskie, wędrowne życie – usprawiedliwia się von Lest. – Teraz czasu nie mam. Pilniejsze sprawy...

– Bóg jest sprawą najpilniejszą! – Pastor nie potrafi ukryć gniewu. – A drugim twoim obowiązkiem jest dawanie przykładu poddanym. Twoja pobożność winna być widoczna na każdym kroku, nie tylko w domu podczas modlitwy ze służbą, ale i w świątyni, gdzie widzą cię poddani.

– Tu nie ma moich poddanych. Oni są poddanymi Krzysztofa Unruga. Znam go i nie wątpię, że każdej niedzieli jest w świątyni.

Pastor nie jest pewien, czy Baltazar z niego nie kpi, dlatego długo się zastanawia nad kolejnym argumentem.

– Rządzisz tu, a kto rządzi, ma nie tylko miłować Boga, ale i czynić wszystko, by poddani też go miłowali, i karać tych, którzy tego nie robią.

Szlachcic przygląda się siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie. Wygląda na jakieś czterdzieści lat. Prawie łysa głowa i blada skóra wyraźnie odcinają się od czerni ubioru. W twarzy trudno byłoby dostrzec ślady dobroci lub miłosierdzia. W tej chwili jest tylko zaciętość i uraza. „Może być niebezpieczny – domyśla się von Lest. – Trzeba go jakoś ugłaskać”.

– Wezmę sobie do serca twoje rady, pastorze. W następną niedzielę ujrzysz mnie na nabożeństwie. Powiedz mi, czy czegoś ci potrzeba?

Nikły uśmiezek przebiega przez gładko wygolone oblicze.

– Dach na plebanii przecieka. Chciałem właśnie prosić, by wiosną...

– Przyślę ludzi. Zrobią, co trzeba.

– I coś jeszcze, skoro jesteś tak łaskawy. Mój bratanek był tu kiedyś stajennym. Dobrze się zna na koniach.

– Dlaczego odszedł?

– Przez jakieś nieporozumienie. Ktoś fałszywie go oskarżył przed poprzednim zarządcą.

– Na razie mamy ledwie kilka koni. Nie potrzeba nam nowych ludzi.

– On się na tym dobrze zna i nalegał, bym się za nim wstawił – upiera

się Schilberg, nie spuszczać wzroku z von Lesta.

– Zapytam pana Unruga. Może wiosną...

– Dziękuję. Jestem pewien, że sprawa jest załatwiona – mówi, podnosząc się z krzesła. – Czas na mnie. Nie chcę chodzić po ciemku.

– Albert może pastora odprowadzić.

– Zbytek łaski. Mieszkam niedaleko.

Jeszcze tylko niski ukłon i wkrótce pastor znika, ale nieprzyjemne wrażenie zostaje.

Mimo przenikliwego zimna w kaplicy i szronu na ścianach niedzielne nabożeństwo zdaje się nie mieć końca. Wierni przestępują z nogi na nogę, chowają dłonie w rękawach kozuchów, smarkają i kaszlą, wypuszczając kłęby pary, a wielebny Schilberg unosi się gniewem, rzuca gromy na tych, co nieprzystojnym zachowaniem, używaniem zaklęć i nie dość szczerą modlitwą ściągają na świat boży gniew.

Wybrzmiewa ostatnie „amen” i skruszeni wyznawcy nowej prawdziwej wiary niczym stado spłoszonych owiec tłoczą się w drzwiach, by jak najprędzej opuścić zimne pomieszczenie i podążyć do domu, gdzie w misce z gorącą wodą będzie można rozgrzać zeszywniałe stopy.

Baltazar ma podobny zamiar, ale przy samym wyjściu ktoś łapie go za rękaw.

– Nie dość przykładowie się modliłem? – Von Lest żartuje na widok pastora próbującego go zatrzymać.

– Nie kpij, synu, z bożego sługi. Sprawa jest poważna.

– O co chodzi?

– O tę znachorkę. Wigę. Powiedziano mi, że jest częstym gościem we dworze. Taka znajomość nie uchodzi komuś, kto powinien być wzorem postępowania.

– Wiga przychodzi do kucharki. Biedna kobieta cierpi na bóle głowy. Pastor wie przecież, że ona ma zioła na uśmierzenie różnych dolegliwości.

– Zioła są darem bożym. Sam ich używam, ale ona zaklęcia przy nich szepcze. Powiedziano mi jeszcze, że dziewczyny chodzą do niej po

amulety przynoszące szczęście i korzenie, które dodane mężczyźnie do jedzenia stałość w miłości zapewniają.

– Pastorze, zawsze tak było i nikt tego nie potępił. Prosty lud potrzebuje zaklęć i je dostaje. Ważne, żeby nie były przeciw komuś.

– Czyż ta zima bez końca i niedostatek nie są widomym znakiem bożego gniewu? Jeszcze ci nie dość? Wpuszczasz pod dach domu Unrugów wiedźmę! Czy wiesz, że jestem tu od pięciu lat, a jej na nabożeństwie jeszcze nie widziałem?

– Pastorze, nie rzucaj strasznych oskarżeń na prostą kobietę. Sam słyszałem, jak się modliła. Nie jest wiedźmą. Pomaga ludziom w chorobie. Może i wy kiedyś zawołacie ją w potrzebie.

– Nigdy! A ty, pamiętaj, odpowiadasz za to miejsce i poddanych. Nie za ich ciała, a za dusze. Czym prędzej zerwij kontakty z garbuską. Daj przykład wiernym prawdziwego Kościoła.

– Porozmawiam z nią – rzuca Baltazar, hamując gniew. – Pastor wybacz, nie mam czasu.



Zima nareszcie przegrywa. Śnieg stopniał na tyle, że Wiga mogła pójść poszukać zielonego. Wydłubała spod twardej i odpornej brudnobiałej skorupy kilka źdźbeł trawy i przyniosła je do chaty. Robi tak każdego roku, bo zieleń oznacza drzemiącą w ziemi moc i chęć do życia wbrew wszystkiemu. Przyniesienie zielonego do domu jest zapoczątkowaniem nowego cyklu w przyrodzie, czymś, co nadaje rozpęd wszelkiemu istnieniu.

Rozalka bawi się z młodą kózką. Mimo chłodu nie wygląda na zziębniętą ani chorą. Babce przychodzi do głowy myśl, że dziewczynka jest podobna do źdźbeł trawy wydobytych spod zmarzniętego śniegu. Tkwi w niej to samo pragnienie przetrwania.

Wiele dzieci otoczonych lepszą opieką umiera w pierwszych miesiącach życia. Wnuczkę Wigi zdają się omijać choroby i nieszczęśliwe

wypadki. Zielarka wierzy, że to zasługa opiekuńczych duchów tego domu, dlatego codziennie zostawia im odrobinę mleka albo sera w dwóch małych miseczkach. Przez to jedzenia jej nie ubędzie, a zawsze lepiej się zabezpieczyć.

Wiga nie rezygnuje z szukania Doroty. Uczepiła się myśli, że skoro nie znalazła jej martwej, córka gdzieś żyje. Może rzeczywiście poszła z żołnierzami, choć po prawdzie w pobliżu Karge nikt ich od dawna nie widział. Prędzej przystała do kuglarzy, którzy występowali podczas dużego jesiennego jarmarku, albo do ludzi przepędzających tędy stada wołów do zniszczonej przez wojnę i nieurodzaje Brandenburskiej. I choć wydaje się niemożliwe, by zostawiła córeczkę, Wiga dobrze wie, że Dorota jest płochą i zawsze robi to, co akurat przyjdzie jej do głowy.

Dziewczynka porzuciła tymczasem zabawę z kozą i przyszła w pobliże babki. Ciągnie ją za spódnicę i próbuje wspiąć się na jej kolana. Rozum podpowiada kobiecie, że powinna odpędzić dziewczynkę, lecz zamiast tego podnosi ją z klepiska. Nigdy nie zamierzała przywiązywać się do dziecka poczętego w sobótkową noc, ale tej zimy jej serce stopniało. Spały razem na legowisku ze słomy przykryte baranim kożuchem. Zimno panoszyło się w chacie, a one coraz bardziej tuliły się do siebie. Mała, budząc się w nocy, wyciągała rączki, szukając babki. Dotykała w ciemności jej twarzy i ramion, a upewniwszy się, że ma ją przy sobie, spokojnie zasypiała.

Wiga nawet nie spostrzegła, kiedy zaczęła zabierać Rozalkę ze sobą. Przedzieranie się przez śnieg z dzieckiem i garbem na plecach nie jest łatwe, mimo to, ilekroć ma wyjść sama, a ta wybucha płaczem, nie odwraca się jak wcześniej. Zrezygnowana, wiedząc, na jakie trudności się skazuje, zawija dziecko w wełnianą chustę i niesie, odpoczywając co parę kroków.

Z dworu zawsze przysyłają sanie, wtedy jest łatwiej. Dziewczynka rozpakowana z chusty siada w dworskiej kuchni na podłodze przy palenisku i czeka na Jakuba. Ten zjawia się prawie natychmiast. Dziwna z nich para: około pięcioletni chłopiec i trzyletnia dziewczynka.

W pamięci Wigi oraz kucharki i Alberta zostało pierwsze spotkanie tych dwojga. Rozalka, posadzona na podłodze, rozejrzała się wokół, a kiedy spostrzegła, że jest w nieznanym miejscu wśród obcych ludzi, rozplakała się tak rozpaczliwie, że nie pomógł nawet powrót w objęcia babki.

Wszystko się zmieniło, kiedy w progu stanął Jakub.

Spojrzenie dziewczynki natychmiast powędrowało w jego kierunku. Płacz się urwał, ale usta pozostały otwarte. Rozalka przez dobrą minutę trwała w osłupieniu. Potem mokre od łez oblicze zaczęło się zmieniać. Oczy, usta, policzki – wszystko stało się uśmiechem. Dziecko rozpoznało w drugiej istocie inne dziecko i wyciągnęło ku niemu rączki.

Od tamtej chwili minęły prawie cztery miesiące, a za każdym razem reakcja dziewczynki na widok Jakuba jest taka sama. To jeszcze można zrozumieć, ale nikt nie pojmuje, co sprawia, że chłopiec porzuca obowiązki albo zabawę i biegnie co tchu do dworu, kiedy tylko ujrzy Wigę.

Teraz zielarka wybiera się do wsi. Nie ma sań, a śnieg, choć stopniowo roztapiany przez słońce, wciąż leży. Zdaje sobie sprawę, że przed nią trudna droga, mimo to opatula wnuczkę, sama wkłada kozuch, wychodzi przed chatę i staje jak wryta.

Słońce świeci jej prosto w oczy, dlatego przed sobą widzi tylko budzącą lęk czarną, wysoką sylwetkę na koniu. Dopiero dobrze znany głos jeźdźca sprawia, że serce zwalnia i zaczyna bić normalnie.

– Nie chciałem cię przestraszyć – tłumaczy Baltazar. – Nie zdążyłem zapukać, bo akurat wyszłaś.

Wiga z trudem podnosi głowę, próbując spojrzeć szlachcicowi w twarz. Kark boli, a oczy osłepione słońcem łzawią. Na szczęście von Lest zsiada z konia i, trzymając wodze w dłoni, staje obok zwierzęcia.

– Szłam do wsi. Stary Józef, piwowar, od jesieni nie może się podnieść. Skóra na plecach zaczęła mu gnić. Niosę maści i świeży mech na podścielenie.

– To pomoże?

– Dla niego nie ma już ratunku, ale zrobi mu się lżej. Wy, panie, też potrzebujecie pomocy? Trzeba było mnie wołać zamiast przyjeżdżać.

– Nic mi nie jest. Chciałem porozmawiać, ale we dworze mógłby ktoś podsłuchać.

– Co za sekrety może mieć wielki pan do wiejskiej baby? – W głosie kobiety słyhać więcej kpiny niż zaciekawienia.

– Żadne sekrety. Nie chcę niepotrzebnych plotek.

Dopiero teraz Baltazar się orientuje, że w chuście przewieszanej przez ramię jest dziecko. Wśród zwojów brunatnej tkaniny widać jedynie fragment zarumienionej twarzyczki i oczy śmiało spoglądające na mężczyznę.

– Ciężko ci – mówi do kobiety, ale nie odrywa wzroku od dziewczynki. – Jest za duża, żebyś ją dźwigała.

– Przecież nie postawię jej boso na śniegu.

– Powinna mieć buty.

– Powinna. – W głosie Wigi znowu słyhać kpinę, ale Baltazar tego nie zauważa.

– Ma takie same oczy jak ty. Będzie do ciebie podobna.

– Oby nie. – Wiga, którą najpierw ucieszyło porównanie, smutnieje. – Z czym przybywacie, panie? Mówcie, bo marznę, a jeszcze do wsi muszę iść.

– Niedługo święto Zmartwychwstania. Przyjdź na nabożeństwo, bo inaczej pastor narobi ci kłopotów.

– Nie pójdę. To zły człowiek. Z Bogiem nie ma nic wspólnego. Za tamtego pastora co niedzielę chodziliśmy z Dorotką do kaplicy. Z Schilbergiem o chrzciny poszło.

– Co zrobił wielebny?

– Kiedy się dowiedział, że dziecko nieślubne, zaczął kręcić nosem, a jak Dorotka się przyznała, że nie wie czyje, ladacznicą ją nazwał. Chciałam się odezwać, bronić córki, ale nas wygonił i powiedział, że mamy przyjść z mężczyzną, bo z takimi jak my sprawy nie będzie

załatwiał.

– Kogo posłałyście?

– Nikogo. Sama ją ochrzciłam.

– Jak to? Nie wolno!

– Wolno. Nie wiecie, że babka od porodów może chrzcić, kiedy dziecko słabe?

– Była słaba?

– Była. – W spojrzeniu Wigi nie ma śladu pokory czy żalu za popełniony czyn. Są bunt i upór.

– Nie zadzieraj z pastorem. – Baltazar upomina zielarkę, mimo że nie wierzy w skuteczność swoich słów. – Może narobić ci kłopotów. Już się na ciebie skarży, a jeżeli na Zmartwychwstanie do kaplicy nie przyjdiesz, nie daruje.

– Mam krzyż i znam modlitwy. Co może mi zrobić?

– Wystarczy, że ludzi przeciwko tobie podburzy.

Na taki argument nie ma dobrej odpowiedzi. Oboje wiedzą, jak niewiele trzeba, żeby ludziom w głowach namieszać. Wiga przestępuje z nogi na nogę, by rozgrzać zeszywniałe z zimna stopy, a Baltazar czeka na obietnicę.

– Nie mam co się wybierać do Józefa. Za późno – odzywa się wreszcie zielarka. – Nie dam rady wrócić przed wieczorem.

– Wigo, nie mów teraz o Józefie. Przyjdź na nabożeństwo do kaplicy. To nie jest prośba. Nie chcę żadnych niepokojów we wsi.



Czego zielarka nie zrobiła tego dnia, musiała uczynić następnego. Wzięła Rozalę na krzywe plecy i poszła do wsi. Opatrzyła gnijące ciało Józefa i dała mu ziół na przynoszący ulgę sen. Zamieniła jeszcze parę słów z synową chorego i ruszyła w drogę powrotną. Dziecko ciążyło coraz bardziej, dlatego postanowiła wstąpić do Agaty, by odpocząć w dworskiej

kuchni.

Rozmowa przy solonym, lecz dobrze wymoczonej śledziu z odrobiną oleju lnianego i cebulą nieco się przedłużyła. Agata opowiada zielarce, jakie potrawy ze śledziem przyrządzała kucharka na zamku w Babimoście. Jako dziewczyna do pomocy miała okazję ją podpatrywać, dzięki czemu ryby, dziczyzna, drób i ciasta nie mają dla niej tajemnic.

– I na co mi to wszystko? – pyta i nie czekając odpowiedzi, mówi dalej: – Cokolwiek podam na stół, zarządca zje, nie powie, czy mu smakowało, tylko idzie do swojej roboty. Śledzie z olejem i cebulą czy doprawione korzeniami i z suszonymi wiśniami, jemu obojętnie. Tylko co do jaj powiedział, że na miękko bardziej lubi.

– Daj mu kiedyś śledzia prosto z beczki. Zobaczysz, czy coś powie – wtrąca się zielarka. Widząc zgrozę malującą się na twarzy kucharki, parska śmiechem, dzięki czemu Agata pojmuję, że to był żart. Teraz obie się śmieją, a towarzyszące im dzieci, Rozala i Jakub, choć nie wiedzą, o co chodzi, też się uśmiechają.

– Ale wiesz, Wigo, co najgorsze? – Młodsza z kobiet już się uspokoiła i wraca do wylewania żalów. – On przychodzi jeść do kuchni – wyznaje ze zgrozą. – Widział kto, żeby państwo w kuchni jak służba jadło?

– Pewnie woli jeść z kimś niż samemu. – Zielarce udaje się wtrącić swoją opinię.

– No przecież ja z nim nie siadam do stołu.

– To co ci przeszkadza?

– Porządku muszę pilnować. Nic, tylko po wodę latam, grzeję, sprzątam, zmywam, brudną wodę wylewam, a rano, ledwie zdążę popiół wymieść z paleniska, słyszę, że już chodzi. Szczęście, że najpierw idzie do gospodarstwa, to mam czas śniadanie przygotować. Za pana Zaręby kuchnia była tylko moja. Jak Albert siedział tu za długo, to go ścierką przeganiałam. Teraz kuchnia już nie taka moja, bo zrobiła się trochę zarządcy.

Agata zamyśla się nad czymś głęboko, a Wiga przygląda się dzieciom.

Uklękły na ceglanej podłodze, każde z czerwono-złotym jabłkiem w dłoni, i obserwują czarnego chrząszcza, który wyszedł z kosza z drewnem.

– Piękne te jabłka. Wcale nie zwiędnięte. Gdzie je trzymasz?

– W trumnie na strychu.

– Co? – Widze się zdaje, że się przesłyszała.

– W trumnie – powtarza kucharka. – Została po panu Zarębie. Nie bój się. – Agata parska śmiechem. – Jest całkiem nieużywana. Pan Zaręba trzymał ją na strychu na wszelki wypadek dla teściowej. Pamiętasz ją? Umierała co tydzień, a dożyła przeprowadzki. Po co trumna ma stać po próżnicy, skoro jabłka tak dobrze się w niej przechowują. Dam ci kilka dla Rozalki, jak będziesz wychodzić.

– Rozala dalej nie mówi. Boję się, że tak już zostanie. – Teraz Wiga zwierza się ze swego zmartwienia.

– Mówiła przecież. Pamiętam. Zapomni o matce, to i mowa jej wróci – pociesza Agata.

– Nie chcę, żeby zapomniała.

– Jeśli Dorota nie wróci, zapomni, czy tego chcesz, czy nie. Ja nie pamiętam niczego z czasów, kiedy miałam trzy lata.

Rozmowę przerywa gwałtowne wtargnięcie nieznanego młodzieńca.

– Ratujcie! – woła, patrząc na Wigę. – Moja siostra umiera!



To, że z dworu widać Dolną Wieś, nie znaczy, że można tam raz-dwa dojść albo dobiec. Chłopakowi tak się spieszy, że najchętniej poganiałby zielarkę jak konia, ale ona nie może biec ani iść dość szybko, żeby zadowolić młodziana. Ścieżki wydeptane w śniegu są śliskie i niebezpieczne. Kobieta musi uważać, by nie upaść. Dobrze chociaż, że Agata powiedziała, iż może zostawić u niej wnuczkę i przyjść po nią później. Starając się stąpać ostrożnie, przyspiesza kroku, by nadążyć za niecierpliwującym się chłopcem. Do chałupy, do której ją poprowadził,

wpada spocona i zdyszana. Jakaś postać w sieni blokuje wejście do izby.

– Po co ją przyprowadziłeś?

Wiga poznaje głos kobiety ganiącej chłopca.

– Matko, siostra tak strasznie krzyczała. Myślałem, że umiera.

– Nic jej nie jest. A ty – zwraca się do zielarki – możesz iść. Nic tu po tobie.

W świetle padającym z dworu przez otwarte drzwi dokładnie widać chudą, wysoką kobietę w brunatnej sukni ubrudzonej krwią. Tak jak poprzednio, kiedy przyszła prosić o zioła na pozbycie się dziecka, nie patrzy prosto w oczy, tylko ucieka spojrzeniem na bok.

– Skaleczyłaś się? – pyta Wiga, choć dobrze słyszała, że nie jest potrzebna.

– Nie twoja sprawa. Idź stąd.

– Matko! – Chłopak nie daje za wygraną. – Może ona wyleczy siostrę.

Zielarka zaczyna pomалу pojmować, w czym rzecz, ale nie chce robić niczego wbrew gospodyni. Ma już się odwrócić i odejść, kiedy zza drzwi do izby rozlega się krzyk. Właściwie nie jest krzykiem to, co słyszą. Prędzej można to nazwać wyciem, skowytem albo bezsilną skargą zwierzęcia. Wiga zdecydowanym ruchem ręki odpycha stawiającą opór kobietę i przekracza próg.

Przystaje, by oczy przyzwyczyły się do mroku. Mimo że w izbie jest okno, to przez wołowy pęcherz nie przenika zbyt wiele dziennego światła. W kącie, na ograniczonym deskami legowisku ze słomy, na rozścielonych owczych skórkach ktoś leży. Dopiero po chwili Wiga rozpoznaje, że to dziewczynka. W chacie jest też druga izba. Przez uchylone drzwi wygląda z niej potargana główka innego dziecka, a za nią tłoczy się jeszcze dwoje.

Silne szarpnięcie za ramię przypomina zielarce, że weszła tu bez pozwolenia.

– Wynoś się stąd! – słyszy za plecami. Mimo to rusza do przodu. Zatrzymuje się przy legowisku i opada na kolana. Twarz krzyczącej z bólu dziewczynki jest biała jak kreda i oblana zimnym potem. Jasne,

przepecone włosy rozsypały się na kozuchu, tworząc wokół głowy coś na kształt aureoli.

Dziecko z bliska wydaje się starsze, może przez twarz naznaczoną cierpieniem.

– Gdzie cię boli?

Widok nieznajomej garbatej kobiety wywołuje nowy jęk, ale zaraz potem dziewczyna zaciska zęby i utkwivszy rozszerzone źrenice w twarzy Wigi, próbuje zrozumieć pytanie.

– Gdzie cię boli? Pokaż.

Dłoń leżąca dotąd na kozuchu wędruje w dół. Zielarka odrzuca przykrycie. Zakrwawiona koszula podwinięta do pasa odsłania brzuch.

Wiga wie już wszystko. To, co widzi, jest przedwczesnym porodem wywołanym prawdopodobnie silnym uderzeniem.

– Kto to zrobił? – pyta, pokazując wielki krwiak na brzuchu.

– Koń ją kopnął – odzywa się stojąca z tyłu kobieta. – Podlazła za blisko.

– A to? – Wskazuje na krocze poranione czymś ostrym.

– Nie wiem. Gdzieś się nadziała.

Ponowny krzyk nie pozwala na dalsze dociekanie.

– Muszę wziąć ze swojej chaty zioła i mech. Macie sanie?

– Pożyczę od sąsiada! – Chłopak, który być może był tu cały czas, dalej jest gotów pomóc siostrze.

– Adam! Zostań! Czekaj, ojciec ci pokaże! – Kobieta próbuje zatrzymać syna, ale on już chyba nie słyszy jej wołania. Pędzi przez podwórze do chaty stojącej po drugiej stronie drogi.

Czekając na sanie, Wiga poświęca czas chorej. Pochylona tak bardzo, że prawie dotyka ustami jej ucha, mówi do niej głosem cichym i łagodnym. Można odnieść wrażenie, że w wypowiedzianych słowach drzemie moc uśmierzania bólu ciała i odpędzania strachu, bo dziewczyna rozluźnia się i uspokaja.

Kobieta za plecami próbuje usłyszeć, o czym garbuska opowiada jej córce. Na próżno. Żadne zrozumiałe słowo do niej nie dociera.

– Uratujecie moją siostrę?

Chłopak poganiający konia wygląda na bardzo zmartwionego. Zielarce przychodzi do głowy, że tylko jemu zależy na cierpiącej dziewczynie.

– Spróbuję, ale nie wiem, czy się uda. Niekiedy kobiety umierają przy porodzie, a ona jest bardzo młoda. Jeszcze nie pora, by miała dzieci.

– Dzieci?! Jak to?

– Nie wiedziałaś, że jest brzemienna?

– Na pewno się mylicie. Ona tylko w domu siedzi. Ma nie całkiem po kolei w głowie, dlatego matka jej samej na wieś nie puszcza.

– Musiała gdzieś pójść i ktoś ją skrzywdził. Jeżeli przeżyje, spróbuj się dowiedzieć. Powinien ponieść karę.

– Sam go zabiję.

– Nie rób tego, bo następne nieszczęście ściągniesz na rodzinę. Dużo was? – pyta, by odciągnąć chłopaka od myśli o zemście.

– Ojciec, matka, starszy brat, ja i cztery siostry. Ojciec z bratem pracują w lesie na zrębie, a mnie gajowy nie chciał, bo za młody jestem do rąbania drewna, a do okrzesywania gałęzi ma dość ludzi.

W drodze powrotnej milczą. Wiga boi się tego, co zastanie. Niepotrzebnie. Dziewczyna żyje. Nieukształtowane jeszcze dziecko przychodzi na świat wieczorem. Jest martwe. Jego matka, którą też można by nazwać dzieckiem, zapada w niespokojny sen.

Wiga na powrót siedzi w dworskiej kuchni, posila się chlebem i gasi pragnienie piwem. Przyszła po wnuczkę, którą zostawiła tu parę godzin temu. Dziewczynka śpi obok Jakuba na wąskim łóżku stojącym w kącie przy piecu.

– Zostaw ją na noc. Nie wynoś rozgrzanej na mróz, bo się pochoruje. Sama też możesz tu spać. Mam dużą pierzynę. Zmieścimy się obie – zachęca Agata.

– Pójdę. Księżyc tak świeci, że lampy nie trzeba. A ją zostawię, skoro

mogę. Z samego rana przyjdę. Od razu zajrzę do tej dziewczyny.

– Przeżyje? – Agata, która już zdążyła co nieco wyciągnąć od Wigi, zadaje pytanie szeptem.

– Nie wiem. Poradziłam tym ludziom, żeby się całą noc modlili, bo jak ona umrze, ktoś może spotkać się z katem.

– Dlaczego?

– Nie zaczęła rodzić sama z siebie. Jej matka powiedziała, że koń ją w brzuch kopnął, ale konia nie mają, a wiem od chłopaka, że dziewczyna nigdzie sama nie chodzi. No i jeszcze pokaleczone przyrodzenie. Sama sobie tego nie zrobiła. Pewnie matka chciała jej szydło wbić, żeby się dziecka pozbyć.

Nie o wszystkim Wiga powiedziała Agacie. Są rzeczy, które trzeba zachować dla siebie. O tych niepojętych, złych czynach ludzi myśli zielarka, idąc przez równinę ścieżką wydeptaną w śniegu. Za nią podąża kot. Nie narzuca się, nie podbiega ani nie łąsi. Stąpa bezszelestnie, ale ona wie, że jest. To jej wystarczy. Jego obecność sprawia, że czuje się bezpiecznie.



– Wracam do Münster.

Krótkie zdanie wypowiedziane przez Unruga zaskakuje. Baltazar nie tego się spodziewał. List z zapowiedzią, że właściciel Karge zjawi się po Wielkanocy, zrodził przypuszczenie, że teraz Krzysztof weźmie na swoje barki zarządzanie majątkiem. Okazuje się jednak, że wpadł tu przejazdem, a jego celem jest miasto w Westfalii.

– Wracam? Nie – wracamy? Sądziłem, że nadal będę twoim towarzyszem w podróżach.

– Źle ci tutaj?

– Dobrze. Bardzo dobrze. Wiesz jednak, że wygody potrafią rozleniwic. Poza tym, odkąd zacząłeś opuszczać rodzinne gniazdo, byłem ci

opiekunem i przyjacielem.

– Tu jesteś mi bardziej potrzebny, Baltazarze. Nie wiadomo, jak długo będę musiał siedzieć w Münster. Mówią, że to już ostatni zjazd przed podpisaniem traktatu pokojowego. Dałby Bóg, żeby wojna wreszcie się skończyła. Jej Królewskiej Mości zależy, bym raz w tygodniu pisał o postępach w rozmowach i o wszystkim, co od maja będzie tam się działo. Szczególnie interesuje ją to, co dotyczy udziału Francji. Nie mogłem odmówić. Służba królowej otwiera mi wiele drzwi i daje dostęp do wysokich urzędów.

– Umiłkowski też tam będzie?

– On próbuje wkraść się w łaski króla. Będzie towarzyszyć Jego Królewskiej Mości w podróży do Wilna.

– Będziesz więc sam?

– Skądże. Zostałem włączony do polskiej delegacji. Teraz, kiedy przewidywane jest zakończenie wojny, do Westfalii zdążają poselstwa wszystkich państw liczących się w Europie. Spodziewam się tłoku, niewygód i innych komplikacji.

Po śniadaniu przychodzi pora na spacer. Akurat trwa wiosenny jarmark, a pogoda jest wyjątkowo piękna. Słońce, które na dobre zaczęło grzać dopiero po Wielkanocy, zdążyło stopić prawie cały śnieg. Brudne pozostałości można znaleźć jedynie w lesie i w cieniu niektórych budynków. Ziemia jeszcze nie całkiem rozmarzła, dlatego woda od razu nie wsiąka, tylko razem z wierzchnią warstwą gleby i zwierzęcym łajnem tworzy rzadką maź wypełniającą wszystkie dróżki i uliczki Karge. Na jarmarku nie zobaczy się nikogo, kto nie byłby choć trochę ubrudzony. Drewniane trepy, nogawki spodni i kobiece suknie noszą ślady wędrówki przez błoto.

Mimo że to jeden z czterech dorocznych wielkich jarmarków, bardziej przypomina zwykły targ odbywający się w każdą środę. Ciężka i długa zima spowodowała, że nie ma już nadwyżek żywności. Jest kilka straganów należących do kupców z pobliskich miasteczek, miejscowi rzemieślnicy oferują sukno, wełnę, buty, odzież, garnki, kosze, narzędzia

i przybory do szycia. Można się napić piwa, a nawet wina, albo zjeść ciepłą polewkę z warzywami i kawałkiem mięsa. Są łakocie, a także zabawki wystrugane z drewna, korale, pierścionki i broszki. Oddzielnie odbywa się handel drobnymi zwierzętami: drobiem, królikami, świniami i kozami. Kupujących jest niewielu. Tłok robią dzieci oraz ciekawscy, którzy wyszli z domu, by zobaczyć, co mogliby kupić, gdyby mieli za co, i żądni rozrywek, bo żaden jarmark nie może się obyć bez kuglarzy.

– Słaby będzie z tego zysk – wyrokuje Baltazar. – Mało sprzedających i kupujących to niewielki pożytek dla ciebie.

– Dlatego zamierzam założyć tu miasto – oznajmia Krzysztof. – Kiedy tylko wrócę z Münster, pójdę w tej sprawie do Jego Królewskiej Mości.

– Masz wielkie plany.

Unrug uśmiecha się pod wąsem, zastanawiając się nad czymś, w końcu wyznaje:

– Zanim założę miasto, chcę się ożenić. Podczas tegorocznego karnawału odwiedziłem kilka dworów w Wielkopolsce. Jedna panna bardzo mnie ujęła wdziękiem, urodą i towarzyską ogładą.

– Któraż to?

– Ma na imię Maria Anna, ale mówią do niej Marianna. Pochodzi z wpływowego rodu Broniewskich herbu Leliwa. Mam nadzieję, że jeszcze jesienią zdołam uzyskać zgodę jej ojca i poprosić ją o rękę.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć ci powodzenia. – Von Lest uśmiecha się do kuzyna i serdecznie ściska mu ramię.

Opuścili już gwarny tłum na jarmarku i stoją u stóp niewielkiego wzniesienia, na którym posadowiono dwór. Przez chwilę Unrug przygląda mu się z uwagą, a potem oświadcza:

– Chciałbym z tego miejsca uczynić dom godny mojej wybranki. Każę tu wznieść murowany budynek, taki jak ojcowski w Międzychodzie.

– Jak to? Przecież ten jest prawie nowy. – Baltazar zdążył się przyzwyczaić do pachnącej drewnem siedziby Unruga. – Mówiono mi, że ma niewiele ponad dwadzieścia lat i może ci jeszcze długo służyć.

- Jest trochę większy od wiejskiej chałupy.
- Kilku chałup, chciałeś powiedzieć? Moim zdaniem jest ciepły i wygodny.
- Dla jednego człowieka tak, ale nie dla kobiety nawykłej do wygod i gromady naszych dzieci, kiedy przyjdą na świat.
- Mimo to szkoda.
- Mnie nie. Wstyd podejmować gości w miejscu, gdzie kuchnia jest pod tym samym dachem, co komnaty. Dzisiaj wystarczyło, że kucharka zaczęła gotować potrawę z kapusty, a cała moja odzież przesiąkła tą prostacką wonią. Nawet we włosach ją czuję.
- Cóż mogę powiedzieć? – Na ustach Baltazara pojawia się smutny uśmiech. – Zatem rób, co chcesz. Jestem pewien, że Pan obdarzy cię łaską.

Słowa te nie są całkiem szczerze. Nie chodzi o to, że źle życzy kuzynowi. Biorąc pod uwagę osobiste doświadczenia, nie do końca wierzy w stałość bożej łaski. Jemu też kiedyś się wydawało, że szczęście nigdy go nie opuści. Pewnego dnia okazało się, jak bardzo się mylił.



Gdyby dwaj mężczyźni nie byli tak bardzo zajęci rozmową, na pewno zauważyliby zdążającą do domu zielarkę. Bardzo chce przyspieszyć, ale stopy grzęzną w podmokłym gruncie. Każdy krok to walka z błotem i zmęczeniem. Nie mogła wziąć ze sobą wnuczki, gdyż w tych warunkach nie dałaby rady jej nieść, a do wsi musiała dzisiaj pójść, bo była szansa, że spotka kogoś, kto coś wie o Dorocie.

Na wiosennym jarmarku prócz kupców zawsze było pełno żebraków, dziadów handlujących specyfikami stawiającymi na nogi umarłych, kuglarzy pokazujących różne sztuczki i raczących widzów teatrem, gawędziarzy gotowych za piwo i polewkę opowiadać o dalekich krajach, których naprawdę na oczy nie widzieli, i innych, nienależących do nikogo i nieprzywiązanych do żadnego miejsca. Tym razem takich luźnych

zjawilo się niewielu i nie wiedzieli niczego o zaginionej dziewczynie.

Wiga jest zła na siebie, bo nie tylko zostawiła Rozalkę samą, ale jeszcze natknęła się na kogoś, kogo wolałaby nie spotkać.

Zaskakuje ją cisza. Otwiera drzwi do sieni, potem do mieszkalnej izby, a tu żadnego płaczu. Ogarnia ją lęk. Czyżby coś złego się stało?

Ślady łez na twarzy wnuczki świadczą o tym, co musiała przeżywać, kiedy się zorientowała, że jest sama. Teraz jednak uśmiecha się przez sen. W ramionach tuli czarnego kota. Choć czujne, lekko zaczepne spojrzenie zielonych oczu śledzi Wigę, kocisko ani drgnie.

„Skąd się tu wzięłaś? – Wiga pyta go w myślach. – Czyżbyś wślizgnął się niepostrzeżenie, kiedy wychodziłam?”

– Śpij – mówi szeptem. – Nie bój się, nie będę cię ruszać.

Kot chyba zrozumiał, bo układa się wygodniej, a jego głowa opada na ramię dziewczynki. Babka jeszcze przez chwilę napawa się tym niecodziennym widokiem, a potem, starając się nie hałasować, wykłada na stół zakupy – najpierw najcenniejszy ze wszystkiego strój bobrowy^[13], specyfik nabyty od myśliwego, później chleb, słodką bułkę z suszonymi wiśniami, nici, igły i guziki. Chce uszyć wnuczce koszulę potrzebną na wizyty we dworze. Mogłaby poprosić którąś z kobiet biorących od niej zioła, by dała jej odzież po swoich dzieciach, ale spodziewa się, że dostałaby coś, czego już nikt nie chce nosić.

Nowa koszula dla trzyletniego dziecka jest czymś rzadko spotykanym na wsi. Nawet potomstwo zamożnych rodziców donasza ubrania po starszym rodzeństwie lub po krewnych. To praktyczne nawet z tak smutnego powodu, że dotrwanie do piątego roku życia na ziemskim padole jest nie lada wyczynem.

Ogień rozpalony, groch wczoraj namoczony już zaczyna się gotować, kozy dostały jeść i na chwilę się uciszyły. Można odpocząć.

Człowiek, którego nie chciała spotkać, to ktoś z przeszłości. Jego obecność na jarmarku nie jest niczym niezwykłym. Grünwald^[14], jej rodzinna wieś, leży niedaleko stąd. Latem wystarczyłoby wyjść z domu

skoro świt, a przed południem byłoby się na miejscu. Wozem jest jeszcze prędzej, dlatego tamtejsi chłopci przybywają na każdy z czterech jarmarków w Karge. Z tego właśnie powodu Wiga na jarmarki dotąd nie chodziła. Złamała zasadę dla Dorotki.

Stara się odpędzić złe myśli, układając w głowie plan na wiosnę. Słońce przygrzało, ale i tak cała natura jest spóźniona. Już dawno powinna była zebrać i wysuszyć lepkie pączki brzozy dobre na pęcherz. O tej porze zawsze zaczynała zbierać pokrzywę pomocną na wiele chorób, ale tej wiosny prawie jej nie widać. A tak chętnie zjadłaby gotowaną i zagryzła kozim serem!

– Wszystko naraz wyskoczy – mówi do siebie półgłosem. – Brzoza, pokrzywa i mlecznica. Kiedy ja zdążę to zebrać i wysuszyć?

Wstaje, by zamieszać w kociołku z grochem, i znowu siada. O czymkolwiek by zaczęła myśleć, zawsze kończy się zmartwieniem. I jeszcze ten człowiek! Na pewno ją poznał. Każdy, kto nie chce się rzucać w oczy, może założyć kaptur, owinąć się płaszczem albo inaczej uczesać. Jak można ukryć garb? Ktokolwiek widział ją wcześniej, rozpozna od razu Wigę garbuskę, tym bardziej, jeśli przez część życia mieszkała w sąsiedztwie.

Zielarka nie ma złudzeń. Domyśla się, że w Grünwaldzie, a nawet w pobliskim Kolzig^[15] wiedzą, gdzie jej szukać. Tylko po co mieliby to robić? Nikt nie ma do niej złości prócz własnego ojca. Tak, Wiga ma ojca. Jeszcze nie jest taka stara, by nie było to możliwe. Ona sama nie potrafi powiedzieć, ile ma lat, ale pan von Lest przyjrzał się jej kiedyś i orzekł, że może mieć między czterdzieści a pięćdziesiąt. Ojciec to na pewno starzec, ale żyje, jest tego pewna. Wierzy, że rozpozna chwilę jego śmierci, bo wtedy kamień spadnie jej z serca, słońce zacznie świecić jaśniej, nawet garb przestanie być dokuczliwy. Stanie się tak, gdy bramy piekła zamkną się na zawsze za duszą jej ojca.

Zapach spalenizny przypomina o zupie w kociołku. Zamyśliła się, przestała mieszać i groch się przypalił. Odstawia na podłogę gorący kociołek, głośno przeklinając swą głupotę. Hałas budzi wnuczkę. Kot też

się ożywia i na powrót staje się czujny. Mała siada na słomie i odsuwa kożuch.

– Jeść! – woła.

– Mówisz? – cieszy się babka. – Przetkało cię! Chodź, dostaniesz nagrodę. – Wiga podaje dziecku słodką bułkę i obserwuje, jak mała ją pochłania. Dziewczynka ma umorusaną buzię i spuchnięte od płaczu oczy, ale uśmiecha się do babki i do kota sięgającego do wyciągniętej rączki po kawałek bułki.



Od wiosny pod szczytową ścianą dworu stoi ławeczka. Teraz słońce jeszcze przygrzewa, ale chłodny wiatr przypomina, że lato się skończyło. Mimo to von Lest od dobrej godziny wystawia twarz ku słońcu i wyciąga przed siebie nogi. Stara rana znowu daje o sobie znać. Zimą czuł się dobrze. Widać służyła mu bezczynność, siedzenie przy piecu nad księgami i bawienie się w nauczyciela dla zabicia czasu. Cieszył się, obserwując, z jaką łatwością chłopiec zapamiętuje litery i zawilosci pisma. Prawdę mówiąc, gdyby nie kucharka, dziecko byłoby jego jedynym towarzyszem, kiedy wieczorem dom pustoszał.

Zima odeszła dopiero w kwietniu. Tak szybko, jak to możliwe, na dworskich gruntach rozpoczęła się praca. Chłopi zobowiązani do odrobku nie mogli z niczym zdążyć. Trzeba było obsiać swój kawałek ziemi i pójść na pański. Najlepiej jednocześnie. Von Lest się bał, że więcej areału niż planowano zostanie ugorem. Zależało mu, by pokazać Krzysztofowi, że nad wszystkim panuje i jest godny jego zaufania, dlatego nieraz sam stawał za pługiem, a latem pomagał przy żniwach.

Dla Baltazara praca na roli nie jest niczym niezwykłym. Kiedy był młody, często wychodził z chłopami w pole, choć nie musiał. Lubił fizyczne zmęczenie, pot lejący się z czoła, chłód wody w rzece, gdy zmywał z siebie kurz, i zdrowy, głęboki sen w nocy. Wiedział, że okoliczni właściciele kpią z niego, i słyszał ich uszczypliwe uwagi, ale nic

go to nie obchodziło, bo kiedy wracał utrudzony, na progu stała Zuzanna z dziećmi uczeponymi matczynej spódnicy. W oczach żony widział aprobatę, podziw i miłość. Najpierw obejmował ją na powitanie i całował w czoło, potem podnosił Franka i Ulę i sadzał ich sobie na ramionach. Razem wchodzili do domu, gdzie służba czekała z kolacją.

Nadal lubi wysiłek fizyczny, ale bardzo musi się starać, by dorównać chłopom. Skutkiem tego dokucza mu całe ciało, a najbardziej ból w boku. Najpierw była tam wojenna rana, która długo się nie goiła, a później uderzenie kamieniem. Zimą ból przycichł, teraz często nie daje spać.

– Przyniosłem wam kozuch. – Przed Baltazarem stoi Albert. Ma niepewną minę, jakby czuł się winny, że przerywa swemu panu drzemkę. – Niedobrze tak spać na wietrze. Chodźcie do środka albo pozwólcie się przykryć.

– Nie spałem. Przymknąłem oczy na chwilę. Daj kozuch. Posiedzę jeszcze i popatrzę.

– Na co tu patrzeć? Zawsze tak samo. Domy, drzewa, trawa, owce.

– Lubię patrzeć na to wszystko. Wracaj do żony i dzieci. Nie będziesz mi dzisiaj potrzebny.

Tylko w niedzielne popołudnie pozwala sobie na dłuższy odpoczynek. Najbardziej lubi konne przejażdżki i poznawanie okolicy. Kiedy czuje się gorzej, siada na ławce wyłożonej kozuchem i patrzy przed siebie.

Wbrew temu, co powiedział sługa, widok jest całkiem zajmujący. Nieopodal bawią się chłopcy. Włożywszy kijki między nogi, udają myśliwych ścigających zwierzynę. Szare kocisko, drzemiące dotąd na brzegu strzechy, przestraszone okrzykami salwuje się ucieczką, a dzielni jeźdźcy w asyście kilku psów ruszają za nim w pogoń. Wśród wrzeszczącej gromady von Lest dostrzega Jakuba. Niczym się nie różni od bosych, umorusanych łobuziaków. Pierwszymi jego kolegami byli synowie Alberta, a teraz i bez nich znajduje towarzyszy zabawy.

Hałas czyniony przez myśliwych i ich sforę się oddala, dzięki czemu mężczyzna odpoczywający na ławce może usłyszeć nadlatujące dzikie gęsi. Kiedy klucz szarych ptaków znika za drzewami, na niebie pojawia

się jastrząb wypatrujący z wysoka ofiary. Kołuje akurat nad stadem owiec. Wiadomo, że nie one są celem. Być może drapieżnik czyha na jakiegoś gryzonia ukrytego w trawie.

Owce o szarym albo siwym runie pasą się tutaj na niemal każdym nieużytku. Te łagodne i posłuszne zwierzęta są podstawą utrzymania wielu rodzin w Karge i okolicy. Z ich skór powstają lekkie i ciepłe kożuchy, runo jest surowcem dla sukienników, a mięso przypomina w smaku sarninę. Krzysztof Unrug też jest posiadaczem stada tych zwierząt, dlatego Baltazar musi zadbać o ich właściwe przezimowanie. Owce mogłyby spędzić ten czas pod gołym niebem. Są na tyle odporne, że dałyby sobie radę, ale spilśniałego runa nikt by nie kupił. Dlatego na czas zimy zagania się owce w pobliże wsi do niskich, krytych strzechą szop.

Idzie zima. Wszyscy się do niej przygotowują, prosząc jednocześnie niebiosy, by była łżejsza od poprzedniej. „Czy Krzysztof zdąży wrócić, zanim spadnie śnieg?” – zastanawia się von Lest. Nie widać końca rozmów pokojowych w Westfalii. Konflikt trwał długo i był wielostronny, stąd niełatwo rozsypać nawarstwione przez dziesiątki lat problemy. „Krzysztof powinien wrócić – myśli zatroskany Baltazar. – Tu, w Królestwie, też nie ma spokoju”.

W maju niespodziewanie zmarł król Władysław, a Ludwika Maria stała się królową wdową. Szlachta szykuje się do elekcji nowego władcy, co oznacza tworzenie stronnictw, składanie obietnic nowych przywilejów i lukratywnych urzędów w zamian za poparcie. Najwięcej zwolenników ma Jan Kazimierz, brat zmarłego króla, i to on prawdopodobnie zwycięży, ale na razie walka polityczna odwraca uwagę od niebezpieczeństwa, którego rozmiarów jak dotąd nikt nie potrafi określić. Od wczesnej wiosny daleko na wschodzie Rzeczypospolitej trwa powstanie Kozaków, które rozszerza się niczym pożar traw. Tu, w Wielkopolsce, mało kto się nim przejmuje, bo to daleko, a buntownikami są jacyś chłopcy nieumiejący walczyć. Może i racja, ale zdaniem doświadczonego w tej materii Baltazara każde niepokojące wydarzenie w polityce może się stać zarzewiem wojny.

Myśliwi na koniach z patyków wracają. Tym razem celem polowania jest rudy kot pełniący rolę lisa. Von Lest zdążył dostrzec jasną czuprynę Jakuba, ale znikła tak szybko, jak się pojawiła. „Gdzie nagle przepadłeś, łobuzie?” – zastanawia się, wstając z krzesła. Zaraz potem znajduje wyjaśnienie. Ścieżką biegnącą nieopodal dworskiego ogrodu podąża pochylona postać, a za nią idzie, a właściwie podbiega, dziewczynka. Mimo chłodu dziecko ma na sobie tylko płócienną koszulę sięgającą za kolana. Ciemne, proste włosy, zebrane rankiem w warkoczyk, teraz uwolnione z uwięzi, z każdym podskokiem unoszą się do góry i opadają. Babka się nie ogląda. Idzie przed siebie, jakby czym prędzej chciała minąć dwór. Trzecią postacią w tej scenie jest Jakub doganiający dziewczynkę. Łapie ją za cieniutką pozostałość warkoczyka, a ta ogląda się za siebie. Grymas przestachu natychmiast znika, a w jego miejsce pojawia się uśmiech.

– Wigo!

Kobieta idzie dalej.

– Wigo! – Baltazar krzyczy głośniej, by przebić się przez hałas czyniony przez chłopców i psy.

Tym razem zielarka przystaje i rozgląda się wokół, a zobaczywszy szlachcica dającego ręką znaki, by podeszła, rusza w jego stronę.

– Dawno nie byłaś we dworze.

Słowa von Lesta brzmią jak wyrzut, toteż zielarka najpierw zerka na oblicze szlachcica, a nie znalazłszy na nim gniewu, odpowiada:

– Dawno nikt we dworze mnie nie potrzebował.

Na widok groźnie zmarszczonych brwi łysego pana usta Rozalki wyginają się w podkówkę. Baltazar uśmiecha się do dziecka.

– Podaj Widze krzesło, a ją zabierz do kuchni – zwraca się do Jakuba. – Agata da wam coś dobrego.

– Dzięki Bogu zdrowie ostatnio nam dopisuje – wyjaśnia zielarce. – Może dlatego, że do kaplicy na nabożeństwa przychodzisz. Nie dajesz powodu do gniewu.

– Mówiliście, że chcecie mieć we wsi spokój, to i chodzę. Nie jest mi łatwo z dzieciakiem, ale jak pastor ma na mnie gadać, to już wolę ten raz w tygodniu pokazać się w kaplicy. Ludzie, co z daleka na jarmark przyjechali, mówili, że straszne rzeczy dzieją się w innych krajach. Szukają kobiet, które z diabłem się zadają, a potem w ogniu je palą. Kto wie, co taki pastor może na mnie powiedzieć, a jak już powie, to nie wiadomo, co się potem może stać.

Tym razem dwie pionowe zmarszczki między brwiami mężczyzny są wynikiem prawdziwego gniewu.

– Czyś ty rozum straciła, kobieto, że mówisz coś takiego? Otwarcie się przyznajesz, że jedynie dla ludzkich oczu pokazujesz się w kaplicy!

– Samiście mówili, że...

– Cicho bądź, babo! Mówiłem, żeby cię przekonać, ale myślałem, że jesteś mądrzejsza. Od chłopów słyszałem, że w leśne duchy więcej wierzysz niż w naszego Pana. I oto mam dowód! Nie zdziwię się, jeśli w razie nieszczęścia ciebie pierwszą wskażą jako winną. Kiedy powiedziałem, że nie dajesz powodu do gniewu, miałem na myśli boży gniew, a nie pastora.

– Kiedyś byliście inni. Widzę robotę Schilberga. Nic tu po mnie. – Nie pytając o zgodę, Wiga wstaje i woła: – Rozalka! Idziemy!

– Zaczekaj. Pójdiesz, kiedy ci pozwolę.

Wiga z kamienną twarzą siada z powrotem. Wnuczki nie widać, więc i tak musi czekać.

Baltazar milczy. Zastanawia się, co powiedzieć. Wreszcie zaczyna:

– Zrozum, czasy są niedobre. Wiesz, jak trudną mieliśmy zimę. Latem deszcz padał tak często, że dużo zbóż i siana się zmarnowało. Może przyjść głód gorszy niż ten, którego niedawno ludzie zaznali. – Powiedziawszy to, szlachcic uświadamia sobie, że jego słowa brzmiały, jakby usprawiedliwiał się przed wiejską babą, dlatego po chwili mówi ostrzej: – Jestem odpowiedzialny za wszystkich poddanych pana Unruga, bo on uczynił mnie zarządcą swoich włości. Jednak to, czy ci ludzie

przeżyją zimę, nie tylko ode mnie zależy – mówi, wskazując na wioskę. – Robię, co mogę, i nie pozwolę, by ktoś psuł moją pracę, ściągając gniew Pana grzesznym postępowaniem albo bluźnierstwami. Te kobiety, o których mówiłaś, mogły zasłużyć na to, co je spotkało.

Wiga nie odpowiada. Siedzi dalej z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Gdyby nie szczekanie psa dobiegające z za dworu, cisza byłaby nieznośna.

– Mogę już iść? – pada wreszcie. – Zaraz się ściemni.

– Idź.

– Rozalka!!!

Tym razem dziewczynka zjawia się przed babką. Za nią nadbiega czarny, podpalany kundelek, a później Jakub.

Wziąwszy dziecko za rękę, Wiga zaczyna schodzić w dół.

– Zaczekaj! – Wołanie von Lesta zatrzymuje je w połowie ścieżki. – Potrzebujesz czegoś?

Kobieta zastanawia się przez chwilę, a potem odpowiada:

– Możecie powiedzieć gajowemu, żeby zrobił to, o co go prosiłam?

– A o co prosiłaś?

– Bartnik powiedział, że na Dźwinie^[16] będą rąbać dęby. Widziałam tam jemiolę, która wam na nic, a mnie by się przydała. Dębowa jemiola rzadka, ale najlepsza ze wszystkich.

– Bierzcie, ile chcecie. – Baltazar wzrusza ramionami. – Tylko na zrębie się nie kręćcie, bo niebezpiecznie, ale potem możecie zbierać.

Spojrzenie zielarki mówi, że czegoś nie zrozumiał, bo patrzy na niego jak na niemądre dziecko.

– O to właśnie chodzi – słyszy jej słowa. – Jesteście tacy sami jak gajowy. A wiadomo, że jemiola między niebem a ziemią rośnie. Ścięta, ziemi nie może dotknąć, bo straci swą moc. Muszę ją prosto z drzewa do rąk dostać. Nie pomoże ludziom jemiola, co mocy nie ma. Wam też by się przydała taka dobrze zebrana. Najbardziej na nerwy, ale nie zaszkodziłoby też w domu powiesić dla odpędzenia uroków. Jemiola może sprowadzić wam bogactwo i powodzenie, a złe moce odegnąć.

– Ta znowu swoje – wzdycha cicho zrezygnowany Baltazar, ale głośno odpowiada: – Dobrze, powiem gajowemu, żeby tę jemiołę prosto z drzewa do ręki ci dał.



Pada śnieg. Pierwszy tego roku. Prószy delikatnie i nieśmiało, jakby wiedział, że nie zabawi na ziemi zbyt długo. Cienką białą warstwą pokrywa strzechy, stogi siana i wyschnięte baldachy dzikiej marchwi. Kładzie się na rozcapierzonych gałęziach świerków, wiruje wokół skrzydeł wiatraka, tonie w rzece i osiada na kapeluszu posłańca opuszczającego dwór.

Myli się jednak ten, kto sądzi, że przykryty śnieżną pierzynką świat zwalnia i popada w zimowe odrętwienie.

W warsztatach sukienników pracują krosna, kobiety, niektóre tylko z wrzecionami, inne przy kołowrotkach, przędą len i wełnę. W dworskim tartaku pilarze tną kłody drewna na deski. Przed jedną z chat leży ogłuszona świnia. Z przekłutego podgardla do podstawionej miski bucha krew. Dzieci, które przed chwilą lepiły bałwana, porzuciły zabawę i przyglądają się agonii zwierzęcia. Tylko jedno z nich nie wydaje się tym zainteresowane. Stoi odwrócone. Wysuwa język najbardziej, jak się da, próbując złapać nań białe płatki. Kolorowe kury prowadzone przez czarnego koguta wygrzebują coś spod śniegu. W kuźni płonie ogień, a jego blask pada na spoconą twarz kowala. Stara kobieta z wielką wiązką chrustu na plecach zatrzymała się na skraju lasu i patrzy w stronę rzeki, gdzie rybak pochylony nad brzegiem wybiera ryby z wierszy^[17].

We dworze tuż przy oknie stoi mężczyzna z rozpieczętowanym listem w dłoni. Nie podziwia śniegu, nie interesuje go stado swarliwych wróbli ani ostatni jesienny kwiat schylony pod białym ciężarem. Są tylko myśli, przed którymi nie umie się obronić. Z oczu utkwionych w jednym punkcie płyną łzy. Znaczą mokre ścieżki na pobrużdżonych wiekiem policzkach, niktą w siwym zaroście, a potem spadają na przeczytane przed chwilą

słowa.

– Panie?

Głos dziecka wydobywa go z ciemnej otchłani.

– Co chciałeś, Jakubie?

– Miałem przyjść na naukę.

– A... Całkiem zapomniałem. Siadaj przy oknie.

Baltazar sięga po książkę. Zanim zaczął uczyć chłopca, sam musiał się rozeznać w literach i słowach. Jego ojczystym językiem jest niemiecki, dobrze zna łacinę, a kiedyś uczył się greki. Polska mowa też nie jest mu obca, ale nigdy nie musiał czytać w tym języku. Pech chciał, że Biblia po polsku, zwana gdańską, to jedyna drukowana księga we dworze.

Von Lest jest zaskoczony tempem, w jakim Jakub wrócił do sił, a potem przyswoił sobie miejscowy język. Równie szybko nauczył się liter. Czytanie idzie mu gorzej. Może gdyby miał stosowniejszą do wieku i rozumu księgę, byłoby mu łatwiej.

Dzieło oprawione w skórę, z metalowymi okuciami na rogach, budzi w chłopcu respekt. Z nabożną czcią wyciąga ku niemu wyszorowane dłonie.

– Pamiętasz, gdzie skończyliśmy?

– Tak. Czytaliście mi o Kainie i Ablu.

– Dzisiaj ty mi poczytasz. Zaczynaj od tego miejsca. – Baltazar wskazuje palcem werset, a chłopiec pochyla się i po cichu zaczyna składać litery, poruszając bezgłośnie ustami.

– Nic nie słyszę. – Mężczyzna upomina dziecko.

– Bo nie wiem, czy mi się coś nie pomieszało.

– Jak to? Czytaj głośno.

– „A tak było wszystkich dni Adamowych, których żył, dziewięć set lat i trzydzieści, lat i umarł”.

– Dobrze. Nic ci się nie pomieszało.

– Ale to nie może być prawda. Człowiek nie żyje tak długo. Kiedy

umarł piwowar Józef, pastor powiedział, że miał osiemdziesiąt lat. A przecież był strasznie stary. To jak Adam mógł żyć dziewięćset lat i trzydzieści?

– Może kiedyś ludzie żyli dłużej?

– To nie wiecie?

– Nie wiem, ale pastor wie na pewno. Musisz go zapytać. Ja cię uczę tylko czytania i pisania. O to, czego nie rozumiesz, pytaj pastora. Teraz mi czytaj. Tylko głośno, żebym od twojego mrużenia nie zasnął.

– „A Set żył sto lat i pięć lat, i spłodził Enosa. I żył Set po spłodzeniu Enosa, osiem set lat, i siedem lat, i spłodził syny i córki. I było wszystkich dni Setowych dziewięć set lat, i dwanaście lat, i umarł. A Enos żył dziewięćdziesiąt lat, i spłodził Kenana. I żył Enos po spłodzeniu Kenana, osiem set lat, i piętnaście lat, i spłodził syny i córki. Było tedy wszystkich dni Enosowych dziewięć set lat, i pięć lat, i umarł”^[18].

Wbrew poleceniu Jakub czyta coraz ciszej, w dodatku się zacina, sylabizuje i wzdycha po każdym wydukany słowie. W końcu rzuca niepewne spojrzenie na Baltazara. Jego opiekun śpi, siedząc na krześle. Chłopiec, nie zamykając książki, wstaje i bezszelestnie opuszcza pokój.

Baltazar budzi się w ciemnościach. Jest mu zimno, a twarde oparcie boleśnie wrzyna się w plecy. Oczy oswojone z mrokiem wyławiają zarys otwartej Biblii i list leżący na parapecie.

Skończyła się wojna. W Westfalii podpisano pokój. O tym donosi Krzysztof. Przeczytawszy tę wiadomość, najpierw pomyślał: „Nareszcie!”. Jakaż ulga i radość! Zaraz potem przyszły wspomnienia. Konflikt trwający trzydzieści lat zabrał mu rodzinę, a kraje niemieckie i Czechy obrócił w perzynę. W głowie Baltazara pojawiły się obrazy zniszczonych miast i wsi, spalonych zbóż, ludzi strąconych na dno rozpaczy, żebrzących o chleb, trzymających w ramionach dzieci umarłe z głodu. Właśnie to zobaczył, a nie bitwy, nie okrutnie okaleczone zwłoki żołnierzy i nie krew barwiącą rzeki na czerwono, a tych prostaczków płacących za kłótnie władców i ich żądzę władzy. Wystarczyło, by wojsko przyszło do wsi, zabiło zwierzęta na mięso i zabrało całą żywność, by

wszystko się skończyło. Nikt długo nie pożyje, jedząc trawę, liście i korę z drzew. To było w tej wojnie najgorsze. Nie walki, a trzydziestoletnia obecność wojsk, którym rzadko płacono żołd. Aby przetrwać, żołnierz musiał się wyzbyć ludzkich odruchów, a pierwszym zbędnym była litość. Niezależnie od tego, czy walczył po stronie cesarza broniącego prawdziwej katolickiej wiary, Maryi i Chrystusa, czy też był wojownikiem księcia lub króla wyznającego nie mniej słuszne poglądy Lutra, gwałcił, zabijał, torturował dla rozrywki, a żywność i pieniądze zabierał z konieczności. Tych, którzy przeżyli najście żołnierzy, dziesiątkowały głód, choroby, a nawet brak chęci do robienia czegokolwiek, skoro znowu przyjdą i zniszczą, co odbudowane.

Kupiec ze Śląska, który przyjechał jesienią po wełnę, opowiadał, że w bogatym niegdyś Löwenbergu^[19], liczącym na początku wojny sześć tysięcy mieszkańców, zostało jedynie czterdziestu ludzi. Tak teraz wygląda Śląsk. Jak to możliwe, że w tej krainie niegdyś mlekiem i miodem płynącej są całe połacie podobne pustyni urozmaiconej ruinami wsi i miast? Ci, co jeszcze tam się jakoś utrzymali, próbują opuścić nieprzyjazną ziemię i osiedlić się gdzie indziej.

Jego, Baltazara, to już nie dotyczy. Znalazł przystań daleko od miejsca, gdzie zostali ci, których kochał najmocniej. W ciemnościach nikt nie dojrzy smutku w oczach ani łez, pozwala więc płynąć wspomnieniom.

Znowu, jak przed trzydziestu laty, wraca do domu. Czuje zapach lipy i słyszy pszczoły spijające nektar z jej kwiatów. Na progu stoi Zuzanna. Z jarmarku w Namslau^[20] przywiózł jej zieloną wstążkę do włosów. Stać go na więcej, ale ona właśnie o wstążkę prosiła, kiedy rano wsiadał na konia. Ula i Frank dostali zabawki wystrugane z drewna.

Ten sam dzień, tylko później. Dzieci nie chcą iść spać. Siedzą z Zuzanną na podłodze. Konik Franka stuka kopytkami o deski, a kaczuska Uli przesuwa się na kółkach, pociesznie kiwając łebkiem. Trzy rude głowy pochylają się ku sobie. Zuzanna ma we włosach zieloną wstążkę. Przez otwarte okna wpada duszący zapach kwiatów. Służąca stawia na stole woskową świecę w mosiężnym lichtarzu. Żona podnosi

głowę i patrzy mu w oczy. Zapowiada się gorąca noc.

Potem... Wojna już się zaczęła. Wszyscy są niespokojni, choć w okolicy Namslau nic szczególnego się nie dzieje. Baltazar niechętnie opuszcza rodzinę i udaje się na jedną z licznych porad śląskich panów. Nagle w mieście wybucha panika. Polscy kozacy^[21] zaatakowali pobliskie wsie. Nie wiadomo, skąd się wzięli. Zjawili się niespodziewanie i niczym krwiożercze upiory spadli na zajętych pracą ludzi. Nikt nie zna rozmiarów zniszczeń ani liczby ofiar. Drogę do domu Baltazara znaczą zgliszcza i trupy chłopów. Są wszędzie. Wiszą na drzewach, leżą na piasku, dogorywają w zaroślach. Mężczyźni, dzieci, zhańbione kobiety, niemowlęta z rozbitymi główkami.

Koń Baltazara opada z sił, a on wciąż go popędza. Z daleka widzi łunę na ciemnym niebie. Nie ma już czego ratować. Dwór i spichlerze nie istnieją. Ogień dogasa. Widzi tylko żarzące się krokwie, które kiedyś podtrzymywały dach jego domu. Wtem na twarz opada mu zielona wstążka. Zsuwa się po policzku i zatrzymuje na dłoni ściskającej wodze.

Unosi głowę.

Są. Niczym owoce wiszą na osmalonych gałęziach lipy. Zuzanna, Ula, Frank, kucharka, służąca i inni, którzy tu mieszkali...

Drzwi otwierają się gwałtownie. Von Lest budzi się z upiornego snu. Nieprzytomnym wzrokiem spogląda na Alberta.

– Przyniosłem świecę. Nie wolno tak siedzieć po ciemku. Jeszcze jaką zmoreę przywołacie – zrzędzi sługa. – Zaraz! Dokąd idziecie? – woła za Baltazarem w pośpiechu opuszczającym komnatę. – Agata czeka z kolacją!

Von Lest nie słyszy. Znowu otacza go mrok. Śnieg pada coraz odważniej. Mokre płatki lepią się do twarzy i wpadają za kołnierz kaftana. Mężczyzna wciąga w płuca zimne powietrze, a potem z jego gardła wydobywa się przejmujący, pełen cierpienia krzyk.



– Jesteś uparty, Krzysztofie.

– Znasz mnie od dziecka. Zawsze taki byłem. – Twarz Unruga promieniuje pewnością siebie. – Wierzę, że to się może udać. Miasto Unrugów! Moje miasto!

– Nadal nie pojmuję, co się zmieni, kiedy dostaniesz zgodę króla.

– Według prawa miasto można lokować tylko w nowym miejscu. I ono jest. Spójrz. – Krzysztof odłamuje gałązkę krzewu i za jej pomocą kreśli na śniegu zarysy najbliższej okolicy. – Tu jest Górna Wieś i dworskie zabudowania. – Wskazuje na pierwsze koło. – Dalej Środkowa Wieś, a niżej, blisko rzeki, Dolna Wieś.

Baltazar przykuca i przygląda się trzem kółkom połączonym drogą, rzece płynącej na południu, polom na wzniesieniu i lasom.

– Nie widzę miasta.

– Tutaj. – Wbity w śnieg patyk wskazuje pustą przestrzeń. – Tu jest miejsce na ratusz i rynek. – Patyk znowu kreśli znaki. Tym razem powstaje kwadrat i domy na jego obrzeżach. – Ulice będą się rozchodzić prostopadle do rynku. A to mury obronne. – Gałązka krzewu w dłoni Unruga otacza miasto bezpiecznym owalem. – Jak ci się podoba?

– Życia nie starczy na to wszystko. – Baltazar jest pełen wątpliwości.

– Jeśli nie ja, to dokonają tego moi synowie. Szkoda nie wykorzystać możliwości miejsca leżącego na styku trzech krain. Karge jest jeszcze w Królestwie Polskim, niedalekie Gross Schmölln już w Brandenburgii, a równie bliski Karschin w księstwie głogowskim podlegającym Habsburgom. Będąc w Westfalii, rozmawiałem z prześladowanymi braćmi w wierze. Gotowi są tu przybyć jako osadnicy. Muszę tylko stworzyć im odpowiednie warunki.

– Wszystko obmyśliłeś, jak słyszę. Wspominałeś ostatnio, że najpierw chcesz się żenić.

– Tak. Panna Broniewska jest mi przychylna. Nie zdążyłem prosić ojca mej wybranki o jej rękę, ale zrobię to wkrótce. Jutro wyruszam do Krakowa na koronację.

- Co sądzisz o nowym królu?
- Jan Kazimierz jeszcze nie jest królem. Będzie nim dopiero po koronacji.
- Unikasz odpowiedzi. Domyślam się, że zbytnio go nie cenisz.
- Baltazarze, zadajesz pytanie, na które nie znam odpowiedzi. Jan Kazimierz nie miał dotąd okazji wykazać się jako władca.
- Ale zetknąłeś się z nim. Wiesz, jaki to człowiek.
- Jest pełen sprzeczności. Wychowany przez jezuitów i matkę katoliczkę, w modlitwach, w uczestniczeniu w religijnych obrzędach i surowości mógłby być wzorem dla swoich współwyznawców.
- Mógłby?
- No właśnie, mógłby. Jego religijność moim zdaniem jest powierzchowna, zewnętrzna i nieprzystająca do nakazów wyznania. O jego upodobaniu do płci pięknej plotkuje się na dworze od dawna. I nie ma dla niego znaczenia, czy kochanka to kobieta zamężna, czy stanu wolnego. Mówią, że nie jest stały w przyjaźni. Za szlachetny czyn potrafi odpłacić niewdzięcznością. A to, że wciąż marzy o szwedzkim tronie, też dobrze nie wróży. Przez swoje złudzenia gotów ściągnąć na kraj wojska zza morza. Teraz, kiedy skończyła się wojna w krajach niemieckich, wojska szwedzkie nie mają wiele roboty. Tamtejszy władca gotów im znaleźć nowe zajęcie.
- Nie lubię Wazów. – Pięści Baltazara zaciskają się mimowolnie. – Każdy z nich udawał świętoszka, lecz nie wystrzegał się grzechu. Mam nadzieję, że Zygmunt i jego syn Władysław smażą się w piekle.
- Wiem, że masz powód, by tak mówić. Szczególnie Zygmuntowi trudno ci wybaczyć. Dziwię się tylko, że trzydzieści lat minęło, a twoje rany się nie zagoiły.
- Czasem myślę, że już pora, by zapomnieć, ale wystarczy słowo, zapach albo czyjś śmiech podobny do... – Głos Baltazara się łamie. Musi przystanąć, zebrać się w sobie, by dalej mówić. – Twój list, który otrzymałem w listopadzie, sprawił, że znowu miałem ich przed oczami.

Jakby to było wczoraj, tuliłem zdjęte ze sznura zimne ciała Zuzanny i dzieci i krzyczałem w niebo, przysięgając zemstę.

Von Lest wbija wzrok w oblepione śniegiem czubki butów. Unrug czeka, nie popędza i o nic nie pyta.

– Nigdy nie wybaczę Zygmuntowi Wazie, że nasłał morderców na moją rodzinę, na chłopów i na Śląsk. Przecież Polska nie brała udziału w tej wojnie. Mógł nic nie robić, ale on wolał przypodobać się cesarzowi. Wysłał mu lisowczyków, by walczyli po stronie Habsburgów. Postąpił gorzej niż Piłat. Sam umył ręce, a cesarzowi dał broń – najgorszych zbrodniarzy, jakich ziemia nosiła.

– Wiesz, że po nich przyszli inni, wcale nie lepsi.

– Ale to tamci zabili moje dzieci i zniszczyli wszystko, co miałem. Możesz Wazom służyć, jeśli chcesz, ale ja im nie przebaczę.

– Nie służę Wazom, lecz mojemu rodowi. Jestem poddanym polskiego władcy i dopóki jest to w moim interesie, będę mu posłuszny. – Unrug próbuje się usprawiedliwić w oczach kuzyna. – Mam nadzieję, że Jan Kazimierz zgodzi się na założenie miasta. Rozmawiałem o tym z królową. Z nią rozumiem się lepiej. To bardzo inteligentna kobieta, a na polityce zna się lepiej niż król. Miasta pragnę nie tylko dla siebie. Chcę dać bezpieczną przyszłość wszystkim prześladowanym braciom.

– Zbudujesz miasto dla luteranów?

– Chciałbym, ale polskie prawa nakazują otwartość na inne wyznania.

– To nie spodoba się pastorowi Schilbergowi. Pragnie rządu nad wszystkimi duszami.

– Nie musi się niczego obawiać. Wystarczy, że zaproszenie i zachęta trafią pod właściwy adres. Zobaczysz, za parę lat trzeba będzie budować nową, większą kaplicę. Katolicy i kalwini też nie będą mi przeszkadzać, byle chcieli ciężko pracować i płacić podatki.

Spacerującym mężczyznom zaczyna doskwierać mróz. Zawracają w kierunku dworu. W pobliżu miejsca, gdzie powstało miasto w śniegu, Krzysztof ponownie się zatrzymuje i sięga po porzuconą gałązkę.

– Chcesz rozbudować swoje Unruhstadt? – Baltazar się śmieje.

– Nie. Tym razem zbuduję nowy dwór. Spójrz.

W nietkniętym dotąd miejscu powstaje nowy rysunek.

– Postawimy go tu. Główne wejście ma być od północy, a okna komnat będą od strony południowej.

– To inaczej, niż pierwotnie planowałeś.

– Pozałowałem starego budynku. Na razie go zostawimy. Zanim wybudujemy nową siedzibę, musisz gdzieś mieszkać. Najpierw będzie tu prostokątna bryła. Z czasem dobudujemy skrzydła z każdej strony. Na miejscu starego dworu powstanie kiedyś zachodnie skrzydło. Gdy tylko ustąpią mrozy, zatrudnij ludzi do kopania gliny. Będzie nam trzeba dużo cegieł, bo chcę, by mój nowy dom był murowany.

– A ty, Krzysztofie? Nie chcesz nadzorować budowy?

– Mam obowiązki na dworze królewskim. Poza tym nie wiadomo, co dalej z kozacką rebelią na Ukrainie. Kto wie, czy nie przyjdzie mi ruszyć na wschód?

– Wojna?

– Nie wiem, czy można to nazwać wojną, lecz bez rozlewu krwi się nie obędzie.

Von Lest pochyla głowę, udając, że przygląda się rysunkom.

– Po co budować, skoro w jednej chwili można wszystko stracić? – pyta.

Krzysztof chyba nie słyszy. Brnie w śniegu ku zamarzniętej tafli stawu. Niespodziewanie przystaje, jakby coś przyszło mu do głowy. Ogląda się na Baltazara i posyła mu chłodne spojrzenie.

– Dla jednych wojna to utrata wszystkiego, dla innych okazja do wzbogacenia się i awansów. Ja nie zamierzam zaprzepaścić swojej szansy – zapowiada.



Wielkanoc 1649. Wiga dawno nie była na nabożeństwie, dlatego dziwi ją tłum wiernych zdążających do kaplicy. Niby ma kontakt ze wsią, bo często jest wołana do rodzających albo chorych, ale nie dotarło do niej, że przez ostatni rok wielu nowych ludzi przybyło do Karge i tego miejsca między Górną a Środkową Wsią, na które mówią Unruhstadt.

Rozala wygląda zza wełnianej spódnicy babki. Ciemne oczy wydają się chłonać wszystko, co dzieje się wokół. Kiedy dostrzega nadchodzącą od strony dworu Agatę, ciągnie Wigę za rękaw i pokazuje odmienioną kucharkę. Zwykle widuje ją w codziennym stroju, fartuchu i białym czepku. Dzisiaj Agata jest cała w czerni. Nawet czepok ma ten kolor, mimo że ujmuje to jej urody. Na poważnej twarzy pojawia się uśmiech przeznaczony dla dziecka, a potem kobieta znika w ciemnym wnętrzu kaplicy.

Wiga więcej uwagi poświęca kilkusobowej rodzinie Brodów. Matkę dziewczyny, której pomogła urodzić martwe dziecko, czasem widuje. Nigdy nie otrzymała od niej zapłaty, być może dlatego tamta traktuje ją jak powietrze. Stoją przed kaplicą bardzo blisko siebie, dzięki czemu zielarka zauważa sieć zmarszczek wokół zaciśniętych warg i nieprzejdany wyraz twarzy. Jana Brodę widziała przelotnie owego wieczoru, kiedy opiekowała się chorą. Jest potężnym mężczyzną – wysokim, barczystym i brzuchatym. Wiga nie może oderwać wzroku od jego czerwonego, bulwiastego nosa. Nikt we wsi nie ma takiego. Po tym nosie można rozpoznać go z daleka.

Nabożeństwo się rozpoczęło. Teraz każdy stara się skupić na słowach kapłana ledwie docierających przez otwarte drzwi. Po pół godzinie następuje rozprężenie. Wierni znowu się rozglądają, przypatrują innym, oceniają ubiór lub przypominają sobie plotki związane z kimś stojącym obok.

Wiga próbuje odszukać wzrokiem dziewczynę, która urodziła martwe dziecko. Nie ma jej w pobliżu sióstr trzymających się matczynej spódnicy. „Być może zamknęli ją w domu – domyśla się zielarka. – Chłopak mówił, że jest niespełna rozumu”. Jej nie wydawała się taka. Była raczej

przeżona. Nic dziwnego. Skąd takie dziecko mogło wiedzieć, co się dzieje?

Nieco dalej, razem z mężczyznami, stoi chłopak, który przybiegł do dworu prosić o pomoc dla siostry. Ma na imię Adam. Nieznany z imienia młodzieniec obok to na pewno najstarszy syn Brodów. Jest rośli i tęgi jak ojciec. Adam wdał się w matkę. Jest szczupły, wręcz suchy. Tylko wyraz twarzy ma zupełnie inny. Na pewno zauważył, że Wiga mu się przygląda, bo na jego ustach pojawia się cień uśmiechu.

Przy samym wejściu do kaplicy modli się Wojciech, pomocnik kowala. Zwykle stara się być bliżej ołtarza. Tym razem przyszedł zapewne zbyt późno, by zająć miejsce w kaplicy. Jest tak skupiony, że zdaje się nikogo nie widzieć. Jednak każdy, kto go zna, wie, że zdążył już obejrzeć i ocenić wszystkich.

Ciche parsknięcie i pociągnięcie za spódnicę każe zielarce nachylić się do wnuczki.

– Czego chcesz? – pyta gniewnym szeptem.

– Patrzcie, babko. – Rozalka pokazuje palcem w kierunku kaplicy.

Wiga próbuje dojrzeć, co rozśmieszyło dziewczynkę. Już wie. Zza rogu drewnianej budowli wygląda czarno-biała głowa kota. Przy jego łapkach leży na wpół zjedzona mysz. Jeśli ją zobaczy któraś z lękliwych kobiet, może zacząć piszczeć podczas nabożeństwa. Obawa ta wprawia babkę w takie zdenerwowanie, że do końca modłów wbija spojrzenie w martwego gryzonia, jakby wierzyła, że jej patrzeć zasłoni mysz przed wzrokiem innych.

Wierni się rozchodzą. Powodowana nagłym impulsem Wiga dotyka ramienia mijającego ją chłopaka.

– Adamie, zaczekaj – prosi. – Nie widziałam twojej siostry. Została w domu?

– Nie wiecie? – Zakłopotany młodzieniec przegarnia dłonią włosy, jakby ten gest miał dać mu czas do namysłu.

– Czego?

- Utopiła się na wiosnę. Na sianokosy będzie rok.
 - Nie słyszałam. W tym czasie zwykle zbieram zioła i rzadko chodzę do wsi. Jak to się stało?
 - Uciekła matce. Ludzie mówią, że skoczyła do rzeki, tam, gdzie głębina.
 - Nie wierzę. – Wiga kręci głową.
 - Pochowali ją w niepoświęconej ziemi, jak psa. – Pięści chłopaka zaciskają się pod wpływem emocji.
 - Poszła za dzieckiem. – Wiga wzdycha. – Nie przypuszczałam, że tak jej na nim zależało.
 - Prędzej uciekła przed kimś, kto na ziemi ją dręczył. Obiecałem, że go znajdę, a nie zdążyłem.
- Słowa Adama przywołują wspomnienie. Wraca podejrzenie, które powstało, kiedy przebywała w chacie dziewczyny. Było coś niepokojącego w zachowaniu matki. Coś, co za wszelką cenę chciała ukryć.
- Może nie powinieneś szukać zbyt daleko – wyrywa się zielarce. Zaskoczenie w oczach chłopaka sprawia, że żałuje wypowiedzianych słów, mimo to dodaje: – Uważaj na młodsze siostry.
 - Adam! Do domu! – W głosie Brodowej brzmi nieskrywany gniew. Jej rodzina jest już daleko. Ona czeka, posyłając Widze niechętnie spojrzenie.

ROZDZIAŁ IV





Mija szósta zima, odkąd Krzysztof Unrug rysował miasto na śniegu. Niewielki dwukondygnacyjny pałac wzniesiony na planie prostokąta błyszczą w słońcu szybami okien, a pod białą pierzynką śpi załazek parku w stylu francuskim usytuowany w miejscu dawnego ogrodu.

Ludzie jak zwykle nie próżnują. Kobiety przędą, tkają, szyją, gotują, opiekując się jednocześnie dziećmi. Mężczyźni, jeśli nie mają nic pilnego do zrobienia, idą do pańskiego lasu. Tam zawsze można sobie dorobić albo zapracować na opał. Odkąd Krzysztof postanowił założyć miasto, okazji do dodatkowego zarobku jest więcej.

Przed starym dworem czekają małe sanie zaprzężone w jednego konia. Baltazar w kozuchu i baraniej czapie stoi jeszcze w progu, jakby się namyślał, w którą stronę ruszyć. Wybiera się do lasu w miejsca, gdzie trwa zrąb, ale to niedaleko, a on ma ochotę na dłuższą przejażdżkę.

Pogoda nareszcie się ustabilizowała. Wcześniej zima jakby nie mogła się zdecydować, czy dręczyć zimnym deszczem i ołowianymi chmurami, czy lepiej dokuczać lodowatym wiatrem. Dopiero w ubiegłym tygodniu napadało śniegu, a potem chwycił mróz. Zima jest taka, jaka być powinna.

Von Lest podejmuje decyzję. Najpierw odwiedzi folwark nad jeziorem Liny, później przez lasy pojedzie w kierunku Woynowa^[22].

Śnieg jest świeży i puszysty, dlatego koń, ciągnąc do góry sanie, momentami zapada się aż po brzuch. Nie wygląda jednak na zmęczonego. Dzielne zwierzę miało chyba dość bezczynności, bo robi wrażenie, jakby wysiłek sprawiał mu radość.

Niezbyt wysokie wzniesienie, będące rodzajem podłużnego płaskowyżu, ciągnie się przez kilka kilometrów, poczynając od Kopanicy, przez Wielką Wieś, Karge, na Chwalimiu kończąc. Wszystkie te

miejsowości leżą u jego podnóża lub lekko się nań wspinają. Z miejsca, gdzie teraz są sanie, widać pobielone dachy dworskich zabudowań, a w nozdrza wdziera się kwaskowaty zapach palonej dębiny. Dym wydobywa się tylko z kominów starego dworu. W murowanym nie ma nikogo.

Krzysztof Unrug i jego żona niewiele czasu spędzili w nowej siedzibie. We wrześniu 1650 roku pani Marianna została uroczyście wprowadzona w progi nie całkiem gotowego budynku, gdzie po roku powiła córkę, Annę Luizę. Dziecina nie zdążyła postawić pierwszych kroków, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci ojca Krzysztofa. Młody Unrug objął więc w posiadanie główną siedzibę w Międzychodzie, a dwór w Karge zszedł na dalszy plan. Zresztą, jak zauważył Baltazar, pani Unrug czuła się tu bardzo samotna. Otaczała ją służba, a towarzystwa dotrzymywała ciotka, lecz męża widywała rzadko. Za ledwie Krzysztof wrócił po trudach obrony Zbaraża i się ożenił, znowu podążył na Ukrainę, by dzielnie stawać do walki pod Beresteczkiem. Kolejny powrót zaowocował narodzinami syna.

Krzysztof realizuje więc swoje zamierzenia krok po kroku. Tylko z jednym wciąż czeka. Nie otrzymał dotąd zgody na założenie miasta. Być może król zwleka, bo Unruhstadt stanowiłoby konkurencję dla dwóch innych blisko położonych miast, królewskiej Kopanicy i Babimostu. Unrug nie daje jednak za wygraną i nie zaniebuje żadnej okazji, by przypominać władcy o swoich planach.

Sanie przecięły w poprzek wzniesienie i teraz suną w dół, ku jezioru. Na jego białej powierzchni von Lest dostrzega rybaka wyrabującego przerębel. W zabudowaniach gospodarstwa panuje spokój. Wrota owczarni są otwarte. To pora karmienia. Owce beczą i robią tumult, pchając się do siana. Zakłopotana żona głównego dzierżawcy informuje, że mąż dopiero co poszedł do lasu. Baltazar się domyśla, że mężczyzna jest pijany. Jego problemy są powszechnie znane i tylko posiadanie gromady dzieci chroni go przed wyrzuceniem z folwarku. W pierwszym roku pobytu w Karge pozbyłby się go na pewno. Wtedy nie darował nikomu. Teraz odrobinę złagodniał.

Wkrótce południe. Słońce świeci tak ostro, że oczy łzawią od iskrzącej się bieli. Sanie suną dalej. Między wysokimi drzewami wzrok odpoczywa. Na świeżym śniegu widać tropy lisa, saren i ledwie widoczne ptasie hieroglify. Z obciążonych gałęzi sosen raz po raz zsuwa się nadmiar białego puchu i z przytłumionym łoskotem uderza o ziemię.

Otwarta przestrzeń i słońce znowu męczą oczy. Baltazar marszczy brwi, ale niewiele to pomaga. Nagle spod zasy leżącej przy krzaku dzikiej róży wyskakuje kilka cietrzewi, wzbijając chmurę śnieżnego pyłu. W oddali lis w szarawym zimowym umaszczeniu cierpliwie czeka na pojawienie się gryzonia. Jeszcze dalej stado saren próbuje wygrzebać spod śniegu odrobinę pożywienia.

Widać już rybacką osadę, Woynowo. Baltazar nie zamierza wjeżdżać do wsi. Kieruje konia na południe i znowu zanurza się w las. Jest już blisko leśnego jeziora przez miejscowych zwanego Świętym. To w jego okolicy prowadzony jest pierwszy zrąb.

Organizacją prac na obu zrębach, które Baltazar dzisiaj odwiedza, zajmują się dwie osoby – gajowy znający las i cieśla specjalnie sprowadzony z Międzychodu. Sosny i dęby, które nadają się na drewno budowlane, zostały wcześniej zaznaczone i w miarę możliwości są ścinane w pierwszej kolejności. Już z daleka von Lest słyszy głucho uderzenia toporów, przenikliwe dźwięki pił, trzask gałęzi i stęknięcia ziemi, kiedy upada stare drzewo. Ludzi jest niewielu. Nikt zbędny nie może się tu kręcić, by nie zostać przypadkowo uderzonym toporem przez drwala biorącego zamach albo przygniecionym konarem walącego się na ziemię drzewa. Praca idzie sprawnie, toteż Baltazar, by nie wprowadzać zamieszania, rusza dalej.

Po prawej zostawia niewielkie skupisko zabudowań nad rzeką. To Chwalim, wieś również należąca do Unruga. Tylko dym idący prosto w niebo jest znakiem, że pod strzechami toczy się życie. Niektórych mężczyzn z osady spotyka na drugim zrębie.

Tu drzewa zostały ścięte wcześniej. Teraz należy je ociosać z gałęzi i popiłować na odcinki odpowiadające długości belek i desek na budowę

domu. Kłody są bardzo ciężkie. Nie ma sensu transportować ich w całości.

Zarządca trafił na przerwę. Zna większość mężczyzn siedzących przy ognisku. To przede wszystkim chłopcy i rzemieślnicy niemający doświadczenia, dlatego są tu, a nie przy ścinaniu drzew. Siada między nimi i wyciąga zziębnięte dłonie ku płonącym sosnowym gałęziom. Dym o żywicznej woni gryzie w oczy, gorąco pali policzki, a podarowany kawał suchego, twardego sera smakuje jak królewskie danie.

Baltazar rozmawia z cieślą i z co śmielszymi mężczyznami. Wyrostki tylko się przysłuchują. Jest wśród nich Jakub. Chłopak bardzo chciał się na coś przydać, dlatego von Lest się zgodził, by tej zimy poszedł do lasu. Rumieńce i krople potu na czole wskazują, że nie próżnuje. Opiekun nie chce go wyróżniać, więc udaje, że go nie zauważa.

Wkrótce sanie z zarządcą nikną za drzewami. Każdy bierze swoje narzędzie i wraca na stanowisko. Stukot siekierek i dźwięki pił nie ustają aż do zachodu słońca. Jutro w tym miejscu pojawią się zaprzęgi wołów. Za pomocą dźwigni zmontowanej z pniaka i drąga grube kłody drewna zostaną wtoczone na bardzo niskie, długie sanie, przymocowane grubymi powrozami, a potem pojedą do tartaku.

Kończy się krótki styczniowy dzień. Ludzie wrócą tu jutro, teraz jednak chcieliby czym prędzej odejść. Słońce jest nisko. Stary, pierwotny bór stał się nagle tajemniczy i groźny. Silni, wysocy mężczyźni rzucają niepewne spojrzenia w stronę, skąd nadchodzi mrok. Czyżby ktoś tam był i im się przyglądał? Czy nagły podmuch wiatru może zapowiadać nadejście leśnych duchów? Kto wie, czy ich czymś nie urazili i zaraz się zjawią, by odpłacić niemądrym drwalom? Szybko, szybko do domu. Rozglądają się, czy zabrali swoje narzędzia, i schodzą w dół, ku drodze. Dopiero teraz mają odwagę spojrzeć za siebie. Wielka czerwona kula słońca chowa się za horyzontem, a powietrze nabiera sinej barwy. Jutro będzie srogi mróz.



Coś się zmieniło. Niepokój się wkradł w codzienne zajęcia mieszkańców

Karge. Do posiadłości Unruga wkrótce mają przybyć kolejni obcy. Unruhstadt już powstaje, choć nie ma formalnej zgody króla na założenie miasta. Na razie to pusta kwadratowa przestrzeń pokryta śniegiem i kilka nowych chat na jej obrzeżach, ale wystarczy, by dotychczasowi mieszkańcy zaczęli się zastanawiać, jak to wpłynie na ich byt. Sukiennik, szewc, stolarz, nawet karczmarz boją się, bo przybysze nie przyjeżdżają z pustymi rękami. Mają ze sobą wyposażenie warsztatów, narzędzia rolnicze, zwierzęta i wielkie plany na rozwój. Zapowiadana samorządność i zwolnienia z danin mają dotyczyć nowych, osiedlających się w granicach miasta. „A co z nami? – po cichu pytają tutejsi. – Dlaczego mamy mieć gorzej? Czemu pan Unrug dba tylko o tamtych?”

Początek 1655 roku to bardzo trudny czas dla Rzeczypospolitej, lecz tu, na jej zachodnich krańcach, większe obawy niż powstanie na Ukrainie i wojna z Rosją wzbudza zapowiedź przyjazdu kolejnych pięciu rodzin. Ma to nastąpić wiosną, kiedy tylko obeschną drogi.

Naruszenie kruchego poczucia bezpieczeństwa powoduje, że zwykłe zjawiska przyrody stają się zapowiedzią nieszczęścia. Źle, gdy słońce krwawo zachodzi, nie lepiej, gdy niktą, maluje niebo odcieniami czerwieni i granatu. Wrona, która przysiadła na dachu, nie bez przyczyny złowróźnie kracze, a pohukiwanie sowy zawsze zapowiada śmierć w rodzinie.

Kto nie musi, nie chodzi po nocy i nie kusi licha. Każdy wie, że mrok to królestwo grzechu, złodziei i złych duchów. Lepiej zamknąć się w chałupie, zająć ręce jakąś pożyteczną robotą i siedząc z bliskimi, śpiewać lub słuchać opowieści. Przed tymi, którzy znają ich wiele, każde drzwi stoją otworem.

Podczas długich wieczorów ozywają demony sprowadzające podróżnych na manowce, topielice wciągające do wody, by więzić potem dusze utopionych, wilkołaki mordujące brutalnie ludzi i zwierzęta oraz mamuny dręczące ciężarne kobiety albo czyhające, by porwać ich dzieci.

Do historii, w które można wierzyć albo nie, dochodzą inne, nie mniej niepokojące, bo zdarzyły się tutaj. Choćby zniknięcie przed paru laty

Doroty, córki Wigi. Najpierw wszyscy byli przekonani, że skruszona niedługo wróci. Rozważano jedynie, z kim poszła i czy będzie miała ze sobą kolejne dziecko spłodzone w grzechu. Nikt się nie zdziwił, kiedy się okazało, że po sobótkowej nocy córce zielarki zaczął rosnać brzuch. Tak jakby pewne rzeczy miały się zdarzać tym, którzy na to zasługują, a inni, ci lepsi, byli od nich wolni. W oczach ludzi Dorocie należał się los, jaki ją spotkał.

Trudno było lubić dziewczynę o złotych włosach, oczach błękitnych jak niebo i śmiejącą się do wszystkich, nawet do żonatych mężczyzn. Matki synów nadających się do żeniaczki kładły im do uszu, by nie wodzili wzrokiem za panną bez posagu, w dodatku córką nieznanego ojca. Kobiety zamężne za każdym razem, kiedy chłop gdzieś szedł, zastanawiały się, czy nie na spotkanie z Dorotą. Szczególną niechęć wzbudziła córka Wigi, kupując na jarmarku makową spódnicę. One, jak przystało na skromne żony albo córki rolników i rzemieślników, chodziły odziane w szare lub czarne wełniane suknie i białe koszule, a tu córka biednej zielarki, uważana zawsze za kogoś gorszego, kupiła drogą spódnicę, której kolor jeszcze bardziej przyciągał spojrzenia mężczyzn. Za ten kawałek czerwonej szmatki nie lubiły Doroty najbardziej i czuły cichą satysfakcję, że właśnie w makowej spódnicy widziano ją ostatni raz.

Po kilku latach złość osłabła. Niektórzy nawet nie pamiętają niechęci do płochej dziewczyny, a temat jej zniknięcia pojawia się wtedy, gdy wszystkie inne są wyczerpane. Choćby teraz cztery sąsiadki przędące wełnę, każda z kręcącym się wrzecionem w jednej ręce i wełnianą czesanką w drugiej, podniesionej do góry, roztrzęsają po raz nie wiadomo który, co mogło się stać z Dorotą. Na stole stoi dzban i cynowe kubki, do których gospodyni coraz dolewa piwa.

– Może ojca poszła szukać.

Pomysł żony owczarza jest całkiem nowy i nigdy dotąd nieprzedyskutowany, dlatego wszystkie jak na komendę przestają prząść, dając odpocząć podniesionej dotąd ręce.

– Ojca? Przecież ona nie miała ojca.

– Każdy ma ojca.

– Ale nie ona.

– To skąd się wzięła? – pyta najmłodsza z kobiet, niemal dzieckiem będąca, gdy zaginęła córka zielarki.

– Wzięła się jak każdy. Nie będę ci tłumaczyć. Masz chłopca. – Gospodyni wzrusza ramionami.

– No to ma ojca. – Młoda kobieta nie daje za wygraną.

– Ja wiem, jak to było – odzywa się żona kowala, poprawiając czepek na siwych włosach. – Jak zmarła stara Regina, ta, co przed Wigą była, pan Żychliński przywiózł Wigę.

– Skąd? Myślałam, że ona tutejsza.

– Nie. Wiga jest z Grünwaldu – tłumaczy kowalowa, zadowolona, że jest w centrum zainteresowania. – Kiedy pan Żychliński ją przywiózł – podejmuje przerwany wątek – mogła mieć tyle lat, co ty. Żaden chłop się nią nie interesował, bo majątku nie miała. Nawet chałupa do pana należała, nie do niej. Garb też się nikomu nie podobał, ale gdyby miała ziemię albo inne bogactwo, chętny by się znalazł. Daj jeszcze piwa, bo mi w gardle zaschło – przerywa, wyciągając dłoń z kubkiem w stronę gospodyni.

Dźwięki towarzyszące przełykaniu piwa ustały, a kowalowa milczy. Żona owczarza się niecierpliwi.

– I co, nie bała się sama mieszkać pod lasem?

– Bała się czy nie, nie miała wyjścia.

– Mówcie, kowalowa, skąd się Dorota wzięła.

– Wtedy już ta wojna u Niemców była. Jednego razu zapuściło się tu kilku konnych. Nie mówili po naszemu. Najpierw w karczmie wypili i zjedli, nic nie płacąc, a potem za baby chcieli się wziąć. Ale jak oni do karczmy poszli, to myśmy do lasu uciekły. Zostały same stare, co myślały, że ich nie ruszą, i Wiga. Akurat jakieś maści niosła mojej matce. W krzyżu tak coś biedaczce łupnęło, że kroku nie mogła zrobić. Mówiłam jej, żeby tyle nie dźwigała, ale ona...

– O Widze mieliście mówić – przypomina gospodyni, dolewając kowalowej piwa.

– Żołnierze złapali ją, jak szła z maścią, i dla śmiechu podsunęli jednemu ze swoich. Mówili, że był młodziutki i że płakał. Nie chciał garbuski niewolić, ale jedni ją trzymali, drudzy jego. W końcu, jak ona z zadartą spódnicą leżała, on ochoty nabrał. I stąd się wzięła córka zielarki. Widzisz, że ojca Doroty szukać to jak wiatru w polu.

– Biedna. – Młoda kobieta ociera łzę fartuchem.

– Kto? Wiga? Mogła po wsi nie chodzić, tylko się schować, jak my wszystkie.

– A jak nie wiedziała o żołnierzach?

– A daj ty mi spokój. Nie będę jej żałować. Nie jest taka jak my. Ile razy ostatnio była na nabożeństwie? – Milczenie kobiet jest wystarczającą odpowiedzią dla żony kowala. – Widzicie? Nas takie rzeczy nie spotykają, bo nie ściągamy na siebie bożego gniewu. Ja trzymam z pastorem, a w kaplicy zawsze siadam na przodzie. Sama sobie winna.

– A garb? Przecież to nie jej wina – upiera się żona owczarza.

– Tego nie wiesz. Bóg na pewno miał jakiś plan, stwarzając ją taką. Może chciał nas przed nią ostrzec.

Nie wiadomo, czy któraś z kobiet myśli podobnie jak kowalowa, ale jakoś przykro im się zrobiło. Dobrze, że czas pójść do swoich domów. Owczarz obiecał, że przyjdzie i je wszystkie odprowadzi.



Pastor ma powody do zadowolenia. Liczba wiernych się powiększa, bo przybysze to jak dotąd wyłącznie pobożni luteranie. Jedyłą troską jest przeciekający gontowy dach i ciasnota w kaplicy. Należałoby wznieść nową, ale ten skąpiec, który zarządza posiadłością, wykręca się od odpowiedzialności i odkłada decyzję do przyjazdu Unruga. Na nabożeństwach znowu rzadko bywa, chociaż kaplica stoi tak blisko dworu, że wystarczyłoby przejść kilkadziesiąt kroków, by się znaleźć

w jej wnętrzu.

Schilberg przesadnie zadziera głowę, wypatrując ubytków w dachu. Ma nadzieję, że von Lest, przyjmujący dzisiaj dzierżawców, dojrzy krążącego wokół kaplicy kapłana i zapyta o przyczynę zatroskania. Tymczasem uwagę jego samego przyciągają pełne entuzjazmu okrzyki dobiegające od strony lasu i towarzyszące im krakanie. Widok zasłania stodoła, toteż patrząc uważnie pod nogi, by nie wdepnąć w błoto lub łajno, podąża w kierunku intrygujących hałasów. Tuż za rozległym warzywnikiem zaczyna się las. Na jego skraju rośnie kilka krzywych, powykęcanych, ale i niemałych sosen. Każdą z nich zajęła jedna wronia rodzina. Prócz ptaków pastor dostrzega tam dzieci próbujące podebrać im jaja. Uśmiecha się z wyrozumiałością, bo dawno temu, w czasach swego dzieciństwa, też był gotów wejść na najwyższe drzewo, by zaspokoić głód. Podkradanie powtarza się każdego roku w drugiej połowie kwietnia. Przednówek to dla ubogich najgorszy okres. Kończą się zapasy, a do żniw jeszcze bardzo daleko. Ratunkiem są pierwsze pokrzywy i ptasie jaja.

Już ma się odwrócić, kiedy zauważa drobną postać wspinającą się na najwyższą sosnę. Nie może uwierzyć własnym oczom. By się upewnić, wchodzi za chruściane ogrodzenie warzywnika i zatrzymuje się dopiero przy jego krańcu. Stąd ma lepszy widok. Nie mylił się. Na drzewie jest dziewczyna! Chłopcy stojący na ziemi zachęcają ją, by weszła wyżej. Ona chyba się waha. Momentami się namyśla, patrzy w górę, jakby oceniała możliwości, a potem, opierając bosą stopę na sęku, podciąga się do góry. Nagle twarz duchownego zalewa pąsowy rumieniec. Dociera do niego przyczyna entuzjazmu pokrzykujących wyrostków. Dziewczyna, odziana tylko w koszulę sięgającą za kolana, za każdym razem, kiedy zawisa na gałęzi, błyska gołym zadkiem, a chłopcom wcale nie chodzi o wronie jajka, tylko o ten widok. Schilberg ma ochotę przerwać tę nieprzystojną zabawę, ale przestraszone dziewczę mogłoby spaść, dlatego stoi, powstrzymując gniew. Nie musi długo czekać. Jeden z wyrostków na widok pastora daje nura do lasu, a za nim cała reszta. Osóbka na drzewie nie robi wrażenia przejętej. Ścisnąwszy udami konar, sięga do wroniego

gniazda. Para ptaków próbuje go bronić, ale ona beztrąsko opędza się jedną ręką, a drugą rozbija jajka, by ich zawartość wlać do gardła. Pastor jakby wrósł w ziemię. Zafascynowany przygląda się dziecku, które schodzi z drzewa. Stara się uchwycić wzrokiem każdy ruch dłoni łapiącej gałęzie i stóp szukających oparcia w konarach i sękach. Podziwia zręczność i instynkt bardziej właściwy zwierzęciu niż ludzkiej istocie. Po kilku minutach jasna plama koszuli odrywa się od rdzawego pnia. Zeskok i dziewczynka lądują na ziemi.

– Rozalindo!

Mała się rozgląda, równie zdumiona nieznanym dotąd brzmieniem swego imienia, jak i brakiem chłopięcej kompanii. Przy ogrodzeniu warzywnika stoi zagniewany pan Schilberg. Chciałaby uciec do lasu, ale zdaje sobie sprawę, że to nic nie da. Pastor ją rozpoznał, więc i tak poszedłby na skargę do babki. Wciąga porzuconą pod drzewem szarą spódnicę i strzepuje igliwie z ramion. Ze spuszczoną głową podchodzi do mężczyzny i zatrzymuje się przy płocie, ustawiając się do pastora tak, by nie zauważył świeżego rozdarcia z tyłu koszuli.

– Gdzie babka? Jest we dworze?

Rozalka kręci przecząco głową, wlepiwszy wzrok w brudne, poplamione żywicą i podrapane do krwi stopy.

– To co tu robisz?

– Babka posłała mnie z uprzedzoną wełną do sukiennika z Dolnej Wsi. Zaniósłam mu i wracam.

– Ładnie wracasz. Widziałem, jak podbierałaś jaja ptakom.

– Chciało mi się jeść.

– Nie przystoi, żeby dziewczyna chodziła po drzewach z chłopakami i jeszcze pokazywała im zadek.

Rozczochrana głowa unosi się i dopiero teraz pastor może dokładnie przyjrzeć się dziecku. Ciemne, splątane włosy opadają na ramiona. Pełno w nich igliwia i różnych paprochów. Z twarzy umorusanej żółtkiem spoglądają oczy okrągłe i wyraziste jak u sowy. Od ptasich różni je

jedynie barwa. Są niemal czarne. Pastorowi przebiega po plecach dreszcz. Mała ma spojrzenie babki. Próżno w nim szukać stosownej kobietom pokory.

– Dziewczyny nie poszłyby ze mną po jajka. Musiałam z chłopakami – pada odpowiedź.

„Czyżby kpiła ze mnie?” – W głowie pastora pojawia się niemile przypuszczenie.

– Wracaj do babki i powiedz, żeby jutro w południe przyszła na rozmowę.

– Jutro nie przyjdzie. Mamy kaczeńce zbierać.

– Pójdziecie później.

– Później nie można.

Pastor ma dość rozmowy z krnąbrnym stworzeniem.

– Niech przyjdzie przed zachodem. Teraz zejdz mi z oczu.

To polecenie dziewczynka wykonuje z ochotą. Kiedy omija wielką kałużę na tyłach dworskiego browaru, zza krzaków dobiega ją ciche wołanie:

– Rozalka! Rozalka...

Rozpoznawszy głos, kieruje się w jego stronę. W zagłębieniu pełnym zeszlórocznych zgniłych liści przykucnął Jakub.

– Czego chciał Schilberg? – Pytanie zadaje szeptem, jakby ktoś mógł ich podsłuchać.

– Żeby babka przyszła na rozmowę.

– Po co?

– Żeby powiedzieć, że z chłopakami na drzewo wchodziłam.

– Dostaniesz lanie?

– Co cię to obchodzi? Uciekłeś.

– Nie złość się. Pobiegłem ze wszystkimi. Dopiero później pomyślałem, że to głupie, bo zostawiliśmy cię samą – tłumaczy, widząc nadąsaną buzię dziewczynki.

– Idę. Babka będzie zła.

– Czekaj. Coś ci pokażę. – Jakub sam nie wie, co miałby pokazać, ale chce, by Rozalka jeszcze została.

– Co?

Chłopak chwilę się namyśla, w końcu chwyta klejącą się od żywicy dłoń i wyprowadza swą towarzyszkę na drogę. Najpierw na wilgotnym piasku kreśli jakieś znaki, potem zerka na Rozalkę, by sprawdzić, jakie wywarł wrażenie. Dziewczynka się pochyła, a podarta koszula odsłania fragment pleców.

– Co tam masz? – pyta zaintrygowany Jakub.

– Gdzie?

– No, tu. – Chłopak dotyka palcem czerwonej plamy na łopatce. – Poparzyłaś się?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– To cię boli?

– Nie! Daj mi spokój. Nic tam nie mam. – Opędza się zniecierpliwiona. Bardziej interesują ją dziwne zakrętasz narysowane przez Jakuba patykami. Wpatruje się w nie, marszcząc brwi. – Zakłęcie? – pyta z lekką obawą.

– Nie! To twoje imię. Tu jest napisane R-O-Z-A-L-K-A.

Dziewczynka spogląda to na napis, to na Jakuba.

– Naprawdę? R-O-Z-A-L-K-A? – powtarza takim samym tonem jak chłopiec. – Umiesz pisać?!

– Pan Baltazar mnie nauczył. Czytać umiem od dawna.

– To napisz Jakub.

Na piasku pojawiają się nowe zakrętasz. Rozalka aż wzdycha z emocji.

– Ja też chcę umieć. Naucz mnie! Szybko!

– Jesteś dziewczyną. To ci niepotrzebne.

– Czemu? – Wielkie oczy stają się zagniewane. – No czemu, powiedz.

– Nie wiem. Tak już jest.

Przykucnięte na drodze dzieci nie słyszą kroków stawianych na wilgotnym piasku. Dopiero głos Baltazara sprawia, że zrywają się na równe nogi niczym winowajcy przyłapani na gorącym uczynku.

– Nie masz racji, Jakubie – mówi von Lest z poważną miną. – Dziewczyny powinny przynajmniej umieć czytać. Dobry luteranin, nieważne, czy to mężczyzna, czy kobieta, poznaje Pismo poprzez samodzielne czytanie, branie do serca słów Najwyższego i rozważanie ich. Dobrze się stanie, jeśli choć trochę ją pouczysz. Ja mogę ci czasem pomóc.

Sowie oczy dziewczynki wpatrują się w wysokiego pana w czarnym kapeluszu. Rozalka się namyśla.

– Nie – odpowiada Baltazarowi. – Wolę, żeby Jakub mnie uczył. Wy jesteście za starzy – dodaje z dziecięcą szczerością.

– W takim razie – Baltazar kłania się z uśmiechem – oddalam się do zajęć odpowiednich dla starych ludzi.

Chłopak jest nieco zmieszany, ale po chwili znowu oboje pochylają się nad R-O-Z-A-L-K-Ą.

Później, kiedy Jakub zostaje sam, coś jeszcze kreśli na mokrym piasku. Rysunek przypomina różowe płaskie znamię, które dostrzegł na plecach dziewczynki.



Nawoływania żurawi są tak głośne, że nawet dzieci zrywają się o poranku, bo spać pośród tego pokrzykiwania nie sposób. Baltazar też je usłyszał, choć dwór stoi w sporej odległości od nadrzecznych łągów, gdzie w niedostępnych miejscach hałaśliwe ptaki wysiadują jaja. O tak wczesnej porze nie miał ochoty na posiłek, postanowił więc pojechać na pola, by sprawdzić kondycję zbóż zasianych jesienią.

Mimo że zrobił, co zamierzał, nie ma jeszcze ochoty wracać. Agata na pewno czeka ze śniadaniem, on jednak zawraca i kieruje konia do wsi, a właściwie na jej obrzeża, gdzie stoi chata rymarza. Sprawę reperacji

upręży mógłby załatwić Albert, ale skoro jest blisko, zrobi to sam.

Myśli Baltazara zajmuje przyszłość Jakuba. Rano spotkał go, jak poił konie przy studni. Dziecko znalezione na drodze z górą sześć lat temu jest teraz około dwunastoletnim wyrostkiem. Pracuje w dworskim gospodarstwie i tak może zostać do końca jego życia, ale von Lest chciałby raczej, by jego podopieczny zdobył jakiś fach. Jednakże perspektywy dziecka nieznanego ojca są marne. Prawa cechów zabraniają przyjmowania na naukę bez świadectwa prawego pochodzenia, zamknięte są dla nich nawet najmarniejsze urzędy. Do śmierci pozostają pogardzanymi wyrobnikami, choćby byli najzdolniejsi. Zdarza się, że los się do któregoś uśmiechnie, ale dotyczy to rzadkich przypadków. W mieście należącym do Unruga na pewno znalazłby się rzemieślnik, który by go wyuczył, ale na tym skończyłaby się kariera chłopaka. Czekaloby go to samo, co niewyzwolonych czeladników. Zostałby partaczem^[23] pogardzanym przez rzemieślników.

Umówiwszy się z rymarzem w sprawie naprawy upręży, Baltazar zatrzymuje się na skraju wsi i z wysokości końskiego grzbietu patrzy w stronę rozlewisk nad rzeką. Żurawie już umilkły, ale życie na łągach toczy się dalej. Wśród sezonowych strumyków i kałuż skubie trawę stado siwych wrzosówek i ich czarnych jagniąt. Jednak to nie one przyciągają uwagę von Lesta. Nieco dalej brną przez wielkie rozlewisko dwie postacie. Starsza, pochylona, z kijem w jednej i koszem w drugiej ręce. Młodsza, właściwie dziecko, ma na plecach specjalnie wyprofilowany kosz z szelkami. Jest on za duży i nawet z daleka widać, jak niewygodny musi być dla brodzącej w kwietniowej wodzie dziewczynki. Kiedy docierają do brzegu wielkiej kałuży, Baltazar domyśla się, po co szły. Łąka w tym miejscu usiana jest kępami jaskrawożółtych kaczeńców. Wiga coś mówi do wnuczki. Chyba jej wyjaśnia, jak ma zbierać ziele. Może nawet tłumaczy, na którą chorobę będzie pomocne. Stopniowo kosze zapełniają się ociekającymi wodą roślinami. Mimo że zielarkom na pewno dokucza zimno i są przemoczone, z jakiegoś powodu nie wracają, tylko nikną w kępie olszyn. Wkrótce rozlega się stamtąd przeraźliwe kwakanie

najpierw jednej, a potem całego chóru oburzonych par dzikich kaczek, którym wybrano jaja z gniazd.

Koń się niecierpliwi, a żołądek Baltazara przypomina, że pora śniadania dawno minęła. Jeździec robi więc zwrot i drogą przez Dolną, a potem Środkową Wieś wraca do dworu. Tu czeka go niespodzianka. Sprzed nowego budynku rusza właśnie kareta zaprzęzona w dwie pary koni i kieruje się w stronę stajni. Duże wejściowe drzwi są szeroko otwarte, a z wnętrza dochodzą głosy.

„Goście? Żaden list ani posłaniec nie zapowiedział ich wizyty. Nie ma służby, nowy dwór wyziębiony i niewietrzony”. – Zarządcę ogarnia panika. Zdenerwowanie rośnie, kiedy w drzwiach pojawia się siwowłosa jejmość słusznej postury wydająca polecenia dreczczącym za nią w pokornych pozach Agacie i Albertowi. Zna ją! Była tu w ubiegłym roku. To ciotka Marianny, żony Krzysztofa, która zawsze jej towarzyszyła, kiedy ta przyjeżdżała do Karge. „Czyżby pani Unrug zawitała do nas niespodzianie?” – zastanawia się von Lest, planując jednocześnie po cichu odstawić konia i wycofać się do swojej siedziby, by zmienić ubiór na przywitanie pani.

– Jesteś nareszcie, panie Baltazarze! – Okrzyk pełen pretensji zatrzymuje go w miejscu. – Doczekać się nie mogłam. Nie rozumiem, doprawdy, jak można tak zaniedbać pałac. Powinno być tu stale wietrzzone, kurze ścierane, w piecach przepalane. Zgroza mnie zdjęła, kiedy weszłam do środka.

– Nie spodziewaliśmy się gości. – Baltazar próbuje tłumaczyć, ale dama go nie słucha.

– Kazałam Albertowi sprowadzić baby ze wsi, żeby zrobiły porządek. – Powiedziawszy to, rozgląda się, a widok służącego wywołuje grymas na jej twarzy. – Jeszcze tu jesteś, niecnoto? Do wsi leć! Mamy w brudzie i zimnie siedzieć bez końca? A pan, panie Baltazarze, zamierzasz do wieczora z konia nie schodzić? – Teodora Broniewska obrzuca von Lesta krytycznym spojrzeniem, następnie robi w tył zwrot i wraz z podążającą za nią Agatą wraca do środka.

W kuchni starego domu pusto. Kucharka nie odstępowała pani Teodory, nie ma więc kto usmażyć zarządcy jajecznicę na słoninie. Baltazar zaspokaja głód kawałkiem suchego chleba popitym piwem i, chcąc nie chcąc, idzie do gości, choć najchętniej czmychnąłby do lasu.

Po dziedzińcu spaceruje tam i z powrotem jakaś kobieta. Z początku nie zwraca uwagi na von Lesta, może nawet go nie widzi, tak bardzo pochłaniają ją rozmyślenia. Rumieńce na policzkach i zmarszczone brwi wskazują na wielkie poruszenie. Jest raczej młoda, choć Baltazar nie potrafi określić wieku. Być może, jak większość dam widywanych na dworach, dba o urodę, próbując oszukać upływający czas. Nadal ma na sobie czarną podróżną suknię i czepek na kasztanowych włosach. Wreszcie, wciąż zamyślona, zatrzymuje się przed von Lestem, zdumiona podnosi głowę i patrzy na niego wzrokiem osoby obudzonej z głębokiego snu.

– Baltazar von Lest, do usług. Jestem kuzynem Krzysztofa Unruga – wyjaśnia zarządca po oddaniu głębokiego ukłonu.

– A! Christoph von Unruh! Rozumiem. Ja nie mówię po niemiecku – usprawiedliwia się kobieta. – Francuski? – proponuje, a kiedy Baltazar kręci przecząco głową, pyta: – Łacina?

Tym razem jest łatwiej, bo mogą się porozumieć. Von Lest dowiaduje się więc, że Luiza de Croy, po mężu Skórzewska, zdecydowała się skorzystać z gościny w Karge, gdyż jej trzyletnia córka nagle zachorowała.

– To tylko niedyspozycja żołądkowa – tłumaczy dama. – Musiałyśmy jednak przerwać podróż.

– Dlatego jesteś pani tak wzburzona. Choroba dziecka to dla każdej matki powód do zmartwienia.

– Och, tak! Bardzo się martwię o Laurę. Nie wiem, co małżonek powie na mój brak rozsądku. Odradzał mi podróż. A ja musiałam, musiałam się wyrwać. Nie mogłam już znieść zimy, chłodu, ciemności. Kocham słońce i morze. Nie mogę w Polsce wytrzymać. Chciałam spędzić lato u rodziców we Francji. A tu taki pech!

Wielkie orzechowe oczy wpatrują się w Baltazara w poszukiwaniu współczucia, ale on jest ciekaw czego innego.

– Czy Teodora Broniewska to krewna pani?

– Nie moja. Mego męża. Broniewscy i Skórzewscy są ze sobą powiązani. Ja nie mam krewnych w Polsce. Zanim wyszłam za mąż za pana Skórzewskiego, byłam damą dworu Jej Królewskiej Mości. To królowa mnie wyswatała. Trochę żałuję. Przedtem życie było o wiele zabawniejsze. – Wzdycha na wspomnienie lepszych czasów.

Następny dzień mija w ogromnym zamieszaniu. Baltazar ma wrażenie, że już pół wsi zatrudniono do ścierania kurzu, wietrzenia, trzepania chodników, wymiatania popiołu z kominków i pieców oraz przynoszenia opału. Drugie pół organizuje pożywienie. Z samego rana stawili się rzeźnik i rybak, po czym oddalili się czym prędzej, by wkrótce wrócić z dostawą. Nie zmniejszyło to narzekań pani Teodory, toteż jedyną zadowoloną osobą wydaje się woźnica, który nie robi nic poza dbaniem o cztery konie, brataniem się ze stajennym, leżeniem na sianie z przerwami na posiłki.

Córeczka Skórzewskiej nadal ma biegunkę i wymiotuje. Albert od razu zaproponował, żeby wezwać Wigę, jednak obie damy ofuknęły go, oskarżając, że ciemną babę chce do dziecka wołać. Pani Teodora, która wychowała trzech synów, uważa, że dolegliwość jest błaha i minie, kiedy dziewczynka wypocznie. Lecz Laura robi się coraz bledsza i niepokojąco słaba.

– Panie, zróbcie coś. One są gotowe wykończyć dzieciaka, byle postawić na swoim. – Albert od obiadu wierci Baltazarowi dziurę w brzuchu. – Albo będą tu siedzieć bez końca – straszy.

– Zaproponuję im, że sprowadzę medyka z Wolsztyna.

– To długo potrwa i nie wiadomo, czy medyk się zgodzi jechać taki kawał drogi. Lepiej niech Wiga przyjdzie.

– Kiedy sam widzisz, że jej nie chcą.

Przed wieczorem dziewczynka straciła na chwilę przytomność. Dopiero

to sprawiło, że wezwanie zielarki nie było już tak godną potępienia czynnością. Pobiegnął po nią Jakub.

Biegunka w przypadku małego dziecka może być niebezpieczna, w dodatku jeśli trwa długo. Zrozumiały to chyba obie szlachetnie urodzone panie, bo choć osłupiały na widok Wigi, przypominającej wyglądem wiedźmy z baśni dla niegrzecznych dzieci, milczą, obserwując kobietę. Ona też się do nich nie odzywa. Pochyliła się nad leżącą dziewczynką, zagląda do pełnego nocnika, wącha odchody, mruczy coś pod nosem, a potem bez słowa wychodzi.

Kobiety, stojące dotąd w bezpiecznej odległości, ruszają za nią przez podwórze, a potem do kuchni starego dworu, gdzie Agata dogląda piekącego się kołacza z serem. Jego cudowny zapach w innych okolicznościach skusiłby każdego, teraz nikt nie zwraca uwagi na apetyczną woń. Wiga rozmawia z kucharką, używając miejscowego, niezrozumiałego dla kobiet języka. Mimo to pilnie nadstawiają uszu, by dowiedzieć się czegokolwiek.

Na stole leżą płócienne woreczki z tajemniczą zawartością. To o nich mowa. Kucharka kiwa potakująco głową, dając znać, że zrozumiała instrukcje. Wreszcie Wiga się odwraca i patrzy na chodzące za nią niewiasty. Jest rozgniewana, ale dalej niczego im nie próbuje wyjaśnić. Dopiero czekającemu na dziedzińcu Baltazarowi tłumaczy:

– Agata zrobi dziecku leczniczy napój, a one – wskazuje na Teodorę i Luizę – mają tak długo klęczeć i powtarzać modlitwę *Ojcze nasz...*, aż lekarstwo będzie gotowe. Inaczej wszystko na nic. Potem tylko Agacie wolno karmić małą i tylko tym, co powiedziałam. Pić ma dużo, ale tylko napój z ziół. Żadnej wody! A one niech się nie wtrącają.

Baltazar nie jest pewien, czy Wiga rzeczywiście jest mocno rozgniewana, czy robi przedstawienie dla osiągnięcia lepszego efektu. Dość, że nawet pani Teodora kuli się pod wpływem srogiego spojrzenia zielarki i jej wyciągniętego oskarżycielsko palca zakończonego długim paznokciem nie pierwszej czystości.

– Wrócę tu jutro – zapowiada Wiga.

A damy, choć nie rozumieją, co mówi, domyślają się, że muszą się dobrze sprawować.

Wkrótce chora dziewczynka zasnęła, napojona najpierw naparem z mieszanki ziołowej, potem miksturą z dodatkiem maku. Kiedy obudziła się w nocy, czuwająca przy niej Agata znowu podała jej napar. Rano dziecko poczuło się nieco lepiej.

Po dwóch dniach goście mogli ruszyć w dalszą drogę. I na pewno za jakiś czas wspomnienie pobytu w Karge zatarłyby inne zdarzenia w życiu pani Luizy de Croy Skórzewskiej, gdyby, wsiadając do karety, nie spojrzała przypadkiem na chłopca trzymającego konie.

– *Mon Dieu!* – zawołała, opadając na siedzisko wewnątrz pojazdu. – Ujrzałam ducha!



Czerwiec się kończy. Udało się zebrać siano i ułożyć w stogi. Von Lest trochę popracował przy sianokosach, ale tym razem nie przesadził z wysiłkiem, dlatego nie czuje się zmęczony. Jeszcze nie pora kolacji, a zarządcy już burczy w brzuchu.

– Zjecie kluski, co zostały z obiadu? – Pytanie Agaty jest formalnością. Kucharka dobrze wie, że Baltazar na pewno nie pogardzi jęczmiennymi kluskami suto okraszonymi słoniną.

Kupka żaru zabezpieczona warstwą popiołu przed wygaśnięciem daje początek nowym płomieniom, toteż głodny zarządca nie musi długo czekać. Po kilku minutach kobieta stawia przed nim pełny talerz, kubek i dzban z piwem.

– Jedzcie – zaprasza. – Nie będzie wam przeszkadzać, że ciasto z brzegu stołu pouginatam? Na kolację będą słodkie bułki. Dzieci je lubią.

Dzieci to Jakub i Rozalka. Dziewczynka właśnie przybiegła na codzienną lekcję pisania liter na piasku. Chłopak wolałby pójść z nią do lasu, żeby sprawdzić, czy już się pokazały grzyby, ale skoro zarządca kazał uczyć, nie ma wyjścia.

Agata odstawia przykryty ściereczką rozczyn w ciepłe miejsce i zabiera się do przygotowania innych składników ciasta. Baltazar je wolno, by przedłużyć przyjemność przebywania w miejscu kojarzącym się mu z dzieciństwem i kucharką podtykającą łakocie pańskiemu dziecku. Albert ma we wsi rodzinę, więc wieczorem zawsze zostają z Agatą sami. Jakub, który wstaje o świcie, zwykle szybko zasypia, a von Lest i kucharka czasem milczą, a kiedy indziej rozmawiają, roztrząsając wiejskie sprawy. W przeciwieństwie do Alberta Agata rzadko kogoś ocenia. Opowiada po prostu, co się dzieje, bywa, że wspomni, komu trzeba pomóc, dzieli się swoimi zmartwieniami, wygłasza monologi na jakiś temat albo głośno układa jadłospis na kolejne dni.

Od z górą dziesięciu lat żyje bez męża. Jej Maciej pewnego dnia poszedł sobie w świat. Wrócił parę razy po pieniądze, ale zostać nie chciał. Oskarżył żonę, że mu dzieci nie dała, więc nie ma dla kogo w domu siedzieć. Kiedy poprzedni zarządca przyjął Agatę do dworskiej kuchni, zaczęły się dla niej lepsze czasy. Mężowską chałupę wynajęła, a sama przeniosła się do izdebki przy kuchni. Robi, co lubi, a że mięsa, słoniny, mąki, kasz najróżniejszych i serów tu nie brakuje, nie musi się martwić, co jutro włoży do garnka.

Z każdym rokiem kucharki jest jakby więcej. Nie za dużo. W sam raz, by patrzyło się na nią z przyjemnością. Patrzenie na Agatę jest dla Baltazara tak samo ważne jak jedzenie, rozmowa i piec promieniujący ciepłem.

Nigdy nie widział jej z gołą głową. W kuchni ma zawsze biały, sięgający karku czepek. Do kaplicy też chodzi z nakrytą głową, z tą różnicą, że kolor czepka jest czarny. Czasem, kiedy pracuje, spod białej tkaniny wymyka się na czoło niesforny kosmyk jasnych włosów. Równie jasne są brwi i rzęsy okalające małe, bladoniebieskie oczy. Za to rumieńce na policzkach i czerwone pełne usta nadają obliczu kucharki żywe barwy. Kiedy się śmieje, pokazuje mocne, białe zęby, a wokół oczu pojawia się sieć drobnych zmarszczek.

Jeśli niewiele wiadomo o włosach kucharki, to o jej piersiach wiadomo

prawie wszystko. Zbyt ciasny granatowy gorsecik, opinając tułów, unosi do góry nadmiar ciała, wypychając na światło dzienne największy walor urody Agaty. I nie jest go w stanie całkiem ukryć biała koszula z cienkiego płótna. To na niej, a właściwie na tym, co pod nią, skupia się teraz wzrok Baltazara. Kobieta coś opowiada i jednocześnie wyrabia ciasto. Jej piersi przy każdym gwałtowniejszym ruchu podrygują, kołyszą się i drżą. Nie wiadomo, co się dzieje w głowie zarządcy, w każdym razie nagle spuszcza wzrok na dłonie ugniatające ciasto z taką energią, że stół pojękuje pod wpływem pchnięć, rozciągań i uderzeń. Ten widok też nie pomaga uporządkować myśli, bo w pewnym momencie von Lest wstaje od stołu i wychodzi, zapowiadając, że wróci, kiedy bułeczki będą gotowe.

Zuzanna pozostanie na zawsze tą jedną jedyną, najukochańszą, ale nie żyje od trzydziestu lat. Von Lest po jej śmierci wstąpił do śląskich dragonów i tak długo ścigał z nimi lisowczyków, aż wybił ich prawie do szczytu. Do spalonego majątku nigdy nie wrócił. Potem walczył przeciwko cesarzowi, dowodząc kompanią lekkiej jazdy. Trwająca trzy dziesiątki lat wojna miała okresy intensywnych walk i przemarszów wojsk oraz fazy uspienia, kiedy to pozbawione zajęcia i żołdu wojska nękały ludność cywilną. W takim czasie Baltazar, podobnie jak inni dowódcy, znajdował sobie kwaterę u samotnej, potrzebującej opieki niestarej kobiety. Dając oficerowi wikt, opierunek i miejsce pod pierzyną, przynajmniej nie musiała się bać najścia żołnierskiej tłuszczy.

Agata jest w Karge postrzegana jako gorliwa luteranka i przykład małżeńskiej wierności, toteż Baltazarowi nigdy nie przyszło do głowy, by nocą odwiedzić ją w izdebce. Nie mając nadziei na żadne pieszczoty prócz tych, które dotyczą żołądka, przychodzi do kuchni, by popatrzeć, a czasem pomarzyć, tak jak się marzy o posiadaniu kamienia filozoficznego.

Niedaleko lodowej piwnicy^[24] na ziemi siedzi Rozalka i rysuje coś patykami.

– Gdzie się podział Jakub?

Dziewczynka podnosi głowę. Jej umorusana buzia jest smutna, a w ciemnych oczach błyszczą łzy.

- Zezłościł się na mnie. Powiedział, że jestem głupia, i poszedł sobie.
- No popatrz, jaki ważny! Chce, byś pojęła w miesiąc to, czego sam więcej niż rok się uczył. Nie smuć się, zaraz z nim porozmawiam.
- Nie trzeba. Pójdę poszukać babki. Może żona młynarza już urodziła.
- Babka przy narodzinach pomaga?
- Chyba. Wołali ją zaraz, jak przyszłyśmy od siana.

Wiga z wnuczką pracowały dzisiaj przy sianie na dworskich łąkach. Zielarka nie ma obowiązku pracy w pańskim gospodarstwie, choć mieszka w chacie należącej do majątku. Zwolnił ją z tego Żychliński, a Unrug respektuje umowę. W jej myśl w zamian za pomoc w różnych dolegliwościach oraz za przyjmowanie porodów Wiga ma prawo do zbierania chrustu, grzybów, jagód i ziół w pańskim lesie. Nie wyżyłaby jednak z samego zielarstwa, dlatego, ilekroć może, idzie do sianokosów, żniw i zbioru rzepy, a zamiast pieniędzy dostaje siano dla kóz, zboże i warzywa. Zimą przedzie len i wełnę dla sukienników, chodzi na mokradła, by na ściętych mrozem błotach zbierać trzcinę potrzebną na strzechy, i robi maści. Nie ma lekko, ale jej dzień aż tak bardzo nie różni się od dni innych mieszkańców Karge.

Mimo że dziewczynka zapowiedziała, iż pójdzie szukać babki, nadal siedzi na ziemi i rysuje patykiem kółka. Najwyraźniej smutek i rozczarowanie nie minęły. Baltazarowi robi się żal dziecka.

- Chcesz, to ja cię nauczę – proponuje.
- Rozalka nie odpowiada. Kręci tylko odmownie głową.
- Idź do kuchni. Agata miała piec bułki. Może już są.

Pomysł okazuje się trafiony. Mała zrywa się błyskawicznie i znika w drzwiach prowadzących do starego dworu. Baltazar zdaje sobie sprawę, że ciasto dopiero rośnie, ale jest pewien, że Agata ukozi smutek dziewczynki.



Jakub sam nie wie, skąd się w nim wzięła taka złość. Bywało, że pobił się z chłopakami albo zdenerwował, gdy mu stajenny kazał sprzątać stajnię, a sam nie ruszył palcem. To, co teraz czuje, nie pojawiło się nagle i nie chce prędko minąć.

Z początku było odrobiną żalu, kiedy w końcu kwietnia zawitały do Karge damy z chorą dziewczynką. Z powodu zwykłej biegunki wszystko stanęło na głowie. Pomyślał wtedy, że nieraz bolał go brzuch, a nikogo to nie obchodziło. Biegł po Wigę i zastanawiał się, czemu musi sprowadzić ją szybko i dlaczego ta mała nie może jeszcze trochę wytrzymać. Gdy wrócił z Wigą, stanął na progu pokoju, a one nawet na niego nie spojrzały, jakby nic nie znaczył. Potem też, we dworze i na dziedzińcu, był dla nich przezroczysty. Widział, jak przytulały dziewczynkę, i zastanawiał się, czy ktoś go kiedykolwiek tulił.

Czuje się tak, jakby ukradziono mu wspomnienia. Z czasów wczesnego dzieciństwa nie pamięta niczego, również tego, co podobno powiedział von Lestowi i panu Unrugowi. Czy to możliwe, że kiedyś mówił po francusku, jak te dwie damy? Przecież zupełnie ich nie rozumiał! Co więcej, wyznał jakoby, że jego siostra Gabrielle została zabita. Zwierzył się z czegoś tak strasznego, a teraz nie pamięta? Dlaczego jego wspomnienia są w myślach Baltazara, a nie tam, gdzie być powinny?

To, co sam ma w głowie, zaczyna się od dworu w Karge, Agaty, Alberta, Wigi, Rozalki i choroby von Lesta. Jakub nie potrafi przywołać innych obrazów prócz dworskiej kuchni, kąta przy piecu i stajni. Z pierwszych uczuć zostały sytość, ciepło i dziwna pustka, zawieszenie między nie wiadomo czym a tym miejscem, w którym, jak się okazuje, nikomu na nim nie zależy.

Kiedy Rozalka zapytała „Czyj ty jesteś?“, coś się w nim przelało. Ogarnęła go taka złość, że chciał ją uderzyć. Zamiast tego krzyknął, że jest głupia, rzucił patyk na ziemię i poszedł przed siebie. Potem zaczął biec. Przystanął dopiero, kiedy się zmęczył. Przed nim była rzeka, a w niej płytkie miejsce, przez które przegania się owce. Brodząc po kolana w wodzie, przeszedł na drugi brzeg. Nie zatrzymując się, z pochyloną

głową parł do przodu, co rusz ocierając rękawem łzy.

Leży teraz na kopce siana. Rozrzucił szeroko ramiona i patrzy w niebo. Męczy go pragnienie, ale brak mu ochoty, by wstać i zaczerpnąć wody z rzeki. Biała koszula, brązowe portki, bosa stopy i zastygła w ponurym grymasie twarz bardziej przypominają stracha na wróble niż żywego człowieka. Dwa bociany wypatrujące gryzoni wśród odrastającej trawy nie czują zagrożenia ze strony nieruchomego obiektu. Penetrują teren wokół kopy siana, jakby nikogo na niej nie było.

Mija czas. Odurzająca woń wyschniętych ziół, świergot ptaków, cykanie świerszczy i buczenie trzmieli przynoszą ukojenie, dzięki któremu chłopiec zapada w sen. Dopiero nalot komarów i swędzenie sprawiają, że otwiera oczy. Wciąż jest dzień, ale błękit nieba nad łąką stracił jaskrawość. Powietrze stało się duszne i ciężkie. Chłopak siada gwałtownie. Bociany, spłoszone ruchem, odlatują, łopocąc skrzydłami. Ucieka też stado rdzawych saren. Długimi susami przemierzają pustą przestrzeń, by po chwili skryć się w leśnej gęstwinie. Nad dopiero co pełną dźwięków łąką zawisa nagle niesamowita cisza. Dziwny nastrój udziela się Jakubowi. Zaczyna się lękać miejsca, które jeszcze przed chwilą było oazą spokoju. Nie wiadomo skąd na zachodniej stronie nieba pojawia się groźny potwór uformowany z granatowych chmur. Jego ogromna paszcza zdaje się pożerać słońce. Niezwykły mrok, zimny wiatr i narastający pomruk burzy każą zapomnieć o rozterkach duszy. Teraz liczy się tylko ucieczka.

Wiga boi się burzy jak każdy. Najszybciej, jak tylko może, stawia kroki na wyboistej ścieżce. Odległy sosnowy bór oświetlony resztkami słońca gnie się i skręca pod wpływem wiatru. Kobięcie się wydaje, że huk, jaki stamtąd dobiega, nie jest zwyczajny i ta burza nie będzie taka jak wszystkie.

Prędejj, prędejj, byle tylko znaleźć się w bezpiecznym miejscu, byle zająć się czymś, co wyprze z głowy niespokojne myśli. Kobieta, której pomagała urodzić dziecko, umarła. Chłopiec jest silny i... Chciałoby się powiedzieć, zdrowy, ale jak długo pożyje noworodek z nóżkami

kończącymi się na wysokości kolan. Kiedy Wiga pokazała go ojcu, ujrzała w jego oczach wyrok i nie pomogło, że żona rolnika zza płotu, matka tygodniowego maleństwa, gotowa była wykarmić dziecko swoje i sąsiada.

Już widać komin. Prędkiej! Niebo się całkiem zaciągnęło. Długie warkocze błyskawic uderzają w ziemię.

Ogień, czarne chmury, wichura i dziecko bez stóp... Coś złego nadchodzi, coś, czego ludzkie oko nie widziało.



Niewiele zostało na polach po nocnej nawałnicy. Uprawy na wzniesieniu są całkowicie zniszczone. Zboża, które za miesiąc miały trafić do spichlerzy, leżą przygięte do ziemi, a niedojrzałe ziarno zmieszane z błotem oddzieliło się od kłosów. Gdzieniedzie widać jeszcze przyczynę nieszczęścia – kule gradu wielkie jak gołębie jaja. Zagony warzyw, owoce w sadach – wszystko posiekane, pokaleczone, nienadające się do przechowania na zimę.

Zima! Na dźwięk tego słowa truchleją serca. Jak ją przeżyjemy? Co damy jeść zwierzętom?

Baltazar wyszedł z domu o świcie. Niebo dopiero jaśniało na wschodzie, ale o spaniu nie było mowy. Błoto na dworskim podwórzu przemieszało się z ziemią naniesioną z nieco wyżej położonych pól. Nawet tu pośród drobnych kamieni i szczątków roślinnych dojrzał puste kłosa i plewy owsa. Był na polach, kiedy pierwsze promienie słońca padły na to, co jeszcze wczoraj było łanem jęczmienia. Rozejrzał się, a gdziekolwiek sięgnął jego wzrok, nie zobaczył żadnego źdźbła, które można by uratować. Żniw w tym roku nie będzie.

Z miejsca, gdzie stoi, widzi dworskie zabudowania, poważnie uszkodzony dach kaplicy i Karge sponiewierane przez grad i wichurę. Powinien teraz zjechać do wsi i pocieszyć ludzi, lecz brakuje mu odwagi. Co miałby powiedzieć? Sami wiedzą, że zerwane dachy i przewrócone szopy trzeba naprawić. Tu przecież chodzi o coś więcej.

Do sprawdzenia zostało jeszcze zebrane wczoraj siano i stada owiec. Tu też nie ma dobrych wiadomości. Niektóre stogi przetrwały, ale większość zapasów tonie w wodzie stojącej na łąkach.

Park przed nowym dworem też ucierpiał. Część młodych drzew i krzewów zsunęła się ze zbocza wraz ze strumieniami wody żłobiącej w gruncie szerokie koryta. Cmentarz w Górnej Wsi przedstawia makabryczny widok. Tu trzeba będzie najpierw posłać ludzi, bo z kopanych płytko grobów spłynęła ziemia, w niektórych przypadkach razem z trumnami.

Czas się otrząsnąć. Baltazar zbiera się w sobie i rusza do wsi. Musi powiedzieć ludziom coś, co podniesie ich na duchu. Potem pojedzie do Chwalimia. Tam też na pewno klęska i beznadziejność.

Nagle przychodzi mu coś do głowy. Spina konia i wraca do dworu. Pracownicy folwarczni mieszkający we wsi nie przyszli. Na dziedzińcu zastaje tylko stajennego, Jakuba, Alberta i Agatę w sukni podwiniętej do kolan. Sprzątają.

– Jakubie! Osiodłaj konia. Pojedziesz ze mną.

– Ja?

– Tak. Ty – tłumaczy zaskoczonemu chłopcu. – Najpierw zapamiętasz, a potem pomożesz mi spisać straty. Trzeba też się dowiedzieć, co komu jest pilnie potrzebne. Moja głowa jest zbyt stara, żeby to wszystko zarejestrować.

*

Za dużo tego było. Ani Baltazar, ani Jakub nie byli w stanie spamiętać litanii potrzeb. W końcu za namową pastora, który też starał się podnieść ludzi na duchu, uprzedzono mieszkańców Karge i osadników z Unruhstadt, że mają przyjść przed kaplicę po południu. Pastor da sygnał do zebrania, bijąc w dzwon.

Do tego czasu von Lest przygotował plan ratunkowy na najbliższą przyszłość.

Przyprowadzeni wołaniem dzwonu stoją teraz, czekając, co powie zarządca. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Tylko te najmłodsze nie są przybite. Dokazują między nogami dorosłych, podszczypują się, popychają i ścigają z kundelkami, które nie omieszkały przybyć w ślad za gospodarzami.

Baltazar stoi na wozie. Chce, by wszyscy dobrze go słyszeli. Wyprostowana sylwetka i donośny głos budzą respekt, ale nie dają nadziei. Słowa otuchy nie trafiają do zrezygnowanych i zmęczonych ludzi.

– Od jutra wychodzimy wszyscy na pola – mówi von Lest. – Trzeba je uprzątnąć i przygotować na nowy siew. Kto nie ma nasion rzepy, dostanie je we dworze. Tak samo z marchwią i burakami. Jest czerwiec. Warzywa zdążą do jesieni urosnąć.

– Po co siał? Samą rzepą i marchwią się nie najemy – odzywa się głos z tłumu.

– Zboże kupię, pomożecie przywieźć, a potem rozdzielimy sprawiedliwie. Na pewno nikt nie będzie jadł do syta, ale do następnych zniw jakoś przeżyjemy. Jak tylko na dworskich polach skończymy orkę, pošlę woły i pługi na wasze. Sami też się starajcie. Chodzi o to, by uwinąć się z robotą jak najprędzej.

– Grad wybił len. Co zrobimy bez lnu? Bez przędzy i oleju?

– Nie poradzę na wszystko, ale grad nie zniszczył upraw na całym świecie, tylko u nas. Niedaleko, w Kopanicy, nieruszone pola. Zboża deszczem do ziemi przybite, ale da się je uratować. Len nasi sąsiedzi też będą zbierać. Nie narzekajcie, tylko bierzcie się do pracy.

– A to zboże i nasiona dostaniemy za nic?

– Nie. Wszystko będzie zapisane u tego chłopaka. – Wskazuje na Jakuba. – Odrobicie za rok. Drewno z pańskiego lasu na naprawę chałup również. Pan Unrug nie może rozdawać majątku, bo niedługo bez koszuli by został. Jedyne, co dam wam za darmo, to ryby na święta. Poza tym, po cokolwiek przyjdziecie, trzeba będzie odpracować.

Rozchodzą się smutni, ale już nie tak przybici. Niektórzy zatrzymują się

przy pastorze, który coś tłumaczy. Jakub, obecny podczas wystąpienia von Lesta, ma zafrasowaną minę. W przeciwieństwie do niego Baltazar wydaje się z siebie zadowolony.

– Coś taki ponury? – zagaduje chłopaka. – Nie umrzesz z głodu. Nie bój się.

– Mogę o coś spytać?

– Mów.

– Panie, czemu ci ludzie będą musieli pracować za ziarno? Są biedni. Pan Unrug mógłby im darować.

– Prawie każdy, kto ma ziemię, przewidział, że będzie siał rzepę w czerwcu i lipcu. Grad nie zniszczył nasion trzymanyh w beczce. Pomyśl jednak, co by było, gdybym powiedział, że jutro za darmo będą rozdawane nasiona rzepy.

– Wszyscy by przyszli, chociaż mają swoje?

– Właśnie.

– To po co w ogóle o tym mówiliście?

– Bo może jest ktoś, kto ich potrzebuje. Trzeba i o tym pomyśleć. To samo, co z nasionami, byłoby ze zbożem. Wiem, że ziarno się kończy i nie będzie z czego robić kaszy i mąki. Już kogoś posłałem, by się rozeznał, czy w okolicy da się kupić zboże. Ludzie przyjdą do dworu po tyle, ile trzeba im na przeżycie. Gdyby było darmo, chodziliby i narzekali, że głodują, byleby dostać jeszcze i jeszcze.

– To czemu ryby dostaną?

– Żeby się ucieszyli, że chociaż coś będzie za nic.



Kot ostatnio bardzo się rozleniwił. Jego ulubionym zajęciem stało się wylegiwanie na daszku nad dREWUTNIĄ i wystawianie wyleniałego futra na pieśczoty słonecznych promieni. Strzecha co prawda jeszcze dobrze nie obeschła po ulewie, ale zwierzakowi to nie przeszkadza. Ułożył się

wygodnie, zamknął oczy i śpi. Tylko drgnięcia poszarpanych uszu świadczą o tym, że sen nie jest tak głęboki, jak można by przypuszczać. Jakiś dźwięk sprawia, że zielone ślepia się otwierają i lustrują okolicę. Widok Rozali pasącej w pobliżu kozy działa uspokajająco. Kot zmienia pozycję i znowu zasypia.

Rozala, choć nie śpi, wcale nie robi tego, co do niej należy. Częściej niż na kozy patrzy na chmury płynące po niebie. Są dzisiaj niezwykle, sinogranatowe, piętują się i tworzą najróżniejsze kształty. Czasem się rozdzielają i wtedy można między nimi dojrzeć skrawek błękitu albo słońce szczczędzące ciepła staremu kotu.

– Rozalka! – Gniewny okrzyk babki przywołuje dziecko do porządku i budzi kota.

Kozy, zamiast skubać trawę, stanęły przy skrzyni będącej podręcznym ziołowym ogródkiem Wigi i pożerają rośliny, wyrywając je z pulchnej ziemi wraz z korzeniami.

– Patrz! – Babka się złości. – Czego grad nie wybił, one zniszczyły. Miałaś na nie uważać. Taka z ciebie pomoc. Sama muszę wszystko robić, bo ty byś tylko w chmury patrzyła albo te swoje znaki rysowała.

Dziewczynka nie próbuje się tłumaczyć. Odgania kozy od skrzyni i staje przy nich z różgą w dłoni.

– Idę do wsi. Nie wiem, kiedy wrócę – uprzedza Wiga. – Muszę znaleźć kogoś do naprawy dachu.

– Ja mogę wleźć po drabince i dziurę załatać.

– Wiem, że byś wlaźła, ale dachu naprawić nie potrafisz. Jak się ściemni, zagoń kozy do chaty – przypomina zielarka i odchodzi. Nagle przystaje i ogląda się na wnuczkę. – Żeby do głowy ci nie przyszło na dach wchodzić. Pamiętaj!

Zachowanie wnuczki przypomina jej o Dorocie. Nawet kiedy została matką, dalej chciała czegoś więcej. Też patrzyła na chmury i ptaki, jakby wołała z nimi pognać zamiast siedzieć w chałupie.

– I pognała nie wiadomo dokąd – szepcze Wiga do siebie. A taki

smutek ją ogarnia, że aż się zatrzymuje. Podnosi głowę i patrzy na płynące po niebie obłoki. „Może wy widziałyście gdzieś moją córeczkę?” – pyta w myślach.

„Czy jeśli człowiek pragnie czegoś więcej, niż mu Bóg przeznaczył, spotyka go za to kara?” – zastanawia się, idąc dalej. Nigdy nie marzyła o niczym nieosiągalnym. Od dzieciństwa знаła swoje miejsce. Zadbął o to ojciec, dla którego była kimś mniej ważnym od psa, i pastor z Kolzig, który, pocieszając ojca po śmierci żony, powiedział, że kobiety są przeznaczone do dźwigania ciężarów, a jeśli nawet czasem umierają ze zmęczenia, to nic nie szkodzi, bo przecież po to są. Była wtedy kilkuletnią dziewczynką, ale słowa duchownego zapamiętała. Najpierw wywołały w niej sprzeciw, lecz wkrótce ojciec się postarał, by je rozumiała właściwie. Ale czy, nie pozwalając sobie na marzenia, stała się szczęśliwsza? Czy ktokolwiek docenił jej pracowitość i pokorę?

Kobieta tak się zamyśliła, że omijając kałużę, niemal wpadła na jakiegoś mężczyznę.

– Adam! Ledwie cię poznałam.

– A ja was od razu – odpowiada młodzian i jakby te słowa miały zakończyć spotkanie, rusza dalej.

– Czeka! Chciałam o coś zapytać.

Adam rozgląda się wokół. Nikogo w pobliżu nie widać, zatrzymuje się więc i czeka.

– Dawno cię nie widziałam. Chyba nie było cię we wsi.

– Uczę się w Schlawie^[25] za stolarza.

– Tu nie było dla ciebie miejsca? – dziwi się Wiga.

– Ojciec chciał, żebym uczył się z dala od domu.

– Czemu?

Chłopak znowu się rozgląda, jakby się wstydził, że rozmawia z garbatą zielarką.

– Nigdy im nie pasowałem, dlatego mnie z domu wysłali. Nie chodziło o to, żebym fachu się wyuczył, tylko bym zszedł im z oczu – skarży się

młodzieniec. – Bywajcie, Wigo – żegna się, zarzucając na plecy podróżny worek.

– Dokąd idziesz?

– Z powrotem do Schlawy. Dostałem wolne, żeby odwiedzić rodzinę, a byłem w domu jeden dzień i od razu wracam. Nie wiem, co mistrzowi powiedzieć. Wstyd, że w domu mnie nie chcą.

– Noc cię w lesie zastanie.

– Mniej straszna noc w lesie niż ich wilcze spojrzenia. Bywajcie, Wigo.

– Czeka! Nie idź na noc. Prześpij się u mnie na stryszku – proponuje zielarka. – Dni teraz długie. Jeśli jutro o świcie wyruszysz w drogę, dojdiesz do Schlawy, zanim zrobi się ciemno. Chyba że się boisz spać w chacie więdźmy – żartuje, widząc niepewną minę przyszłego stolarza.

Adam nie odpowiada od razu. Stoi z pochyloną głową, jakby przyjęcie pomocy od kobiety, którą pogardza matka, było dodatkowym upokorzeniem.

– Dobrze – zgadza się w końcu. – Ale nie mogę się wam niczym odplacić.

– Możesz. – Wiga chytrze się uśmiecha. – Naprawisz dach nad stryszkiem.



Z jednego noclegu zrobiły się trzy. Adam najpierw załatał dach, potem rozejrzał się po chacie i malutkim obejściu i aż jęknął, kiedy zobaczył, co jeszcze woła o naprawę.

– Powinnaś szybko znaleźć sobie męża.

– Przecież już znalazłam. – Rozalka, z początku zawstydzona i skrepowana obecnością obcego, przywykła w ciągu kilku godzin. Już następnego dnia rano obudziła się z radością w sercu. Nareszcie coś się działo!

– Moje uznanie. Nie wyglądasz na więcej niż dziesięć lat, a już

znalazała męża. – Adam, który próbuje podnieść opuszczone i przez to źle się zamykające drzwi do sieni, przerywa na chwilę robotę i patrzy z uśmiechem w stronę Rozali. – Powiesz mi, kogo sobie wybrałaś?

– Jakuba. Inni chłopcy są głupi. Frycek od stajennego śmieje się ze mnie i przezywa.

– Tak już jest na świecie. Są mądrzy i głupi chłopcy. Ważne, żeby dziewczyna dobrze wybrała. A ten Jakub naprawiłby drzwi?

– Nie wiem, ale umie pisać. A ty umiesz?

– Trochę czytam. Pisać nie potrafię – odpowiada lekko zawstydzony chłopak.

– To Jakub mądrzejszy. Ale jakby nie było Jakuba, to mogłabym ciebie wybrać, chociaż jesteś stary. – Rozala pociesza Adama, który udaje zasmuconego.

Wiga, wiążąca w pęczki zioła do suszenia, parska śmiechem. Dotąd przysłuchiwała się tylko żartobliwemu dialogowi, nie wytrzymała jednak, kiedy usłyszała uwagę o podeszłym wieku gościa.

– Umiesz rozmawiać z dziećmi – mówi z uznaniem, kiedy zostają z Adamem sami.

– Trzy siostry wyniańczyłem. Halszka, ta, co się utopiła, była ode mnie rok starsza.

– A brat? Jaki jest?

– Eryk? To ulubieniec matki i ojca.

– Dlaczego ciebie nie lubią?

– Nie wiem. Kiedy tylko się wyzwolę i zostanę mistrzem, osiądę w jakimś mieście, ożenię się i tyle ich będę widział.

– Siostry będą tęsknić.

– Zmieniły się. Tak jak rodzice patrzą na mnie wilkiem. Już nie jestem im potrzebny.

– Babko, ktoś do nas idzie! – Rozala pasąca kozy dostrzegła kobietę, kiedy tamta zeszła z drogi wiodącej obok kuźni i skręciła w ścieżkę

prowadzącą do chaty zielarki.

Rzut oka na wysoką sylwetkę i Wiga już wie, że przeczucie dręczące ją od rana się spełniło.

– Jak śmiesz zmawiać się z Adamem przeciwko mojej rodzinie? Nie dość mu w głowie kiedyś namąciłaś?

– On tylko naprawiał u mnie dach po wichurze.

Brodowa nie słucha. Stoi nad Wigą i wymachuje rękami, a ślina z jej ust pryska zielarce na czoło.

– Nigdy więcej o nic go nie proś. Nie rozmawiaj z nim i nie wołaj do pomocy. To nie twój syn.

– Twój też chyba nie, skoro go nie lubisz.

– Skarżył się?

– A może on twój, ale nie twojego męża? – uderza zielarka.

Popłoch w oczach Brodowej każe się domyślać, że cios był celny.

– Cooo...

Wiga czuje, jak szponiaste palce wpijają się w jej włosy i ciągną z całej siły do góry. Ona nie pozostaje dłużna. Kobiety walczą. W ruch idą nie tylko paznokcie, zęby i nogi. Usta ciskają obelgi, a dłonie sięgają po kamienie. Osłupiała Rozala najpierw patrzy, nie rozumiejąc, co się dzieje, ale w pewnym momencie chwyta za różgę i zaczyna okładać po plecach babkową przeciwniczkę. Ta, zaatakowana z dwóch stron, przewraca się, a Wiga siada na niej okrakiem.

– Puszczaj, wiedzmo! – W podrapanej i brudnej od piachu twarzy Brodowej wyraźnie widać tylko gorejące nienawiścią oczy.

– Zaraz cię puszcze, ale najpierw coś ci powiem. I nie szarp się, bo dłużej na tobie posiedzę – ostrzega Wiga. – Nic mi do tego, czyj jest Adam, i nie będę z nikim o tym gadać. Nie pojmuję tylko, jak możecie być dla niego tacy niedobrzy. Kiedyś zawołał mnie do twojej córki. Tylko on jeden chciał ją ratować. Dzięki mnie wtedy nie umarła.

– Właśnie, że umarła przez ciebie. – Z krtani powalonej kobiety wydobywa się wściekły szept. – Nie dałaś ziół, kiedy po nie przyszłam.

Gdybyś nie była taka uparta, nie musiałabym pozbywać się dziecka inaczej.

– Trzeba było powiedzieć prawdę. Ale jak ktoś żyje w kłamstwie od początku do końca, to prawdy powiedzieć nie umie. Nawet swoje dziecko poświęci, byle się jego wina nie wydała.

– Co? Co ci nagadał ten głupi chłopak?

– Tyle, że nie chcecie go mieć w domu. Reszty się domyślam.

– Niby czego?

– Tego, kto zrobił dziecko waszej córce.

Napięte dotychczas ciało wiotczeje. Kobieta leżąca na piasku robi wrażenie małej i bezbronnej. Wiga się podnosi i porządkuje odzież.

– Wstań – mówi do Brodowej i wyciąga do niej rękę.

Tamta nie korzysta z pomocy, dźwiga się sama. Chwieje się jeszcze przez moment, ale widać, że pomału odzyskuje siły. Sięga po czepek poniewierający się w lichej trawie i odwraca się, by odejść.

– Czy on to jeszcze robi? – woła za nią Wiga, ale Brodowa się nie ogląda. – Czy robi to twoim córkom?

Babka i wnuczka patrzą za odchodzącą kobietą. Widzą jeszcze, jak chowa włosy pod brudnym czepkiem i oddala się chwiejnym krokiem.



Mija trzeci tydzień od pamiętnej burzy. Przez wojnę z Rosją wzrosły ceny zboża, toteż Baltazar niemało zapłacił cystersom z Obry, kupując od nich jęczmień i owies na pniu. Jeśli jakaś letnia burza nie zniszczy klasztornych pól, ziarno wkrótce trafi do spichlerzy w Karge.

Optymizm von Lesta udzielił się tylko niektórym. Nastroje psują malkontenci. To ich czarnowidztwo sprawia, że ludzie we wszystkim szukają znaków. Burzowe chmury na horyzoncie, zbyt wiele żab na łące, gwiazda jaśniejsza od innych, padnięcie krowy, wycie psów, narodziny ułomnego dziecka i śmierć młynarzowej – każde zjawisko albo zwyczajne

zdarzenie staje się przepowiednią. Na nic tłumaczenie. Rozmówcy niby potakują, ale nie patrzą w oczy. „Niech sobie ten mądrała gada, co chce – myślą. – Wiem swoje”.

Pastor próbuje walczyć ze złymi nastrojami na swój sposób. Uczestnicy nabożeństw dowiadują się więc, że nieszczęścia to kara niebios za grzechy, za brak modlitwy, tolerowanie występku, nieprzykładanie się do pracy i przesiadywanie w karczmie. Wystarczy tylko, że się poprawią, staną się bogobojni i będą żyć zgodnie z tym, co napisano w Biblii, a ich los zmieni się na lepsze. Starają się więc z całych sił. Pracują w pocie czoła, pomagają sobie nawzajem, godzą po sąsiedzkich kłótniach i uczestniczą w nabożeństwach, mimo to nadal z lękiem patrzą w niebo, jakby nie do końca ufali Bogu.

Zaraz po burzy Baltazar napisał do Krzysztofa, pytając go o zgodę na poważne wydatki. Niestety, posłaniec nie zastał właściciela w Międzychodzie. Nawet pani Marianna nie potrafiła powiedzieć, gdzie aktualnie przebywa małżonek. Udał się do Warszawy, ale stamtąd najpewniej podążył na wschód, by walczyć z rosyjskim najazdem.

Von Lest wrócił właśnie z porannej wyprawy na pola. Jest głodny, bo jak zwykle wybrał się bez śniadania. Oddawszy konia pod opiekę Jakuba, sady wielkie kroki w kierunku kuchni, gdzie spodziewa się zastać Agatę serwującą jakiś smaczny posiłek.

– Panie Baltazarze! Mam dobre wiadomości!

Zarządca przystaje i czeka na goniącego go pastora.

– Dobre wieści są bardziej potrzebne niż śniadanie. Słucham, panie Schilberg.

– Armia szwedzka idzie z Pomorza!^[26]

– I to jest ta dobra wiadomość? Chyba słońce pastorowi zaszkodziło.

– Ależ jak najbardziej! Nasi bracia w wierze idą ku nam. Nastąpi ostateczny odwrót od starej, fałszywej wiary. Zapanuje luteranizm! – wykrzykuje z entuzjazmem Schilberg.

– Nie wiedziałem, że wojsko potrafi nakłonić kogoś do zmiany

wyznania. A sposoby, jakich Szwedzi używali niedawno w krajach niemieckich, służyły raczej wyprawianiu ludzi na tamten świat.

– Jak to? Przecież Szwedzi walczyli po słusznej stronie. Ty, panie Baltazarze, też biłeś się za luteranów.

– Pastorze, widać, że niewiele wiesz o wojnie. Szwedom chodziło o łupy, a ich król prócz zysków chciał mieć więcej władzy. Szerzenie luteranizmu było jedną z mniej ważnych okoliczności.

– Jak możesz, von Lest!

– Mogę. Widziałem to na własne oczy.

– Wojna w słusznej sprawie jest sprawiedliwa! – Pastor nie daje za wygraną.

– Gdyby to sam Bóg decydował, co jest sprawiedliwe, miałbyś zapewne rację, Schilberg. Mnie się jednak zdaje, że on zbyt często zostawia to ludziom.

– Panie Baltazarze! – Oburzenie kapłana sięga zenitu.

– Pastorze, przestań się unosić. Powiedz lepiej, skąd masz te wieści.

– Od pastora z Gross Schmöllen, a on od pastora z Grünbergu, a pastor...

– Starczy. Mam nadzieję, że wszyscy ci bogobojni ludzie się mylą. Idę na śniadanie.



Wojna jednak przyszła, choć nie taka, jakiej obawiał się Baltazar, ani taka, jakiej chciał pastor. Do Rzeczypospolitej, od roku broniącej się przed rosyjską inwazją na wschodzie, w końcu lipca od północy wkroczyły wojska szwedzkie. Pospolite ruszenie wielkopolskiej szlachty, które miało zatrzymać uderzenie agresora z Pomorza Zachodniego, zrezygnowało z walki, zawierając ugodę z królem Szwecji Karolem X Gustawem. Wiele było przyczyn takiego postępowania. Niektóre wynikały z czystego egoizmu i wyrachowania, inne ze zdrowego rozsądku i realnej oceny

sytuacji.

Krzysztof Unrug przybył do Karge dwa dni temu. Tym razem nie sam, lecz z pisarzem i dwoma sługami. Pani Marianna nie towarzyszyła mężowi. Została w Międzychodzie z coraz liczniejszą gromadką dzieci.

Wizyta właściciela posiadłości ma bardzo konkretny cel. Unrug przyjechał załatwić sprawy dotyczące powstającego miasta. Irytuje go brak oficjalnej zgody króla, lecz w sytuacji, jaka się wytworzyła po kapitulacji wielkopolskiej szlachty pod Ujściem, nie ma co marzyć o rychłym rozwiązaniu problemu. Zamierza więc robić wszystko tak, jakby miasto już było. Cały ranek aż do obiadu omawiali z Baltazarem regulamin porządkowy dla Unruhstadt. Krzysztof przyjechał z prawie gotowym projektem. Kwestie sposobu zarządzania miastem przez burmistrza i rajców, prawa nowo przybyłych mieszkańców, wysokość opłat na świątynię, kapłana, nauczyciela i szkołę były już postanowione. Opinia von Lesta potrzebna jest jedynie w sprawach przeciwpożarowych, utrzymania porządku, dbałości o posesje, czyli tego, czym między innymi zajmował się Baltazar przez ostatnie kilka lat. Pisarz pilnie notował, a po obiedzie się oddalił, by sporządzić ostateczną wersję dokumentu. Unrug i von Lest zostali sami.

Komnata, w której siedzą, została zaplanowana jako kancelaria właściciela. Tu, w nowym budynku, gromadzone są dokumenty posiadłości i odbywają się spotkania Unruga z interesantami. Dzisiaj na pewno nikt nie przyjdzie. Zamiast ciepłego początku jesieni aura przyniosła deszcz i zimno. Niezwyczajna to rzecz, by w połowie września palić w kominku, ale bez tego trudno byłoby wytrzymać w zimnych murach.

Unrug i von Lest rozparli się na szerokich, wyściełanych krzesłach, ręce złożyli na podłokietnikach, wyciągnęli nogi w stronę ognia, patrzą na płonące polana i słuchają uderzeń kropli deszczu o blaszany parapet.

– Zatem zmieniłeś pana, Krzysztofie – odzywa się Baltazar. – Służysz teraz Karolowi X Gustawowi Wazie.

– Nadal służę Wazie, tylko imię się zmieniło.

- A co ze słowem danym polskiemu królowi?
- Wszystko jest, jak być powinno. Wszak naszym panem jest obecnie Karol Gustaw.
- Doprawdy, potrafisz to wyjaśnić w sposób wielce wygodny dla sumienia.
- To właśnie sumienie każe mi zabiegać o pomyślność rodu, posiadłości i moich poddanych. Nie ma sensu popierać słabego, nieudolnego króla, kiedy mogę stanąć u boku lepszego. Obaj pochodzą z Wazów. Karol Gustaw ma jeszcze jeden dodatkowy walor. Jest luteraninem. Ponadto Jan Kazimierz wkrótce przegrałby wojnę z Rosją. Nie wyobrażam sobie współpracy z carem Aleksym. Mówią, że jest nieobliczalny.
- Pojmuję twoje argumenty, jednakże kiedy usłyszałem, że poparłeś Szwedów, nie mogłem uwierzyć. Przejście na stronę wroga w czasie wojny nazywane jest zdradą. Nie znam innego bardziej odpowiedniego słowa.
- Dajmy spokój tej dyskusji. – Wbrew obawom von Lesta Unrug nie czuje się urażony. – Postąpiłem tak jak polska szlachta, a wśród niej wojewoda poznański Krzysztof Opaliński. Jeśli mnie nazywasz zdrajcą, co o nich powiesz? – Nie usłyszawszy odpowiedzi, Unrug kontynuuje, jakby chciał się wytłumaczyć: – Rozejrzyj się i docień moją decyzję. Szwedzi weszli, a w dobrach Unrugów spokój. Nikomu włos z głowy nie spadł. Ludzie żyją jak przedtem.
- Doceniam. Niczego bardziej nie pragnę, jak pokoju.
- Przestańmy zatem dzielić włos na czworo. Lepiej powiedz, jak miejscowym układa się z osadnikami.
- Baltazar namyśla się przez chwilę.
- Są zaniepokojeni – wyznaje. – Wcześniej było tu kilku sukienników. Ostatnio przybyli następni. Ludzie się obawiają, czy starczy wełny dla wszystkich i czy ci nowi nie będą konkurentami. Zachodzą do warsztatów, podglądają, czasem zazdroszczą. Wiadomo przecież, że śląskie sukno

zawsze było lepsze od miejscowego. Niejasna jest sprawa podatków. Zachęcasz osadników, obiecując im najróżniejsze ulgi. Tutejsi uważają, że to niesprawiedliwe. Do tego wszystkiego dochodzi problem wysokości zapasów. Po czerwcowym gradobiciu trzeba było kupić zboże na mąkę i kaszę. W razie ciężkiej zimy każda przybywająca rodzina to dodatkowe gęby do wykarmienia.

– Niedługo jesienny jarmark. Nastroje się poprawią.

– Boję się, że nie masz racji. Już rok temu nie było najlepiej. Przez wojnę z Rosją handel ze wschodem prawie ustał. Nie ma co się spodziewać poganiaczy ze stadami wołów. A to oznacza, że nie przybędą kupcy bydła z Niemiec. Nie zarobią mieszkańcy i ty również.

– Baltazarze, jesteś niczym kruki. Nieustannie kraczesz. Lepiej przestań, bo wykraczesz. Przekonasz się, że wszystko się ułoży. Już moja w tym głowa.



– Co to jest?!

Pokręcone reumatyzmem palce ściskają lalkę z gałganków. Małą postać uwięzioną w dłoni Wiga prawie wciska w oczy dziecka. Patrzenie na różowe policzki i nosek wyhaftowany na tkaninie sprawia małej ból. Rozalka jest tak przejęta, że nie może wydobyć z siebie słowa.

– Skąd to wzięłaś? Kto ci to dał? – Przesłuchanie trwa nadal, lecz winowajczynie milczy.

– To ten chłopak, tak?

Coś w wyrazie twarzy dziewczynki mówi Widze, że ma rację.

– Czy ktoś to widział?

Przeczący ruch głowy trochę babkę uspokaja. Siada na zydlu i ciężko wzdycha.

– Wiesz, co by było, gdyby ktoś z Karge wiedział, że masz coś takiego? Znowu tylko ruch głowy.

– Wzięliby nas za wiedźmy, a potem wygnali. Ciebie i mnie. Nie wolno robić kukieł podobnych do ludzi. One służą do czarów. Wszyscy to wiedzą. Jak ktoś chce wywołać chorobę albo doprowadzić innego do nieszczęścia, robi takiej kukle to, co zrobiłby człowiekowi. To są złe czary. Zabronione!

Dziewczynka przygląda się lalce z niedowierzaniem. „Przecież to... – myśli. – Ona nie jest zła”.

– A może chciałaś zrobić komuś krzywdę? – W głowie Wigi rodzi się straszne podejrzenie. – Ten chłopak ci kazał?

Gwałtowny ruch głową starcza za wyjaśnienie.

– Muszę coś z tym zrobić. – Babka mówi bardziej do siebie niż do wnuczki. – Jeżeli to nikt nie jest, to chyba mogę ją spalić. Tak. Od razu wrzucę ją do ognia. – Wiga wstaje i robi krok w stronę paleniska.

– Nieee! – Dziewczynka rzuca się przed babkę, osłaniając lalkę przed ogniem. – Nie pal jej! To Dorotka!

– Co? Jaka Do...? – Pytanie grzęźnie jej w gardle. – Mama?

– Tak.

– Dlaczego? Co jej chciałaś zrobić?

– Nic. Ja tylko myślałam, że ona jest jak mama. Ma makową spódnicę. Wiga siada tak ciężko, jakby drugi garb wyrósł jej na plecach.

– Kto ci mówił o spódnicy?

– Kaśka.

– Ta od rzeźnika? Czemu do niej chodzisz?

– Już nie chodzę. Jej mama nie pozwala.

Wiga nie pyta dlaczego. Domyśla się przyczyny.

– Niedługo zima. I tak będziesz siedzieć w chacie. Nauczę cię prząść – obiecuje, chcąc dziecko pocieszyć. – Weź kukłę i schowaj ją, żeby nikt nie zobaczył. I nie mów o niej nikomu. Rozumiesz?

– Na stryszku?

– Tak.

Dziewczynka w pośpiechu, jakby zaraz ktoś miał przyjść, wspina się po drabinie na stryszek, czyli półpiętro nad zagródką dla kóz. Wiosną i latem służy ono Widze do suszenia ziół, a jesienią i zimą przechowuje tam ściółkę dla zwierząt.

Babka się nie zdziwiła, kiedy w słotną pogodę Rozalka zaczęła przepadać na stryszku. Sama lubi ciepłe i przytulne miejsce nad kozami, tyle że nie ma czasu, żeby w dzień posiedzieć tam i porozmyślać. Dzisiaj weszła na górę, by zrzucić kozom trochę ściółki. Mimo mroku zauważyła czerwony skrawek materiału. Zaintrygowana wyciągnęła rękę i wydobyła lalkę wciśniętą między belkę a strzechę. Nie miała wątpliwości, kto ją ukrył.

Chociaż rozmowa z wnuczką trochę ją uspokoiła, nie może zasnąć. Słucha równego oddechu Rozalki, posapywania kozy za przepierzeniem i chrobotania myszy. Po dachu coś chodzi. Pewnie kuna. Wiatr, szum drzew, piski walczących zwierząt – każdy z tych dźwięków zna doskonale. Nie boi się ich, przeciwnie, są częścią jej życia.

To przez wspomnienie o Dorotce kotłuje się jej w głowie. Pomału przestaje wierzyć, że córka gdzieś żyje. Chciałaby jedynie wiedzieć, co się stało, że tak zniknęła. Co ją zabiło albo kto skrzywdził? Dlaczego włożyła wtedy makową spódnicę? Przecież do lasu nie potrzebowała się stroić. Czemu nie wzięła ze sobą Rozalki? Wszędzie ją zabierała, a tu nagle zostawiła babce pod opieką, rzucając w pośpiechu: „Idę do lasu po żołędzie. Zaraz wrócę”.

Nawet te żołędzie dają do myślenia. Była ich pełna beczka. Starczyłoby na cały przednówek.

Co ukrywała Dorota? Dlaczego w ogóle była inna niż wszystkie dziewczęta w Karge? Czy to przez żołnierza, który był jej ojcem?

Dreszcz wstrząsnął ciałem Wigi na wspomnienie gwałtu. Pozbierała się po tym wszystkim chyba dlatego, że i przedtem los okrutnie ją doświadczył. I pomogła łąza. Nadal ją pamięta. Spadła jej na policzek z jasnej rzęsy chłopaka, pierwszego mężczyzny, który spojrział na nią jak na człowieka. Zrozumiała, że on tak samo został upokorzony i wcale nie

chce robić tego, do czego zmuszają go towarzysze. Łza żołnierza pozwoliła Widze pokochać Dorotkę, ale nie uwolniła od pytań. Jaki naprawdę był ojciec jej córki? Dlaczego nie potrafiła trzymać języka za zębami, kiedy ktoś jej dokuczył? Czemu robiła rzeczy, które inne uważały za zakazane? Po co szła tam, gdzie chodzić nie powinna? Z kim się zadała w sobótkową noc i czemu nie pisnęła o nim ani słowa? Czy to ktoś z ważnych mężczyzn w Karge? Ktoś, kto się wystraszył, że w końcu powie prawdę, i przez to ją zabił?

Jedno przypuszczenie goni za drugim.

Na pewno była w tym wszystkim jej wina. Dawała Dorocie za dużo swobody. Czasem nawet razem z nią się śmiała, gdy żartowała sobie z kogoś.

Czy Rozalce też pozwala na zbyt wiele?

Wnioski, do jakich dochodzi, sprawiają, że postanawia pójść jutro do dworu, by się rozmówić z zarządcą.



Dobrze, że nie wzięła butów. Dawno zostawiłaby je w błocie, a tak jakoś posuwa się do przodu. Kotu z białą łatą na pyszczku idącemu za nią w pewnej odległości jest lżej. Stąpa miękko, delikatnie, po kociemu. Nie wiadomo, po co się wyprawił za Wigą w taką pogodę, ale kto kota zrozumie.

Deszcz jeszcze nie pada, lecz wisi w ciemnych, ciężkich chmurach. Wszyscy mają go dość. Rzepa, którą zasiano po zbożu zniszczonym przez grad, może źle się przechowywać. Marchew, buraki i inne warzywa będągniły od nadmiaru wilgoci. Nic się nie układa tak, jak być powinno, a to na pewno jeszcze nie koniec. Ludzie prześcigają się w odczytywaniu sygnałów niepomysłnych wydarzeń. Grad i narodziny ułomnego dziecka to jeden z alarmujących znaków. W końcu sierpnia woda w rzece wyrzuciła na brzeg padłą owcę, potem zaczęło padać i z niewielkimi przerwami pada do dziś. Tych, co mieli nadzieję, że to tylko zbieg

okoliczności, wyprowadził z błędu jeden z osadników, sięgając pamięcią do ubiegłorocznego lata. Wszak pewnego dnia zaraz po żniwach zrobiło się ciemno jak w nocy^[27]. Wszyscy już o tym zapomnieli, bo później nic się nie działo. Teraz się okazało, że niebiosy uprzedzały o rychłym nadejściu najróżniejszych klęsk.

Uff. Dobrze, że do dworu. Kot też. Wiga niknie w wejściu dla służby, a on zmierza w stronę spichlerza. Doskonale wie, że zanim zajmie się tym, po co przyszedł, będzie musiał stoczyć walkę z rezydującym tu szarym kocurem. Chyba mu to nie przeszkadza. Być może nawet lubi walkę, bo jego kocie oblicze porysowane jest różowymi bliznami, a uszy wyglądają, jakby poobgryzały je zuchwałe myszy.

Wiga najpierw zagląda do Agaty. Kucharka jest jedyną w Karge kobietą, z którą lubi rozmawiać. Są też inne godne zaufania, lecz przy Agacie czuje się swobodnie. Nie musi uważać na każde słowo. Poza tym obie są nietutejsze. Nie urodziły się w Karge, nie mają tu babek, kuzynów ani ciotek – nikogo, kto w razie czego stanąłby po ich stronie. Wiga jest z Grünwaldu, wsi leżącej około pół dnia pieszej drogi na południe od Karge, a Agata pochodzi z Babimostu, niewielkiego miasta leżącego nieco bliżej Karge, ale na północ.

Z Agatą łączy Wigę piętno. Wiadomo, że niejednakowe. Zielarka nie budzi przyjaznych uczuć przez garb, brak przyszłości i przeszłości oraz kontakty z niewytłumaczalnym. Agata jest bezpłodna. Nie dała mężowi dzieci, przez co biedak musiał ją porzucić i odejść z rodzinnej wsi.

– Nie ma pana Baltazara – uprzedza kucharka. – Usiądź i poczekaj, a jak masz sprawę we wsi, idź. Zdażysz przyjść z powrotem, zanim wróci.

– Nie mam żadnej sprawy. Odkąd się urodziło dziecko bez nóg, do porodów wołają tę nową, co przyjechała wiosną.

– Przecież to nie była twoja wina.

– Oni tego nie wiedzą. Chcą mieć zdrowe dzieci, więc się zabezpieczają. Sama bym tak zrobiła.

– Co teraz? Masz z czego żyć?

– Mam. Po zioła i maści dalej przychodzą i wołają do chorych. Dziewczyny proszą o zaklęcia na zakochanie i odkochanie. Chłopcy czasem też. Pomagam na brak mleka u krów i radzę, kiedy dziecko płacze po nocach, zamiast spać – wylicza Wiga. – Z głodu i braku zajęcia nie umrę.

Agata, która dotąd się krzątała, przygotowując obiad, przystaje na chwilę, sprawdza, czy nikogo nie ma w pobliżu, a potem siada na ławie obok Wigi.

– Na męską niemoc też masz zaklęcia?

– Mam – odpowiada zaskoczona zielarka. – Na co ci one potrzebne? Twój Maciej wrócił?

– Nie. To nie dla niego. – Policzki kucharki płoną. – Mojej krewniaczce z Babimostu podoba się jeden wdowiec. Zachęca go na różne sposoby, a on, chociaż to widzi i jest dla niej miły, nie robi żadnego kroku. Może się wstydzi, że nie podoła. Gdyby tak dosypać mu specjalnych ziół do polewki i wypowiedzieć zaklęcie, nabrałby na nią ochoty?

– A jeśli twoja krewniaczka jest pobożną luteranką, w dodatku ma męża i ten wdowiec myśli, że nie powinien się do niej zbliżać? – Na ustach Wigi pojawia się zagadkowy uśmiech.

– Ona ma męża, lecz jakby nie miała. Nawet już o nim nie pamięta, bo wdowiec całkiem zajął jej serce. To prawda, jest pobożna, ale i niestara. Może nie powinna czekać, aż coś się zmieni, tylko życia użyć, póki krew w żyłach gorąca?

Wiga zerka na zaczerwienioną twarz Agaty.

– Przyniosę ziela i powiem, co robić – obiecuje. – Nie ręczę za skutek. Tu trzeba więcej śmiałości, nie tylko zaklęć i ziół.

Kucharka zrywa się z ławy, jakby chciała wyściskać zielarkę. Hamuje się jednak.

– Powiem krewniaczce. Bardzo się ucieszy i na pewno się odwdzięczy.

Zajęte rozmową kobiety nie usłyszały, że ktoś wchodzi do kuchni.

– Kto potrzebuje zaklęć? – Głos Baltazara sprawia, że kucharka

truchleje, a oblicze zielarki przybiera zagadkowy wyraz.

– Krewniaczkę Agaty boli głowa. Obiecałam pomóc. – Wiga ratuje sytuację. – Do was przyszłam. Mam sprawę.



– Chodzi o waszego chłopaka i moją Rozalkę – wyjaśnia kobieta, choć drzwi alkierza jeszcze się za nią nie zamknęły.

Są teraz w pokoju będącym jednocześnie miejscem przyjmowania gości. Wiga była tu nieraz, kiedy Baltazar chorował. Od tamtego czasu mija ósmy rok, lecz niewiele się zmieniło. Ten sam stół i krzesła, proste łoże, duża skrzynia na ubrania, szafka z niedomkniętymi drzwiami, przez które widać Biblię i księgi gospodarstwa na półkach, kilimki na ścianach i na podłodze z desek, krzyż na ścianie oraz kafłowy piec. Agata musiała rozpalić z samego rana, bo bije od niego ciepło.

Baltazar zauważył, że Wiga dotknęła kafli.

– Nie kazałem palić, ale ona się uparła. Mówi, że zimno i wilgotno na dworze i że trzeba. Na noc nie pozwalam grzać. Nie lubię duchoty – tłumaczy. – Siadaj.

– Nogi mam ubłocone. Nabrudzę wam – broni się zawstydzona kobieta.

– Nie będę przecież zadzierał głowy, żeby na ciebie patrzeć. Siadaj – nakazuje. – Agata posprząta. O co chodzi z Jakubem i Rozalką? Znowu narazili się pastorowi?

– Z pastorem sama bym sobie poradziła. Wasz chłopak dał Rozali kukłę.

– Skąd ją wziął?

– Nie wiem. Nie powiedziała.

– Agata! – Krzyk Baltazara jest na tyle donośny, że kucharka, nie wiedzieć czemu wystraszona i zarumieniona, przybiega natychmiast.

– Wołaj Jakuba.

Chłopak zjawia się po chwili. Ubłocone bosc stopy, brudne ręce

i ubranie poprawiają zielarce nastrój. Nie ona jedna nie pasuje do pomieszczenia.

Von Lest mierzy wyrostka surowym spojrzeniem.

– Gdzieś się tak upaprał?

– Warzywa kopcujemy.

Kiwnąwszy głową na znak, że przyjął wyjaśnienie do wiadomości, Baltazar zadaje następne pytanie:

– Wiga mówi, że dałeś Rozalce kukłę. Skąd ją miałeś?

– Pani, co była wiosną z dziewczynką, oddała ją do spalenia. Dziewczynka miała jeszcze inne, ładniejsze. Słyszałem, jak panie mówiły, że ta brzydka, brudna i trzeba ją wyrzucić. Leżała koło kominka. Pomyślałem, po co palić, dam Rozalce.

– Sprawa wyjaśniona. Możesz wracać do pracy. – Powiedziawszy to, Baltazar unosi się na krześle, jakby i na niego czekały pilne zajęcia, siada jednak z powrotem. Zastanawia go zatroskane oblicze zielarki. – O co jeszcze chodzi?

– Odkąd pamiętam, zawsze mówiono, żeby nie robić kukieł. To może się obrócić przeciw człowiekowi. Tylko czarownice albo tacy, co chcą innym zaszkodzić, kukłami się zajmują.

– Wigo, chodzi o zwykłą lalkę. Teraz sobie przypominam, że córka pani Skórzewskiej miała ich kilka do zabawy. Dziewczynki potrzebują lalek. Jakub dobrze zrobił, że oszczędził ją dla Rozalki.

– Może u państwa tak jest, ale nie u zwykłych ludzi. Jak ktoś ją u mnie zobaczy, rozniesie się, że jestem czarownicą.

– Skoro się boisz, niech wnuczka jej nie pokazuje. – Von Lest zaczyna się niecierpliwić. – To wszystko? – ponagla zafrasowaną kobietę.

– Nie chcę, żeby on uczył Rozalkę.

– Czemu? Zachował się nieprzystojnie? Coś jej zrobił? – Już samo przypuszczenie sprawia, że Baltazar zaciska szczęki.

– Nie! Nic jej nie zrobił. – Wiga jest poruszona. – Ja nie chcę, żeby moja wnuczka uczyła się czytania i pisanie. To jej niepotrzebne.

Dziewczynom wystarczy, że potrafią pracować.

Von Lest, zaskoczony takim postawieniem sprawy, próbuje odczytać z twarzy zielarki, czy to na pewno o to chodzi.

– Nie rozumiem – wyznaje. – Przecież Jakub uczy ją za darmo. Wiadomo, że człowiek musi umieć pracować, ale nie zaszkodzi, jeśli potrafi się podpisać. Nie spodziewaj się, że chłopak nauczy twoją Rozalkę czegoś więcej.

– Ja też tak na początku myślałam, ale ona całe lato rysowała znaki przed chałupą. Złościła się, kiedy nie wychodziły takie, jak chciała, łamała patyk, pluła, nogą zamazywała, a potem szukała nowego patyka. Teraz, jak tylko wyjdę do wsi, rysuje węgielkiem po klepisku.

– Czyli idzie o to, że zamiast pracować, zajmuje się literami?

– Nie, nie o to. Ona robi, co trzeba, a wytchnienie też musi mieć. Przecież to dziecko. Nie wiem, jak wam to wyłożyć. – Wiga wzdycha.

Baltazar czeka cierpliwie, mimo że przez zamknięte drzwi wdziera się do pokoju kuszący zapach gotowanej kiszzonej kapusty. Jest tak intensywny, że przewyższa już swą mocą woń kóz bijącą od odzieży zielarki.

– Nie spałam w nocy. Myślałam o mojej córce, Dorocie. Może ja jestem winna, że ona zginęła? Pobłażałam jej w wielu sprawach. Pozwalałam chodzić samej na tańce, ładnie się ubierać, kupować błyskotki na jarmarku. – Wiga wylicza swoje grzechy. – Uczyłam ją zaklęć i mówiłam o mocy ziół, o tym, które ziele rwać rano, a które przy księżycu. Radowało mnie, że szybko się uczy, że zapamiętuje i potrafi już maści przyrządzać, a nie zastanowiło, że ona wciąż chciała wiedzieć więcej i że zamiast słuchać o tym, jak jest, pytała dlaczego. Dlaczego i dlaczego... Czasem tylko się złościłam, bo przecież sama nie wiem. Tak mnie uczono i tyle.

– Umiała czytać?

– Skąd! Kto by miał ją nauczyć? Chłopcy chodzili do pastora i on im coś tłumaczył, ale żadna matka nie puściłaby córki na naukę. Każdy wie,

że to niepotrzebne.

– Ależ potrzebne, Wigo. Sam Luter mówił, że każdy chrześcijanin bez wyjątku powinien codziennie czytać Biblię i rozważać Słowo Boże – przekonuje Baltazar, chociaż wyraz twarzy zielarki wskazuje, że na próżno.

– Kiedyś mówiłam na Rozalkę Sobótką. Specjalnie, bo chciałam ukarać Dorotę, że się z kimś zadała i nie chciała powiedzieć z kim. – Kobieta ciągnie swoją opowieść, jakby nie usłyszała słów zarządcy. – Przypominałam jej wciąż, że to nie jest takie dziecko jak inne, bo spłodzone w sobótkową noc. A ona na to, że zgadza się, inne, bo ma ojca niepodobnego do tutejszych chłopów, i jak on się dowie o córce, na pewno zabierze Dorotkę z dzieckiem do swojego domu. I tak się przemawialiśmy, aż pewnego dnia nie wróciła z lasu.

– Wigo... – Baltazar jest wyraźnie zniecierpliwiony. Nie uwierzyłby, gdyby parę lat temu ktoś mu powiedział, że będzie wysłuchiwał zwierzeń garbatej zielarki. Sytuacja wydaje mu się groteskowa. Pragnie jej przerwać, ale kobieta najwyraźniej chce mówić dalej.

– Nie spałam tej nocy – powtarza. – Nie chcę, żeby Rozalkę spotkało to, co jej matkę. Muszę zgasić w niej ciekawość. Nie chcę, żeby pytała dlaczego i chciała czegoś więcej, niż ma. Dla takich jak my nie ma innej przyszłości niż szara i mizerna. Im prędzej to pojmie, tym lepiej. Nie pozwolę jej przychodzić do dworu, a ten chłopak niech też da jej spokój.



Jeśli Karol X Gustaw sądził, że podporządkowanie Polski będzie łatwe i szybkie niczym poranna toaleta, grubo się mylił. Teraz myśli, że jego plan przypomina rozeschniętą beczkę. I choćby nie wiadomo ile wojska ze Szwecji sprowadził, ilu najemników opłacił i ile obietnic złożył polskiej szlachcie, wciąż jest za mało. Kiedy jedną szparę w owej beczce się zatka, pieniądze i poprzednie kalkulacje wypływają z drugiej strony. Niedługo będzie pół roku, odkąd jego wojsko wkroczyło do Polski, a on nadal nie

ujął Jana Kazimierza. Przeciwnie, polskiemu królowi udało się umknąć na Śląsk, skąd może wzniecać wciąż nowe ogniska buntu. Cóż więc z tego, że wygrał wszystkie bitwy, skoro nie osiągnął celu? Zajął już tę część Rzeczypospolitej, która nie była w rękach cara, lecz kiedy idzie do przodu, za plecami wybucha nowy pożar.

Być może niegdyś przez moment chciał dotrzymać słowa danego szlachcie w Ujściu i Kiejdanach, ale sytuacja się zmieniła. On potrzebuje pieniędzy, a jego ludzie łupów. Od jakiegoś czasu trwa bezwzględne ograbianie Polaków ze wszystkiego. Chłopskie chaty, mieszczańskie domy i warsztaty, dwory szlachty trwającej przy Janie Kazimierzu i katolickie kościoły. Wszystko może się przydać, a szwedzkiemu królowi najbardziej przyda się złoto.

Zrabowane kosztowności gromadzi się w chronionych przez wojsko miastach, gdzie oczekują na transport do Szwecji. Jednym z takich miejsc był wielkopolski Kościan. Właśnie tam Karol X Gustaw otrzymał pierwszy, ale jakże bolesny policzek. Oto jeden ze szlachciców wiernych polskiemu królowi, starosta babimojski Krzysztof Żegocki, wraz ze swym oddziałem zorganizował w październiku napad na Kościan i przejął czterdzieści wozów ze złotem. Co prawda Szwedzi zemścili się na mieszkańcach miasta, wielu mordując, burząc zamek i mury obronne, ale samego Żegockiego nie dopadli.

Starosta babimojski jest solą w oku Karola Gustawa. Psuje mu szyki, szarpie, wprowadza niepokój, a co najgorsze, jest coraz bardziej popularny, a jego oddział rośnie w siłę. Trudno go dopaść, bo bazę ma we wsi Saabor niedaleko Grünbergu^[28], czyli poza zasięgiem Szwedów. Teraz, kiedy trwa oblężenie Jasnej Góry, Żegocki podobno połączył się z siłami hetmana Czarnieckiego i razem idą klasztorowi na odsiecz. Już sama plotka wystarczy, by zmiękły serca żołnierzy. Jeśli dodać do tego powstanie chłopów w Małopolsce i wyjątkowo ostrą zimę, trzeba rozważyć odstąpienie od oblężenia.

W Rzeczypospolitej trwa wojna, a w Karge jakby jej nie było. Nie znaczy to wcale, że panuje tu błogi spokój. Zewsząd dobiegają wieści

o okrucieństwie Szwedów, o olbrzymich kontrybucjach nakładanych na miasta i wsie, o gwałtach, mordach i grabieży. Mieszkańcy Karge i Unruhstadt wiedzą doskonale, że przed tym wszystkim chroni ich tylko Krzysztof Unrug wspierający jak dotąd Karola Gustawa radą i własnym oddziałem.

W tej chwili bardziej od Szwedów dręczy ich zima. Dopiero połowa grudnia, śniegu prawie nie ma, za to mróz jak w lutym. Strach wyjść z domu, a trzeba napoić zwierzęta, przynieść do chaty drewno i wodę. Część mieszkańców zwykle czerpie ją ze strumieni albo z rzeki. Teraz muszą wykuwać w lodzie przerębel albo iść do tych, którzy mają studnie.

Głód na razie nie grozi. W dworskich spichlerzach jest ziarno, prócz tego każdy na własną rękę jakoś się zabezpieczył. Teraz nie pozostaje nic innego, jak siedzieć w chałupie i przy łuczywie albo łożowej świecy zająć ręce jakąś robotą i słuchać opowieści.

Baltazar też jakby ugrzązł w czterech ścianach. Codziennie rano sprawdza, czy zwierzęta żyjące w dworskim gospodarstwie są zadbane, je śniadanie, wysłuchuje plotek przyniesionych przez Alberta ze wsi, potem przegląda księgi, po obiedzie ucina sobie drzemkę, znowu lustruje gospodarstwo, i tak upływa mu dzień za dniem. Jedynym urozmaiceniem są wyprawy do lasu, gdzie rozpoczęły się zręby. One też idą ślimaczym tempem. Nie chce się pracować, kiedy lodowaty wiatr zdaje się przenikać do trzewi.

Jakub najwyraźniej się nudzi. Pomoc przy koniach nie jest czasochłonna. Mógłby iść do lasu ociosywać gałęzie na zrębie, ale sprzeciwił się temu stajenny. Powiedział, że chłopak jest mu potrzebny. W rzeczywistości ów człowiek wysługuje się Jakubem, a sam większość dnia spędza w swojej chacie albo u brata, pastora, skąd ma tylko parę kroków do stajni.

Baltazar zauważył, że Jakuba coś gryzie. Domyśla się, że brakuje mu towarzystwa Rozalki. Zawsze dziwiła go więź łącząca tych dwoje. O czym mogą rozmawiać, w co się bawić prawdopodobnie dwunastoletni chłopiec i młodsza od niego o dwa lub trzy lata dziewczynka? Gdyby choć

byli bratem i siostrą, dałoby się to pojąć. „Czy to sieroctwo ich zbliżyło? Wspólny los dzieci wyjętych poza nawias społeczeństwa? – zastanawia się mężczyzna. – Nie tylko Rozalkę czeka mizerna przyszłość. Jakub też nie ma perspektyw. Czyżby Wiga miała rację? Być może takich dzieci nie należy uczyć i rozpalać w nich ciekawości? Wiedząc więcej, prędzej pojmą swe upodlenie i staną się nieszczęśliwe”.

Baltazar ma uczucie, że czegoś nie dopilnował, jeśli chodzi o Jakuba. Nigdy się nie starał odnaleźć jego bliskich. Mógł chociaż spróbować, tymczasem uznał, że wystarczy, iż podniósł go kiedyś z błota i wziął ze sobą.

Chłopcy w wieku Jakuba uczą się rzemiosła, handlu albo pracują z rodzicami w gospodarstwie, które potem przejmą. Jego podopieczny jak dotąd nie nauczył się niczego, co zapewniłoby mu utrzymanie. Traci czas, kiedy jego rówieśnicy przygotowują się do dorosłości.

Latem von Lestowi wpadł do głowy pomysł, by wprawić chłopaka do zarządzania posiadłością. Umie czytać i pisać, w rachowaniu będzie go szkolić, a codzienne życie w majątku zna od podszewki. Potrzebna jest tylko zgoda Unruga. W tej kwestii nikt mu niczego nie może zabronić. To jego posiadłość, zatem nic nikomu do pochodzenia człowieka, którego zatrudnił. Podczas poprzedniego pobytu Krzysztofa jakoś się nie złożyło, by o tym porozmawiać. Na razie będzie uczył Jakuba, choć nie wie, czy nie popełni błędu.

– Jakubie, chodź do mnie!

Wołanie Baltazara ledwie dociera do kuchni przez zamknięte drzwi. Agata czyszcząca garnek z sadzy podnosi głowę i nasłuchuje. Chłopiec siedzący na stołku przy piecu odkłada toporek, którym przerąbywał przesycony żywicą kawałek drewna, i spogląda pytająco na kucharkę.

– Pan von Lest mnie wołał? – upewnia się.

– Tak mi się zdawało. Idź do niego. Zapytaj, czego potrzebuje.

Idąc z kuchni do alkierza, trzeba przemierzyć cały wyziębiony dom. Kiedy Jakub wchodzi do pokoju von Lesta, trzęsie się z zimna.

– Siadaj przy piecu. – Baltazar wydaje polecenie, przyglądając się chłopcu z uwagą.

Niewiele można wyczytać z jego twarzy. Jakub nauczył się ukrywać uczucia. Jest posłuszny i nic ponadto.

– Co robiłeś w kuchni?

– Rąbałem szczapy dla pani Agaty.

– Może byś mi poczytał?

– Mogę. Gdzie mam zacząć?

– Gdzie chcesz.

Chłopiec siada przy stole i przesuwa w swoją stronę lichtarz z płonąca świecą. Gruba, oprawna w skórę księga jeszcze leży zamknięta. Jakub podparł głowę lewą ręką. Palce giną w jasnych włosach, nieświadomie je przeczesując. Baltazar nie ponagla. Grudniowy wieczór jest długi. Mają czas.

Prawa ręka wyciąga się do księgi. Otwiera ją i kartkuje. Znalazłszy odpowiedni fragment, Jakub pochyla się nad Biblią. Głośno czyta:

– „A Set żył sto lat i pięć lat, i spłodził Enosa. I żył Set po spłodzeniu Enosa, osiem set lat, i siedem lat, i spłodził syny i córki. I było wszystkich dni Setowych dziewięć set lat, i dwanaście lat, i umarł. A Enos żył dziewięćdziesiąt lat, i spłodził Kenana”.

Von Lest ma ochotę zapytać, dlaczego wybrał akurat ten fragment Księgi Mojżeszowej, ale nie przerywa. Właściwie nawet nie słucha. Przygląda się twarzy oświetlonej świecą i oprawionej w ciemność za plecami, włosom koloru pszenicy kończącym się tuż nad ramionami, grubym ciemnozłotym brwiom i rumieńcom, które pojawiły się na policzkach. W tym momencie w pokoju są tylko jasne oblicze Jakuba, otwarta księga, stół i lichtarz z woskową świecą. Wszystko poza tym kręgiem tonie w mroku.

Chłopiec już nie czyta. Podniósł głowę i patrzy w oczy Baltazara, jakby na coś czekał.

– Chcesz o coś zapytać? Śmiało.

- Czyj ja jestem?
- Jak to? – Von Lest jest zaskoczony. Spodziewał się pytania związanego z Biblią.
- Oni wszyscy byli czyimiś synami i córkami. Czyj ja jestem?



Zmianę w powietrzu Wiga wyczuła z samego rana. Będzie padać śnieg. Może nie stopnieć do wiosny, dlatego, póki się da, trzeba nazbierać szyszek i chrustu. Nie jest tak nierozważna, by nie zrobić zapasu opału na zimę, ale od przybytku głowa nie boli. Rozalka ugotuje zupę z rzepy, nakarmi i wydoi kozy, a potem może siedzieć na stryszku z lalką. Nie weźmie jej ze sobą na to zimno, tym bardziej że nie ma dla niej butów.

Do sosnowego lasu jest kawałek drogi. Musi się ciepło ubrać. Na dwie spódnice, jedną letnią, drugą zimową, lnianą koszulę i sukienny kaftan wkłada jeszcze barani kożuszek, który przewiązuje paskiem. Na nogi wciąga miękkie buty z baraniej skóry wypchane w środku słomą. Jeszcze kosz do ręki, płachta na chrust i kij do podparcia. Można ruszać do pracy.

Mimo mrozu Wiga czuje się dobrze. Nareszcie wyszła z dusznej chałupy. Ma dość przedzenia od rana do wieczora i nadąsanej twarzy Rozalki. Obie nie są rozmowne. Całe szczęście, że mieszkają z nimi kozy, to chociaż któraś od czasu do czasu się odezwie. Dziewczynka co prawda posłuchała zakazu i nie spotyka się z Jakubem ani nie rysuje znaków, ale nastroszyła się i trwa w złym nastroju mimo upływu czasu.

Wiga jest już blisko linii lasu. Mija dęby rosnące na jego skraju. Zanim ziemia zamarzła, poryły ją świnie i dziki. Zielarka musi stawiać stopy ostrożnie, by nie potknąć się na twardych grudach. Każda nieostrożność mogłaby się źle skończyć. Wystarczyłoby skrócić nogę, a śmierć z zimna gotowa.

Jest cicho. Miękkie buty nie czynią żadnego hałasu. Szyszki prędko zapełniają kosz. Wtem ucho wyławia jakiś dźwięk. „Ktoś płacze?” – Wiga zamiera w pochyleniu. Nasłuchuje. Ogarnia ją lęk. Może to wołanie

leśnego ducha, który prowadzi ludzi tam, skąd nie ma powrotu. „A jeśli człowiek potrzebuje pomocy?” – Ta myśl sprawia, że nie ucieka, sprawdza jednak, czy nie zapomniała noża. Jeszcze chwila namysłu i robi krok w stronę, skąd dochodzi dziwny lament. Zbliża się wolniutko, by w razie czego się wycofać. Idzie ścieżką wydeptaną przez zwierzęta. Niedaleko przepływa strumień. Mimo że jest zamarznięty, pamiętają i wędrują doń, chcąc ugasić pragnienie.

Już wie, co ją tu przywiodło. Prostuje się i rozgląda. Chyba nikt nie ukrywa się za rdzawymi pniami. Podchodzi bliżej. To sarna miota się przerażona i skarży w swej zwierzęcej mowie. Przednia noga utkwiała w żelaznych szczękach. Nawet gdyby Wiga zdołała je rozewrzeć, ze zgruchotaną kończyną zwierzę nie ma szans na przeżycie.

Lęk wraca. Oczy zielarki przeszukują przestrzeń, zaglądają za każdy pień i krzew i zatapiają się w rdzawych paprociach. Słucha, czy nie poderwie się spłoszony ptak lub nie trzaśnie złamana gałązka.

Nie dzieje się nic.

Sarna przestała krzyczeć, oddycha ciężko i patrzy na stojącą nad nią kobietę. Wiga siada. Kładzie płowy łeb na kolanach. Głaszcze szarpiącą się głowę i pochylona ni śpiewa, ni szepcze, patrząc w czarne oko. Sarna pomału się uspokaja. Leży wsłuchana w szelest słów zielarki. Nie widzi ręki sięgającej po nóż. Szybki ruch i z gardła zwierzęcia bucha krwawa, parująca struga.

Zwierzę prawdopodobnie urodziło się tej wiosny. Jest niewielkie, toteż Wiga bez trudu wkłada je do płachty i zarzuca na plecy. Pospiesznie opuszcza las. Nie przestaje się bać, kiedy wychodzi na otwartą przestrzeń. Myśli o człowieku, który zastawił potrzask i teraz być może ją obserwuje. Niemal czuje na plecach jego spojrzenie. Idzie tak szybko, jak na to pozwala ciężar na garbie.

Kiedy kładzie się wieczorem spać, lęk wraca. Jeśli nikt jej nie widział, nie ma się czego bać. Oskórowała i wypatroszyła zwierzę. Dla niej to nie nowina. Prawie co roku zabija młode kozy, ściąga z nich skórę i soli mięso w beczce. Teraz nikt nie udowodni, że wzięła, co nie jej. Coś

jednak nie pozwala zasnąć. Jakaś myśl gnieździ się w głowie i dręczy. O co chodzi? Co zrobiła nie tak? Zasypia dopiero nad ranem. Budzi się o świcie. Już wie, co się stało.

Zostawiła kosz przy potrzasku.



Gdyby nie śnieg padający od trzech dni bez przerwy, Baltazar nie miałby okazji do zastanawiania się nad własnym zdrowiem. Śnieżyca zamknęła ludzi w domach. Na zewnątrz wychodzi się tylko w sprawach koniecznych, na przykład do zwierząt. Nikt nie wypuszcza się poza wieś, bo mógłby zgubić drogę.

Von Lest męczy się w czterech ścianach. Zapewne z nudów je częściej niż zwykle. I tu właśnie zauważył coś niepokojącego. Wszystko, co podaje mu Agata, nabrało podobnego smaku. Czy to ser ze śmietaną, czy piwna polewka zagęszczana chlebem, czuje to samo. Nawet pościel w jego łóżu ma podobną woń. Gorzej! Częściej niż zwykle chodzi do wychodka, bo wciąż chce mu się sikać. A to, zważywszy na zimową aurę, przyjemne nie jest.

Nie ma z kim o tym porozmawiać. Wigi chyba nie wypada pytać o kłopoty ze smakiem i pęcherzem, zresztą i tak trudno byłoby do niej się wybrać.

Agata też inna niż zwykle. Zachowuje się, jakby jej coś zrobił. Mniej mówi, rumieni się co chwilę jak dziewczątko, ucieka spojrzeniem na boki. W tej sprawie pociągnąłby za język Alberta, ale on z kolei poślizgnął się na lodzie i złamał nogę. Nie tyle sługi brakuje Baltazarowi, co jego gadania. Nuda, nuda, nuda.

– Jakubie!

Wołanie Baltazara rozlega się w całym budynku. Chłopak słyszy je nawet w swojej wnęce za piecem, gdzie, leżąc na wąskim łóżku, oddaje się ponurym rozmyśleniom.

– No, dalej. Idź – ponagla kucharka.

Młodzian wstaje z łóżka i nogą za nogą wlecze się do alkierza.

– Siadaj – rozkazuje von Lest. – Pokażę ci, na czym polega prowadzenie ksiąg gospodarstwa – mówi, kładąc na stół gruby wolumin.

„Po co?” – Pytanie pozostaje w głowie Jakuba. Nie śmie kwestionować sensu poleceń zarządcy. Posłusznie zajmuje miejsce przy stole i tępo patrzy w przewracane stronic. Słucha o tym, kto chałupnik, a kto dzierżawca, dowiaduje się o liczbie kur i jajek dla dworu należnych za wypasanie krów na pańskich łąkach, o ćwiertniach owsa za korzystanie z pańskiego lasu, liczbie odrabianych dni w żniwa żytnie, beczkach piwa od dworu dla żniwiarzy i innych równie zajmujących sprawach. Im dłużej zarządca tłumaczy zapisy w poszczególnych rubrykach, tym bardziej Jakubowi chce się spać. Powieki robią się coraz cięższe i cięższe, aż wreszcie opadają.

– Co ci? Jesteś chory? – Pełen niepokoju głos Baltazara budzi chłopaka z drzemki.

– Nie! Ja tylko...

– Coś nietęgą masz minę. Jadłeś dzisiaj?

– Pewnie! Przecież widzieliście. – Jakubowi całkiem odechciewa się spać. Ma wrażenie, że von Lest jest jakiś nieswój.

– Smakowało ci?

– Gryczana kasza ze skwarkami miałyby nie smakować?

– A czegoś dziwnego nie czułeś?

– Niby czego?

– Jakubie – Baltazar porzuca temat jedzenia – a jak u ciebie z sikaniem? Chodzisz tak samo często jak kiedyś?

Chłopiec wlepia osłupiałe spojrzenie w opiekuna.

– Jak kiedyś – potwierdza niepewnie.

Dopiero teraz do zarządcy dociera bezsens tej rozmowy. By ukryć zakłopotanie, znowu zmienia wątek.

– Dobrze ci w kuchni przy piecu? Nie za ciasno?

– Trochę ciasno, bo tam tylko łóżko się mieści. I czasem nie idzie wytrzymać, jak Agata mocno napali. Na wiosnę od razu pójdę na siano.

– Trzeba pomyśleć o jakimś kącie dla ciebie. Duży jesteś. Nie możesz spać jak kuchcik. Idź już i wołaj mi tu Agatę. Niech od razu świecę przyniesie, bo zrobiło się ciemno.

Kucharka zjawia się wystraszona. Zanim przyszła, Jakub zdążył jej powiedzieć, że von Lest dziwny jakiś i wypytywał, czy jedzenie smakuje.

– Agato, wstyd się przyznać, ale nie pamiętam, czy mamy w domu jakąś izbę, gdzie jest piec. Ty tu jesteś gospodynią. Wiesz więcej niż ja – usprawiedliwia się zarządca.

Kucharka, która prawdopodobnie spodziewała się reprimendy w sprawie gotowania, oddycha z ulgą.

– Mamy ścianówkę. To piec ogrzewający naraz dwie izby – wyjaśnia. – Teraz tam myszy zimują, bo pełno gratów, i trudno je wyłapać. A co, chcieliście się przenieść? Nie radzę. Tu wam lepiej.

– Jakubowi trzeba uszykować jakąś izbę. Nie może chłopak spać w kuchni do dorosłości. Pójdziemy tam jutro za dnia i zobaczymy, czy któryś z pokoi będzie się nadawał. Może tę drugą izbę ty byś zajęła. U siebie nie masz przecież żadnego ogrzewania.

– Mnie tam luksusy nie są potrzebne. Cały dzień kręcę się po kuchni, a spać lubię w zimnym. I co by pan Unrug na to powiedział, że kucharka w pańskich pokojach mieszka?

– Właściciele mają nowy dwór. Ten ich mało obchodzi. Teraz to moje królestwo i mogę tu robić, co zechcę.

Ton głosu Baltazara wydaje się Agacie surowy. Niedawne obawy wracają. Opuszcza więc głowę i pokornie deklaruje:

– Jutro zaraz po śniadaniu tam posprzątam i rozpalę w piecu. Czy coś jeszcze do mnie macie?

– Tak. Chciałbym wymoczyć nogi w ciepłej wodzie. Muszę tylko wyjść na chwilę, tymczasem przynieś tu miskę i ręcznik.

Kiedy po kilkunastu minutach kucharka stawia przed zarządcą miskę

z ciepłą wodą, ten drży jeszcze przeniknięty chłodem podwórka. Woda jest za gorąca, unosi więc stopy do góry, a Agata dolewa z dzbanka zimnej. Teraz jest idealnie. Wrażenie pełnej harmonii dopełnia pochylona nad miską kobieta z piersiami ledwo mieszczącymi się w przyciasnym gorseciku.

Następnego dnia po wymoczeniu nóg problemy Baltazara minęły jak ręką odjął. Jajecznicza na słoninie miała smak taki, jak powinna. Podobnie było z barszczem na obiad i jęczmiennymi plackami z miodem na kolację. Przemyślawszy sprawę, von Lest uznał, że zabieg należy powtarzać jak najczęściej.



Przez cztery dni nieustannie padał śnieg. Nie sypał z nieba tak po prostu. Śniegiem rządził wiatr. Kręcił nim i rzucał, gdzie chciał. Zawodził przy tym, jęczał w kominie i wnikał szparami do wnętrza chałupy, zabierając resztki ciepła.

Teraz jest tak cicho, że aż w uszach dzwoni. Nawet kozy, które w nocy zwykle szeleszczą i chrupią, nie dają znaku życia. Obudzona ciszą Wiga wyciąga rękę, by sprawdzić, czy Rozalka leży obok. Ciepłe ciało dziewczynki i krótki pomruk uspokajają na krótko. Szeroko otwartymi oczyma kobieta próbuje w ciemności dojrzeć przyszłość.

Nigdy nie była wieszczką. Zdarzało się, że dziewczęta, zanim wyszły za mąż, prosiły ją o wróżbę, ale przepowiednie zielarki brały się ze znajomości ludzkich charakterów, a nie z dymu, kości albo patrzenia w otwartą dłoń. „Nigdy nie będziesz widziała – usłyszała kiedyś. – Widzenie trzeba dostać od matki, która ma to od swojej. Ty nie jesteś taka. Możesz się nauczyć wszystkiego, co zwyczajne”.

Nie czuła żalu, że brak jej zdolności widzenia. Przeciwnie, tak było lepiej. Po co miały ją dręczyć nieszczęścia, które dopiero ludziom się zdarzą? Dość tych, co dzieją się teraz.

Coś się zmieniło od letniej burzy. Może nawet wcześniej, lecz tego nie

zauważyła. Zresztą to nie musi być widzenie. Dręczy ją jakieś przypuszczenie, złe przeczucie zalegające na piersi coraz większym ciężarem. Nie wie, czy ma to związek ze zniknięciem Doroty przed laty, czy z kłusownikiem zastawiającym w lesie mordercze potrzaski, albo z niszczycielską burzą i narodzinami chorego dziecka. Z jakiegokolwiek przyczyny powstało w umyśle Wigi, dość, że tam jest i nie pozwala żyć tak jak kiedyś.

Kozy zrobiły się niespokojne. Pobekują i tupią, domagając się siana. Kobieta wydobywa się spod kozuchów, wkłada leżący na wyciągnięciu ręki kaftan, wciąga zimową spódnicę, a gołe stopy wsuwa w wypchane słomą buty. Mimo tego zabezpieczenia dalej jest jej zimno. Ma wrażenie, że nastał ranek. W takim razie dlaczego w chałupie panują ciemności?

Po omacku idzie do drzwi. Otwiera najpierw pierwsze, te do sieni, potem drugie, wiodące na dwór. Zatrzymuje ją ściana, która nagle przed nią wyrosła. Wyciąga rękę. Dłoń napotyka lodowatą, kruszącą się płaszczyznę. „Zasypało nas!” – uświadamia sobie.

– Rozalka! – woła. – Wstawaj, musimy się odkopać.

Chałupa jest niska, a zaspą sięga co najmniej strzechy, dlatego, by wyjść, muszą część śniegu wciągnąć do sieni. Na szczęście wszystkie narzędzia gospodarskie są na miejscu. Dzięki nim i temu, że śnieg nie jest bardzo zbity, udaje im się wygrzebać otwór, przez który widać niebo.

– Babko, wy zostańcie, a ja się wdrapię do góry – proponuje dziewczynka. – Zobaczę, ile jeszcze musimy kopać. – Drabinka, po której Rozalka próbuje się wspiąć do prześwitu, zapada się pod wpływem ciężaru, mimo to dziewczynka w końcu wystawia głowę na powierzchnię. Kręci nią, rozglądając się wokół. – Ale ładnie! – krzyczy. – Babko! Wszystko jest takie czyste i białe!

– Ty mi mów, czy do wsi uda się dojść, a nie, że ładnie. – Wiga upomina wnuczkę.

– Kiedy naprawdę...

– Rozalka, powiedz, czy śniegu dużo.

– Dużo, ale nie po samo niebo. Drzewa widać i Karge też. Przed naszą chałupą jest wielka zaspą. Wiatr tak nawiał, że zakryło nam drzwi.

– No to do roboty! Trzeba odśnieżać, a nie gapić się po próżnicy.

– Mogę jeszcze trochę popatrzeć?

– Nie. Złaż i bierz się do odkopywania.

Ostatecznie prawie cała praca spadła na Rozalkę, bo zaledwie udało się przebić przejście przez zaspę, nadjechały sanie. Zięc Wojciecha, pomocnika kowala, prosił o pomoc dla żony. Ponieważ pokrótce opisał dolegliwości swojej kobiety, zielarka wzięła ze sobą, co wydało się jej przydatne, i pojechała do chorej mieszkającej w części Karge zwanej Środkową Wsią.

Obrzęknięte oblicze w niczym nie przypomina twarzy Agnieszki, córki Wojciecha. Równie źle wyglądają nogi, ręce i nabrzmiąły brzuch.

– Kiedy ma się urodzić?

– Chyba na wiosnę – odpowiada chora z wysiłkiem. – Może w końcu zimy.

– Dawno się taka gruba zrobiłaś?

– Z pięć niedziel temu się zaczęło. Matka kazała jeść, to jadłam. Myślałam, że od tego przybywam, ale chyba nie. Tak mi wciąż niedobrze i głowa mocno boli. Nie mogę nic robić. Świekra zła. Mówi, że jestem leniwa. A mnie wszystko w oczach wiruje – skarży się żona garncarza.

Wiga kiwa głową, jakby wszystko rozumiała. Siedzi na zydlu pochylona do przodu i myśli nad czymś.

– Co robicie? – Chorą niepokoi milczenie znachorki. – Mówcie, może ktoś mi coś zadał?

– Nie przeszkadzaj. Modlę się o dobrą radę.

Młoda kobieta posłusznie milknie i zatrzymuje wzrok na prostym drewnianym krzyżu wiszącym naprzeciwko łóżka.

– Dam ci zioła. Pij rano, w południe i wieczorem. Powinny na głowę pomóc – odzywa się Wiga po kilku minutach.

– A zaklęcia?

– Pastor nie mówił, żeby w zaklęcia nie wierzyć?

– Mówił, ale wiadomo, że muszą być. Przecież leczenie bez zaklęć nieważne.

– Idę do twojego męża. Jeśli będzie chciał, to jeszcze do ciebie przyjdę. Ty się módl. Powiem świękrze, żeby ci nie dokuczała.

Jako że nikomu nie przyszło do głowy, by odwieźć ją do domu, brnie przez zasypaną śniegiem wieś. Dzieci, które podczas śnieżycy wysiedziały się w chałupach, ganiają między chruścianymi płotami, rzucają śnieżkami i ślizgają się na rozlewiskach. Kobieta obwiązana wielką chustą, dźwigająca wodę w dwóch wiadrach zaczepionych na nosidle, idzie ostrożnie, patrząc uważnie pod nogi. Zmierza do chaty Wojciecha. Wiga dopiero teraz ją rozpoznaje. To matka chorej Agnieszki. Powinna jej powiedzieć, że córka nie dożyje porodu. Zamiast tego odprowadza ją wzrokiem, a potem rusza w dalszą drogę.

Po pokonaniu kilku zasp dociera do odśnieżonej ścieżki. Jest teraz w Unruhstadt, czyli w tej części osady, która wznoszona jest od podstaw i ma oddzielne prawa. Różnica jest zauważalna. Na z góry wytyczonych działkach stoją nowe budynki. Są to warsztaty, komórki dla zwierząt, a przede wszystkim domy, w których mieszkają rzemieślnicy sprowadzeni przez Unruga ze Śląska.

Kobieta zatrzymuje się przed budynkiem stojącym tuż obok pustej działki. Dzięki temu może mu się przyjrzeć. Jest z drewna, tak jak inne, ale ścianę kominową wymurowano z cegieł. Dach pokryto gontem, a w oknach są szyby. „Jak we dworze – myśli z podziwem kobieta. – Chyba bogaci ludzie tu mieszkają”.

Patrzenie na budynek najwyraźniej przeszkadza jego mieszkańcom, bo w drzwiach pojawia się kobieta w ciepłej zielonej sukni częściowo osłoniętej fartuchem i w białym czepku.

– Odejdź, starucho! – woła w kierunku Wigi. – Nie patrz na mój dom! Wynoś się stąd! Precz!

Zielarka nie do końca rozumie wykrzykiwane słowa. Przybysze mówią inaczej, choć można się z nimi jakoś porozumieć. By pojąć, o co chodzi niewieście w zielonej sukni, wystarczą jej gesty i pełna gniewu twarz.

Wiga odchodzi ze spuszczoną głową. Zdarzało się jej być źle potraktowaną, ale nigdy nie odczuła tego tak boleśnie.

Za sprawą niezyczliwych słów ciężar na piersi powiększa się o kolejne brzemie.

Dzień jest piękny. Słońce oświetla złotym blaskiem pokryte śniegiem strzechy, czapy na krzywych sztachetach i chruścianych płótkach, drogi i dróżki pełne kolein i ludzkich śladów i spiczaste stogi siana. Każdy badył, suchy kwiat, krzak i bezlistne drzewo ubrane są w odświętną szatę. Za sprawą słabego podmuchu wiatru z krzywej sosny sypie się brylantowy pył i osiada na garbatych plecach i chuście kobiety brnącej samotnie przez białą równinę.

Kobieta wraca do dziewczynki. Ona też jest sama, lecz w tej chwili nie czuje się samotna, bo otaczają ją znaki wyryte w czystym śniegu. Co jakiś czas się prostuje i z błyskiem radości w oczach spogląda na swe dzieło i nietkniętą jeszcze biel czekającą na dotknięcie patyka.



W pierwszą niedzielę po Bożym Narodzeniu Wiga i Rozalka stoją na mrozie przed kaplicą. Jak wielu innych nie zmieściły się w środku. Wiernych przybywa, a kaplica jest taka, jaką przed laty wznosił poprzedni właściciel.

Trwa nabożeństwo, ale do nich docierają tylko strzępy kazania i modlitw. Są tu bardziej dla pastora niż z potrzeby serca. Im mniej bezpiecznie czuje się zielarka, tym bardziej uważa na to, by się komuś nie narazić. Obie mają na nogach wysokie, niezgrabne buty wypchane słomą, są w długich sukiennych spódnicach i szorstkich chustach w szarym kolorze, właściwym dla tutejszych owiec. Wnuczka wygląda na wyższą od garbatej babki, lecz gdyby stanęła obok swoich rówieśniczek,

okazałoby się, że jest drobna, chuda i niepozorna. Stara się usłyszeć, o czym mówi pastor. Interesuje ją Biblia, z tej księgi pochodzą bowiem opowieści, którymi raczył ją Jakub.

Jakub! Dziewczynka rozgląda się w poszukiwaniu przyjaciela. Nigdzie go nie widzi. Na pewno jest w środku z panem Baltazarem. Kuksaniec przywołuje ją do porządku. Nabożna mina wraca na twarz, a wzrok skupiony na wiechciach wystających z butów może świadczyć o trwaniu w modlitwie.

Po nabożeństwie obie czekają. Widze zależy, by zobaczył ją pastor, a Rozalka chciałaby ujrzeć Jakuba.

Niespodziewanie zatrzymuje się przy nich kobieta w nowym kozuchu i ładnych trzewikach obstalowanych u szewca. Spod futrzanej czapy patrzą na Wigę płonące gniewem oczy.

– To przez ciebie zdechła moja krowa! – krzyczy, wskazując palcem na zielarkę. – Specjalnie gapiałaś się na mój dom! Sprowadziłaś urok na krowę!

Kompletnie zaskoczona Wiga nie wie, co powiedzieć. Nawet dobrze nie rozumie, o co oskarża ją żona jednego z nowych sukienników. Wokół gromadzą się wierni wychodzący z kaplicy, a wzburzona mieszcza dalej miota oskarżenia, opowiadając ciekawskim o tym, jak garbuska stała, jak patrzyła i jak zaraz po wycieleniu krowa zdechła.

Obie z Rozalą odetchnęły z ulgą na widok Agaty rozpychającej się łokciami, by dotrzeć do środka zbiegowiska.

– Erna, co ty za awantury pod kaplicą wyprawiasz?

Kobieta zawołana po imieniu ogląda się i rozpoznawszy kucharkę z dworu, zamierza znowu opowiedzieć swą historię.

– Lepiej nic nie mów – przerywa jej Agata. – Nie zapominaj, że dopiero co byłaś na nabożeństwie. My tu Wigę dobrze znamy. Wiemy, że nie ma uroczych oczu. A tobie się dziwię – kucharka podnosi głos, widząc, że zbliża się pastor – że wierzysz w takie rzeczy.

Kobieta, speszona obecnością Schilberga, milknie na dobre. Skinąwszy

głową pastorowi, cofa się, próbując opuścić zbiegowisko. Kiedy przed kaplicą pojawia się zarządca, jest już po awanturze.

– Chodźcie do dworu. – Agata zaprasza Wigę i Rozalkę. – Zmarzłyście na kość. Rozgrzejecie się gorącym mlekiem z miodem.

W kuchni jest ciepło. Piec zajmuje niemal całą ścianę. Pozostała jedynie wąska i głęboka wnęka, która kiedyś miała być skrytką na miotły lub spizarką na susze, czyli groch, suszone owoce, grzyby, kasze i przyprawy. Do niedawna stało tam wąskie łóżko Jakuba, teraz ziele pustką, lecz takie miejsca szybko zapełniają się wiadrami, pogrzebaczami, stojakami i innymi rzeczami, które warto mieć pod ręką.

Główną częścią wielkiego pieca jest palenisko na kamiennej podmurówce ograniczone od góry okapem z szeroką, mocną belką. Stoją na niej gliniane garnki, butelki z octami oraz lichtarze ze świecami gotowymi do zapalenia. Nad ogniem umocowano pręt z żelaznymi hakami. Gotując wodę lub wymagając dużego garnka potrawę, gospodyni zaczepia na nich naczynie z zawartością. Na brzegu paleniska stoją też drybanki i inne pomocne kucharskie przedmioty. Obok głównego paleniska jest jeszcze miejsce do pieczenia chleba i ciast oraz wnęka do przechowania potraw, które nie powinny ostygnąć.

Z takiego właśnie schowka kucharka wyjmuje garnek z ciepłym mlekiem i jęczmienne placki niezjedzone na śniadanie. Dodaje jeszcze garnczek z miodem i chleb, gdyby ktoś miał życzenie. Przy stole obok Wigi, Rozalki i Agaty zasiada Jakub. Baltazar zaraz po nabożeństwie osiodłał konia i pojechał do lasu. Ma wrócić dopiero w porze obiadu.

– Znasz tę kobietę, co na mnie krzyczała? – Wigę interesuje to bardziej niż jedzenie.

– Trochę. Byłam u niej raz. Zamówiłam sukno. W warsztacie jej męża robi się lepsze niż nasze. Specjalnie sprowadza wełnę z Niemiec. Mięciutką i bielusińką. Kiedy tylko powiedziałam, że służę we dworze, Erna zrobiła się miła i uprzejma, chociaż chwilę przedtem była opryskliwa. Oprowadziła mnie po całym domu. Prawie wszystko ma tam nowe. Meble, kilimy i statki^[29] w kuchni, pościele w skrzyniach.

– Czego tacy bogacze u nas szukają?

– Podobno tam, gdzie wcześniej mieszkali, było dużo katolików. Cesarz sprzyjał tylko im, a nasze siostry i braci miał za nic. Mnie się zdaje, że i dla dobrego miejsca tu przyjechali. Jak on z Niemiec sprowadza wełnę, to przecież od nas ma bliziotko.

– Martwię się, co będzie, jeśli ludzie jej uwierzyli – wyznaje Wiga.

– Gdyby uwierzyli Ernie, byłby kłopot. Nadzieja w tym, że nie jest lubiana.

Jakub i Rozalka, przysłuchując się rozmowie, pochłaniają placki polane miodem i popijają mlekiem. Kucharka, rzuciwszy okiem na niemal pusty talerz, uśmiecha się, po czym dokłada jeszcze kilka placków.

– To dla nas – rozwiewa nadzieje głodomorów. – Jakubie, rozpal u siebie w piecu. Wigo, czy Rozala może z nim pójść?

Zielarka czuje, że Agata pragnie jej coś powiedzieć, dlatego kiwa potwierdzająco głową.

– Ja nie umiem robić takich dobrych rzeczy – przyznaje Wiga. – Nawet nie miałabym gdzie. Kiedy patrzyłam na dom nowego sukiennika, myślałam, ile się zmieniło przez te lata, odkąd mnie pan Żychliński przywiózł. A ja wciąż żyję jak dawniej. Byle co gotuję, śpię na legowisku ze słomy i przykrywam się kozuchem. Jednego dnia poszłam do Agnieszki, żony garncarza. Leżała na łóżku, w pościeli. Kto by na wsi kiedyś pomyślał, żeby tak po pańsku chorować. Bo że we dworze pościele i osobne koszule do spania, to wiadomo. Państwu się należy. Ale żeby dziewczyna z chłopstwa jak pani chorowała...

– Wigo – Agata przerywa zielarce. Lada chwila może wrócić von Lest, a ona chciałaby usłyszeć pewne wyjaśnienia. – Te zioła, co dałaś dla krewniaczki z Babimostu, nie pomogły. Wdowiec nie nabrał na nią ochoty. Jedzenie nimi doprawione też mu nie smakowało.

– A robiła, jak kazałam?

– To znaczy?

– Mówiłam, że po troszeczkę trzeba dawać. Szczyptę do zupy, szczyptę

do kaszy...

– A szczypta to ile?

– Tyle. – Wiga sięga do garneczka z solą i trzema palcami wyjmuję odrobinę.

– Aha.

Zielarka zerka na kucharkę. Jej mina wszystko wyjaśnia.

– To ile ona mu dawała? – pyta.

– Tyle. – Agata sięga po sól i wybiera pół garstki.

– Aha. – Powiedziawszy to, Wiga milknie i trwa jakiś czas w zamyśleniu.

– Co teraz? – Kucharka się niecierpliwi.

– Nic. Chyba mu nie zaszkodziło. Najwyżej częściej sikał.

– To miały być zioła na kochanie! – protestuje Agata.

– Powinnaś wiedzieć, że jak doprawiasz zupę, to musisz dać soli tyle, ile trzeba. Nie za dużo, nie za mało. Jak dasz za dużo, zupa będzie do niczego. Z ziołami jest tak samo. Dlatego wdowiec, zamiast kochać, do wychodka biegał.

– Co teraz? – Agata powtarza pytanie.

– Ona jeszcze go chce?

– Pewnie!

– Spróbujemy ziela na omywanie. Zrywałam je, kiedy księżyc przybierał. To najlepsza pora dla ziół na kochanie i męską niemoc. Przyniosę, jak znowu będę szła do wsi.

– Sama jutro przylecę.

– Tak jej pilno?

– Jeszcze jak!

Mimo awantury przed kaplicą Wiga i Rozala wracają do siebie uśmiechnięte. W dodatku niosą kawał świątecznego piernika i pasztet z zająca, który okazał się zbyt słony i zarządca nie chciał go jeść.



„Powiedziała, że trzeba większej śmiałości” – Agata przypomina sobie słowa zielarki. Rano, zaraz po śniadaniu, poszła do Wigi. Mróz był srogi, ale się uparła. Kiedy ma doprowadzić sprawę do szczęśliwego końca, jeśli nie teraz? Przyjdzie wiosna i tyle będzie Baltazara widziała, co przy stole. Od świtu do nocy będzie go nosiło.

Prócz ziół do parzenia dostała mały lniany woreczek. Ma go nosić ukryty blisko serca. Jest w nim tymianek, ponętka, zwykła pietruszka, mak i jeszcze inne roślinki przyciągające miłość.

„Jak to z omywaniem było? – zastanawia się. – Żebym znowu czegoś nie popsuła”. Sięga do ziół przeznaczonych do parzenia i wącha, próbując rozpoznać składniki mieszanki. „Lubczyk, tymianek, szalwia? Na pewno coś jeszcze, lecz trudno oddzielić zapachy, kiedy zioła są pomieszane”. Wsypuje garstkę do glinianego garnka, zalewa zioła wrzątkiem i od razu przykrywa, by woń mająca wabić ukochanego nie uciekła. Napar ma posłużyć do omywania ciała i skrapiania odzieży. Ale jeszcze nie teraz. Niech postoi w cieple i poczeka, aż Jakub pójdzie spać.

Na obiad podała ulubioną potrawę zarządcy – bigos z różnych mięs doprawiony winnym octem. Von Lest był zaskoczony, ale nie komentował. „Mógłby chociaż raz powiedzieć, czy smaczne”. – Kucharka się nadąsała, ale szybko jej przeszło, bo przecież to ma być ten dzień. Dzień, w którym w końcu uwiedzie Baltazara.

Za oknem widać pierwsze oznaki nadchodzącego wieczoru. Cień już padł na domy stojące niżej od dworskich zabudowań, ale dachy Górnej Wsi wciąż toną w słonecznym blasku. Agata czuje niepokój, lecz tym razem nic nie jest w stanie jej powstrzymać. Odwagi dodają myśli o upływającym czasie i pragnienie, by zanim całkiem minie, zakosztować szczęścia z mężczyzną, którego postawił jej los na drodze. Wiele razy myślała o tym, że właściwie żyją tu jak mąż i żona. Przez większość roku są we dworze tylko we dwoje, a z nimi Jakub. Ona gotuje, pierze, sprząta, pielęgnuje warzywnik, a on dba o gospodarstwo.

Była dobrą żoną dla Macieja, chociaż szybko zrozumiała, że go nie kocha. Być może on ten brak miłości odczytał z jej oczu, bo coraz częściej podnosił na nią rękę. Nazywał jałowicą, pustą studnią albo jeszcze gorzej. Bardzo się jednak mylił, jeśli sądził, że Agata pozwoli, by bił ją do końca życia. Pewnego razu to ona zamierzyła się na Macieja, a w ręce miała nie byle co, tylko toporek, którym akurat dzieliła drwa na szczapy. Odszedł jeszcze tego samego dnia.

Kiedy zarządcą majątku został von Lest, potrzebowała czasu, by go polubić. W końcu nabrała upodobania do jego posępnego oblicza, bo domyśliła się, że za smutkiem i brakiem wylewności stoi utajone cierpienie. Dopiero wtedy zaczęła zwracać uwagę na przebłęski humoru, łagodność w stosunku do dzieci i sprawiedliwe podejście do ludzi. Taki właśnie mężczyzna by jej pasował, ale nie od razu odważyła się myśleć o nim w ten sposób. To lęgåło się w niej pomału dzięki życiu we dwoje, choć bez dzielenia łóža.

Podnosi pokrywkę garnka z naparem. Przyjemna woń ziół wędruje do nozdrzy. Agata wzdycha głąboko. Nabiera w dłoń trochę złotawego płynu, przelewa go do drugiej, rozsmarowuje, a potem mokrymi rękoma dotyka twarzy, szyi, dekoltu i koszuli. Czuje przy tym, jakby coś w niej wzbierało i zaczynało brać w posiadanie.

Wejście Jakuba z koszem pełnym drewna psuje nastrój. Nie pora na miłosne obrzędy, kiedy ktoś kręci się po kuchni i przeszkadza.

Baltazar przy kolacji nie ma humoru. Nie zwraca uwagi na to, co je, i w ogóle się nie odzywa. Nie pomogło skrapianie koszuli i omywanie twarzy. Tyle że miły zapach na ubraniu został.

Zapadła noc. Za oknem siarczysty mróz, ale nie ma dostępu do dworskiej kuchni, w której króluje rozgrzany piec. Agata siedzi zadumana naprzeciwko paleniska i patrzy w żarzące się polana. Raz po raz ciszę przerywają ciężkie westchnienia i pociąganie nosem.

Znowu się nie udało. A szło tak dobrze. Czuła przecież moc ziół zrywanych, kiedy księżyc przybierał. Gliniany garnek pełen ciepłego naparu stoi bezużytecznie. „Jutro świniom wyleję – decyduje kucharka. –

Może im na coś się przyda”.

Wstaje w końcu z krzesła, sięga po świecę i ją zapala. W żółtym świetle błyszczą krągły podbródek i zroszone łzami policzki. Oczy schowały się w cieniu, ale nietrudno domyślić się w nich smutku.

Agata zagląda do garnka z bezużytecznym płynem. Z ciężkim westchnieniem podnosi pokrywkę. Woń, która miała stworzyć aurę miłości, napełnia kuchnię, wciska się w nozdrza i w rozchylone usta. Odtąd wszystko robi inaczej, niż przed chwilą zamierzała. Wyciąga z wnęki za piecem niski i szeroki ceber, który wcześniej tam schowała, i napełnia go ciepłą wodą. Zdejmuje z siebie odzież, a kiedy jest już całkiem nagusieńka, szybkim ruchem ściąga czepek. Długie potargane włosy opadają na plecy. Kobieta potrząsa głową, przeczesuje jasne pasma palcami i dumnie wyprostowana wchodzi do wody. Tak jak nakazała zielarka, myje się najpierw cała, a potem sięga do garnka z ziołami. Zanurza w nim lnianą szmatkę i zaczyna omywanie.

Krople wyciśnięte z gałganka spływają po czole i powiekach, toczą się po policzkach, wciskają się do ust, rozlewają po szyi, docierają do piersi, brzucha i łona, suną po udach i giną, mieszając się z wodą. Agata czuje każdą kroplę na sobie i w sobie. Wzbierają w niej pieśnią wypełniającą ciało po brzegi, wędrują ku krtani i wypływają z ust melodią bez słów – rzewną i tęskną.

Baltazar nie może zasnąć. Bardzo się dzisiaj zdenerwował. Zaraz po południu przyszedł gajowy. Wsiadli razem do sań i pojechali do lasu, gdzie ujrzał dzieło kłusownika. Piękny rogacz wpadł w potrzask. Zwierzę konało w mękach. Aż dziw, że nie zwęszyły go wilki. Von Lest nie lubi polować, ale korzysta z mięsa zwierząt upolowanych przez gajowego. Nikt nie zwraca uwagi na sidła zastawione na ptaki albo na zające. Drobna zwierzyna jest traktowana przez miejscowych jak coś wspólnego, z czego nie trzeba się przed panem rozliczać, ale każde grube zwierzę należy do właściciela lasu. Nie wolno bez zgody pana polować ani tym bardziej zastawiać pułapek. Za złamanie tego zakazu czeka surowa kara. Tymczasem pod bokiem von Lesta od kilku lat grasuje kłusownik. Robi,

co mu się podoba, jakby się z niego naigrawał. To się musi skończyć. Tylko jak w wielkim lesie znaleźć człowieka zającego w nim każdy krzak i dołek?

Takie myśli dręczą Baltazara i nie dają zasnąć. W dodatku zmarzł w lesie. Do tej pory stopy, choć przykryte pierzyną, przypominają kawałki lodu. Zawołałby Agatę, żeby przyniosła gorącej wody, ale skoro poszła spać...

Przewróciwszy się z boku na bok po raz chyba dwudziesty, wstaje i po cichu, by nikogo nie obudzić, wychodzi na ciemny korytarz. W szparze pod drzwiami prowadzącymi do kuchni dostrzega słabe światło. „Zapomniała zgasić świecę. – Rośnie w nim gniew. – Gdybym nie wstał, moglibyśmy się spalić”. Już sięga ręką do klamki, kiedy do jego uszu dociera melodia. Zaintrygowany otwiera ostrożnie drzwi.

Na stole w cynowym lichtarzu pali się świeca. W kręgu światła nie ma nikogo, jednak niedaleko paleniska, w półmroku, dostrzega nagą kobietę stojącą w cebrze wypełnionym wodą. W ciemnościach rozproszonych migocącym blaskiem widzi wyraźnie linię ramion i pleców, pełne biodra i mocne uda.

Czuje, że powinien się cofnąć, że patrzy na chwilę intymną. Agata myje się w nocy, bo kiedy skromna kobieta miałaby to robić? Tylko dlaczego tak dziwnie śpiewa? Zamknąwszy drzwi za sobą, oparty o futrynę, słucha syreniego śpiewu i patrzy zachłannie na magiczne omywanie. Na każdy gest, schylenie, wypięcie bioder i błysk piersi pod podniesionym ramieniem.

Kobieta się nie ogląda, choć poczuła chłodny powiew i jest świadoma obecności Baltazara. Teraz krople magicznej wody spływają po białej skórze, by wskazać drogę jego ustom i dłoniom. Dlaczego wciąż się ociąga? Agata się obraca, posyłając mu poważne spojrzenie.

Jeszcze nie pojmuje, co mówią mu jej oczy, ale już wzdycha na widok bujnych piersi, a potem robi krok, najpierw jeden, potem następny.

Kiedy nareszcie zasypia, słodko utrudzony, przychodzi mu do głowy, że dawno jego stopy nie były tak gorące.



Zima odchodzi. Szkoda, bo tak dobrze było im wieczorami siedzieć we trójkę przy piecu. Agata i Jakub poznawali nowego Baltazara, takiego, który potrafił opowiadać godzinami o miastach, które widział, kiedy towarzyszył panu Krzysztofowi w jego podróży po Europie, i o napotkanych wtedy ludziach. Okazało się, że von Lest zna mnóstwo historii zasłyszanych podczas wojennych postojów. Były wśród nich prawdziwe i inne, pełne wilkołaków i upiorów, tylko o samej wojnie nie mówił. O Zuzannie, Franku i Uli też nigdy nie wspominał. A pewnego wieczoru, gdy wiatr wył w kominie, Baltazar zaintonował pieśń. Była w czystym niemieckim języku, którym ani kucharka, ani Jakub się nie posługiwali, toteż rozumieli niewiele. Mimo to siedzieli wsłuchani w piękny głos i smutną melodię. Tamtej nocy Agata była wyjątkowo czuła i delikatna, bo nie tyle na kochaniu, co na odpędzeniu Baltazarowej boleści jej zależało.

Wbrew obawom Karge i Unruhstadt przetrwały zimę całkiem dobrze. Komu brakło zboża, mógł pójść do dworskich spichlerzy i wziąć stamtąd tyle żyta, jęczmienia i owsa, ile potrzebował i był w stanie później odrobić. Umarło kilkoro dzieci i dorosłych, ale nic w tym nadzwyczajnego. Tak się działo każdego roku.

„Niech tylko przyjdzie wiosna – mówią chłopi – wszystko stanie się łatwiejsze. Zasiejemy groch i zboża, posadzimy kapustę i wypędzimy owce na pastwiska”. Rzemieślnicy się cieszą, że wkrótce przestaną marznąć w warsztatach, a już w kwietniu przyjadą kupcy na jarmark. Będzie można sprzedać wyprodukowane zimą sukno, powrozy, garnki i inne wytwory rąk.

Podczas gdy w posiadłości Unruga dni płyną spokojnie, w innych miejscach Rzeczypospolitej nie ma spokoju. Dalej, na wschodzie, trwa wojna z Rosją, a bliżej, bywa, że niemal za progiem, ze Szwecją. Zimą nie jest tak intensywna, lecz dla wsi i miast, które muszą zapewnić zakwaterowanie i wyżywienie stacjonującemu w nich szwedzkiemu lub

polskiemu wojsku, oznacza to nędzę i długoletnie podnoszenie się z upadku.

W marcu wojna ze Szwecją budzi się na dobre. Najważniejsze wydarzenia rozgrywają się na południowym wschodzie, gdzie Karol Gustaw wciąż bezskutecznie próbuje pokonać wojska wierne polskiemu władcy. Każda porażka króla Szwecji pomnaża siły Jana Kazimierza, bo ci, którzy zawsze stają przy mocniejszym, zaczynają kalkulować. Niektórzy, wyblągawszy przebaczenie, biją się teraz dla Rzeczypospolitej.

Starosta babimojski Krzysztof Żegocki nigdy nie kalkulował. Jako jeden z pierwszych od razu rozpoczął walkę z najeźdźcą. Współpracując ze Stefanem Czarnieckim, szarpie wroga bez litości, a potem ucieka za Odrę, chroniąc się pod skrzydłami innego władcy. Nie mogąc go dopaść, Szwedzi obierają za cel posiadłości Żegockiego. Wkrótce zostają ograbione ze wszystkiego, a potem puszczone z dymem wsie i miasteczka położone w okolicy Wolsztyna. To samo spotyka klasztor cystersów w Obrze i wioski będące jego własnością oraz Kopanicę odległą od Karge o niespełna godzinę pieszej wędrówki.

Karge wydaje się bezpieczne. Unrug nadal trwa przy Karolu Gustawie. Jego walka po stronie Szwedów polega przede wszystkim na nękanii miejscowości należących do polskiego króla lub jego zwolenników. Z własnym oddziałem ograbia katolickie kościoły, pali na stosach księży i pozbawia mieszczan wszystkiego, co przedstawia jakąkolwiek wartość.

Druga strona, katolicka i wierna Janowi Kazimierzowi, zachowuje się tak samo. Tyle że tu ofiarami rabunków i mordów padają luteranie, kalwini, bracia czescy, wyznawcy judaizmu oraz Niemcy, niezależnie od wyznania.

Pierwszy wóz z budą z płótna przejechał przez Karge i Unruhstadt tak szybko, że nikt nie zdążył zapytać, skąd i dokąd zmierza. Dopiero kiedy pojawił się następny, udało się dowiedzieć, co tak przestraszyło podróżnych, że nawet zatrzymać się nie chcą. Ci pierwsi mieli odrobinę szczęścia, bo zima w ostatnich podrygach akurat zmroziła ziemię i łatwo się jechało. Ci, którzy jadą teraz, takiego szczęścia nie mają. Marzec

żegna ich chłodem, moką śnieżycą i błotem. Wozy uciekinierów ledwie mogą się poruszać. Ci, którzy boją się jechać w ciemnościach, wolą przemocować wśród ludzi i rano wznowić przerwana wędrowkę.

We dworze jest tylko Agata. Wyciągnęła właśnie zza ławy paść, w którą złapała się mysz. Zwierzę żyje, ale kucharka ma na to sposób. Mysz schwytna za ogon zostaje potraktowana dwoma uderzeniami polana. Robiąc głośno wyrzuty szaremu kotu grzejącemu się przy piecu, kobieta odwraca się do drzwi. Okrzyk, który wydostaje się z jej mocnego ciała, mógłby obudzić umarłego. Zapewne dlatego, kiedy palce trzymające mysi ogon nieświadomie się rozluźniają, zwierzę ożywa i upadłszy na podłogę, natychmiast znika. Agata też by pewnie upadła, gdyby mężczyzna, którego ujrzała w progu, jej nie podtrzymał.

– Wybaczcie – prosi, pomagając kobiecie usiąść na ławie. – Nie chciałem was przestraszyć. Drzwi były otwarte. Przyszedłem tu, bo usłyszałem wasz głos. Nigdzie nie mogłem nikogo znaleźć.

– Kogo szukacie? – Kucharka, która już trochę ochłonęła, przygląda się nieznanemu podejrzliwie.

– Baltazara von Lesta. Przejeżdżałem tędy. Dowiedziałem się, że mieszka we dworze. Chciałem mu się pokłonić i zapytać o zdrowie.

– Powinien być lada chwila. Usiądźcie i poczekajcie.

– Nie mogę. Przyjdę jutro z samego rana.

– Kto przyjdzie z samego rana?

– Ja. – Nieznajomy odwraca się w stronę zarządcy wchodzącego wejściem dla służby.

– Czy ja was znam?

– Nie poznajecie mnie, panie? Nic dziwnego. Minęło trochę czasu, od kiedy się spotkaliśmy.

– Czekaście... Coś mi świta. – Baltazar wpatruje się w przybysza. Jest młody. Na pewno nie ma jeszcze trzydziestu lat. Piuwe oczy, mocno zarysowane brwi, brązowe, bujne loki okalające twarz. Von Lest się uśmiecha. – Tytus! Czeladnik balwierski! Ale... – Baltazar obrzuca postać

młodzieńca spojrzeniem pełnym uznania. – Dobrze ci się powodzi.

Rzeczywiście, ubiór Tytusa prezentuje się lepiej niż codzienny strój szlachcica. Spod czarnego podróżnego płaszcza wygląda granatowy kaftan i rąbek białej koszuli. Czarne, kończące się tuż pod kolanami spodnie, czarne pończochy i także trzewiki. Żadnej plamy, łaty ani brakującego guzika.

– Wybaczcie, muszę iść. Ktoś czeka na mnie na wozie – usprawiedliwia się młodzieniec. – Jeśli pozwolicie, przyjdę jutro. Teraz, zanim się ściemni, muszę poszukać noclegu.

– Nie ma mowy! Gdzie ten wóz?

– Na dole. We wsi.

– Idziemy po niego – oświadcza Baltazar głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Agato, powiedz Jakubowi, żeby rozpałił w kominku w świetlicy, a ty przygotuj dobrą kolację. Mamy gości.



Przy prostym, gładko heblowanym stole jest dość miejsca dla dwunastu osób, ale zasiadły przy nim tylko cztery. Między świetlicą a kuchnią krąży Agata pilnująca, by gościom niczego nie zabrakło. Tytus siedzi naprzeciwko Jakuba. Rozpoznał go od razu. Za to chłopiec, którego pamięć sięga jedynie początków pobytu we dworze, nie wiadomo dlaczego poczuł ogromne zakłopotanie, dowiedziawszy się, że ma przed sobą kogoś, kto zajął się nim troskliwie i podzielił kawałkiem suchego chleba. Może dlatego w ogóle się nie odzywa, jedynie przypatruje się ukradkiem swemu dobroczyńcy. W pewnej chwili spojrzenia obu się spotykają i na ich obliczach pojawia się ciepły, porozumiewawczy uśmiech.

Udziału w rozmowie nie bierze także pani Barbara Haase towarzysząca Tytusowi. Kobieta, podobnie jak balwierz, ma na sobie ubiór wyglądający dostаточно. Nie tyle krój, co jakość tkaniny, z której uszyto ciemnoniebieską spódnicę i luźny wiśniowy kaftan z szerokimi rękawami,

świadczy o zamożności właścicielki. Włosy całkowicie zakryte są białym czepcem z grubego płótna. Kobieta jest blada i wyraźnie cierpi. Kiedy sięga po chleb, można dostrzec chore, pokręcone palce i zgrubienia w miejscach stawów. W pewnym momencie pochyla się w stronę Tytusa i półgłosem prosi, by odprowadził ją do łóżka.

W izbie ogrzewanej tym samym piecem, który rozpala się w pokoju Jakuba, jest dość ciepło. Mimo to pani Barbara drży. Agata, odczekawszy, aż Tytus wyjdzie, pomaga kobiecie się rozebrać i przykrywa ją pierzyną.

– Zaraz przyniosę podgrzewacz z gorącą wodą, od razu zrobi się wam cieplej – obiecuje.

– Dziękuję. – Pani Barbara uśmiecha się do opiekunki. – Zwykle nie jestem taka nieporadna. Zmarzłam i zeszywniałam na wozie.

– Wygrzejecie się pod pierzyną, wyśpicie i od razu poczujecie się lepiej – pociesza Agata.

W kuchni Baltazar i Tytus wspominają spotkanie w Brandenburgii.

– Wtedy tam wojna przeganiała ludzi z miejsca na miejsce, teraz to samo dzieje się tutaj. Nieszczęściom nie ma końca. – Powiedziawszy to, gość milknie zasepiony.

– Tytusie, jeśli dobrze pamiętam, szedłeś wtedy do rodziców, do Wolsztyna. Skoro teraz stamtąd uciekasz, wnoszę, że dotarłeś do domu. Nie powiedziałaś jeszcze, kim jest twoja towarzyszka, ale łatwo się domyślić, że to matka. Co z twoim ojcem?

– Winienem wam wyjaśnienie. Pani Barbara nie jest moją matką, lecz żoną. – Na twarzy młodzieńca pojawia się rumieniec. – Jeśli będzie ku temu sposobność, poznacie szczegóły mego życia w Wolsztynie. Dzisiaj powiem tylko, że po kilku latach biedowania i po śmierci rodziców los się do mnie uśmiechnął. Pojąłem za żonę wdowę po mistrzu balwierskim Joachimie Haase, sam zostałem mistrzem i do niedawna dobrze mi się wiodło.

– Skoro tak zgrabnie wszystko sobie poukładałeś, dlaczego uciekasz?

– Długo się wahaliśmy. W końcu jednak uznaliśmy, że nie ma na tej

ziemi rzeczy cenniejszej od życia. Przez ostatnie tygodnie doznaliśmy ucisku od Szwedów. Nie palili nas i nie mordowali, bo jesteśmy ich braćmi w wierze, ale kontrybucja nałożona na miasto była ogromna. Tydzień temu gruchnęła wieść, że na Wolsztyn idą Polacy i będą się mścić za to, żeśmy Szwedom dali pieniądze. Jakbyśmy mieli inne wyjście!

– Mówiłeś, że jedziecie do Zulich^[30]. Dlaczego tam?

– Jest blisko, ale już na bezpiecznej ziemi elektora brandenburskiego. Moja małżonka ma tam krewnych, którzy pomogą nam znaleźć jakiś ką. Pchnęliśmy już umyślnego z listem do wuja pani Barbary. Jak się trochę uspokoi, wrócimy do naszego domu. Na razie została tam tylko stara służąca, która ma córkę w mieście i nie chciała z nami jechać.



Agata się denerwuje. Nie wie, w co ręce włożyć. Najpierw śniadanie tylko dla mężczyzn, bo pani Barbara jeszcze śpi. Teraz przygotowuje obiad, ale nie taki, jak co dzień, tylko lepszy, a pani Barbara dalej w łóżku. Mogłoby to jej nie obchodzić, tylko że Baltazar wziął swego znajomego na przechadzkę, a jej powierzył opiekę nad panią Haase. Niechby ta kobieta wstała rano, jak wszyscy inni, wtedy zrobiłaby przy niej, co trzeba, posadziłaby ją w kuchni albo w świetlicy przy kominku i na tym zajmowanie by się zakończyło. Tyle że, jak się obudzi, według wskazówek pana Tytusa trzeba najpierw nocnik podać, potem miskę z wodą, żeby się odświeżyła, a później pomóc przy ubieraniu. Czeka więc na to obudzenie jak na zbawienie. Boi się pójść do wychodka, bo a nuż tamta zawoła, a nikogo nie będzie. Gdyby nie obiad i ból brzucha, nic by do pani Barbary nie miała. Widać, że chora i potrzebuje pomocy. W dodatku całkiem grzeczna z niej kobieta. Tylko dlaczego nie ma swojej służącej?

Naznaczone zniecierpliwieniem rozterki przerywa wejście Wigi z Rozalą. W każdej innej sytuacji ucieszyłaby się z tej wizyty, ale nie teraz.

– Wigo, nie teraz! Gości mamy – usprawiedliwia się Agata.

– Kto to taki? – Mimo niezbyt zachęcającego powitania zielarka nie zamierza wyjść, nie dowiedziawszy się, kto przyjechał.

– Znajomy zarządcy z żoną. Wczoraj z Wolsztyna do Zulich jechali, ale tutaj przystanęli.

– Nie wiesz nawet, jakie mieli szczęście. Akurat wracamy z Rozalką od sukiennika. Odniosłyśmy mu ostatnią zimową wełnę. Jego żona mówiła, że wczoraj w lesie za Gross Schmöllen rozbójnicy napadli na wóz. Cały dobytek zabrali tym, co uciekali z Wolsztyna. W samych koszulach biedaków zostawili. Łotry...

– Babko – przerywa Rozalka, ciągnąc zielarkę za rękaw – bądźcie cicho. Ktoś woła.

– O matko! Przecież to pani Barbara. Wigo, zajrzyj do mięsa, czy się nie pali – prosi kucharka. – Ja muszę lecieć do pani Haase. Rozalko, nabierz do dzbana ciepłej wody i chodź za mną.

Żona Tytusa czuje się lepiej. Bez pomocy radzi sobie z poranną toaletą, problem ma jedynie z drobnymi szczegółami kobiecej garderoby – guziczkami, wstążkami, haftkami i sznurówkami. Kiedy Agata wychodzi na chwilę, pani Barbara zwraca się do stojącej przy drzwiach dziewczynki.

– Zauważyłam, że zaciekawiała cię moja książka. To *Canzoniere* Petrarcki. Często nie śpię w nocy, dlatego czytam. Mój mążonek się gniewa, bo się boi, że zasną przy zapalanej świecy.

Rozala nie odpowiada. Dziwi się, że ta ładnie ubrana pani zwróciła na nią uwagę. Rzeczywiście patrzyła na książkę. Nigdy dotąd nie widziała innej niż Biblia.

– Nie wstydź się, dziecko. W ciekawości nie ma nic złego. Jeśli chcesz, możesz wziąć ją do ręki.

Dziewczynka niepewnie sięga po książkę. Czuje miękkość i ciepło skórzanej oprawy. Ostrożnie kładzie palec na złotych tłoczonych znakach i przesuwają go delikatnie.

– Umiesz czytać?

– Nie.

– A chciałabyś?

Dotąd opuszczona głowa się podnosi. Wzrok pani Barbary po raz pierwszy napotyka spojrzenie Rozalki. Nie musi odpowiadać. Z ciemnych oczu można wszystko wyczytać.

– Znam znaki. Jakub mnie nauczył. Więcej nie potrafię. Babka zabroniła.

– Dlaczego?!

– Powiedziała, żeby nie pytać.

Kroki Agaty słychać coraz bliżej. Dziewczynka, jakby sobie o czymś przypomniwała, odkłada szybko książkę i łapie za klamkę.

– Czekał – mówi pani Barbara. – Za dwa – trzy dni wyjadę, ale kiedyś po ciebie wrócę. Obiecuję.



Wiosna, która mieszkańcom Karge i Unruhstadt miała przynieść nadzieję, przyniosła coś zupełnie innego. Bo nie da się spokojnie obsiewać pól, plewić marchwi czy wypasać owiec, gdy za miedzą płoną domy. Nie można pograć się w modlitwie, kiedy wiatr przynosi zapach dymu z pobliskiego Babimostu. Szwedzi razem z ludźmi Unruga mszczą się za partyzantkę Żegockiego. Niektórym poddanym pana Krzysztofa nie mieści się w głowie, że tak można. Że da się, nie brudząc sumienia, w piękny majowy dzień wywlec księży z kościoła, choćby i katolickich, i spalić ich żywcem na stosach. Inni mówią, że nareszcie, bo nieodległy Babimost to konkurencja dla naszych jarmarków i naszych rzemieślników. Liczy się tylko nasze! Że to może się Bogu nie podobać? Nieprawda! Przecież to się dzieje na chwałę Boga!

Zamiast nadziei wiosna i lato, radosne zwykle pory roku, przyniosły niepokój. Od miesięcy jeden na drugiego patrzy wilkiem. Katolicy

mieszkający tu od pokoleń boją się samotnie wychodzić z domu. W Chwalimiu ktoś podpalił wszystkie stogi na dzierżawionych przez nich łąkach. Unrug nie pozwala „swoich” katolików prześladować, są jednak gorliwcy chcący raz na zawsze rozwiązać problem z tymi, którzy trwają przy starej, błędnej wierze.

Źle się dzieje. Baltazar chodzi zmartwiony. Nawet udane żniwa go nie cieszą. Ludzie pracujący na dworskich polach, którzy kiedyś rozmawiali albo przerzucali się żartami, teraz milczą ponuro.

Twarz Agaty modlącej się co niedzielę w kaplicy jest mokra od łez. Płacze za swoim Babimostem. Najpierw oddział Unruga razem ze Szwedami złupił jej rodzinne miasteczko i część ludzi wymordował, a wczoraj do dworu dotarła wieść, że dzieła zniszczenia dopełnili Brandenburczycy^[31]. Najchętniej poszłaby, gdzie oczy poniosą, i nie służyła u nieludzkiego pana, ale dokąd pójść? I jak zostawić Baltazara?

Tylko Wiga się temu wszystkiemu nie dziwi. Od dawna przeczuwała, że stanie się coś złego. Mówił jej o tym rosnący na piersi ciężar, myśl prześladowająca nocami i niedająca zasnąć. Jak dawniej zbiera zioła i chodzi na pola, odbierając zapłatę w naturze. Jednak coraz mniej ludzi potrzebuje jej pomocy. Wieść o uroczych oczach zatacza coraz szersze kręgi. Niby wszyscy ją znają i wiedzą, że pomaga w kłopotach, może jednak jest w posądzeniu jakaś racja. Wiele niedobrych rzeczy ma o niej do powiedzenia żona drwala, Jana Brody. Zwierza się niby to w sekrecie, że zielarka coś jej córce zadała i że przez to dziewczyna rzuciła się do rzeki. Żona powroźnika przypomniała sobie, że w krzyżu ją boli, odkąd koło karczmy minęła się z garbuską. Kury gospodyni z Górnej Wsi słabo się niosą, bo Wiga często chodzi do dworu ścieżką obok jej podwórka. Syn sukiennika, który zawsze powierzał jej wełnę do przedzenia, ożenił się, ale jak dotąd nie ma potomstwa, gdyż na męską niemoc zapadł. Wojciech, pomocnik kowala, jest pewien, że Wiga przez niechęć do niego nie pomogła Agnieszce, jego córce. A wie, co mówi, bo na własne uszy kiedyś słyszał, że Wiga chciała otruć wnuczkę. Dziwne zbiegi okoliczności czy ktoś specjalnie knuje przeciw dobrym ludziom?

Jedynie los Rozalki odmienił się na lepsze. W końcu czerwca, kiedy najważniejsze zioła zostały zebrane i wysuszone, poszła na służbę do dworu. Wiga długo nie chciała ulec namowom Agaty. Bała się przyjaźni między wnuczką a Jakubem. Dopiero kiedy von Lest solennie obiecał, że nie da mu czasu na zawracanie głowy Rozalce, pozwoliła dziewczynce codziennie chodzić na naukę do kucharki. Jednakże, mimo zakazów i upomnień, chłopiec pomagający w stajni i dziewczyna z kuchni mają wiele okazji do spotkań. Studnia, droga do drewnutni albo do warzywnika to miejsca, gdzie można przystanąć na chwilę i zamienić parę zdań. Zawsze też można spojrzeć sobie w oczy przy posiłku albo uśmiechnąć się z daleka.

W upalne sierpniowe przedpołudnie Agata z Rozalą wieszają w sadzie pranie. Bielutkie pościele wydymają się na wietrze, liżąc mokrymi językami twarz małej pomocnicy. Wiga widzi obie z daleka. Myśli o tym, że jej wnuczka rośnie. Liczy zimy, które minęły, odkąd przyszła na świat. Jedenaście albo dwanaście. Im więcej czasu upływa, tym trudniej się pomiarkować.

Rozalka nie jest taka chuda jak kiedyś. U Wigi jadła, byle brzuch napełnić, a u Agaty tłustego i sytego pożywienia jest pod dostatkiem. Długie, czarne włosy, zwykle potargane, zebrane są teraz w gruby warkocz, a lniana sukienka, przerobiona ze starego letnika^[32] kucharki, wygląda porządniej niż wszystko, co dziewczynka wcześniej nosiła.

„Może się myliłam? – zastanawia się Wiga, patrząc na wnuczkę. – Może nie jest tak, że ciężkie życie jej przeznaczone?”

– Jeszcze zostanę, babko! – woła wnuczka na widok Wigi. – Będziemy zaraz gotować obiad.

– Wiem. Zaszłam tylko. Do Alberta idę. – Zielarka i Agata wymieniają zatroskane spojrzenia. Obie wiedzą, że krucho z gadatliwym sługą. Złamanie nogi zimą stało się początkiem jego kłopotów. Unieruchomiony w domu zaczął się wtrącać we wszystko, pouczał, narzekał i denerwował się, gdy coś szło nie po jego myśli. Kiedy kość się zrosła, okazało się, że owczarz źle ją złożył i Albert nie będzie chodził tak jak kiedyś. Ból

w nodze wciąż mu dokucza, kuleje i do żadnej ciężkiej pracy się nie nadaje. Baltazar gotów był go przyjąć z powrotem, ale sługa się nie zgodził. Powiedział, że robić nie może, a pańskiej łaski nie potrzebuje. „Języka nie złamałeś” – odpowiedział na to Baltazar, lecz Albert już nie ten sam, żeby z żartu się roześmiać. Całkiem dobił go postępek najstarszego syna, któremu tak wojaczka zapachniała, że porzucił naukę zawodu i przystał do ludzi Unruga. Teraz Albert o niczym innym nie myśli, tylko o tym, czy jego chłopak jeszcze żyje albo czy ogień w chałupach katolików podkłada.

Agata odprowadza Wigę wzrokiem, tymczasem silny powiew wiatru zrywa ze sznura prześcieradło i rzuca je na trawę.

– Pójdę je przepłukać, a ty sprawdź, czy inne dobrze przypięte – mówi do dziewczynki. Nie widząc żadnej reakcji, pyta: – Co tak patrzysz na drogę? Wczoraj też tak stałaś. Czekaś na kogoś?

Rozala potrząsa przecząco głową. Nie przyznaje się, że wypatruje pani Barbary. Przecież obiecała, że po nią wróci.



Dopiero dzisiaj Wiga odważyła się pójść w tę część lasu, gdzie znalazła sarnę w potrzasku. Musi naściagać chrustu i nazbierać szyszek, a tu rośnie najwięcej sosen. W czubach wysokich drzew szumi wiatr, ale na dole, wśród młodych sosenek i paproci, jest cicho. Zielarka uspokaja się pomału, bo kto by w niedzielne południe chodził do lasu. We wsi nie wiedzą, że ona wbrew pastorowi, zamiast dzień święty święcić, po nabożeństwie zbiera gałęzie. Dopiero by gadali!

Żeby Bogu wynagrodzić swój niecny postępek, kobieta szepcze pod nosem pacierze. Czas trwania kilku modlitw wystarczył, by rozłożona na igliwiu płachta powoli się wypełniła. Jeszcze ze dwie grubsze gałęzie i kilka grzybów położonych na szyszki w koszu i będzie kończyć.

Mocniejszy powiew wiatru sprawia, że niepokój wraca. Ma wrażenie, że ktoś na nią patrzy. Rozgląda się, ale nie widzi nikogo. Pochyliła się, by

zawiązać płachtę, a potem znowu podnosi. Czuje na sobie czyjś wzrok. Osacza ją to nierozpoznane patrzenie, przenika do głębi i napawa grozą. Czyżby obraziła leśne duchy? Jeśli tak, to nie zwyczajne boginki, lecz kogoś znacznie od nich groźniejszego. Wiatr... czy on tak huczy? Może to oddech zagniewanego władcy lasu? Za co chce ją ukarać? Żadnym śmieciem nie splugawiła jego królestwa ani dla zbytku nie skrzywdziła dzikiego zwierzęcia. Jeśli uda się jej bezpiecznie wrócić do chaty, złoży panu lasu ofiarę z chleba i soli. Na przebłaganie, na zgodę i przychyłność, bo dla niej nie ma życia bez drzew, ziół i leśnych owoców.

Trzask gałązki nie przynosi ulgi, choć ma w sobie coś ziemskiego i przewidywalnego. Wiga znowu próbuje przeniknąć wzrokiem gęstwiny krzewów i paproci. Wydaje się jej, że coś dostrzega. Futrzana czapa zlewa się z barwą sosnowych pni, ale zdradził ją ruch głowy. Człowiek!

On już wie, że go zauważyła i poznała. Wychodzi z ukrycia. Idzie w jej kierunku. Dźwiga worek, a w nim coś, co plami go krwią.

Instynkt mówi Widze, co ma robić. Zarzuca płachtę na plecy, bierze do ręki kosz z szyszkami, odwraca się, jakby niczego nie widziała, i odchodzi. Spokój jest tylko pozorny. Wigi jakby nie było. Cała jest strachem. Każda cząstka jej ciała oczekuje ciosu, mimo to się nie ogląda. Sparaliżowane lękiem myśli przestały płynąć, a oczy widzą jedynie zbliżający się brzeg lasu.



Słońce niedługo schowa się za wzniesieniem, ale dróżka, którą Rozala podąża do chaty, wciąż jest zalana blaskiem. Niedaleko, na łągach, zebrały się bociany i obradują przed odlotem. Dziewczynka przystaje i przygląda się ptakom. „Ciekawe, dokąd polecą – zachodzi w głowę. – Gdyby znały ludzką mowę, na pewno powiedziałyby, gdzie się podziewają zimą. Muszę zapytać Jakuba” – postanawia.

Twarz dziewczynki rozjaśnia uśmiech. Przyjaciel pobił się z synem stajennego. Frycek jest trochę starszy od Jakuba. Pastor uczy go pisać

i czytać, bo chce, by bratanek został sługą kościelnym albo nauczycielem. Rozalce się wydawało, że Jakub lubi Frycka, ale zmieniła zdanie. Niemożliwe, żeby go lubił, bo dzisiaj za nic rozkwasił mu nos. Tak przynajmniej się wydaje, lecz ona podejrzewa, że chodzi o to, że Frycek odprowadził ją wczoraj po służbie.

Słońce całkiem się schowało. Tylko czerwony blask na niebie wskazuje, gdzie można go szukać. Dziewczynka zwykle wraca przed zmierzchem. Przeważnie kozy są już wtedy pod dachem. Dzisiaj stoją przy ogrodzeniu, czekając na gospodynię. Rozala odstawia gliniany garnczek, do którego Agata włożyła skrzydło kaczki i pieczone jabłko dla Wigi, i otwiera zagrodę. Kozy posłusznie idą do chaty, a później za przepierzenie. W środku nie ma nikogo.

Teraz Rozala dziwi się naprawdę, ale zaskoczenie szybko mija. Domyśla się, że babkę zawołano do chorego. Przebiera się w codzienną koszulę i spódnicę, a potem chwyta za brzożową miotłę. Na klepisku zawsze jest pełno paprochów, resztek siana i kawałków kory. Nigdy dotąd jej to nie przeszkadzało, jednak we dworze Agata na coś takiego by nie pozwoliła, dlatego i tutaj chce zaprowadzić odrobinę ładu. Niby babka nie pozwala zamiatać po zachodzie słońca, żeby domowych duszków przypadkiem nie wymieść, ale Rozala patrzy uważnie, a potem śmieci zostawia w kąciku do jutra.

Chmura kurzu wzniecona przez miotłę uciekła już przez otwarte drzwi, a dziewczynka rozgląda się, co jeszcze mogłaby zrobić. Kozy! Trzeba im podrzucić trochę ściółki. Wspina się na drabinę. Głowę ma już powyżej poziomu półpięterka.

– Babko, co wy tutaj robicie?! – woła.

W kąciku pod samym dachem siedzi Wiga. Ledwie ją widać w mroku panującym w tym miejscu. Spogląda na Rozalę nieprzytomnym wzrokiem. Jednak znajoma twarz i głos pomagają zielarce się opanować.

– Babko?!

– Nie krzycz. Już schodzę.

Wiga wychyla się z kąta i lustruje otoczenie. Wszystko jest jak zawsze.

– Co wam? – docieka dziewczynka.

– Nic. Spałam.

– Czemu na stryszku?

– Bo tam cicho.

Rozala nie wierzy w wyjaśnienie, ale zna babkę i wie, że nic więcej nie powie.

– Kaczkę wam od pani Agaty przyniosłam. Zjecie?

– Sama zjedz. Mnie brzuch boli.

– Może bym jakich ziół zaparzyła?

– Nie trzeba. Samo weszło, samo przejdzie.

Wieczór spędzają w milczeniu.

Wiga nadal przeżywa spotkanie z kłusownikiem i zastanawia się, dlaczego ją oszczędził. Rozpamiętuje ucieczkę z lasu i strach tak wielki, że gdy weszła do chałupy i zamknęła drzwi, dalej czuła na plecach jego spojrzenie. To dlatego weszła na stryszek i wcisnęła się w kącik. Dzięki temu, że niemal z każdej strony coś ją chroniło, pomału przyszło opamiętanie. Kiedy ujrzała twarz wnuczki, była już prawie spokojna.

Dziewczynka rozmyśla o pobitym Frycku, Jakubie i o tym, że jak kto we wsi jest chory i sam nie może poradzić, woła babkę. A co się robi, kiedy babka jest chora? Kogo wtedy wołać?



Jeszcze październik nie skończył się na dobre, a już mróz ściał błoto i pokrył rozlewiska cienką warstwą lodu. W taki właśnie zimny jesienny wieczór we dworze pojawił się Tytus Haase. Wynajęte przez balwierza trzy wozy zajechały na dworski dziedziniec, a potem zostały wprowadzone do stodoły. Woźnice i wzięci do ochrony pachółkowie udali się na nocleg do karczmy, a Baltazar i jego gość zasiedli w alkierzu do długiej męskiej rozmowy przy grzanym winie doprawionym miodem, cynamonem i goździkami.

– To mówisz, Tytusie, żeś się w Zulich urządził na dobre i do Wolsztyna nie zamierzasz wracać.

– Tak zdecydowaliśmy z małżonką. Tu, w Polsce, nadal trwa wojna i nie wiadomo, kiedy się skończy. Tam pani Barbara ma krewnych, a co najważniejsze, jest pokój. Dzisiaj zabrałem z Wolsztyna co cenniejsze wyposażenie i zamknąłem dom na cztery spusty.

– Pewnie raz-dwa go sprzedasz.

– To mało prawdopodobne. W mieście jest wiele domów należących do takich jak my. Mało kto chce wracać. Dla władz to kłopot. Burmistrz grozi, że domy tych, co nie wrócą, przejmie miasto i odda osadnikom.

– Podobno we wsiach też brakuje ludzi.

– Widziałem to na własne oczy. Od razu przypomniałem sobie czas, kiedy pieszo wędrowałem przez Niemcy. Sami pamiętacie, jak było, bośmy się w Brandenburgii spotkali. Puste wioski i nędzne miasta z garstką ludzi. Wtedy strach było iść przez tę pustynię, wyglądającą na królestwo Szatana. Dzisiaj tu zawędrował pan piekielnego królestwa. Polskie wsie spalone albo opustoszałe, bo kto mógł, chronił się w lesie przed Szwedami i Brandenburczykami. Jeśli udało się tam nie umrzeć z głodu i zimna, nie było do czego wracać. Przez ostatni rok żołnierze ograbili chłopów ze wszystkiego, co dało się zjeść albo wywieźć. Nawet żelazne narzędzia im zabrali, a większość chałup rozebrali na ogniska – opowiada przygnębiony Tytus. – Uwierzcie mi, panie Baltazarze, miejsca, o których mówię te straszne rzeczy, dwa lata temu były ludne i gwarne. Jako cyrulik zjeździłem wszystkie wioski wokół Wolsztyna, a dzisiaj nie wiem, czy choć jedna z tych osad ostała się w całości. Żal ludzi i zarobku nie ma. Czy nędzarz zawoła cyrulika, kiedy nie ma grosza przy duszy?

– U nas niby wszystko po staremu, ale też czujemy wojnę – skarży się von Lest. – Dochody z handlu spadły niemal do zera. Ostatnimi kupcami, którzy odwiedzili Karge, byli handlarze wełną ze Śląska. Od roku prawie nikt tu nie zajrzał. Mieszkańcy pobliskich miejscowości są teraz zbyt biedni, by wybierać się na jarmarki, a tym bardziej coś kupować.

Ponarzekawszy na wojnę, przeszli do lżejszych tematów.

– Jeśli dobrze liczę, siedzicie tu dziewięć lat. Nie myśleliście, żeby się ożenić?

Pytanie postawione przez Tytusa wprawia Baltazara w lekkie osłupienie.

– Ożenić? A po co?

– Choćby po to, żeby nie żyć samotnie.

– Dobrze mi tak. Wiele czasu prowadziłem żołnierskie życie. Bywało, że pragnąłem choć chwili samotności. Kiedy tu osiadłem, zacząłem dostawać zaproszenia z okolicznych dworów. Grzecznie dziękowałem, ale z żadnego nie skorzystałem. Wiem, co byłoby dalej. Musiałbym się rewanżować. Potem znowu oni i końca by nie było. Nic z tego – odgraża się von Lest.

– Właśnie coś sobie przypomniałem. – Tytus klepie się po udzie. – Powiedzcie mi, co za dziewczynkę macie we dworze? Pani Barbara mi o niej mówiła.

– Dziewczynkę? – zastanawia się Baltazar. – Żadna tu nie mieszka. Chyba że twoja żona widziała Rozalkę. Czego może od niej chcieć?

– Pani Barbara uważa, że to mądre dziecko. Prosiła, bym jej coś powiedział.

– Przychodzi rano. Agata uczy ją gospodarstwa. Babka jest zielarką – wyjaśnia von Lest. – Też niegłupia, ale dziwaczka. Czego twoja żona chce od Rozalki?

– Mówi, że potrzebuje zaufanej służącej i że upatrzyła sobie tę małą.

– Mówi? – Baltazar rzuca rozmówcy podejrzliwe spojrzenie. – Czy to znaczy, że nie wierzysz żonie?

– Ależ wierzę! Tylko że mamy służącą. Nie rozumiem, po co jej następna. Mam tej dziewczynie powiedzieć od Barbary, że wiosną po nią wróci.

– Wiosną? A babka wie o tym?

– Nie i nie mam pojęcia, jak to ma być załatwione. – Podchmielony Tytus się niecierpliwi.

Wejście kucharki z kolejnym dzbanem grzanego wina przerywa rozmowę. Baltazar ma nie mniej w czubie od swego gościa. Agata, lekko przechyliwszy głowę, nalewa w skupieniu wino, a tymczasem dłoń zarządcy wędruje po spódnicy ku jej talii ciasno opiętej niebieskim gorsetem. Na twarzy kobiety pojawia się rumieniec, ale nie przerywa. Spokojnie sięga po drugi kubek.

– Tytusie... – Po osuszeniu kolejnego kubka Baltazar zdobywa się na odwagę, by zadać pytanie, które go dręczy, odkąd poznał Barbarę Haase. – Powiedz mi, czy ty kładziesz się do łóżka ze swoją małżonką?

– Panie Baltazarze... – W głosie młodzieńca brzmi przygana.

– No powiedz – upiera się von Lest.

– Dopóki pani Barbara dobrze się czuła, wypełniałem powinności małżeńskie z ochotą. Teraz moja żona woli spać sama – odpowiada z godnością Tytus.

– Z ochotą? – Baltazar nie ustępuje. – Przecież ona mogłaby być twoją matką. Nie pojmuję.

– Skoro tak, zapytajcie Agatę. Ona wam objaśni, jak to jest spać z kimś, kto mógłby być jej ojcem.



Wczesną wiosną 1657 roku do Karge zaczęły napływać zaskakujące wieści. Najpierw o czarnej śmierci^[33] idącej od wschodu, dalej o tym, że obce wojska ostały się tylko w Poznaniu, Kościanie i Kórniku, poza tym Wielkopolska jest od nich wolna. Potem, że z południa na Rzeczpospolitą najechały wojska węgierskiego władcy, Jerzego Rakoczego, jeszcze później, że z kolei Polacy dowodzeni przez wojewodę Piotra Opalińskiego spustoszyli część Brandenburgii, by zmusić elektora Fryderyka Wilhelma do podpisania rozejmu. Najbardziej jednak niespodziewaną wiadomością dla poddanych Unruga był powrót pana Krzysztofa pod rozkazy polskiego króla, Jana Kazimierza. Unrug, gorliwie dotąd nękający przeciwników Karola X Gustawa, zaczął równie gorąco zwalczać Szwedów

i przychylnych im luteranów.

Od wczoraj Unrug jest w Karge. Z samego rana właściciel i zarządca wybrali się na konną przejażdżkę połączoną z wizytacją pól. Jadą stępa, rozmawiając przy tym o skutkach wojny i związanych z nimi finansowych kłopotach majątku.

– Baltazarze, kiedy byłeś żołnierzem, nie narzekałeś tyle, co teraz. – Unrug ucina skargi von Lesta. – Odkąd stałeś się rolnikiem, wciąż gderasz. Jesteś taki sam jak panowie bracia z polskich folwarków. Zaledwie król wspomni o pieniądzach, podnoszą krzyk.

– Skoro sam wspomniałeś o królu, o coś cię spytam. Widzisz, nie chodzi mi o to, dlaczego zmieniłeś front. Dostatecznie jasno mi to kiedyś przedstawiłeś. Powiedz tylko, jak się teraz czujesz, patrząc w oczy królowi albo dowódcom, którzy byli mu wierni.

– Nie gorzej niż inni. Wiesz doskonale, że wielu polskich poddanych króla najpierw stanęło po stronie Szwedów, a potem stopniowo zaczęło wracać. Niczym się od nich nie różnię.

– I król tak po prostu ci wybaczył?

– Dąsa się trochę, ale nie ma wyjścia. Jestem mu potrzebny. Wciąż jest kogo bić. Na północy Szwedzi, na południu Rakoczy. Car Aleksy cicho siedzi na wschodzie, lecz długo to nie potrwa. Sam widzisz, że każda szabla się przyda.

Przejażdżka się kończy. Mężczyźni oddają konie pod opiekę Jakuba, a sami spieszą na śniadanie.

– Z naszego Łazarza zrobił się urodziwy chłopak – zauważa Unrug. – I do koni, jak widzę, ma dobrą rękę.

– Nie najgorzej się sprawuje, nie przeczę. Gdyby nie Jakub, konie nie byłyby dopatrzone, jak należy. Stajenny to leń, ale wyrzucić go nie chcę, bo będę miał do czynienia z pastorem.

– Ważne, że masz swojego człowieka w stajni. – Unrug żartobliwie pociesza von Lesta, poklepując go po plecach.

– Właśnie o tym pragnę z tobą porozmawiać, Krzysztofie. – Baltazar

zatrzymuje się przed wejściem do nowego budynku. Jest zakłopotany, bo nie wie, jak Unrug zareaguje na jego propozycję. – Jakub potrafi zajmować się końmi, lecz ja uważam, że zasługuje na coś więcej. Nauczyłem go czytać, pisać, rachować i pokazałem, jak prowadzić księgi gospodarstwa. Co myślisz o tym, by został kiedyś zarządcą Karge?

– Zarządcą Karge? Chłopak bez przeszłości? Śmiała myśl. Ale... Wiesz co? Lubię śmiało myśleć. – Unrug się uśmiecha. – Daliśmy mu kiedyś drugie życie, możemy i teraz nim pokierować. Najpierw zabiorę go ze sobą do Międzychodu i oddam na praktykę tamtejszemu zarządcy. Potem wróci tutaj, by mi pomóc w zaszczepianiu nowych pomysłów. Mogę wychować sobie zarządcę! – Krzysztofa rozpięra entuzjazm. – Baltazarze, podsunąłeś mi znakomity pomysł.

– Kiedy chcesz go zabrać?

– Jak to kiedy? Już! Trzeba działać, a nie deliberować. Wracam do siebie za dwa dni, a Jakub pojedzie ze mną.

– Ale on nic nie wie. Nie chciałem z nim o tym rozmawiać, póki nie dasz swojej zgody – usprawiedliwia się von Lest.

– Masz więc aż dwa dni przed sobą. – Krzysztof ucina wszelkie wahania. – Baltazarze, mnie się zdaje, że niedługo pora obiadu, a my nie jedliśmy jeszcze śniadania. Chodźmy zobaczyć, co nam kucharka przygotowała.



Rozalka czuje się porzucona i zdradzona. Właśnie w tej kolejności powinny następować po sobie słowa określające uczucia dziewczynki. Porzucił ją Jakub, a zdradziła pani Barbara.

Jakub nie czekał, nie rozmyślał i nie wypatrywał, a dostał to, co należało się Rozali. Ktoś przyjechał i zabrał go ze sobą, zostawiając dziewczynce pustkę. Cóż z tego, że Frycek odprowadza ją każdego wieczoru, kiedy nie ma nikogo, kto by mu za to nos rozkwasił. W końcu sama będzie musiała to zrobić, bo bratanek pastora okropnie nudny.

A pani Barbara? Przecież obiecała, że wiosną po nią przyjedzie. Dla niej przez całą zimę Rozala uczyła się kucharzenia, chociaż to wcale nie było ciekawe. Potrafi ugotować winną polewkę z korzeniami i zaprawić ją roztrzepanymi żółtkami, umie przyrządzić dziczyznę w kwaśnej galarecie i uwarzyć jaja, takie jak lubi zarządca. Rybę na świąteczny stół tak sprytnie ubrała, że pan Baltazar myślał, iż to sztuka mięsa. I po co to wszystko?

Do tego babce coś się stało. Odkąd pół roku temu Rozalka znalazła ją na stryszku, jest jakaś dziwna, jakby się czegoś bała. Wstaje w nocy i sprawdza, czy nikt wkoło chaty nie chodzi, a jak gdzieś razem idą, stale się za siebie ogląda. Powiedziała o tym pani Agacie, ale ona tylko się zdziwiła, zamyśliła, pokręciła głową i posmutniała.

Ludzie coraz rzadziej babkę wołają. I jeszcze na nią gadają, że ma uroczone oczy. Boją się, żeby im nie zadała jakiejś choroby. Wczoraj, jak wracały z kaplicy, jeden chłopak rzucił w babkę kamieniem i zawołał, że czarownica idzie. Dziewczynka pobiegła za nim i natarła mu uszu, a potem oberwała od jego matki.

Rozalka siedzi na piasku w tym samym miejscu, w którym rok temu Jakub rysował dla niej znaki, i duma. Poszłaby podbierać wronom jajka, ale nie ma z kim i głodu nie czuje, a pobrudzić się ani potargać włosów nie wolno. Pani Agata mówi, że kucharz ma być ochędożony i z głową wyczesaną. Ona sama zawsze w czepku. Jej każe warkocz zaplatać. Co rano sprawdza paznokcie, czy czyste, i daje świeży fartuch.

Najsmutniejsze z tego wszystkiego, że Rozalka znaki zapomina. Były w jej głowie, a teraz jak gdyby deszcz na nie napadał. Niby są jeszcze, lecz już niewyraźne.

Pani Agata kazała jej iść z kuchni, bo babka do niej przyszła i chcą pogadać. Co tu ze sobą robić, kiedy żadnego polecenia nie było. Dziewczynka się podnosi i dokładnie otrzepuje sukienkę. Na złość pani Barbarze nie stanie przy drodze i nie będzie czekać. Pójdzie do warzywnika. Niewiele w nim roboty, bo dopiero kwiecień, ale może parę chwastów do wyrwania się znajdzie.

Agata pozbyła się Rozali z kuchni, bo chce nakłonić Wigę, by zwierzyła się ze swojego kłopotu.

– Wnuczka boi się o ciebie. Pytała, do kogo powinna pójść znachorka ze swoją chorobą.

– Głupstwa gada. Nic mi nie jest – obrusza się zielarka, ale nie patrzy kucharce w oczy.

– Nie tylko dziecko widzi, że coś się dzieje. Ja także. Nie jesteś taka jak dawniej. Powiedz, co cię dręczy – nalega Agata. – Może ludzie ci dokuczyli? Wiem, że gadają, ale tym się nie przejmuj. Jak będziesz im potrzebna, to przyjdą na kolanach, byleś maści albo ziół im dała.

– Przyjdą czy nie, wszystko jedno – odburkuje Wiga. – Zaszłam, żeby ci powiedzieć, że Albertowi zostało niewiele czasu. To nie wina złamanej nogi. Jakaś zmora się w nim zaległa i dusi. Niedługo całkiem go zamęczy. Żadnych ziół ani zaklęć na to nie mam.

– Biedny Albert. – Zasmucona kucharka pociąga nosem. – Z każdej roboty umiał się wykręcić, a i tak go lubiałam. Zawsze powiedział coś wesołego albo nowinę ze wsi przyniósł. Szkoda go.

Agata wyciera łzę fartuchem i, nagle ożywiona jakimś pomysłem, spogląda na Wigę.

– Nie idź jeszcze – prosi. – Pan Baltazar nie wróci przed wieczorem. Możesz posiedzieć. Co będziesz sama robiła w chałupie? Mam tu coś dobrego – zachęca, stawiając na stole małe kubeczki i butelkę. – Dwójniak! Sama robiłam – oznajmia z dumą. – Jednego lata było tyle miodu, że się nie zużył do nowego. Z tego, co zostało, zrobiłam dwójniak. Dwie butelki zawieruszyły się w spiżarni. Wczoraj znalazłam je przypadkiem.

– Mogę popróbować. Daj. – Wiga podsuwa kubek.

Oblizuje umoczone w trunku usta, mlaska i rozpływa się nad dotąd niezaznanym smakiem. Nie prosi o więcej. Kucharka sama dolewa, sobie biorąc ledwie kapkę. Po trzecim spróbowaniu zielarkę ogarnia błogi spokój. Dawno nie było jej tak dobrze.

– Wigo, co cię dręczy? – Agata nie daje za wygraną.

Odpowiedź nie pada od razu. Najpierw jest namysł, a potem nieprzeparta chęć zrzucenia z siebie ciężaru.

– Wiem, kto kłusuje w pańskim lesie.

– Oj, to dobrze! Pan Baltazar się ucieszy. Widzę, jak się męczy z tym, że nie może go złapać.

– Nie powiem, kto to. – Dobry nastrój mija. W jego miejsce wraca znajomy lęk.

Agata przygląda się Widze. Pojmuje, w czym rzecz.

– Boisz się.

– Boję.

– On wie?

– Tak. Spotkałam go w lesie jesienią, ale wcześniej nieraz widziałam pułapki na zwierzęta.

– Skoro nic ci nie zrobił...

– Słyszę go, jak nocą chodzi wkoło mojej chaty. Czekałam, aż mnie podpali.

– Mieszkaś na skraju lasu. Słyszysz zwierzęta. – Gospodyni próbuje rozproszyć niepokój zielarki.

– Zwierzęta nie zostawiłyby przed progiem zakrwawionej głowy sarny ani za dnia nie weszły do chaty i nie zawiesiły na belce pętli ze sznura.

Wieści są takie, że Agata, która akurat wstała, by sięgnąć po drugą butelkę, siada z powrotem.

– To okropne! Po co to robi?

– Jemu podoba się mój strach.

– Powiedz panu Baltazarowi. Złapie go i będziesz miała spokój.

– Nie. – Zielarka kręci głową. – On znajdzie sposób, żeby się zemścić.

– Powinnaś powiedzieć – upiera się Agata. – Nie możesz przecież tak żyć.

– Wiem. Na pewno coś zrobię. Nie pozwolę, by zbój chodził po lesie.

To on mógł skrzywdzić moją Dorotkę. Jeśli go nie powstrzymam, może zrobić coś Rozalce.

– Ty? Jak?

Wiga wstaje i próbuje przybrać dumną postawę.

– Dam sobie radę. Czy nie nazywają mnie czarownicą?



Baltazar chciałby poznać imię złoczyńcy polującego na nie swoją zwierzynę, ale wie, że jak Wiga się uprze, to niczego z niej nie wyciągnie. Bardzo go niepokoi zapowiedź zielarki, że sama zrobi porządek z tym człowiekiem. Żeby tylko nie ściągnęła na swą głowę jakiegoś nieszczęścia albo dodatkowo nie podburzyła skonfliktowanych i skorych do kłótni ludzi.

Jest przednówek, co dla wielu oznacza niedojadanie przez całe tygodnie. Gorsza od niedostatku jest nienawiść, która rozsiała się między luteranami a katolikami, i nieufność między chłopami z Karge a przybyszami, i między nimi wszystkimi razem a dworem. Bo dwór i von Lest uosabiają właściciela. A właściciel to ten, który zawiódł osadników. Porzucili swoje strony i osiedlili się w Unruhstadt, szukając lepszego losu. Trafili na wojnę, zastój w handlu i problemy z zaopatrzeniem. Za granicą ziem Unruga panuje taka nędza, że lepiej już było zostać tam, skąd przybyli. Tutaj niczego nie sprzedadzą ani nie kupią.

Dla mieszkańców Karge właściciel jest tym, który założył miasto za ich płotem, sprowadził konkurencję, a w dodatku wciąż ciśnie podatkami, podczas gdy tamtym na razie darował.

Na pastora Schilberga nie ma co liczyć. Zamiast, jak na duchownego przystało, nakłaniać ludzi do pojednania, on wciąż szuka grzeszników, a jego główną troską wydaje się budowa nowej kaplicy.

Von Lest ostatnio rzadko pokazuje się na wsi. Ma dość ścigających go nieżyczliwych spojrzeń i zaciętych twarzy. Woli przebywać w dworskim gospodarstwie albo, jak dzisiaj, konno przemierzać pola.

Powietrze pachnie wiosną. Łagodny powiew wiatru od strony niewielkiego jeziora przynosi dźwięki ptasiego gwaru. Baltazar zatrzymał konia w jednym z najwyższych punktów wzniesienia. Niżej, z lewej strony, leżą Karge i Unruhstadt, z prawej przycupnęły chaty Chwalimia. Miejscowości łączy biegnący dołem szlak. Na razie niknie w lesie na zachodzie, ale wiadomo, że za moment będzie już w Brandenburgii. Od końskich kopyt w dół łagodnie spływają pola. Zielone prostokąty ozimin przeplatają się z ugorami i brunatnymi połaciami pól czekających na siew. Zupełnie niedaleko dwa woły w zaprzęgu ciągną pług z żelaznym lemieszem. Chłop w lnianej, mokrej od potu koszuli i portkach za kolana jest tak skupiony na orce, że nie zwraca uwagi na von Lesta. Baltazar chętnie by z nim pogawędził. Wie, że chłop przezywany Żukiem to wiejski filozof. Może on, prosty człowiek, umiałby doradzić, jak zamiast nienawiści zasiać zgodę między ludźmi?

Nie będzie Żukowi przeszkadzał. Niech każdy zajmie się tym, co Pan mu przeznaczył. Baltazar sam musi rozwiązać swoje problemy. Jeszcze spojrzenie w dal na pastwiska, nadrzeczne mokradła i przepastną puszcę, od której zaczyna się Śląsk. Trzeba wracać.

Niedaleko dworskich zabudowań spotyka Wigę.

– Idę do was z prośbą – oznajmia. – Tylko najpierw chciałam zajrzeć do Alberta.

– Mówcie teraz. – Baltazar zeskakuje z konia i, prowadząc go za uzdę, towarzyszy zielarce.

– Czy Rozala mogłaby spać we dworze zamiast codziennie przychodzić?

– Za ciężko jej? Przecież nie ma tak daleko.

– Jak nie chcecie, to wasza wola. Pójdę już. – Wiga się odwraca i zmierza do chaty Alberta.

– Zaczekaj! Nie powiedziałem, że nie chcę. Wyłumacz mi tylko dlaczego.

– Boję się, że on coś jej zrobi.

- Kto? – Von Lest udaje, że nie wie, o kogo chodzi.
- Kłusownik. Co mam tłumaczyć, kiedy Agata wam wszystko mówi.
- Podaj jego imię i będziesz miała spokój.
- Nie. On ma rodzinę. Powie im o mnie i żadnego spokoju nie będzie. Sama dam radę, tylko najpierw muszę Rozalkę zabezpieczyć.
- Nie rób niczego – nalega Baltazar. – Postaram się, żebyście nie ucierpiały. Chcę tylko wiedzieć, kto to.
- To jak będzie z Rozalą? Pozwolicie jej spać u was?
- Pozwolę – odpowiada von Lest i w tej samej chwili jego uwagę przyciąga wóz z płócienną budą zmierzający w stronę dworu. Poznaje mężczyznę siedzącego obok woźnicy. – A co byś powiedziała, gdyby twoja wnuczka pojechała gdzieś dalej, choćby do Zulich? – pyta.



Rozala wraca od studni z wiadrem pełnym wody. Przystaje, by chwilę odpocząć i zmienić rękę. Gdyby nie ponure myśli, na pewno podążyłaby wzrokiem za bocianem lądującym na dachu spichlerza. Dzisiaj jednak niewiele ją interesuje. Przeplakała pół nocy przez Frycka. Tak przynajmniej powiedziała babce, kiedy spytała, czemu chlipie, zamiast spać. Rzeczywiście pobiła się z synem stajennego. Właściwie to ona go biła, a on się bronił. Gdyby babka się dowiedziała, na pewno zapytałaby, o co poszło, a tak wzruszyła ramionami i powiedziała, że jak świat światem dzieci się biły, a potem godziły, i nie ma co płakać z powodu głupstwa.

Kiedy wcale nie chodzi o głupstwo. Frycek był wczoraj z ojcem w kuźni i podsłuchał, jak pomocnik kowala opowiadał o babce. Były w tym gadaniu różne rzeczy, a najgorsza z nich dotyczyła Rozalki. Że niby babka chciała kiedyś dać jej trujące zioło do picia, ale pomocnik kowala przyszedł w porę i babka się opamiętała. Dziewczynka nie mogła puścić płazem takiego kłamstwa, dlatego Frycek oberwał. Lecz bicie nie pomogło, bo słowa chłopaka dalej siedzą w głowie. Czy to może być

prawda, że najbliższa osoba chciała ją zabić? To niepojęte. A co, jeśli którejś nocy babka, zamiast chodzić wkoło chaty, pójdzie po nóż i rozprawi się z nią jak z kozą?

Rozala męczy się z myślami, a gołe stopy marzną od nienagrzanej jeszcze ziemi. Bierze wiadro i rusza dalej. Słyszy skrzypienie wozu, ale jeszcze go nie dostrzega. Widok na drogę wiodącą do dworu przesłania jej mały budynek, w którym warzone jest piwo. Robi parę kroków i znowu przystaje. Wóz jest coraz bliżej. W końcu wjeżdża na dziedziniec. Obok woźnicy siedzi mężczyzna w podróżnym płaszczu.

To on! Ten ładny pan, który powiedział jej kiedyś, że pani Barbara wiosną po nią wróci. „Dlaczego jest sam? – Serce dziecka gwałtownie bije. – Czy ona nie przyjechała? Czy to znaczy...”

Tytus zeskakuje na ziemię i idzie na tył wozu. Pani Barbara porusza się z wysiłkiem. Pochyla się w stronę męża, a on bierze ją na ręce jak dziecko i stawia na ziemi. Grymas bólu wykrzywia blade oblicze, ale kobieta zbiera się w sobie, prostuje zgięte plecy i rozgląda wokół.

– Jesteś – mówi do wpatrzonej w nią dziewczynki. – Czekaliśmy na mnie. – Słaby uśmiech rozjaśnia twarz Barbary Haase.

*

– Na co wam ona? – Wiga obrzuca nieufnym spojrzeniem Barbarę i Tytusa. Różnica wieku między małżonkami rzuca się w oczy, co sprawia, że w głowie babki kiełkuje niejasne podejrzenie.

Pani Haase zdaje się odczytywać obawy zielarki.

– Zostawcie nas same – prosi męża i Baltazara. – Rozalko, miałaś chyba zanieść wodę do kuchni?

Kobiety zostają na dziedzińcu. Zatrzymały się w pełnym słońcu, ale chłodny powiew przypomina, że zima może jeszcze wrócić choć na chwilę. Barbara drży. Próbuje zapiąć płaszcz, lecz powykręcane palce nie dają rady. Wiga stoi bez ruchu. Obserwuje.

– Pomożecie? – pyta pani Haase.

Zielarka bez słowa sięga do guzików. Jej palce też nie wyglądają dobrze, są jednak daleko sprawniejsze od dłoni Barbary.

– Teraz rozumiecie? Nie daję sobie rady. Potrzebuję pomocy w prostych czynnościach.

– W Zulich łatwo znajdziecie dziewczkę do zapinania guzików.

– O dobrą służącą trudno.

– Przestańcie mącić. – Wiga ucina tłumaczenia. – Powiedzcie prawdę, po co wam Rozalka? Inaczej jej nie dostaniecie.

– Kiedy sama do końca nie wiem.

– Chcecie wziąć dziecko, a nie wiecie, po co?

Gniew w głosie babki sprawia, że pani Haase mobilizuje się wewnątrz.

– Przejdźmy się troszkę. Kiedy długo stoję, zaczynam sztywnieć, a potem trudno mi zrobić krok – usprawiedliwia się kobieta, ruszając z miejsca. – Jesteście mądrą babą. Tak mi mówili. Znacie jakieś ziele albo maści na moją chorobę?

– Dopiero was zobaczyłam. Nie wiem, co wam jest. W mieście znajdziecie medyka, co więcej wie od takiej jak ja. I nie mówcie do mnie jak ja do was, bo równe sobie nie jesteśmy. Nie musicie się do mnie przymilać. Wystarczy mówić prawdę.

– Powiem ci, ale nie wiem, czy mi uwierzysz. Wcześniej widziałam twoją wnuczkę tylko raz, i to przez chwilę. Przyniosła wodę w dzbanie do izby, w której spałam. To było rok temu. Na stoliku przy łóżku leżała książka. Zauważyłam, że ona nie odrywa od niej wzroku. Nie obchodziły jej suknie ani kokardy, tylko ta książka. Dla mnie było to niezwykle, bo miałam wiele służących, lecz one patrzyły jedynie na pierścionki albo ładne trzewiki. Zapytałam, czy umie czytać, a ona, że nie, ale zna znaki. Domyśliłam się, że mówi o literach.

– Nauczył ją jeden chłopak, co mieszkał we dworze – wyjaśnia Wiga.

– Potem zajrzałam jej w oczy. Może tylko mi się zdawało, ale chyba zobaczyłam w nich tęsknotę za czymś więcej niż to, czym żyje w Karge.

Jesteś jej babką. Stale z nią przebywasz. Powiedz, czy to było tylko złudzenie?

– Co? Mówcie zwyczajnie.

– Czy Rozala ma w sobie coś, co ciebie niepokoi?

Zdumiona Wiga zatrzymuje się w miejscu. Uderzyła ją prawdziwość tych słów.

– Widzieliście ją, pani, przez chwilę, i tyle o niej wiecie? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, mówi dalej: – Rozala jest podobna do swojej matki. Wszystko ją ciekawi i wciąż jej mało. Boję się o nią. Nie wiem, kto jest jej ojcem – wyznaje ze wstydem. – Dorotka nikomu nie powiedziała. Ale przez to, że pochodzi ze zwykłej, cuchnącej kozami chałupy i nie ma prawego pochodzenia, nie ma żadnej innej przyszłości, jak być zielarką albo pójść na służbę do kogoś, kto nie będzie o nic pytał.

– To dlaczego się opierasz i grozisz, że nie pozwolisz jej z nami pojechać?

– Nie chcę, by gorsza krzywda jej się nie stała niż ta, że zostanie w Karge.

– Będę się nią opiekować. Nauczę ją czytać i pisać...

– Po co? Znudzi się wam i każecie wracać, ale ona nie będzie już taka sama i nie zechce komuś służyć.

– Nie porzucę jej. Przysięgam na wszystko, co mi drogie. Obiecuję, że będę dla niej dobra i zostanie u nas tak długo, jak będzie chciała. Zulich nie tak daleko. Będzie mogła cię odwiedzać albo ty zabierzesz się z kupcami i do niej przyjedziesz.

– A wasz mąż? Czy on jej czegoś nie zrobi? Nie gniewajcie się, ale wygląda na dużo młodszego od was, a Rozala za trzy – cztery lata będzie gotowa do zamążpójścia. Może być z tego kłopot – ostrzega Wiga.

– Tytus na pewno nie skrzywdzi waszej wnuczki. Pan von Lest go zna. Jego spytajcie.

Rozmawiając, Wiga i pani Haase zawędrowały do parku. Niektóre z kilkuletnich drzew puszczają dopiero liście, ale już ptaki świergocą

wśród gałęzi, dwa krzewy okryły się delikatnym różowym kwieciem, a po ziemi ścieli się dywan z kwiatków o lazurowej barwie.

– Pięknie! – zachwyca się Barbara.

Wiga nie ma głowy do podziwiania urody parku. Myśli o propozycji i o tym, co może grozić Rozalce ze strony kłusownika. Okrutny to wybór – narazić wnuczkę na niebezpieczeństwo czy oddać ją obcym ludziom niby dla jej dobra, nie wiedząc, co naprawdę ją czeka, a zostać sama jak palec.

Pani Haase przestała już upajać się przyrodą. Stoi naprzeciwko zielarki i czeka na odpowiedź.



Wiga z wnuczką przyszły o świcie i czekały, aż ktoś je zawoła. Zdążyły dobrze zmarznąć, nim Agata się zorientowała, że już są. Kazała im szybko przyjść do kuchni i się ogrzać. Dostały też śniadanie, takie samo, jakie kucharka przygotowała dla śpiących jeszcze gości.

Piwna polewka z kostkami twarogu rozgrzewa i syci, toteż twarze wkrótce nabierają kolorów, a ciało przestaje drżeć.

– Pamiętaj, czego cię uczyłam – nakazuje Agata. – Może być, że państwo mają inne upodobania. Wtedy próbuj ich namówić na nasze jedzenie, bo ono najlepsze. Włożyłam do kosza kurę, przeto jutro możesz uwarzyć rosół. Tylko różnego mięsa trzeba dodać, bo inaczej będzie mdły. Są jeszcze jaja, warzywa i ryby. Rano przywieźli je z folwarku nad jeziorem. Dopilnuj, żeby się nie zepsuły – instruuje gospodyni.

– Mnie się zdaje, że ona tam nie będzie za kucharkę. Za młoda przecież. Pani bierze ją sobie do pomocy. – Wiga hamuje zapędy Agaty.

– Nie szkodzi. Kucharka najważniejsza ze służby. Rozalka – zwraca się do dziewczynki – gdyby się przydarzyło, że do garnków cię dopuszczą, pokaż, co potrafisz. Od razu w łaski państwa się wkradniesz.

Pożegnanie odbywa się na dworskim podwórzu. Wóz czeka w cieniu nowego budynku. Kucharka za zgodą Baltazara opróżniła część spiżarni,

przenosząc niektóre zapasy pod płócienną budę. Jako że całe dno wozu jest zastawione koszami i garnuszkami, pani Barbara ma problem z dostaniem się na przygotowaną dla niej ławkę.

Rozala jeszcze czeka. Nie wie, co powiedzieć, jak się zachować i czy w ogóle powinna jechać. Marzenie zaczyna się spełniać, a ją ogarnia strach przed nieznanym. Agata ściska ją mocno na pożegnanie i popycha w stronę babki. W przeciwieństwie do pociągającej nosem gospodyni Wiga ma suche oczy. Cokolwiek czuje, skrywa to w środku.

– Sprawuj się dobrze, żeby państwo się na ciebie nie skarżyli – nakazuje wnuczce. – Będzie trzeba, to użyj ziół, tych, co ci w woreczki nakładłam. Maści też tam masz i trochę borsuczego sadła. Tylko rób wszystko, jak cię uczyłam. Pani obiecała, że przywiezie cię na żniwa w odwiedzinie.

Rozalka utkwiała wzrok w brudnych stopach. W jednej ręce ma węzełek z koszulą i spódnicą na zmianę, a w nim jeszcze osobne zawiniątko z zieleń. Wie, że powinna się ruszyć, lecz ciało stawia opór.

– Dalej! – Babka się sroży. – Państwo czekają. Idź już.

Lekkie szturchnięcie pomaga się otrząsnąć z niemocy. Dziewczynka wrzuca swoje pakuneczki do wozu i niknie w ślad za nimi pod płócienną osłoną. Wóz rusza.

Teraz Wiga stoi jak skamieniała. Wpatrzona w oddalający się pojazd myśli o tym, że drugi raz traci dziecko. Jeszcze może zawołać, nie pozwolić, kazać wnuczce zejść z wozu, wtedy wrócą do chaty jak zawsze. Wzbiera w niej krzyk, skarga na los, który obdarzył ją garbem, a szczęście dał tylko na chwilę.

Dziewczynka bezwiednie przyciska do piersi swój węzełek. Nie odrywa wzroku od babki. W nieruchomej pozie i twarzy bez wyrazu dostrzega cierpienie. Jeszcze może wyskoczyć, podbiec do garbatej postaci, powiedzieć, że chce z nią wrócić do chaty i żyć jak do tej pory...

Jeszcze chwila, ostatnia szansa, by niczego nie zmieniać... i wóz chowa się za zakrętem.



Kot nie był świadkiem pożegnania. Leży na daszku nad drewnianą, drzemie i od czasu do czasu liże ranną łapę. Poprzedniej nocy wytropił kryjówkę szczura. Doświadczony wojownik popełnił głupi błąd. Próbował sięgnąć go łapką i wtedy tamten go ugryzł. Niby nic wielkiego, dwie lekko krwawiące ranki, ale przez nie traci siły i apetyt. Pragnie jedynie leżeć i odpoczywać.

Kroki gospodyni usłyszał kilka minut temu, lecz podniósł głowę dopiero, kiedy stanęła przed drewnianą.

– Coś nietęgo wyglądasz. Ten jeden raz mógłbyś dać się obejrzeć. Nie dość czasu wpuszczam cię do swojej sieni i karmię moimi myszami? – utyskuje Wiga.

Wyrzuty nie robią żadnego wrażenia na zwierzęciu. Porusza końcówką ogona, dając znać, że wie, iż do niego ta mowa, ale poza tym ani drgnie. Przeciwnie, zamyka oczy, dając do zrozumienia, że nie chce, by mu przeszkadzać.

Wiga się domyśla, że nic nie wskóra, więc wchodzi do chaty. W izbie jest inaczej niż rano. Zrobiło się pusto, choć nie brakuje żadnego sprzętu.

Nie ma Rozalki.

Przez kilka ostatnich miesięcy wnuczka wstawiała razem ze słońcem, szła na służbę, a wracała, kiedy słońce kładło się do snu. Czemu więc teraz nie ma jej bardziej niż przedtem?

Wiga chciałaby zwinąć się w kłębek jak kot i zasnąć, by przespać ból i tęsknotę, ale nie może sobie na to pozwolić. Wygania kozy do zagrodki i zabiera się do sprzątnięcia koziego kąta w chacie. Wygarnia odchody na zewnątrz, a potem ładuje na taczkę z drewnianym kołem i wywozi na stertę za chałupą. Kiedyś posłużą do użyczenia ziemi w skrzyniach. Na razie będą tylko siedliskiem much.

Podczas pracy stara się nie myśleć o wnuczce i o tym, co może ją czekać u obcych. Ten niepokój próbuje zasłonić innym. Ilekroć

przechodzi koło drewnutni przyklejonej do szczytowej ściany chałupy, zerka na kota.

Pierwszy raz zobaczyła go tej samej jesieni, kiedy zniknęła Dorota. Jej kotem stał się po tym, gdy Agata nazwała go odmieńcem. Poczowała wtedy coś na kształt wspólnoty z istotą odtraconą przez ludzi za wygląd. Z początku się bała, że wezmą ją na języki. Oswojenie dzikiego zwierzęcia mogło nasunąć podejrzenie, że ma konszachty z siłami nieczystymi. Kot jakby rozumiał niebezpieczeństwo i zawsze zachowywał się dyskretnie. Czasem towarzyszył Widze, nigdy jednak nie rzucał się w oczy. Szedł z tyłu w bezpiecznej odległości albo przemykał między krzakami. Zielarka zastanawiała się nieraz, czy to możliwe, że dla innych jest niewidzialny, a pokazuje się wyłącznie jej, Agacie i Rozalce. Wnuczka była zresztą jedyną osobą, której pozwolił się głaskać, drapać za uszami albo brać na ręce. Poza tym żył własnymi sprawami. Spał na zewnątrz, przychodził i odchodził, kiedy miał na to ochotę. Bywało, że przepadał na wiele dni, a kiedy myślały, że zginął na zawsze, wracał któregoś ranka z kolejną blizną na biało-czarnym pysku.

Wiga przygląda się skulonemu na daszku zwierzęciu. Widzi, jak szybko oddycha, i zauważa bardziej niż zwykle zapadnięte boki.

– Kocie! – woła, stawiając na ziemi pełną miseczkę. – Mam dla ciebie mleko. Musisz coś zjeść, bo wyglądasz, jakbyś zaraz miał zdechnąć.

Zwierzak nie podnosi głowy. Otwiera jedynie oczy. Nie ma w nich cienia czujności. Są zmęczone.

– Nie chcesz chyba zostawić mnie samej? – Niepokój zielarki rośnie. – Zejdź tu do mnie natychmiast. Napij się chociaż.

Kocie oczy się zamykają, jakby patrzenie było dla nich zbyt trudne.

Wigę ogarnia złość.

– Złaż natychmiast, bo sama po ciebie pójde!

Groźba nie skutkuje, więc babka przynosi z chaty drabinę. Konstrukcja, o którą ją oparła, nie należy do solidnych, dlatego wspina się wyjątkowo ostrożnie. Jest już na tyle blisko, że może dosięgnąć kota.

Wyciąga rękę, prawie dotyka futerka. Przerywa jej głośny trzask pękającego drewna i gwałtowne przechylenie się drabiny. Jeszcze chwila zawieszenia i Wiga leci w dół, prosto do koziej zagrody. Przerażony kot ostatkiem sił zeskakuje z daszku i na trzech nogach zmyka w krzaki.

– Stara, a głupia – mruczy do siebie zielarka, podnosząc się z ziemi. Boli ją bark, nic poza tym się nie stało. Chałupa, a tym bardziej drewnutnia, do wysokich nie należą. Gdyby w miejscu drabiny stanął mężczyzna średniego wzrostu, bez trudu zdjąłby kota. Niestety, dla garbatej kobiety było za wysoko.

Wiga jest na siebie zła, ale najbardziej martwi ją uszkodzony daszek. Jeśli nie znajdzie nikogo, kto go naprawi, drewno gromadzone na zimę będzie moknąć.

Zaledwie zdążyła odnieść drabinę, kiedy ujrzała dwie dziewczyny stojące w bezpiecznej odległości od chaty.

One też na nią patrzą. Wyglądają na wystraszone. Wcale to jej nie dziwi. Nie dość, że mają ją za wiedźmę, to jeszcze ten garb na plecach i spódnica powalana ziemią od niedawnego upadku.

– Jesteście z Unruhstadt? – To bardziej stwierdzenie niż pytanie. Nie zna ich twarzy. Domyśla się, że pochodzą z którejś z nowo przybyłych rodzin.

– Nie – odzywa się dziewczyna z jasnym warkoczem. – Przyszliśmy z Grünwaldu. Przysłała nas ciotka, Anna Villborn. Kazała wam wracać i zająć się ojcem.



Do żniw jeszcze daleko, a już widać, że sucha i zimna wiosna zaszkoziła uprawom. Zgorzkniali i kłóący się o byle drobiazg ludzie stają się jeszcze bardziej nerwowi. Nawet rzemieślnicy i kupcy, których wysokość plonów mogłaby nie obchodzić, patrzą w przyszłość z obawą. Jeśli żywność będzie droga, nikt nie będzie kupował narzędzi, tkanin, mebli, garnków i innych rzeczy, które nie są niezbędne.

Jakby było mało tego wszystkiego, pojawiły się gąsienice. Najpierw w grochu, potem w cebuli, a na końcu zaczęły dziurawić kapustę. Każde inne, lecz tak samo zabójcze dla roślin. Wszyscy, od małych dzieci poczynając, na staruszkach kończąc, wylegli na pola, by ratować, co się da, ale nadal co jedno robactwo zbiorą, drugie się pojawia.

Czy Bóg przeklął to miejsce? Może to kara za grzechy, jak chce pastor? A co, jeśli zemsta kogoś, kto wszedł w układ ze złymi mocami?

Pewnego dnia od strony Kopanicy przyszli żołnierze. Karge i Unruhstadt w porównaniu ze wsiami mijanymi po drodze wydały się ich dowódcy spichlerzem pełnym wszelakiego dobra. Von Lest próbował coś tłumaczyć, ale nadaremno. Dowiedział się tylko, że wracają do Brandenburgii, bo dla nich wojna w Polsce już skończona. W takiej sytuacji jedyny wybór, jaki mu pozostał, to bronić dobytku i zginąć w nierównej walce albo próbować ograniczyć straty.

Kilka dni pobytu liczącej pół setki kompanii wystarczyło, by stan posiadania Unruhstadt, Karge i dworskiego gospodarstwa zmniejszył się o cztery woły, sześć dojnych krów i trzy jałówki, jednaście cieląt, dwadzieścia świń, niepoliconą liczbę kur, jaj, beczek piwa, połci słoniny oraz bliżej nieznaną ilość owsa, żyta i jęczmienia. Prócz tego żołnierze wzięli ze sobą sześć koni i trzy wozy wyładowane wszelakim dobrem. Na szczęście zachowywali się bardzo przyzwoicie, bo nikogo nie zabili, żadnej niewiasty nie pohańbili ani domów nie puścili z dymem. Niestety, poddani Unruga nie docenili łaskawości Brandenburczyków, a jedynie nasilili lament i narzekania.

Jeszcze bardziej od innych lamentuje Agata i nie chodzi o to, co wojsko zabrało, a co po nim zostało.

Kiedy żona owczarza powiedziała kucharce, że w szopie, w której zimują owce, jej mąż znalazł pijanego Macieja, pomyślała, że to pomyłka. Szybko uwierzyła, bo wędrowny małżonek we własnej osobie zjawił się w porze obiadu. Baltazar usłyszał, jak awanturuje się w kuchni, przyszedł więc i grzecznie kazał mu się wynosić z dworu. Uprzejme potraktowanie nie pomogło, dlatego von Lest ujął w dłoń brudny i zawszony kołnierz,

niemal wyniósł opierającego się dziada i, by sobie ulżyć, kopnął go w zadek. Za odchodzącym posłał jeszcze parę odpowiednich w tej sytuacji obietnic.

– Znowu? – Baltazar traci cierpliwość do Agaty. Zamiast poświęcić się temu, po co przyszła do jego alkierza, siedzi na brzegu łóżka i rękawem koszuli wyciera łzy.

Brak odpowiedzi irytuje mężczyznę jeszcze bardziej.

– Powiedziałem przecież, że nie wolno mu przychodzić do dworu. Nie będzie cię więcej niepokoił, a jak nie posłucha, kości mu porachuję.

– Nie! Proszę, nie rób tego!

– Czemuż to?

– Jest młodszy i silniejszy. Jeszcze krzywdę ci jaką zrobi.

– On mi krzywdę? – Baltazar aż się podnosi z pościeli. – Ten chłystek? Mam się bać śmierdzącego pijaczyny?

– Nie znasz go. Jest mściwy i przewrotny. Wczoraj, jak go wyrzuciłeś, ledwo się trzymał na nogach. Trzeźwy może być niebezpieczny.

– Na wojnie radziłem sobie z gorszymi od niego. W razie czego użyję rapiera.

Zamiast odpowiedzi mężczyzna słyszy bolesny jęk.

– Powiedz wreszcie, w czym rzecz, i przestań lamentować.

– On chce, żebym wróciła do chałupy – wyrzuca z siebie Agata, doprawiając wyznanie kolejną porcją łez.

– Nie wrócisz.

– To mój mąż. Muszę!

– Jesteś poddaną Unruga. Zrobisz, co każe jego zarządca.

Następny dzień przyniósł nową troskę. W liście od Krzysztofa dostarczonym przez posłańca jest prośba, by Baltazar przyjechał do Międzychodu. Unrug chce pomówić o sprawach posiadłości, a kłopoty ze zdrowiem nie pozwalają mu przybyć osobiście.

Von Lest czuje, jakby miał poddanych zostawić w potrzebie. Nie dość,

że na ludzi spada kłopot za kłopotem, to teraz on ma porzucić ich na tydzień albo więcej. Bo do Międzychodu jest najmniej dwa dni konnej jazdy w jedną stronę z przerwą na nocleg. Dwa dni w siodle? To, co było codziennością jeszcze dziesięć lat temu, ponadsześćdziesięcioletniemu mężczyźnie nie wydaje się takie proste. Dodatkowo musi wziąć ze sobą ze dwóch pachołków, bo na drogach pełno zbójców. Kiedyś nie było ich aż tylu, teraz nędza wyгнаła na żebry albo rozbój nawet tych, którzy wcześniej uczciwie zarabiali na życie. No i co z Krzysztofem? Zawsze pełen energii i niepotrafiący usiedzieć w miejscu, a tu choroba? Jeszcze tego brakuje, żeby jemu coś się stało.

Jedyną pozytywną stroną odwiedzin w głównej siedzibie rodu jest możliwość spotkania z Jakubem. Nie ma dnia, by o nim nie myślał. Nie sądził, że tak się przywiąże do dziecka znalezionej na drodze. Chciałby, żeby już wrócił. Może uda się przekonać Unruga, że starczy tej nauki. On, Baltazar, jeszcze nie umiera. Zdąży chłopakowi to i owo przekazać.

Von Lest pragnie wyruszyć w podróż jak najprędzej. Część spraw już załatwił, wydał pracownikom gospodarstwa odpowiednie polecenia i wybrał do towarzystwa dwóch osiłków umiejących jeździć konno. Potrzebne mu tylko ubranie na zmianę, bo nie wiadomo, gdzie przyjdzie jeść kolację – w karczmie czy z państwem w pałacu.

– Agata! – krzyczy. – Chodź do mnie!

Brak jakiegokolwiek reakcji na wołanie jego samego prowadzi do kuchni. Kucharka z szerokim nożem w dłoni sieka cebulę i raz po raz wyciera rękawem oczy.

– Płaczesz? – Baltazar się niecierpliwi. – Mówiłem ci przecież, że...

– Cebulę kroję – przerywa mu kucharka. – To chyba nic dziwnego, że łzy lecą.

– Jesteś zła?

– Ja? A czy mam prawo się złościć? Kim ja jestem, żebym się mogła gniewać na wielkiego pana?

– Kobieto! Gadaj, o co ci chodzi! Nie mam cierpliwości do babskich

humorów.

– A o to! – Nóż wbity czubkiem w deskę drży. Agata z rumieńcami na zaciętrzewionej twarzy obraca się w stronę von Lesta. – Jedziesz, a cały bałagan zostawiasz. Niech się dzieje, co chce! Może samo się jakoś odmota.

– Jaki bałagan? Co się znowu stało?

– Nic. Wystarczy, co już jest. Ludzie niepewni żniw, wojna bez końca, wojsko, co zabiera dobytek, i gąsienice na dodatek.

– Jak nie pojedę, będzie dobrze? Gąsienice znikną?

Nagle gniew opuszcza Agatę. Opada na ławę z głośnym westchnieniem.

– Gadają, że to przez Wigę, bo nocą rozsypuje na polach proszek, z którego one się lęgną. Boję się, żeby jej kto czego nie zrobił.

Baltazar również się uspokaja. Zatroskany siada obok Agaty.

– Unrug wzywa. Muszę jechać. Nie myśl, że chcę. Wiem, że nie jest dobrze i powinienem zostać. Nie chodzi o Wigę, a o wszystko. Powiedz zielarce, żeby się ludziom na razie nie pokazywała. Niech zbiera to swoje zielsko, a potem siedzi w chałupie. Wrócę, to pomyślę, co dalej.

– Pastor był tu rano.

– Niech przyjdzie za tydzień. Teraz nie mam dla niego czasu.

– Przyszedł do mnie.

– Co chciał?

– Kazał do Macieja wrócić.

– Co powiedziałaś?

– Że zakazałeś. A on na to, że mąż ma do mnie większe prawo i nawet jakby służyć zabronił, to mam go słuchać.

– Myślisz, że wie o nas?

– Nic takiego nie powiedział, ale kazał, żebym na niedzielne nabożeństwo ze swojej chałupy przyszła.

– Twoja chałupa zajęta.

– Już nie. Ci, co ją wynajmowali, pojechali z powrotem na Śląsk.

Powiedzieli, że tu życie za ciężkie, a tam teraz spokój. Maciej od razu tam zamieszkał. W końcu to jego, po ojcu.

- Może, jak dostanie trochę pieniędzy, znowu pójdzie w świat?
- Już mu dałam. Wziął i kazał wracać.
- Nie idź. Coś wymyślę. Wytrzymaj do mojego powrotu.



Agaty jest jakby mniej. Baltazar zauważył to przy pożegnaniu. Objął ją w kuchni, czyli tam, gdzie nikt nie mógł ich podejrzeć, i zakazał za nim wychodzić, żeby ktoś czegoś sobie nie pomyślał. Odkrycie romansu ze służącą ściągnęłoby kłopoty na oboje. Schilberg, który i tak nie darzy zarządcy sympatią, zrobiłby wszystko, by grzeszny związek napiętnować i zakończyć. Muszą być bardzo ostrożni. Bardziej niż na początku, bo w obliczu niepowodzeń spadających na poddanych Unruga zostaliby na pewno wskazani jako ich przyczyna, wszak grzech cudzołóstwa obraża Boga szczególnie mocno.

Jeśli Baltazar oddała się od Karge w złym nastroju, to co można powiedzieć o Agacie, która w Karge zostaje?

Kucharka ma więcej zmartwień, niż przyznaje. Skoro została ze wszystkim sama, postara się rozwikłać te sprawy, które jej dotyczą. Najpierw musi pójść do Wigi. Niby ma się z dworu nie ruszać, lecz Baltazar sam powiedział, żeby zielarkę ostrzegła. Mało prawdopodobne, by zastała ją o tej porze w chacie, ale przynajmniej spróbuje.

Rzeczywiście, wygląda na to, że Wigi nie ma. Agata za żadne skarby nie weszłaby sama do jej chałupy, toteż po kilku zawołaniach i braku odzewu siada na kłodzie i czeka. Czas jej się dłuży, wstaje więc raz po raz, zrywa trawę i wrzuca ją kozom do zagródki, przegląda ziołowe i warzywne uprawy umieszczone w dwóch skrzyniach, patrzy w kierunku podmokłych łąk, gdzie brodzą bociany, i coraz bardziej się niecierpliwi.

Zielarka wraca w samo południe. Na jej twarzy nie ma zaskoczenia. Kosz pełen ziół stawia w cieniu i siada obok Agaty. Potem, jakby o czymś

sobie przypomniała, wstaje i wchodzi do chałupy. Wraca z dwoma kubkami.

– Serwatka – oznajmia. – Najlepsza na pragnienie i na zmartwienia.

– Wigo, gadają, że gąsienice to twoja sprawka.

– Wiadomo, że moja.

– Twoja? To ty naprawdę... – Agata aż się unosi z miejsca.

– Siadaj! Tak tylko powiedziałam. Bo jak co złego, to zawsze na mnie.

Kobieta posłusznie siada i sięga z powrotem po kubek.

– Przyszłam o tym powiedzieć i przestrzec. Mogą cię skrzywdzić. Lepiej się we wsi nie pokazuj. Baltazar pojechał do Unruga. Nie będzie go do niedzieli albo dłużej, a wiadomo, jak kota nie ma, myszy harują.

Zielarka lekceważąco wzrusza ramionami.

– Tych myszy się nie boję.

– A kłusownik jeszcze cię nachodzi?

– Czasem go słyszę.

– Ja zwariowałabym ze strachu. Już się boję, jak pomyślę, że będę dzisiaj sama spała we dworze. A ty? Nie wiem, jak możesz tu żyć.

– Przyzwyczaiałam się, a on niedługo przestanie mnie straszyć.

– Jak to?

– Mówiłam ci przecież, że się nie dam. Jego dni są policzone.

– Wigo! Co ty zrobiłaś?

– Jeszcze nic. – Kobieta szybko ucina temat. – Lepiej powiedz, po co naprawdę przyszłaś. Nie siedziałabyś tu jak kołek, gdybyś nie miała ważnej sprawy.

Agata kuli się nagle, jakby przygniatał ją wielki ciężar.

– Maciej jest we wsi. Chce, żebyśmy do niego wróciła.

– A tobie wdowiec lepiej pasuje?

– Skąd wiesz?

– Jeszcze żadna baba, która brała ode mnie zioła na miłość, nie

powiedziała, że to dla niej. Tylko głupia by się nie domyśliła. Co teraz zrobisz?

– Pan Baltazar każe zostać we dworze, a pastor mówi, że mam iść do męża. Doradź mi coś! – Agata wybucha długo powstrzymanym płaczem. – Nie chcę Macieja, a jak do niego nie pójde, pastor narobi kłopotów – skarży się, łkając.

Wiga mierzy wzrokiem kucharkę, wzdycha, namyśla się, ale nic nie mówi.

– Wigo, co ja mam zrobić?

– Wróć do męża. Byle prędko.



To była druga samotna noc po wyjeździe Rozali. Słyszała kłusownika, jak krążył wkoło chaty i pukał we drzwi, karmiąc się jej strachem. Najgorsze przyszło o świcie, kiedy chciała wyjść na zewnątrz. Wpadła twarzą w ciało kota. Wisiał na sznurze przybitym do ościeżnicy dokładnie na wysokości jej głowy. Odcięła biedaka, zdjęła pętlę z szyi, a potem długo siedziała z nim na kolanach przed wygasłym paleniskiem. Pierwszy raz go dotykała i zanurzała palce w miękkiej sierści. Obejrzała nawet jątrzące się rany na łapce. Coś nuciała po cichu, lecz nie o melodii myślała, a o zemście. Dotąd tylko wyobrażała sobie, jak pokona kłusownika, ale nie była pewna, czy warto złu otwierać drzwi. Liczyła na to, że jemu się w końcu znudzi ta zabawa, że da jej spokój, kiedy zrozumie, że go nie wyda. Nie odpuścił, więc i ona nie daruje.

Tego, co zrobił kotu, nie wolno wybaczyć.

Kiedy rozmawiały z Agatą, nie przyznała się, że ma plan. Przyszła pora, by wcielić go w czyn.

Zbliża się jedna z trzech nocy w miesiącu, gdy nie ujrzy się światła księżycy, a strzygi i demony obejmą ziemię w posiadanie. To także czas, gdy zbierane są niektóre zioła, bo wtedy ich moc jest największa. Nów jest również porą czarownic. Jeśli chcą rzucić na kogoś urok albo

przekląć, robią to właśnie wtedy, bo wraz z pojawieniem się wąziutkiej zapowiedzi nowego księżyca zakłęcie zacznie działać, a jego potęga będzie rosnąć razem z przybieraniem srebrnego sierpa.

Wiga wiele razy wyobrażała sobie tę noc. Im dłużej myślała, tym większy lęk ją ogarniał. Nigdy dotąd nie wchodziła w konszachty ze złymi mocami. Zdaje sobie sprawę, że jeśli poprosi o coś, co ma zaszkodzić człowiekowi, nie dostanie tego za darmo. Nie chce jednak żyć w ciągłym strachu. Trwanie w nieustającym poczuciu zagrożenia jest udręką, czymś, co kiedyś przechodziła, i za żadne skarby nie dopuści, by wróciło. To, co zły człowiek zrobił kotu, przepełniło czarę goryczy. Posunął się za daleko. Dalej, niż ona może znieść.

Płachta, w której zwykle nosi chrust, tym razem posłuży do innego celu. Przewiązuje ją sobie na plecach, patrzy w niebo i rusza w ciemność.

Bezksiężycowa majowa noc wcale nie jest taka ciemna. Błyszczą gwiazdy, a powietrze wypełnia mieszanina upojnych zapachów traw, ziół i kwiatów. Wszystko wokół śpiewa, terkoce i cyka, jakby nie zauważyło, że dzień się już skończył.

Wiga idzie, raz po raz się potykając albo schodząc ze ścieżki. Wie jednak dokładnie, jak dotrzeć do celu. Tuż na granicy dworskiego parku są doły po glinie. Od dawna nikomu nie służą, dlatego zarosły krzakami i trawą. Jeden z nich wiele lat temu, nie bez powodu, został zasypany piaskiem. Rośnie przy nim kilkumetrowej wysokości krzew czarnego bzu. To właśnie jego szuka. Teraz musi uważać, by nie wpaść do któregoś z dołów. Idzie ostrożnie, mimo to trzaskają gałązki pod stopami, a ostre kolce dzikich jeżyn szarpią spódnicę. Duszący zapach kremowych baldachów jest coraz wyraźniejszy. Oczy przyzwyczajone do mroku odnajdują w ciemności krzak górujący nad innymi i kamienie ułożone w kopczyk w miejscu, w którym od kilku dni kopała po trochu, przychodząc tu niby po kwiaty potrzebne do leczenia.

Każdy wie, że gałęzie i korzenie czarnego bzu to siedziba tajemnych mocy. Nie wolno krzywdzić świętego krzewu, dlatego Wiga na wszelki wypadek klęka i prosi duchy o wybaczenie. Potem glinianą skorupą

zaczyna odgarniać ziemię. Co rusz przestaje i nasłuchuje. Nie wie, czy to liście szeleszczą, czy demony coś do niej mówią. Krzyk nocnego ptaka przenika do trzewi. Cierpnie skóra i włosy zdają się stawać na głowie.

Pies człowieka pilnującego dworskiego obejścia chyba coś wyczuł, bo szczeka inaczej. Kobieta zastyga. Jeśli zwierzę przyprowadzi tu stróża, będzie miała poważne kłopoty.

Szczekanie się oddała. Kopanie trwa prawie do świtu. To, czego szukała, znajduje dopiero, kiedy niebo nad lasem zaczyna szarzeć. Tak samo ostrożnie jak przyszła, umyka z ciężarem na plecach. Koszulę ma mokrą od potu. Wie jednak, że to następnej nocy czeka ją najtrudniejsze.



Baltazar zmarnował dwa dni. Jego wyprawa do Międzychodu okazała się niepotrzebna, bo w połowie drogi, kiedy zatrzymał się w karczmie na nocleg, spotkał posłańca zdążającego w przeciwnym kierunku. Człowiek ów miał mu do przekazania krótką wiadomość. „Kuzynie, zostań w Karge – napisał Unrug. – U nas morowe powietrze”.

Von Lest zetknął się z morowym powietrzem nieraz. Wie, że nie zawsze oznacza to samo. Bywa wyniszczającą ciało krwawą biegunką, kiedy indziej objawia się w postaci wysokiej gorączki i następującej po niej wysypce na skórze oraz obrzękiem. W większości przypadków chory umiera. Najgorsza ze wszystkich odmian jest czarna śmierć. W Karge od dawna się mówiło, że pojawiła się w Rosji. Wiadomość tę przynieśli poganiacze wołów pędzący bydło ze wschodu. Kiedy wojska cara Aleksego najechały Rzeczpospolitą, zaraza przyszła z nimi. Potem szerzyła się dalej, a teraz zawędrowała do Wielkopolski.

Jakiś niepokój, większy niż dotąd, zaczyna dręczyć Baltazara. Nie chodzi nawet o chorobę. Boi się o Agatę. Prawdopodobnie nikt nie odkrył ich grzesznego związku. Mimo że mieszkali tylko we dwoje, pobożność i skromność dworskiej kucharki oddalała od nich wszelkie podejrzenia. A jeśli ktoś się dowiedział albo domyślił? Mogą ją oskarżyć

o cudzołóstwo, narazić na upokorzenie albo skrzywdzić jeszcze bardziej. Popędza konia, byle szybciej przybyć do Karge i się przekonać, że nie dzieje się tam nic złego.

Jest jeszcze całkiem jasno, kiedy dociera do dworskich zabudowań. Widok ludzi zajętych codzienną pracą przynosi ulgę. Powierza konia stajennemu, a sam idzie do stodoły, by sprawdzić, czy, tak jak polecił, została wysprzątana przed żniwami.

Zapada ciepły letni wieczór wypełniony aromatem ziół usychających w sianie i klekotaniem bociana stojącego w gnieździe na spichlerzu. „Niepotrzebnie gnałem na złamanie karku – myśli Baltazar. – To przez rozmowę z Agatą. Ostatnio wszystko widzi w czarnych barwach”.

Od śniadania nie miał nic w ustach. Wie, że kucharka nie spodziewa się go dzisiaj, ale na pewno raz-dwa przygotuje kolację.

Wygasłe palenisko zaskakuje, lecz nie wzbudza niepokoju. Zarządca dochodzi do wniosku, że Agata dzisiaj nie rozpałała. Bierze ze spiżarni chleb, ser i garnczek ze świeżym, lejącym się miodem. Dodaje do tego dzbanek z piwem i ma kolację.

Robi się ciemno, a gospodyni wciąż nie ma. Dziwne. To do niej niepodobne. Przecież boi się ciemności. Tknięty nagłym przeczuciem zagląda do izdebki kucharki. Jest pusta. Nie ma żadnej odzieży świadczącej o tym, że ktoś tu mieszka.

Baltazar pojmuje, co się stało. Agata wróciła do męża.

Zaślepiiony gniewem wybiega na zewnątrz. Rozgląda się, jakby liczył na to, że ujrzy ją idącą od strony wsi. Nic prócz zwyczajnej wieczornej ciszy zakłóconej śpiewem kogoś wracającego z karczmy. Von Lest próbuje ochłonać. „Przecież nie mogę po nią pójść. Nie wolno mi zrobić awantury. Równie dobrze mógłbym wskazać na nią palcem i zawołać: – Patrzcie, oto ladacznica!”

Długo nie kładzie się spać. Spaceruje po podwórzu oświetlonym blaskiem księżyca. Zamienia parę zdań ze stróżem, głaszcze jego psa i spogląda na wieś pogrążoną we śnie. W końcu zmęczenie bierze górę.

Kiedy otwiera rano oczy, jest już zupełnie jasno. Ktoś jest w budynku. Słyszy otwieranie drzwi i kroki. „Agata wróciła!” – to pierwsza myśl, jaka przychodzi mu do głowy. Zrywa się i w samej koszuli wybiega z alkierza. Przed jego drzwiami stoi pastor.

Lekko przestraszony impetem, z jakim Baltazar wypadł z sypialni, cofa się i opiera o ścianę.

– Co wam? – pyta, zapominając o chrześcijańskim powitaniu. – Chorzyście?

Zniechęcony widokiem odzianej w czerń postaci von Lest wraca do alkierza i wciąga portki.

– Zaspąłem. Byłem zmęczony po podróży – tłumaczy. – Coś się stało, że mnie tak rano nachodzicie?

– Przyszedłem was upomnieć. Powinniście byli od razu przyjść do mnie i powiedzieć o morowym powietrzu.

– Co pastor ma z tym wspólnego?

– Ano to, że już wczoraj wydałbym stosowne polecenia.

– Ja jestem tutaj od wydawania poleceń. Pastor niech pilnuje swoich spraw – przypomina Baltazar.

– Morowe powietrze to kara boska. A od spraw boskich jestem ja. – Schilberg ma nieprzyjazną, wyniosłą minę. – Mam coś z wami do omówienia, ale chyba nie chcecie mnie wysłuchać, bo każecie mi stać jak prostemu dzierżawcy.

– Tu was nie przyjmę, bo niesprzątnięte. – Baltazar pokazuje niepościelone łóżce. – Możemy usiąść w kuchni, jeśli nie będzie to dla pastora wielką ujmą.

Schilberg zdaje się nie dostrzegać nieobecności Agaty. Krzywi się tylko, kiedy von Lest stawia na stole dwa nieumyte kubki i nalewa piwa.

– Nie jestem spragniony – mówi, odsuwając naczynie z obrzydzeniem. – Powinniście nająć kogoś do kuchni.

– Kiedy nie wiem, co z kucharką. Przyjechałem, a jej nie ma. Powinna była uprzedzić, że odchodzi.

– Poszła do męża.

– To nicpoń. Nie powinna była do niego wracać – wyrywa się Baltazarowi.

– Źle mówicie. Luter nauczał, że każdy mężczyzna ma mieć żonę, a każda kobieta męża. Gdy kobieta albo mężczyzna żyją samotnie, Szatan zaczyna ich kusić do grzechu. Małżeństwo – tłumaczy jak uczniakowi Schilberg – przynosi korzyść nie tylko ciałom i duszom małżonków. Niesie ono dobro dla całej społeczności, bo nie daje powodu do gniewu bożego. Bóg oszczędza sprawiedliwych, a każe plagami wszetecznych.

Pastor przerywa, chcąc sprawdzić, jakie wrażenie wywarła jego przemowa na zarządcy. Jest rozczarowany, bo z oblicza von Lesta trudno coś odczytać. Mówi więc dalej:

– Kazałem waszej kucharce pójść do małżonka, bo to jest słuszne. Teraz, kiedy tyle nieszczęść spada na poddanych Unruga, powinno być to dla was jasne.

– Skoro pastor zarządził, by Agata wróciła do męża, to powinien kazać jej przychodzić na służbę. Nikt jej nie zmusza, żeby nocowała we dworze. Spójrzcie na kuchnię. Zimne palenisko, ni kolacji, ni śniadania. A jaki nieporządek – skarży się Baltazar. – Będę jej płacił tak samo jak do tej pory, a do tego może obiad dla męża nosić.

Pastor kiwa głową, wyrażając tym samym zgodę na pośrednictwo.

– Po co innego tu przyszedłem. Doszły mnie słuchy, że morowe powietrze w okolicy. Od was powinienem się tego dowiedzieć, nie od waszych towarzyszy podróży. Musimy się zabezpieczyć na wszystkie sposoby, by odsunąć od nas gniew Pana. Wieczorem uderzę w dzwon, żeby ludzie przyszli przed kaplicę, i ogłoszę, co postanowiłem.

Baltazar ma na końcu języka kąśliwą uwagę co do tego, kto tu jest od postanawiania, ale się hamuje.

– Co chcecie ogłosić?

– Od jutra ścisły post. Karczmę trzeba zamknąć. Żadnych tańców, śpiewów i płochych rozrywek. Codziennie rano i wieczorem nabożeństwo

w kaplicy. Kto nie przyjdzie, będzie winnym bożego gniewu, jeśli na nas spadnie.



Na porannym nabożeństwie nie ma tylko Wigi i paru obłożnie chorych osób. Wieść o zbliżającej się zarazie zatrwożyła wszystkich, poza tym nikt nie chce zostać obwinionym o ściągnięcie nieszczęścia na Karge i Unruhstadt.

Zielarka też by się stawiała, lecz nie dotarła do niej żadna informacja. W dodatku Agata powiedziała, że ma się we wsi nie pokazywać. Nie, to nie. Poczekaj. Sami ją zawołają, jak będzie potrzebna. Dlatego z samego rana poszła na torfowiska po mech. W ciągu roku zużywa go bardzo dużo. Najczęściej do opatrywania ran albo zapobiegania odleżynom, ale roślina ma wiele zastosowań. Zbieraniu mchu poświęca zwykle kilka letnich bezdeszczowych dni. Wtedy najłatwiej poruszać się po torfowisku, a potem suszyć wyciśnięte i rozłożone na trawie ziele.

Wiga zbiera mech, walcząc z komarami, tymczasem w kaplicy w Karge odbywa się nabożeństwo. Baltazar tym razem nie wszedł do środka. Stoi z tymi, dla których wewnątrz nie starczyło miejsca. Agata również nie przestąpiła dębowego progu. Zatrzymała się za rogiem, tak że widać jedynie fragment czarnego stroju – czepka, kaftana i spódnicy. Mimo to von Lest wie, że to ona tam stoi, i choć się stara nie patrzeć w jej stronę, nie potrafi zapanować nad wzrokiem.

Wierni są w jeszcze gorszym nastroju, niż to ostatnio bywało. Jedni, bo zdają sobie sprawę z zagrożenia, innych, choć głośno tego nie powiedzą, nie cieszy perspektywa bezterminowego postu, umartwiania się i konieczności uczestniczenia w nabożeństwach dwa razy dziennie, kiedy tyle pracy w obejściu i na polu.

Modły się kończą. Baltazar czeka, aż wszyscy się rozejdą. Agata również nie odchodzi. Von Lest już chce do niej podejść, kiedy pojawia się pastor. Daje znak kobiecie, a potem zarządcy, by się do niego zbliżyli.

– Prosiłem Macieja, a on, po wielu moich namowach, się zgodził, by jego żona dalej wam gotowała i prowadziła gospodarstwo – informuje z miną pełną łaskawości. – Po kolacji ma wracać do swojej chałupy. Macie jej płacić jak przedtem i jedzeniem dla małżonka dodatkowo wynagradzać.

Baltazar nie może wydusić słowa. Twarz Agaty ma barwę podobną do koloru ubrania. Czarnosine plamy szpecą jej policzki i okolice oczu, a nawet zachodzą na szyję. Nie patrzy na niego. Z kamienną twarzą i spuszczonej powiekami słucha pastora.

– Dobrze. – Von Lest jest w stanie powiedzieć tylko tyle. Skłania głowę na pożegnanie i odchodzi w kierunku dworu. Kilka kroków za nim drepce kucharka. Pastor patrzy za obojgiem, starając się odegnać podejrzenie, jakie wzbudziła w nim reakcja zarządcy na widok twarzy Agaty. Czy jest coś między nimi? Nie dostrzegł nigdy dowodów zepsucia w tej kobiecie, lecz może źle patrzył. Czy niewiasta, która tyle lat żyła bez męża, potrafiła stłumić pożądlivość? Jak mógł nie dostrzec niestosowności tego układu? Dobrze, że Maciej wrócił, a jemu, pastorowi, udało się nakłonić tę kobietę do posłuszeństwa. Małżeństwo najlepiej chroni przed grzechem.

– Dlaczego to zrobiłaś? Czemu do niego poszłaś? Przecież powiedziałem, że jakoś to załatwię. Miałaś tylko czekać! – Gdyby nie to, że drzwi są zamknięte, krzyki Baltazara usłyszeli by ludzie pracujący w gospodarstwie. – Czemu nie odpowiadasz?

Ona stoi dokładnie tak samo jak przed kaplicą. Wyprostowana, z wzrokiem utkwionym w czubkach butów.

– Powiedz coś! – Baltazar chwyta ją za ramiona i potrząsa.

Agata podnosi głowę i patrzy mu prosto w oczy. Spojrzenie ma twarde i obce. Jakby nie była tą, którą zna.

– Co on ci zrobił?

Nic, ani słowa.

– Zabiję go!

– Nie. – Odpowiedź brzmi tak stanowczo, że von Lestowi nawet nie

przychodzi do głowy, by dyskutować. Pozbawiony nagle sił opada na ławę i ukrywa twarz w dłoniach.

Agata patrzy na niego i pierwszy raz, odkąd przed dziesięcioma laty ujrzała Baltazara, przychodzi jej do głowy, że jest stary. Stary i zmęczony. Poczucie winy zaczyna kruszyć ochronę, którą otrzymała od Wigi. Zaklęcia wypowiedziane przez zielarkę uczyniły ją mocną i nieczułą. Pomogły znieść ciosy, obelgi i gwałty. Teraz wszystko się sypie. Nie ma już na nic siły. Nogi omdlewają, kuchnia wiruje, zapada ciemność.

Budzi ją zapach winnego octu. Otwiera oczy. Leży na podłodze. Twarz Baltazara jest tuż nad nią. Widzi bladoniebieskie oczy, siwe, gęste brwi i wydatny nos. Podnosi rękę i dotyka kłującego zarostem policzka. Jest w tym geście czułość, a zarazem prośba o wybaczenie.

– Dlaczego?

– Bo to mój mąż. Takie jest prawo.

– Zapłacę mu. Niech da ci spokój.

– Nie. Zacznie coś podejrzewać, a wtedy przyjdzie po więcej.

– Tak nie może zostać. Trzeba coś zrobić – mówi von Lest, pomagając Agacie wstać. – Usiądź. Dam ci coś do picia.

Chłodne piwo ze spiżarni gasi pragnienie i pozwala uporządkować myśli.

– Powiedział, gdzie był tyle czasu?

– Zaciągnął się do wojska. Właściwie to sami go pijanego wzięli z jakiejś karczmy. Potem uciekł, ale wpadł w ręce innych żołnierzy. Przyniosło go z powrotem z Brandenburczykami. Nie przyznał się, że ma tu dom. Kiedy odchodzili, schował się w szopie owczarza.

– Dezerter? To może nam pomóc. – Baltazarowi wraca nadzieja. – Dam znać któremuś z brandenburskich oddziałów, że się u nas próbuje przechować.

– Nie chcę tak. Nie potrzebuję jego krzywdy.

– To co zrobimy?

– Na razie nic. Potem Wiga da mi zioła, które go osłabiają. Przynajmniej

w łóżku da mi spokój.

– Czemu nie teraz?

Agata nie odpowiada. Waha się. Spogląda na Baltazara, jakby coś kalkulowała.

– Nie teraz. Po prostu – odpowiada, patrząc gdzieś w bok.

Von Lesta ogarnia gniew.

– Podoba ci się z młodszym w łóżku!

Poruszona zarzutem kobieta pochyla głowę.

– Dlaczego nic nie mówisz?

– Po co gadać po próżnicy. Czas gotować obiad. Tylko patrzeć, jak będzie południe. – Mówiąc to, Agata wstaje i obraca się w stronę pieca.

– Czeka! – Baltazar łapie ją za ramię. – Najpierw powiedz, o co chodzi, bo inaczej zaraz pójdę do twojego męża i go zabiję.

– Nie możesz tego zrobić.

– Dlaczego?

– Bo chcę, by nasze dziecko miało prawe pochodzenie.



Słowa Agaty wymiotły z głowy Baltazara wszystkie dotychczasowe problemy. Jak zwykle wstaje o świcie i przez cały dzień robi to, co do niego należy, lecz myśli tylko o jednym. Czyni sobie wyrzuty, że zachował się jak nieroztropny młokos. Zastanawia się nad innym wyjściem niż to, które znalazła Agata. Cierpi, wyobrażając sobie dziecko rosnące przy niby-ojcu, brutalu i pijaku, krzywdzone i upodabniające się do niego. Rozważa wspólny wyjazd na Śląsk do miejsca, w którym nie był od kilku dziesięcioleci. Ma tam ziemię wydzierżawioną teraz krewnemu. Dom nie został odbudowany, ale nie potrzebują wygod. Na początek wystarczy byle jaka chałupa. Cokolwiek przychodzi mu do głowy, zawsze kończy się tak samo. Myśl, że jest stary i niczego już nie zdoła. Nie ma prawa ciągnąć kobiety na niepewny los, w dodatku takiej, która nie jest

jego żoną. Gdziekolwiek pójdą, zostaną potępieni, oskarżeni o cudzołóstwo i w najlepszym wypadku wygnani. A co się stanie z Agatą i dzieckiem, jeśli spotka go coś złego?

Kiedy pastor na codziennych nabożeństwach nawołuje do wstrzemięźliwości, modlitwy i jałmużny, bo inaczej wiernych spotka kara, Baltazar czuje, że ich oboje już ona dotknęła. Zgrzeszyli, dlatego muszą cierpieć.

Agata przychodzi codziennie. Przyrządza postne posiłki, pierze, sprząta, robi sery i masło, pracuje w warzywniku, smaży konfitury. Dzień wypełniony pracą zaczyna od nabożeństwa i tak samo kończy. Ludzie, z którymi się styka, traktują ją z szacunkiem. Wróciła do męża, chociaż nic niewart, z pokorą znosi jego gwałtowny charakter, jest cicha, skromna i pracowita. Jeśli nadejdzie czas kary, nikt nie pomyśli nawet, że stało się to za sprawą Agaty.

Co innego Wiga. Jak dotąd nie pokazała się w kaplicy. Do garnka też trudno jej zajrzeć, bo nikt nie odważy się przestąpić progu chałupy zabezpieczonej zaklęciami. Jeśli co złego spotka poddanych Unruga, bez wątplenia winna będzie wiedźma mieszkająca na skraju lasu. „Wiedźma” – tak właśnie teraz o niej mówią. Nie wołają jej do chorych ani do porodów. I co? Od dwudziestu dni nikt nie umarł i jeszcze troje zdrowych dzieci przyszło na świat. Widać Bóg błogosławi tym, którzy zdają się wyłącznie na jego łaskę.

Dwadzieścia dni, tyle już trwa post i wystrzeganie się wszystkiego, co przyjemne. Ciężko tak żyć, kiedy śmiech może być poczytany za występki, a głód dokucza od rana do wieczora. A spojrzenia? One są chyba najgorsze. Śledzą nieustannie, czy nie robisz czegoś grzesznego. W końcu nie wiesz, czy idziesz do kaplicy na modlitwę albo dajesz żebrakowi jałmużnę z potrzeby serca, czy ze strachu, by cię ktoś nie osądził. Niejeden ma już dość i chciałby, żeby się to skończyło. Rośnie napięcie, a kresu umartwiania nie widać.

Schilberg też udęczonej. Czuje się odpowiedzialny przed Bogiem, ale wierni również nie są mu obojętni. Widzi zaszępienie i zmęczenie.

W spojrzeniach dostrzega pytanie: „Jak długo jeszcze?”. No właśnie. Jak długo? Czy nie postąpił pochopnie? Zaraza nie przyszła, może więc wszystko odwołać? „Co robić, żeby mnie potem nie obwiniali?” – pyta sam siebie. Chciałby o tym porozmawiać z zarządcą, ale ten chodzi jak struty i na pewno niczego mądrego nie doradzi.

Każdy na coś czeka. Musi się przecież wydarzyć coś, co przerwie uciążliwe trwanie w pogotowiu.



Wiga, choć przyzwyczajona do samotności, odczuwa już brak kontaktu z ludźmi. Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz widziała się z Agatą. Ani z Karge, ani z Unruhstadt nikt jej nie potrzebował. Dwa razy przyjechali po nią wozem katolicy z Chwalimia. Dzieci i bez niej przyszłyby na świat, ale młode kobiety bały się pierwszego porodu, a miejscowa baba sama była chora, więc zawołali Wigę. Raz, kiedy zbierała mech na torfowiskach nad jeziorem, pomogła dziecku z tamtejszego folwarku, które czymś się zatręło. Poza tym nic. Zielarka nadal wierzy, że będzie w końcu potrzebna, mimo to niepokój narasta. Zbyt wiele pytań nagromadziło się w jej głowie, by dała radę dalej czekać.

– Agata! – Szept docierający zza krzaków zwraca uwagę kucharki wylewającej brudną wodę. Rozgląda się, próbując dostrzec tego, kto wypowiedział jej imię. Rozpoznaje w końcu ciemną sylwetkę kryjącą się w gęstwinie.

– Wiga? – dziwi się. – Czemu się chowasz? Chodź tu do mnie.

– Myślałam, że nie wolno mi się pokazywać – tłumaczy się kobieta wyłaniająca się spomiędzy krzewów.

– Śmierdzisz dziegiem! Niedobrze mi. Stań dalej.

– Musiałam się posmarować, boby mnie komary na torfowiskach zżarły – usprawiedliwia się zawstydzona Wiga. – A twoje dziecko, jak widzę, rośnie.

Talia Agaty rzeczywiście trochę się poszerzyła, choć ona sama wygląda

mizernie.

– Powiedziałaś Maciejowi?

– Tydzień temu. Że nie wiem, może... Tak jak kazałaś.

– I co?

– Chyba się cieszy. Już mnie nie bije, ale większej ochoty na mnie nabrał. Nie wiem, jak długo to wytrzymam.

– Przyniosłam ci zioła. – Wiga wyciąga zza pasa pękaty woreczek. – Dodawaj mu po szczypcie do jedzenia. Parzyć też możesz, a potem mu wlewaj po trochu do piwa.

– I nie będzie mnie już chciał? – pyta Agata z nadzieją.

– Nie tak od razu, ale zrobi się senny. A co na to von Lest?

– Żal na niego patrzeć, taki zmartwiony. Wiesz, Wigo, kiedy myślę o tym wszystkim, żałuję, że cię wtedy poprosiłam o zioła na miłość. Lepiej by bez niej było nam obojgu. Chwilę się sobą pocieszyliśmy, a teraz sama zgryzota.

– Nikt nie wie, co niesie przyszłość. Może jeszcze się wszystko na dobre obróci. Dziecko będziesz miała i radość z niego – pociesza Wiga.

– Czy zdążę się nim nacieszyć? Czy dożyję chwili, kiedy je zobaczę? – Agata stawia puste wiadro na ziemi i wyciera łzy. – Mówią, że morowe powietrze coraz bliżej. Pastor kazał pościć, modlić się i dwa razy dziennie na nabożeństwa przychodzić. Boję się, Wigo. Co będzie, jak do nas dojdzie?

– Nie wiem. Byłam dzieckiem, kiedy złe powietrze spadło na Grünwald, Kolzig i całą okolicę. Ludzie marli jak muchy. Nikt nie wiedział, jak się przed tym bronić.

– Słyszałam, że kąpać się nie wolno. Brud lepszy, bo broni skóry i zaraza nie będzie miała jak wejść przez otwory do ciała.

– Gdyby tak było, to mnie nic nie grozi – cieszy się Wiga. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się myłam. A teraz sama widzisz. – Pokazuje palcem na posmarowane dziegiem policzki. – Nawet na gębie mam to mazidło.

– Baltazar mówił, że kiedy był na wojnie, dwa razy czarną śmierć spotkał. Raz nawet mała ducha nie wyzionął. Pamięta, że medycy kazali maczać szmaty w occie, usta i nos zakrywać. Jak ktoś umarł, to go na wóz wrzucali i razem z innymi w jednym dole chowali, a jego dom okadzali szałwią.

– To i ja wiem. Do dziś mam w głowie wózki pełne trupów.

– Myślisz, że nas też tak wywiozą i wrzucą do dołu? – Agata blednie.

– Każdego kiedyś wywiozą – wzdycha zielarka. – Zanim ze mną to zrobią, chciałabym choć raz Rozalkę zobaczyć i dowiedzieć się, co się stało z Dorotką.

Jeszcze nie ma upału. Rosa wciąż moczy trawy, a w gąszczu drzew śpiewają ptaki. Powietrze, czyste i świeże, nie ma w sobie zapowiedzi śmierci. Mimo to milczą struchlałe od czarnych myśli.

– Wszyscy we wsi zdrowi? Nikt nie umarł? – Wiga przerywa ciszę tylko dla niej zrozumiałymi pytaniami.

– Nie wiem. Chyba zdrowi.

– A we wsi mogę się pokazywać?

– Nie za często. Baltazar nie pozwoli ci skrzywdzić, ale lepiej się ludziom nie pchaj na oczy. Kiedyś będzie jak dawniej. – Agata pociesza zasmuconą Wigę. – Trzeba tylko tę zarazę przetrzymać. Niedługo żniwa. Pani Barbara obiecała przywieźć Rozalkę. Zdążysz ją zobaczyć, zanim przyjdzie morowe powietrze.



Tuż przed żniwami w Karge pojawił się żebrak, który przyszedł od strony Babimostu. Zanim go wygnano, zdążył zawołać, że czarna śmierć jest blisko. Teraz już nikt obcy nie znajdzie tu schronienia, nie ugasi pragnienia ani nie posili się ułomkiem chleba. Prędzej zostanie poszczuty psami lub poczuje uderzenie kamienia na plecach.

Wieść sprawia, że modlitwy znowu stają się gorliwe, a spojrzenia

śledzące sąsiadów bardziej uważne. Wszystko na nic. Nie wiedzą, że zaraza już przyszła.

– Katarzyna, żona rzeźnika z Unruhstadt, jest chora. Żywy ogień ją w środku pali! – Wiadomość niesie się lotem błyskawicy. Są jeszcze wątpliwości i pytania: – Może to zwyczajna gorączka albo na słońcu była za długo?

– To nie od słońca – odpowiadają ci, co już wiedzą. – Krwią rzyga i coś jakby jaja rośnie jej pod pachami.

To ucina wszelkie wahania. Każdy, kto słyszał o czarnej śmierci, wie, jak ją rozpoznać. Nagle czyste powietrze, którym oddychają, staje się śmiertelnośnym oparem, a sąsiad, brat albo matka zagrożeniem.

Następnego dnia chorzy są rzeźnik, jego ojciec, najstarszy syn i dwuletnia dziewczynka. Burmistrz Unruhstadt nakazuje zamknąć dom rodziny dotkniętej zarazą, a drzwi oznaczyć wapnem. Zarówno w miasteczku, jak i przylegających do niego częściach Karge do przestrzegania porządku zostają ustanowione straże. Von Lest jako zarządca posiadłości Karge oraz burmistrz uzgadniają wszystkie rozporządzenia. W końcu miejscowości są prawie jednym organizmem.

Z każdą godziną przybywa drzwi z białym krzyżem. Nie ma zmiłowania dla nieszczęśników zamkniętych w czterech ścianach, a ratunek mogą sobie jedynie wymodlić. Trochę pożywienia i czystą wodę znajdują codziennie pod drzwiami. To wszystko, co można dla nich uczynić. Na podstępłą chorobę nie ma lekarstwa.

Pewnej nocy drzwi domu rzeźnika się otworzyły. Ślaniający się na nogach mężczyzna, tak jak nakazano, wyniósł na drogę ciała dwuletniej córeczki i żony, a potem położył się obok nich w piasku, błagając o śmierć. O świcie zjawili się dwaj mężczyźni z twarzami owiniętymi szmatami nasączonymi octem. Kazali mu wstać i wracać do domu. Nie chciał, więc obili go kijami i siłą wepchnęli do sieni. Dziewczynkę i jej matkę wrzucili na dwukołowy wózek i powieźli do dołu za miastem. Tego samego ranka znaleźli jeszcze dwa ciała. Umarli młynarz i żona jednego z rolników.

Trwają żniwa, nie ma więc możliwości zupełnego odizolowania się od innych. Trzeba zebrać z pola każdy kłos, żeby zimą głód nie zabił tych, co przetrwają zarazę. Codziennie kogoś ubywa. Ze zgrozą przekazywane są wiadomości o kolejnych domach naznaczonych wapnem i ciałach na drodze. Zapomniano już, że były niegdyś letnie wieczory pełne zapachu kwiatów i ziół, wypełnione muzyką dobiegającą z karczmy i śpiewem dziewcząt. Teraz ludzie siebie unikają. Jeśli mogą, siedzą w domach, starając się nie wdychać powietrza, które zabija. Tam, gdzie nie ma już nikogo, okadza się chaty i pali wszystkie rzeczy należące do zmarłych.

Zboża, liche tego roku, udało się w końcu zebrać. Uprzątnięto nawet pola tych dzierzawców, których zabrała czarna śmierć. Trudno jednak odetchnąć z ulgą. Zaraza trwa i śmierć nadal kosi ludzi. Rzeźnik przeżył. Z całej rodziny on jeden ocalał, lecz kiedy wyniósł z chaty ostatnie ciało, zaczepił sznur na haku i się powiesił.

Baltazar nie może spać ze zmartwienia. Wstaje od razu, jak tylko ujrzy niebo jaśniejące na wschodzie. Z chałupników pracujących w gospodarstwie zdrowych jest tylko pięciu. To za mało, by podołać wszystkim obowiązkom, dlatego zarządca zakasał rękawy i trudzi się jak zwykły chłop. Pomaga mu obecność przychodzącej co rano Agaty. Kucharka doi krowy, wypędza je na pastwisko, dogląda wołów, koni i drobiu. Ona z Baltazarem jedzą byle co, byle szybko wrócić do pilniejszych zajęć. Jaja, sery, warzywa i owoce rozdawane są ludziom, a wracając wieczorem do siebie, Agata zostawia żywność na progu naznaczonych domów. Potem ucieka czym prędzej, by nie słyszeć błagań, krzyku cierpienia chorych i rozdzierającego łkania tych, co zostali sami.

Tego ranka, kiedy nie pojawił się pastor Schilberg, by odprawić nabożeństwo, skończył się wszelki porządek. Wierni zrozumieli, że Bóg ich opuścił. Garstka tych, co stawiali się dotąd na każdą wspólną modlitwę, wróciła do domów w poczuciu zupełnego rozbicia.

Jeszcze tego samego dnia szewc porzucił żonę i dzieci i przeniósł się do wdowy, z którą od dawna potajemnie się spotykał. Po zachodzie słońca Maciej z dwoma kompanami włamał się do karczmy. Karczmarz został

pobity niemal na śmierć, a jego żona zgwałcona. Ktoś podpalił stogi z sianem na dworskich łąkach. Zanim noc zapadła na dobre, poszły z dymem szopy dla owiec. Do łóżka, w którym spała Brodowa z córkami, zbliżył się potężny mężczyzna, a ona pierwszy raz, odkąd utopiła się jej starsza córka, zrobiła mu miejsce obok swoich dzieci. Sama, jak kiedyś, przeniosła się na ławę i odwróciła twarzą do ściany.

Agata nie śpi. Nie wie, co zrobił Maciej. Dawniej od razu ktoś przybiegłby z wieściami, teraz jest inaczej. Noc to już nie tylko pora demonów. To czas otwierania naznaczonych drzwi i wynoszenia na drogę umarłych. Choćby nie wiadomo co się działo, nikt za próg swego domu nie wyjrzy. Chyba że nie boi się już niczego.

Kobieta jest zmęczona całodzienną pracą, mimo to krąży po izbie. Łojowa świeca daje mało światła, a cuchnący dym szczypie w oczy. Lecz Agata tego nie zauważa. Podjęła decyzję. Kiedy tylko wzejdzie słońce, wyjdzie stąd na zawsze. Tyle życia, ile jej jeszcze zostało, spędzi z Baltazarem. Już się nie boi ludzkich języków i bożego gniewu. Chce zasypiać z tym, którego kocha.

Rumor, z jakim otwierają się drzwi, nie zwiastuje niczego dobrego. Maciej dawno nie był taki pijany. Coś gniewnie bełkoce. Idzie do niej z pięściami, mimo że ledwo trzyma się na nogach. Agata wie jedno. Nie pozwoli uderzyć się w brzuch.

Oczekiwany cios nie pada. Pijak wali się na podłogę, przewracając przy okazji zydel. Śpi. Nie! Oczy ma wpółotwarte. Kobieta pochyła się nad mężem. Obrzękłą twarz pokrywa pot, a czoło jest gorące.

Agata traci siły i opada na kolana. Już wie, że nigdzie nie pójdzie. Mija pokusa, by szybko stąd uciec i zostawić chorego Macieja. Przecież oddycha tym samym co on powietrzem. Musi tu zostać. Nie zanieśie Baltazarowi śmierci.



Wiga jest sama.

Bez Rozalki i bez kota.

Kozy się nie liczą.

Od rana znosiła chrust z lasu. Musi chodzić coraz dalej. Bolą ją nogi, dlatego, choć słońce jeszcze wysoko, siedzi beczynn timer na kłodzie przed chałupą i rozmyśla. A myśleć ma o czym. Najpierw o Rozali. Czy jej dobrze i czy tamci ludzie mają dość rozumu, żeby teraz dziewczyny nie przywozić. „A co, jeśli i w Zulich jest morowe powietrze? Przecież oni wszyscy mogą już nie żyć!” – Trwoga ściska serce babki.

Zaraz potem w głowie pojawia się kłusownik. Musiała coś zrobić nie tak, jak trzeba. Pomyliła zaklęcie albo to, co zakopała pod progiem jego domu, straciło moc. A może chroni go coś silniejszego? Coś lub ktoś, kto panuje nad wszystkim, co złe? Nawet w myślach boi się wymówić jego imię. Jeśli tak, nic jej nie obroni, tak jak nic nie uratuje ludzi ze wsi. Cokolwiek by zrobili przeciwko zarazie, przeznaczenie musi się wypełnić.

Tylko Agaty byłoby żal.

Dość siedzenia. Wiga znowu przewiązuje płachtę i rusza do lasu, a myśli idą za nią.

Tym razem są o dziewczynach, które przyszły w dniu, kiedy spadła z drabiny. Powiedziały, że ma wracać do Grünwaldu i zająć się chorym ojcem. Tak kazała zrobić ciotka Anna. Pierwszy raz w życiu nie posłuchała Anny Villborn. Odpowiedziała, że nic nie jest temu człowiekowi winna. Przeciwnie, życzy mu jak najgorszej śmierci. Dziewczęta odeszły, niosąc te słowa Annie, a ona została ze wspomnieniami.

Nogi są dzisiaj jakieś ciężkie. Nie słuchają głowy. Tak trudno dojść do lasu pachnącego żywicą i schronić się przed upałem.

Ktoś wypatrzył garbatą sylwetkę. Wiga słyszy tętent za plecami. Zatrzymuje się i czeka na jeźdźca. Obraca się w jego stronę owiana zapachem końskiego potu.

– Agata – mówi. To nie jest pytanie. Ona wie. Inaczej Baltazara by tu nie było.

- Pomóż.
- Nie potrafię.
- Spróbuj. Błagam.
- Gdzie ona jest?
- Z Maciejem. Zamknięta. Nawet nie wiem, kto pierwszy zachorował.
- Przyjdę wieczorem.

Wiga o czarnej śmierci wie tyle, co wszyscy. Obiecała Baltazarowi, że przyjdzie, a nie, że pomoże. Weźmie ze sobą zioła na gorączkę i ból oraz maść na ropiejące rany. Czy wygrają z chorobą? Nie ma pojęcia.

Słońce schowało się już za pustym pałacem. O takiej porze, pod koniec upalnego dnia, wieś zawsze ożywała. Ktoś szedł do karczmy, kobiety stały albo siedziały na ławeczkach przed chałupami i omawiały wydarzenia dnia, gęsi podnosiły krzyk, bo nie podobało się im zapędzanie do kurnika na noc, psy szukały resztek, dzieciarnia biegła na płycizny nad rzeką, by się popluskać, a nieco starsi, by nastawić pułapki na raki.

Dzisiaj wieś jest prawie wymarła. Można dostrzec krzątających się ludzi, ale nikt nie rozmawia. Spuszczone głowy, ukradkowe, podejrzliwe spojrzenia i drzwi naznaczone wapnem. One przygnębiają najbardziej.

Zielarka idzie najpierw do Baltazara. Znajduje go przy wieczornym obrządku. Zakurzony, umorusany jak pierwszy lepszy chłop, goni woły do koryta przy studni.

– Zaczekam u was, aż się ściemni. Potem do niej pójde. Powiedzcie, co jest jeszcze do zrobienia, to pomogę.

– Tylko jedną kobietę mam do dojenia. Nie daje rady.

– Mogę doić.

Nie wiadomo, co oznacza skiniecie głową przez zarządcę. Zgodę, podziękowanie czy że wszystko mu jedno. Wiga nie zamierza dochodzić. Idzie po cebrzyk i rusza do krów.

Przed drzwiami Agaty zatrzymuje się w porze, gdy mrok staje się nocą. Stawia na progu kosz z żywnością, a w ręce ściska woreczki z ziołami i garnczek z maścią.

– Agata! – woła. – Otwórz! Jedzenie wam przyniosłam.

Cisza. Nic. Żadnego ruchu, jakby tam już nie było nikogo żywego. Dreszcz przebiega przez ciało Wigi.

– Agata!

Dalej cisza.

– Agata! – Dłoń zaciśnięta w pięść wali w drzwi.

– Odejdź.

Czy to był szept, czy tylko Widge się zdawało, że usłyszała głos Agaty? Najpierw przyklada ucho do drzwi, a potem mówi półgłosem, dotykając ustami szorstkich desek:

– Otwórz. Mam zioła na gorączkę.

– Zostaw na progu.

– Muszę ci pokazać. Wy tłumaczyć, co i kiedy macie pić.

– Zostaw. Powiedz teraz, przez drzwi.

– Dobrze – zgadza się Wiga, przeczuwając, że Agata nie ustąpi. – Zaraz ci wszystko wyłożę, co i jak. Najpierw chcę wiedzieć, kto jest chory.

– Maciej. Krwią pod siebie robi i guzy ma niedaleko przyrodzenia.

– A ty?

– Nie wiem. Trzęsie mnie.

– Pijcie zioła na gorączkę, te, co pachną kwiatami czarnego bzu. Są jeszcze dwa inne woreczki i maść... – Wiga długo tłumaczy Agacie, jak ma postępować. Czuje jednak ulgę, że chora nie widzi jej twarzy. Nie słyszała bowiem dotąd, by zioła wyleczyły kogoś z czarnej śmierci. –

Przyjdę jutro – szepcze w drzwi na pożegnanie. – Niech Pan ma cię w swojej opiece.

Wraca do domu prowadzona światłem księżyca. W głowie ma tylko jedną myśl. Dopóki żyje Agata, nie jest całkiem sama.

Bez Agaty będzie sama do ostatka.



Odkąd Agata zamknęła drzwi, przed każdym świtem w pobliże chałupy Macieja przychodzi Baltazar. Zaraz potem pojawia się dwukołowy wózek bez tylnej burty ciągnięty przez kasztanowatą klacz i dwaj mężczyźni zbierający ciała. Mają coraz mniej pracy. Zaraza wciąż jest obecna, ale traci już moc.

Dzisiaj wrzucili na wóz Macieja i powieźli go do dołu, lecz drzwi jego domu oznaczone wapnem są nadal zamknięte.

Tymczasem Wiga i Baltazar, każde z osobna, próbują się dowiedzieć, co dzieje się wewnątrz chaty. Godziny mijają. Żywność zostawiona na progu wciąż tam jest.

Nadchodzi noc. Wiga o czymś szepcze z Baltazarem, a potem garbata sylwetka zbliża się do pobielonych drzwi. Ciche wołanie pozostaje bez odzewu. Zielarka nie rezygnuje. Pcha z całą mocą i... wpada do sieni.

Smród panujący w chacie obezwładnia, zatyka, podnosi do gardła całe jedzenie i mimo woli napełnia płuca. Wiga się cofa. Wymiotuje za progiem i wraca. Wewnątrz jest ciemno. Kobieta czeka, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Agata leży obok łóżka. Żyje, lecz gorączka pozbawiła ją przytomności. Koszula jest mokra od potu, brudna od krwi, odchodów i wymiocin. Niczego więcej nie da się zobaczyć, a świecy Wiga nie chce zapalać, bo światło mogłoby zwabić strażę.

Niełatwo ciągnąć bezwładne ciało. Jeszcze trudniej, kiedy się jest niemłodą garbatą kobietą i myśli się, że oddychanie, dotykanie, płamienie dłoni ropą ciekącą z otwartych guzów to zgoda na śmierć.

Nareszcie! Agata oparta o ścianę chaty przytomnieje.

– Odejdź – chrypi na widok pochylonej nad nią Wigi.

– Spróbuj wstać.

– Nie dam rady.

– Pomóż mi. Wstawaj. – Wiga usiłuje podnieść Agatę, ale jedyną reakcją jest bolesny jęk.

Zielarka w poczuciu kompletnej bezsilności siada obok chorej i pochyła głowę. Miała nadzieję, że wystarczy ją prowadzić, a okazuje się, że Agata

nie jest w stanie zrobić kroku.

– Podeprzyj ją z drugiej strony – słyszy.

– Nie mieliście za mną przychodzić. – Wiga jest zagniewana. – Zarazicie się i umrzecie, wtedy ona i tak nie będzie chciała żyć.

– Jeśli ona umrze, ja też nie będę miał po co żyć.

Baltazar stawia Agatę na nogi i zarzuca sobie jej rękę na ramiona. Wiga robi to samo z drugiej strony. Wloką ją, niosą, czasem podpierają, kiedy stara się zrobić kilka kroków.

– To tutaj – mówi Wiga. – Połóżmy ją.

Są dokładnie w tym samym miejscu, do którego zielarka przyszła kilka tygodni temu, by kopać ciemną nocą. Krzew czarnego bzu rosnący wśród dołów po glinie jest wysoki i bujny. Razem z Baltazarem układają pod nim Agatę, a ramiona chorej zamykają wokół chropawego pnia.

– Co teraz? – pyta szeptem Baltazar.

– Trzeba czekać.

– Na co?

– Na zlitowanie mieszkających tu duchów. Ciotka, co ziół mnie uczyła, opowiadała, że kiedyś, w czasach dawnych bogów, niosło się śmiertelnie chorych i układało pod czarnym bzem. Jeśli duchy były przychylne, Matka Ziemia zabierała chorobę, a bez dawał moc duszy i ciała.

– Robiłaś to już kiedyś? Uratowałaś kogoś w ten sposób?

– Nie próbowałam. Źle by się dla mnie skończyło, gdyby się rozniosło, że się układam ze starymi bogami.

– Jak długo trzeba czekać?

– Nie wiem. Poczekamy, aż ozdowieje albo umrze.

Czekają w ciszy. Niepiśmienna baba i szlachcic, co w młodości słuchał wykładów na dwóch uniwersytetach, siedzą obok siebie na gołej ziemi, równi sobie w trwodze i nadziei.

Mijają godziny.

Wiga pierwsza dostrzega drzenie pleców Agaty. Zaraz potem słyszy

szept:

– Zimno...

Dotyka ubrudzonego ziemią policzka.

– Gorąco minęło – oznajmia. – Musimy położyć ją w łóżku i ogrzać.

– Wyzdrowiała?

Nadzieja w głosie Baltazara jest zbyt wielka.

– Nie wiem. To się zobaczy. Teraz trzeba jej ciepła.

O świcie w tym miejscu nie ma nikogo, a do dworu blisko. Wloką ją więc przez podwórze i kładą w dawnej izbie Jakuba. Baltazar idzie do codziennych zajęć, a Wiga myje i przebiera chorą. Przykrywa ją potem pierzyną i poi ziołami. Agata zasypia, a zielarka wraca do siebie obrządzić kozy.

Jeszcze przez kilka dni na progu Maciejowej chałupy stawiane jest jedzenie. W nocy znika, i tak w kółko. Gdyby nie to, mężczyźni zbierający ciała weszliby do środka, by zabrać trupa. Wtedy wszystko by się wydało.

Jako ostatni w dole znalazł się pastor Schilberg. Potem już nikt od zarazy nie umarł. Z chałup, niczym Łazarze, wychodzili ozdrowieńcy, toteż nikogo nie zdziwił widok bladej i wycieńczonej Agaty wynoszącej z chaty cały dobytek. Tam, gdzie ktoś chorował, wszystko musiało być spalone. Żona Macieja podłożyła ogień pod drewnianymi meblami, beczkami, miotłami i skrzynią. Jej dawne życie zamieniało się w popiół. Mogłaby niczego nie żałować, otrząsnąć się i myśleć o przyszłości, ale czuła tylko smutek, bo nie miała już dziecka.



Brakuje czasu na żałobę i pytania, dlaczego mnie los bardziej dotknął od innych i za czyją sprawą tak straszne cierpienie spotkało poddanych Unruqa. Jesień puka do drzwi. Trzeba się spieszyć, bo nie wiadomo, czy zaraza była ostatnim przejawem bożego gniewu.

Każdy skrzętnie gromadzi zapasy żywności i opału. Nie ma chwili na odpoczynek. Krótkie wytchnienie daje nabożeństwo odprawiane przez pastora przyjeżdżającego co drugą niedzielę z Gross Schmöllen. Po nim posiłek i do pracy. Mało kto dzień święty święci, kiedy lodowaty wiatr już we wrześnie niesie zapowiedź zimy.

Wiga nie chorowała. Nie traciła czasu, mimo to dalej ściąga opał do drewnutni, żołądzie na biedę, siano, trzcinę, a nawet brzoźowe gałązki dla kóz. Kiedy tylko opadną liście, będzie nimi ocieplać chatę. Szczytowe ściany są zabezpieczone, bo z jednej strony dostawiono drewnutnię, a z drugiej jest składzik na siano. Przy długich ścianach staną zagaty^[34]. Właśnie bada ich stan i głośno wzdycha. Nie ma kogo poprosić o naprawienie rozpadających się ze starości desek. Dobrze byłoby, żeby Adam tu zajrzał. On na pewno by nie odmówił pomocy.

– Babko!

Dłoń wędruje do ust ze wzruszenia.

Oświetlona blaskiem zachodzącego słońca stoi przed nią Rozala. Zaraz jednak pada na kolana, bo tak kazała pani Barbara. Twarz dziewczynki wtula się w starą, połataną spódnicę, a płacz wstrząsa drobnym ciałem.

– Co ci, dziecko? Czemu płaczesz? – pyta babka, sama ze łzami w oczach.

– Mówili, że tu wszyscy umarli. Myślałam, że was, babko, już nigdy nie zobaczę. – Rozala szłocha z głową ukrytą w burych fałdach.

– Wstań. Ubrudzisz się. – Wiga pomaga wnuczce się podnieść i patrzy na odmienioną. Zielony kubraczek, brązowa spódnica i czarne trzewiki. Wszystko, choć nienowe, a może nawet przerabiane, jest w daleko lepszym stanie niż to, co nosiła, zanim wyjechała do miasta. – Panienska z ciebie. Widać, że źle nie masz – z uznaniem komentuje wygląd wnuczki. – Pewnie głodna jesteś. Chodź do chaty. Akurat kaszę na wieczór wstawiłam. Zjemy sobie z mlekiem.

– Pani Agata już mnie nakarmiła. Posiedźmy na kłodzie – prosi Rozala. – Tak tu ładnie. I powietrze lasem pachnie.

– Byłaś we dworze?

– Pewnie. Przecież stamtąd przyszłam. Pan Tytus mnie przywiózł, a później poszedł szukać pana Baltazara – wyjaśnia dziewczyna, siadając na przewalonym pniu obok babki. – Pani Agata akurat zmywała po obiedzie. Tylko trochę z nią pogadałam, bo do was mi było spieszno.

– Wypytywała cię, czy w kuchni u pani Barbary pomagasz?

– Wypytywała, ale ja wcale tam nie pomagam. Pani Barbara od gotowania i rządzenia ma Helgę, a do sprzątanía, prania i wszystkiego innego Gretę. Greta nie lubi Helgi i mnie, a Helga nie lubi nikogo, tylko panią Barbarę.

– Czemu one ciebie nie lubią?

– Mówią, że jestem strachem na wróble i że pani musi mnie ubierać jak człowieka, żebym w mieście ludzi nie straszyla.

– Co za głupstwa! Powiedz pani, że są dla ciebie niedobre. Niech na nie nakrzyczy.

– One mi nic nie robią, tylko tak gadają. Greta czasem mnie szczypie w nocy, ale ja ją także.

– Nie podoba mi się to. Niedobrze, jak w domu nie ma zgody. Powinnaś pani powiedzieć o wszystkim.

– Jak powiem, też nie będzie zgody. Dam radę, babko.

Babka z wnuczką nie mogą się nagadać jak nigdy dotąd. Wiga wypytuje o życie w Zulich, a Rozala jest ciekawa, co się zdarzyło w Karge od wiosny.

Na legowisku ze słomy przykrytej baraniami skórami rozmawiają dalej, tyle że szeptem. W końcu dziewczynka milknie. Wiga, do której sen jeszcze nie przychodzi, leży z otwartymi oczami. Wdychając nowy zapach wnuczki, stara się wyobrazić sobie miasto i życie Rozalki pod obcym dachem. Mimo smutku, jaki ją ogarnia na myśl o ponownym rozstaniu, czuje ulgę, że nie sprawdziło się żadne ze złych przewidywań. Wygląda na to, że wnuczce jest dobrze, a złośliwości ze strony służących nie dotyczą jej zbyt głęboko. Nagle w ciemnościach pada pytanie:

- Babko, co ja mam na plecach?
- Na plecach? O co ci chodzi?
- Pani Barbara kazała mi zmienić koszulę i jak to robiłam, powiedziała, że mam coś na plecach. Jakbym się kiedyś sparzyła.
- Nie sparzyłaś się. Taka się urodziłaś. Śpij.
- Widziałam to. Pani Barbara ma lustro.
- Lustro? Co to takiego?
- Taki jakby talerz, ale nie do jedzenia, a do patrzenia w niego. Jakbyście, babko, spojrzeli, to zobaczylibyście w nim siebie jak żywą.
- To czary jakieś. Ty lepiej w to nie patrz.
- A jak w wodę patrzycie, babko, i siebie widzicie, to też czary?
- Nie, to jest zwyczajne.
- To lustro też zwyczajne – mruczy dziewczynka, zasypiając.



Znowu idą razem. Babka i wnuczka. Wigę rozpiera duma. Najchętniej przeszłaby z Rozalą przez wieś tam i z powrotem. A gdyby miała makową spódnicę, toby ją dzisiaj włożyła. Albo jeszcze lepiej, żeby to Rozala miała ją na sobie i żeby makowy kolor kłuł w oczy obleczone w szarość plotkarki.

– W mieście różne spódnice noszą, nie tylko ciemne – odzywa się dziewczyna, jakby czytała w myślach babki. – Pani Barbara ma zieloną, szafranową, wrzosową i wiśniową. Tylko makowej nie ma.

– Kukłę wzięłaś? – pyta Wiga, ucinając wywody na temat kolorów spódnic.

– Wzięłam, babko.

– Tylko nie mów nikomu, że to Dorotka. Nie wiadomo, co mogą pomyśleć.

– Nie wiedzą, że to imię mojej mamy. Co mają myśleć?

– Trzeba być ostrożnym. Pani na pewno pozwoliła ci trzymać ją w domu?

– Pozwoliła, babko. Już wam mówiłam.

Są blisko dworskich zabudowań. Tu prawie nie widać skutków zarazy. Tylko zaniedbany park czeka na fachowca. I pałac jak zwykle pusty. Właściciel, Krzysztof Unrug, nie może na razie przysłać ogrodnika, bo przez Międzychód też przeszła czarna śmierć i brakuje rąk do pracy. W Wielkopolsce są miejsca, gdzie umarła połowa mieszkańców, a ci, co pokonali chorobę, nie zawsze nadają się do ciężkiej roboty. Unrug pisał, że już rozesłał ludzi, żeby sprowadzili osadników, ale można się ich spodziewać dopiero wiosną.

We dworze zarazę najbardziej widać po Agacie. Zbyt ciasny niegdyś granatowy gorsecik teraz zebrany po bokach, a spódnica wisi, jakby bioder wcale nie było. Twarz kucharki też nie ta sama. Nie chodzi nawet o to, że skóra na niej obwisła. Brakuje uśmiechu i pogody w oczach. Agata jest poważna i jakby zapadnięta do środka. Wciąż o czymś zapomina, zamyśla się albo siada na ławie, mimo że ma coś pilnego do zrobienia.

Właśnie przed chwilą podała śniadanie zarządcy i panu Tytusowi. Jedzą w świetlicy, a ona utkwiała wzrok w rosnącym w misie drożdżowym cieście. Dopiero kroki w sieni budzą ją z letargu. Szybko przykrywa ciasto, żeby go przeciąg nie zepsuł, i obraca się w stronę drzwi.

– Wiedziałam, że przyjdziecie, ale jesteście za wcześnie. – Delikatny uśmiech pojawia się na smutnym dotąd obliczu. – Chciałam upiec kołacz na drogę. Właśnie czekam, aż urośnie. Trochę to potrwa.

– Pan Tytus powiedział, że ruszamy zaraz po śniadaniu – tłumaczy Rozala.

– Tak? – Agata się zastanawia. – Rzeczywiście, teraz sobie przypominam. Trudno, dostaniecie na drogę co innego, a ciasto będzie dla nas.

– Pani Agato...

- Czego ci trzeba, Rozalko?
- Wiecie może, co z Jakubem?
- Jakby mu się co stało, na pewno pan Unrug by napisał. W liście nic o nim nie było, to chyba zdrowy.
- A pan Albert? Wydobrzeł?
- Nie, dziecko. Chorował i chorował, a w końcu umarł nie na to, co mu dokuczało. Czarna śmierć raz-dwa się z nim uwinęła. O kogo chcesz jeszcze zapytać?
- O pastorze Schilbergu wiem, o rzeźniku i waszym mężu też. – Dziewczyna się zastanawia. – Babko, o kocie zapomniałam! Gdzie on?
- Zdechło mu się. Stary był przecież.
- Szkoda. Lubiłam, jak za nami chodził.
- Milkną, jakby kocia śmierć warta była chwili zamyślenia.
- Babko, mogę pójść do parku? – Rozala przerywa ciszę.
- Idź, ale bądź blisko, żeby nie trzeba było cię szukać.
- Nie lubi siedzieć w zamknięciu. – Wiga wyjaśnia Agacie prośbę wnuczki. – Mówi, że tu inne powietrze i lepiej się oddycha. Skarzyła się, że w mieście stale śmierdzi. Opowiadała, że jak w Zulich usłyszeli, że zaraza blisko, od razu burmistrz kazał czyścić śmietniki i zwierzęce gnoje. Kiedy ruszyli to wszystko i zaczęli wywozić za mury, taki smród się zrobił, że nie mieli czym oddychać. A przed muchami, szczurami i myszami nie było gdzie się schować.
- To może chce do nas wrócić?
- Gdzie tam. Ta kobieta ją uczy czytania i pisania. A kiedy zobaczyła, jak Rozala jej kosztywał^[35] narysowała, to powiedziała, że jak żywy – chwali się Wiga. – Ja jej przy wyjeździe suszony kosztywał dałam, żeby zaparzała pani i robiła okłady na chore palce. Zaczęło pomagać, dlatego pani Barbara zapytała, jak to wygląda. Rozala nie umiała wytłumaczyć, to narysowała.
- Widzę, że się cieszysz. Jest z czego. Niedawno się martwiłaś, że nie ma dla niej żadnej przyszłości, a patrz, jak się los odmienił.

– Niechby los odmieniał się tylko w dobrą stronę. – Zielarka wzdycha. – Co będzie, jak pani Barbarze to wszystko się znudzi albo coś jej się stanie i Rozala tu wróci? Na co jej wtedy pisanie i czytanie?

– Ciesz się, póki możesz, i nie myśl, co będzie dalej.

Wiga, która dotąd mówiła o Rozali, przygląda się uważnie Agacie.

– Jeszcze nie doszłaś do siebie?

– Wciąż kręcę się w kółko, jakbym we mgle chodziła.

– Co na to von Lest?

– Co on może? Od rana do wieczora zajęty. Nawet za ciężką robotę się bierze, jak widzi, że nie ma kto. Siedzi potem skrzywiony, bo go w boku boli. Mało gada, bywa, że kolacji nie chce, siedzi u siebie i patrzy w księgi.

– Minie mu. Tobie też. Śmierci się ledwie wywinęłaś, to nie dziw, że taka jesteś. Zobaczysz, przyjdzie zima, Baltazar będzie więcej w domu siedział. Dogadacie się. Przecież on cię pomagał ratować. Nie mógł tak nagle przestać cię lubić.

– Nie mówię, że przestał mnie lubić. Nie wiem, jak jest. Chciałabym tylko, żebyśmy wyszli z tej mgły, co nie daje się nam odnaleźć.

Słychać kroki w sieni. Agata odruchowo spogląda na ciasto rosnące pod ściereczką.

– Czas wstawiać kołacz do pieca. Och! Zobacz, co narobiłam! – woła przejęta. – Nie rozgrzałam pieca. Wszystko zimne. Ciasto się zmarnuje.

Lamenty kucharki przerywa Tytus zaglądający do kuchni.

– Witajcie, Wigo. Gdzie wasza wnuczka? – pyta.

– W parku. Cieszy się świeżym powietrzem. Zaraz ją zawołam.

– Nie trzeba. Sam ją znajdę. Moja małżonka kazała wam podziękować za Rozalkę. Bardzo ją oboje lubimy.

– A wstydu jakiego wam nie robi?

– Skąd? To bardzo grzeczna dziewczynka. Jest dla nas jak córka. Bywajcie, Wigo. Przyślę wam Rozalkę, żeby się pożegnała. Zobaczycie

się dopiero na wiosnę.



„Córka?” – Uznanie przez państwo Haase Rozali za córkę byłoby najlepszym, co może spotkać dziewczynę taką jak ona. Zmyłoby piętno niewiadomego pochodzenia i uczyniłoby spadkobierczynią majątku. Takie rzeczy zdarzają się tylko w historiach opowiadanych przez ludzi w długie zimowe wieczory. Prawdziwych dziewcząt z chałup cuchnących kozami to nie spotyka. Dlaczego więc, kiedy to słowo padło z ust Tytusa, Wiga poczuła niemile ukłucie?

Zielarka opuszcza dworską kuchnię z niepokojem w sercu. W zawiniątku niesie jeszcze ciepły kołacz. Zanim piec się nagrzał, drożdżowe ciasto nadziewane serem zdążyło opaść. Agata chciała je wyrzucić, ale Wiga nie dała. Kto widział, żeby jedzenie marnować? Grzech byłby. W końcu kucharka upiekła prawie płaskie ciasto i oddała jej w całości.

Dźwięk piłowania dobiegający od strony gospodarstwa przypomina Widze, że potrzebny jej ktoś, kto naprawi rozpadające się zagaty. Kobieta podąża za odgłosem piły i wreszcie dociera na tyły stajni, gdzie znajduje się wybieg dla koni.

– Adam! – woła na widok młodzieńca docinającego żerdzie na drewnianym koziołku. – Skąd się tu wzięłeś?

Chłopak podnosi głowę znad roboty i uśmiecha się na widok zielarki.

– Usłyszałem we wsi, że zarządca bierze do roboty każdego, kto się zgłosi – mówi, odkładając piłę. – Przede mną czeladnicza wędrówka. Muszę trochę zarobić, żeby nie iść z pustą sakiewką.

– Kiedy ruszasz?

– Lada dzień. Chcę się gdzieś zaczepić przed zimą. Majster dał mi listy do dwóch swoich znajomych. Jeden do Wschowy, drugi do Grünbergu. Najpierw poszukam szczęścia we Wschowie.

– Znalazłbyś trochę czasu dla mnie? Nie mam kogo prosić, żeby

naprawił mi zagaty.

– Tylko tyle? Nie martwcie się, przyjdę, jak tylko skończę we dworze. Obiecałem zarządcy, że przez dwa tygodnie będę robił, co mi każe. Mogę nawet świnie paść pod dębami, byle zapłacił.

– Masz co jeść? Bo ja ciepły placek dostałam od kucharki. Chciała wyrzucić, ale go uratowałam. Zjadłbyś kawałek?

– Co mam nie zjeść? – Chłopak się cieszy. – Wy siadźcie na pniaku, a ja przy was na trawie. Zarządca powiedział, że bym przychodził do kuchni na obiad i że mi za to nie policzy. Widać, że wcale ludzi nie ma do roboty, jak taki łaskawy – mówi Adam, wyciągając rękę po ciasto. – Ojciec ma go za skąpca, co każdy grosz dusi dla pana Unruga.

– Nie jest zły. Znam go lepiej niż ty. Widzę, że dba o gospodarstwo. Zwierzęta i ludzie nie mają przy nim krzywdy. Mówią, że skąpy, bo rzadko daje coś darmo. Nie lubi, jak kto przychodzi po pomoc, a na robotę nie ma ochoty. Dość o panu Baltazarze. – Wiga odłamuje następny kawałek kołacza i podaje młodzieńcowi siedzącemu u jej stóp. – Powiedz lepiej, jak się dogadujesz ze swoimi.

Wyraz twarzy Adama się zmienia. Jeszcze przed chwilą był pogodny, teraz jest smutny.

– Dopiero parę dni jestem w domu, to się jakoś dogaduję. Ojciec z bratem najęli się w tartaku, ja tutaj, dziewczyny pasą świnie, a matka robi swoje w domu. Jak każdy zajęty, to wieczorem tylko mu spanie w głowie. Nie gadamy za wiele.

– Wszyscy zdrowi?

– Na to wygląda. Chwała Bogu morowe powietrze ich ominęło. Na Boże Narodzenie brat się będzie żenić. Pójdzie z domu do Kopanicy. Matka chce dać dziewczyny na służbę do obcych. Ojciec się wścieka, że nie będzie miał kto paść świń, ale matka, chociaż zawsze ojca słucha, się uparła.

– Dobrze matka robi, że się ich z domu pozbywa.

Adam nagle traci ochotę na rozmowę. Podnosi się z trawy i bierze piłę

do ręki.

– Muszę wracać do pracy – mówi. – Do was przyjdę, kiedy tutaj skończę.

Przez spotkanie z Adamem w głowie zielarki rodzi się nowa myśl. „A gdyby tak...” Kobieta idzie w stronę swojej chaty, a marzenia płyną przez nią nieśmiałym strumykiem. Nie pozwala im urosnąć, bo po co się potem rozczarować. „Gdyby jednak...” W tej lepszej dla Wigi przyszłości są Adam i Rozala, warsztat stolarski i miejsce dla babki dożywającej spokojnej starości przy wnuczce i jej mężu.

Uderzenie kamieniem przypomina Widze, że istnieje rzeczywistość. Ogląda się, ale sprawcę zdradza jedynie trzask gałązki w zaroślach. Zaraza niczego nie zmieniła. Nadal otacza ją nieprzyjazna aura. Świadczą o tym wrogie spojrzenia, plotki i ból zadany z ukrycia.

Cokolwiek jest twoim piętnem, garb, brzydota, nieprawe pochodzenie, bieda albo to, że czymś się różnisz od innych, zawsze znajdzie się ktoś, kto ci o tym przypomni i by samemu poczuć się lepiej, rzuci kamieniem albo nienawistnym słowem.

Marzenie Wigi się rozwiewa. Nie będzie bezpiecznej starości w Karge.



Drugi tego dnia kołacz zdążył ostygnąć, a zapach pieczonego ciasta uciekł przez otwarte drzwi. Kucharka siedzi nad śliwkami żółtymi w środku i tak dojrzałymi, że zdążyły lekko przywieędnać. Koprowy^[36] kocioł na trzech nóżkach jest prawie pełny, ale kiedy śliwki się podsmażą i siądą w garze, będzie można dorzucić nową porcję. Dłonie kleją się od słodkiego soku, a palce porysowane ostrymi krawędziami pestek wciąż sięgają po następne owoce. Kobieta wykonuje tę pracę mechanicznie. Wcale nie myśli o powidłach i zapasach na zimę.

Agata znowu błądzi we mgle.

Znajduje w niej umierającego Macieja, ból skręcający wnętrzności, siebie leżącą we krwi, utracone dziecko, krzak czarnego bzu, zimno

i gorąco, strach przed śmiercią, smród i świeże powietrze nocy. Nie ma tam Baltazara, a przecież tylko on zna drogę ucieczki z mlecznego obłoku.

Kończąc, ten udany, stoi nietknięty i czeka.

Tymczasem von Lest nie zamierza jeszcze wracać. Siedząc na koniu, patrzy ze wzniesienia na Chwalim. Morowe powietrze wybiło tam więcej niż połowę mieszkańców. Chaty są, a wsi jakby nie było. Nie ma kto przygotować pól pod zasiew ozimych zbóż. W Karge też z tym krucho. Zasieje się dużo mniej niż zwykle, a to znaczy, że ludziom znowu zajrzy głód w oczy.

Baltazar czuje się zmęczony. Czy tylko na tym ma polegać ziemski żywot człowieka, by od rana do wieczora walczyć o przetrwanie?

Unrug pisze, żeby zimą szykować drewno na budowę domów dla pracowników folwarcznych. Nie można liczyć tylko na chałupników, czyli tych, co mieszkają we wsi, nie mają swojej ziemi, a utrzymują się z pracy w dworskim gospodarstwie. Trzeba powiązać pracę z mieszkaniem. Dzięki temu ludziom będzie bardziej zależeć. Wszystko to prawda, ale kto ma to robić. Obiecani osadnicy przybędą wiosną. A co do tego czasu?

Unrug pyta o dochody. Trwa wojna ze Szwedami. Krzysztof, chcąc się z powrotem wkupić w królewskie łaski, zamierza wystawić regiment piechoty. To kosztuje, a pieniędzy nie ma skąd brać. Jedyne pewne dochód daje sprzedaż drewna. Pośrednik tylko czeka na sygnał. Gotów jest kupić las na pniu i sprowadzić drwali ze Śląska, ale wtedy cena za drewno będzie niska.

Głowa boli od myślenia. Baltazar wie, że powinien wracać, mimo to nie rusza się z miejsca. Czekają na niego praca nie do przerobienia i Agata. Unika jej, bo nie wie, jak postępować z kimś, kto ma chorą duszę. Czuje się bezradny i niepotrzebny.

Zamiast do Karge kieruje konia na zachód. Droga do Woynowa obniża się wraz z końcem wzniesienia. Jest nadal na ziemiach Unruga, ale przed nim już Brandenburgia. Nie ma żadnej widocznej granicy. Może być nią głąz, ziemny kopiec, rzeka, strumień albo inny charakterystyczny punkt.

Dotąd wrzesień był suchy, wietrzny i zimny. Dzisiaj jest wyjątkowo ciepło. Słońce, już nie tak jaskrawe i palące jak w środku lata, otacza lekka mgiełka. W powietrzu unosi się zapach ziół i igliwia z pobliskiego boru. Właśnie do niego zmierza Baltazar. Na samym skraju lasu wpada w pajęczą sieć, potem następną, i tak bez końca. Po chwili twarz i ręce są omotane długimi niciami. Nie zwraca na nie uwagi. Jego wzrok przyciągają czerwone muchomory i brązowe kapelusze borowików. Omal przez to nie wpada w misternie utkaną sieć. Ma ją dokładnie na wysokości oczu. Oświetlona słonecznym promieniem przenikającym między koronami drzew, rozpięta wśród sosnowych gałązek, ozdobiona kilkoma lśniącymi kroplami rosy, z pękatym pajakiem w środku, budzi w nim taki zachwyt, że się wycofuje, by nie zniszczyć małego dzieła sztuki. Kiedyś nie zwróciłby na nią uwagi. Rozdarłby pajęczynę, nawet o niej nie myśląc. Upływający czas go zmienił.

Między drzewami widzi prześwity. Chce zobaczyć, co jest za lasem, choć bardziej niż ciekawość kieruje nim pragnienie ucieczki przed smutkiem Agaty. Uwiązuje konia i pieszo przedziera się przez poszycie, by tam dotrzeć. Teren lekko się wznosi. Mech pod stopami zastępują szyszki i suche igliwie, a drzewa stają się coraz biedniejsze i rzadsze. W końcu się zatrzymuje. Przypomina sobie, że już tu był. Chyba wiosną ubiegłego roku. Wtedy nie zwrócił uwagi na to miejsce. Ot, nieprzydatna pusta z rzadka porośnięta karłowatymi sosnami, jałowcami i samotnymi brzózkami. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Żaden mistrz nie mógłby namalować piękniejszego obrazu.

Żal ogarnia Baltazara, że sam jeden patrzy. Przestaje się ociągać. Odnajduje konia i tak szybko, jak na to pozwala nierówny teren, zmierza do Karge. Okazuje się, że wcale nie był aż tak daleko. Po prostu jeździł bez celu, płącząc ścieżki.

Na dziedziniec wpada, jakby go sto diabłów goniło. Adamowi robiącemu coś na podwórzu zostawia zmęczonego wierzchowca i rzuca:

– Przyrowadź kasztana i zaprzęgnij dwukólkę! – A do Agaty siedzącej nad śliwkami mówi: – Chodź.

– Gdzie?

– Zobaczysz. Chodź. – Chwyta jej lepką dłoń i pomaga wstać. – Chcę ci coś pokazać.

– Zaraz! – protestuje kobieta. – Muszę się ogarnąć.

– Nie musisz. Szkoda czasu. Idziemy! – rozkazuje Baltazar.

Część drogi pokonują, jadąc dwukółką. Rzadko używany pojazd jest bardzo niewygodny. Na każdym wyboju podskakuje albo się przechyla. Agata i Baltazar wpadają na siebie, czasem unoszą się mimo woli, łapiąc się drewnianych boków, by nie wypaść. Dawna Agata nie wytrzymałaby. Na pewno by pytała albo pomstowała. Ta Agata milczy. Czeka, choć bez ciekawości.

Dalej jechać się nie da. Baltazar zostawia konia z pojazdem na brzegu leśnego traktu i, trzymając dłoń kucharki, prowadzi ją przez bór. Teraz oboje przedzierają się przez krzaki, niszcząc delikatne pajęczyny, zanurzając stopy w miękkim mchu, zgniatając szyszki i drobne gałązki. Von Lest się spieszy, bo się boi, że słońce zajdzie i minie magiczna chwila.

Zdążyli.

– Wrzosowisko. To mi chciałeś pokazać? – Agata zamierza wracać, ale Baltazar zatrzymuje ją w miejscu.

– Patrz – mówi.

Od skraju lasu aż po dalekie zielone pasmo rozciąga się barwny kobierzec. Nad drobniutkimi kwiatami unoszą się roje pszczoł, różnobarwnych motyli i grubych trzmieli. Rozgrzane powietrze pachnie, brzęczy, bzyczy i mieni się różnymi odcieniami fioletu i kolorami motyli skrzydeł. Dzięki ciepłemu złotoczerwonemu światłu zachodzącego słońca wrzosowisko stało się zaczarowaną krainą i rajem na ziemi.

– Kiedy dzisiaj stanąłem tu po raz pierwszy – odzywa się Baltazar po długiej chwili milczenia – miałem w sobie żal do Boga, że skazał nas na życie pełne mokołu i cierpienia. Lecz im dłużej patrzyłem, tym mniejszy

stawał się mój gniew. W pewnej chwili przyszło mi do głowy, że sam Zbawiciel mnie tu przyprowadził, by pokazać, że nie tylko szarpanie się z życiem przeznaczone jest człowiekowi. Bóg dał mu też piękno, radość, miłość i oparcie w drugim człowieku.

Agata, dotąd obojętna, czuje, jak pewny i mocny jest uścisk dłoni Baltazara.

– Jestem stary i zmęczony, ale mam ciebie. Ty jesteś moim oparciem, moim drugim człowiekiem. A ja jestem twoim. Pamiętaj.

Agata widzi wrzosa, motyle i niebo. Wciąż stoi we mgle, lecz strach ustępuje. Baltazar ją odnalazł i wziął za rękę. Tylko on zna drogę do wyjścia z mlecznego obłoku.



– Dziesięć lat. Tyle już tu jestem. Myślałem, że to będzie chwila, czas potrzebny, by nabrać sił po chorobie, a zostałem na dłużej. – Von Lest zwierza się Unrugowi wyglądającemu przez okno pałacu.

Krzysztof jest zaabsorbowany własnymi sprawami. Unruhstadt miało przynosić zyski, a jak dotąd oznacza jedynie wydatki. Chyba oczekiwał od Baltazara zbyt wiele. Może inny zarządca radziłby sobie lepiej? Odwraca się do kuzyna.

– To powiadasz, że nic więcej nie uda się z Karge wycisnąć? Żle! Będę musiał prosić Mariannę o zgodę na naruszenie jej wiana.

– Nie mogę nękać ludzi, kiedy widzę, że bieda aż piszczy. Wiosną przyjdą następne kłopoty. Dużo pól zostanie pustych. Nie ma kto robić. A jeszcze siana trzeba było gdzie indziej dokupić, bo ktoś podpalił stogi. Dużo złości narosło przez wojnę. Nie pamiętam, żeby dziesięć lat temu była tutaj taka nienawiść między luteranami a katolikami. Zamiast się cieszyć, że się czarnej śmierci z rąk wywinęli, patrzą na siebie wilkiem i zastanawiają się, kto winien, że nic nie idzie jak trzeba. A dochody z Unruhstadt? Na razie żadnych. Przeżyło kilku sukienników, dwóch kupców, szewc i paru innych rzemieślników. Reszta to kobiety i dzieci.

– Zatem nie masz dla mnie żadnych dobrych wieści? – Zrezygnowany Unrug siada na krześle.

– Żenić się chcę.

– Nareszcie! Bałem się, że wdowcem na wieczność zostaniesz! Któraż to panna skradła twoje serce?

– Agata.

– Agata von Schenckendorff, Agata von Kittlitz, Agata von Warmsdorf... – Krzysztof wymienia nazwiska właścicieli najbliższych dworów.

– Przestań. Mówię o naszej Agacie. – Baltazar jest zdenerwowany.

– Jakiej naszej Agacie? Nie myślisz chyba o kucharce.

– Właśnie o niej.

– Ha, ha, ha! Przedni żart.

– Nie żartuję. Zamierzam się ożenić z kucharką Agatą.

Poważna mina zarządcy sprawia, że Krzysztof przestaje się śmiać. Zrywa się z krzesła i zaczyna nerwowo przemierzać komnatę.

– Mówisz poważnie?! Ty, Baltazar von Lest, chcesz wziąć za żonę córkę służącej i stajennego z Babimostu. Kucharkę, która ma ze czterdzieści lat i nie potrafi ani czytać, ani pisać. Moja matka, Anna von Lest, przewraca się w grobie.

– Zapomniałeś, Krzysztofie, że o nic cię nie pytałem. Nie jestem panienką, której się wybiera przyszłego męża. Sam o sobie decyduję.

– Nie obrażaj się, Baltazarze, ale twój wybór jest wielce osobliwy. Co ty będziesz z nią robił, gdzie bywał, o czym rozmawiał?

– Nigdzie przez ostatnie lata nie bywałem, więc to możemy sobie darować. Mam o czym z nią rozmawiać. Dziesięć lat wystarczy, żeby kogoś poznać. Ona jest dobrym człowiekiem. Nie dbam o resztę.

– Mimo to nie pojmuję. Tyle wokół szlacheckich córek na wydaniu. Młodych i ładnych! – Unrug łapie się za głowę. – Marianna nie będzie chciała tu przyjechać. Wstyd!

– Opuścimy dwór tak szybko, jak to możliwe. Nie chciałbym w niczym uchybić twojej żonie.

– Czekaj! Nie obrażaj się. Skąd ja teraz nowego zarządcę wezmę, kiedy ludzi jak na lekarstwo. Kiedy chcesz się żenić?

– Jak minie rok żałoby. Agata pochowała męża po żniwach.

W ciszę, która zapada, wdzierają się dźwięki obudzonego z letargu pałacu. Czyjeś kroki. Ciche rozmowy. Otwieranie i zamykanie drzwi. Służba, która przyjechała z Krzysztofem, sprząta, wietrzy i pali w piecach. Osobisty kucharz przygotowuje kolację, ale akurat jego nie słyszą. Tak jak Unrug sobie życzył, pałacowa kuchnia nie łączy się z pomieszczeniami mieszkalnymi, by zapachy przygotowywanej żywności i dym, który często, zamiast iść do komina, błędzi po kuchni, nie psuły atmosfery i nie wnikały w kotary, kobierce i kilimy.

– Jakub jeszcze niegotowy, żeby cię zastąpić – odzywa się Krzysztof. – Obiecałeś zostać, dopóki się nie wyuczy.

– Obiecałem i mogę słowa dotrzymać.

– No to postanowione. Czy twoja narzeczona będzie jadła z nami kolację? – Unrug nawet się nie stara ukryć ironii.

– Nie sądzę, by tego pragnęła. Zje z Jakubem, jak kiedyś. Pozwolisz, że cię teraz opuszczę?

– Idź. Zobaczymy się wieczorem – mówi głośno Krzysztof, a po cichu dodaje: – Do żniw daleko. Jeszcze wiele się może zdarzyć.



Trzeba kilkudziesięciu kroków, by przebyć przestrzeń między pałacem a starym dworem, mimo to wiatr i zacinający deszcz sprawiają, że Baltazar wpada do kuchni całkiem zziębnięty.

– Omal nosa nie rozbiłem – mówi do Agaty mieszającej w garnku z kapustą. – Na dziedzińcu zderzyłem się z rybakiem z folwarku. Powiedział, że nie chciałaś wziąć od niego ryb.

– Wysłałam go do pałacu. Niech kto inny się martwi, co z ryb przyrządzić. Ja mam dość roboty.

– Nie musisz dzisiaj gotować. Kucharz Unruga szykuje kolację.

– Co mnie to obchodzi? Robię swoje. – Agata najwyraźniej czuje się urażona tym, że Unrug przyjechał z własnym kucharzem. – Nie pójdę przecież prosić, żeby mi albo Jakubowi dał coś do jedzenia.

– Ja bym mu powiedział.

– Nie chcę.

– Gdzie się podział Jakub?

– Rozpala u siebie w piecu.

Nastroszoną Agatę lepiej zostawić, dlatego Baltazar idzie do izby Jakuba.

Chłopak zrywa się na równe nogi. Długo musiał trwać przykucnięty przed otwartym paleniskiem, wpatrując się w płonące drwa, bo ma rumianą twarz i zaczerwienione oczy.

– Co tak sam siedzisz? Zamknij piec i chodź do kuchni.

– Chyba lepiej nie wchodzić w drogę pani Agacie.

– Masz rację. To może ja posiedzę w twojej izbie? Pozwolisz?

Samotne krzesło, wąskie łóżko, przy nim mały stolik i skrzynia – to całe wyposażenie pomieszczenia uważanego za pokój Jakuba. Chłodno tu jeszcze i nieprzytulnie, ale mężczyzna i chłopiec nie zwracają na to uwagi. Baltazar zajmuje krzesło, a Jakub siada na skrzyni.

Silny podmuch wiatru uderza deszczem w okno.

– Mieliście szczęście, że zdążyliście dotrzeć, zanim zaczęło padać. Teraz ugrzęźlibyście w błocie.

– Mogliśmy być już wczoraj, ale pękła piasta w karecie pana Unruga i musieliśmy czekać, aż naprawią. Pan nocował w karczmie, a reszta w stodole na słomie.

– Powiedz, chłopcze, jak ci jest w Międzychodzie.

– W samym mieście byłem krótko, a w pałacu nigdy nie mieszkałem.

Od razu trafiłem do domu zarządcy. Kiedy zaczęła się zaraza, pan Unrug z rodziną wyjechał do Drezdenka, a ja razem z zarządcą na wieś do folwarku.

– Jacy to ludzie? Dobrze ci z nimi?

– Dobrze – odpowiada Jakub z pewnym wahaniem. – Pani Dorothea, żona zarządcy, jest bardzo pobożna. Dzień zaczyna od wspólnej modlitwy i tak samo kończy. Pani nie znosi sprzeciwu. Wszyscy robią, co im każe. Ja śpię w izbie z innymi sługami.

– A jedzenie? Tak dobre jak u Agaty?

– U pani Agaty lepsze, ale głodny nie chodzę.

Minęło kilka miesięcy, odkąd Jakub wyjechał do Międzychodu, a Baltazarowi się wydaje, że upłynęło więcej czasu. Chłopak nie jest co prawda dużo wyższy ani cięższy, jednak coś się w nim zmieniło. Uważa na każde wypowiedane słowo, jest czujny, jakby nikomu nie ufał. Miękkie, wijące się jasne włosy, które zawsze opadały mu na ramiona, wiąże teraz w kitkę, a odsłonięta dzięki temu twarz wydaje się mieć ostrzejsze rysy. Von Lest próbuje obliczyć wiek chłopaka. Znaleziony w Brandenburgii mógł mieć pięć lat. Od tamtej pory minęło dziesięć. Wobec tego Jakub jest teraz piętnastoletnim młodzieńcem. Zanim zostanie zarządcą, sporo wody w rzece upłynie.

– Zapewne czegoś się już nauczyłeś od tamtejszego zarządcy. Powiedz, co byś u nas zrobił inaczej niż ja.

Chłopak się namyśla.

– Chodzi o to, żeby z posiadłości były pieniądze – mówi. – Najprędzej można sprzedać las. Tu, w Karge, zawsze zatrudniano swoich drwali. Teraz o nich trudno, dlatego trzeba by sprzedać las na pniu, a kupiec sam musi zadbać o wycięcie.

– Jakże to? Sprzedać za grosze?

– Lepiej sprzedać za grosze niż wcale. A jeśli w umowie się zapisze, że drwale sprowadzeni przez kupca muszą kupować nasze piwo, płacić za spanie i wyżywienie, pan zarobi, a przy nim cała wieś.

- Co jeszcze byś tu zmienić?
- Cały handel, a przede wszystkim sprzedaż bydła, zboża i drewna, powierzyłbym pośrednikowi.
- Może oszukać!
- Pytaliście, to mówię.
- Dobrze, to co z tym pośrednikiem?
- Najlepiej byłoby znaleźć Żyda. Zarządca uważa, że Żydzi najlepiej się znają na handlu, są uczciwi i pracowici.
- Skąd będę wiedział, że ten, którego wybiorę, właśnie taki będzie?
- Byłoby dobrze go poszukać tam, gdzie jest ich więcej. Wtedy gmina żydowska pilnuje, żeby się dobrze sprawował, bo część jego zarobków trafi do nich. Ów Żyd – kontynuuje Jakub – nie powinien zajmować się wyłącznie sprzedażą. Kupować dla dworu też powinien. Na przykład, kiedy jest nieurodzaj, może znaleźć tanie zboże.
- I w Międzychodzie jest taki człowiek?
- Jest. Dzięki niemu tamtejszy zarządca ma mniej na głowie.
- Słyszałem, że panowie szlachta korzystają z pośredników, ale uważałem, że są głupcami, którzy dają się oszukiwać. Wygląda na to, że sam byłem głupcem.



Baltazar przebrał się do kolacji z właścicielem i towarzyszącym mu urzędnikiem, ale czeka go jeszcze powrót do pałacu przez pełne błota nieoświetlone podwórze. Odległość między starym dworem a pałacem zamierza pokonać susami. Głowę i ramiona przykrył grubą opończę i robi długi krok w stronę kamienia, który bardziej pamięta, niż widzi. Mokra mlaśnięcie i przekleństwo uświadamiają mu, że właśnie zepchnął kogoś w błoto.

- Kto tu jest? – woła w ciemność.
- Ja, Wicek z folwarku nad jeziorem.

– Co tu jeszcze robisz? – pyta von Lest, pomagając wstać rybakowi. – Dawno miałeś iść do domu.

– Najpierw zajrzałem do karczmy, a potem poszedłem. Deszcz padał, robiło się coraz ciemniej. Ze dwa razy się poślizgnąłem na glinie...

– Człowieku, ja moknę. Mów prędzej, czemu wróciłeś.

– Mówię przecież. Trzeci raz przewróciłem się przez takiego jednego, co wyglądał gorzej niż ja. Myślałem, że też był w karczmie, ale nic nie poczułem.

– Jak mogłeś poczuć, jak sam śmierdzisz? I co z tym człowiekiem? – ponagla Baltazar.

– To było blisko mojej chałupy. Babę zawołałem i razem zaciągnęliśmy go do środka. Teraz chodzi o to, żeby go od nas zabrać.

– Ty go znalazłeś, to się martw. Co mnie jakiś pijak obchodzi – denerwuje się von Lest.

– Panie, to chyba szlachcic. Nie uchodzi, żeby w naszej chałupie leżał. Weźcie go od nas.

– Skąd wiesz, że szlachcic?

– Ubrany inaczej i koń za nim przyszedł.

– Do chałupy?

– Gdzieby! Stał przed drzwiami i stoi, jakby go kto przywiązał.

– Ten człowiek coś powiedział?

– Jęczy tylko. Nic nie gada.

Baltazar się namyśla, nie zwracając już uwagi na deszcz, a Wicek pokornie czeka.

– Po ciemku i w deszczu nie ma co jechać – decyduje von Lest. – Idź do Agaty, niech da ci jeść. Skoro świt pojedziemy po niego w dwa konie, bo wóz i tak ugrzęźnie w glinie.

– Panie, ty sobie jedź, a ja pójdę pieszo. Jak żyję, nie siedziałem na koniu. A zjeść coś dobrego i przespać się mogę. Czemu nie.

Człowiek, którego przywiózł Baltazar, wygląda, jakby miał zaraz

wyzionąć ducha. Noc w zimnej chałupie i mokrej odzieży mogłaby zaszkodzić zdrowemu, a co dopiero takiemu, który ma ranę na głowie i stracił przytomność. Jazda na końskim grzbiecie w pozycji worka ze zbożem też nie była pomocna. Na razie kładą go na stole w świetlicy. Zanim trafi do łóżka, trzeba go dokładnie obejrzeć, bo nie wiadomo, czy rana na głowie to jedyny uraz.

Wiga zawołana o świcie czeka ze swoimi specyfikami, a Baltazar, korzystając z pomocy Jakuba, próbuje zdjąć choremu kaftan i koszulę. Manewry przy wysupływaniu rannego z odzieży wywołują jego gwałtowne ożywienie. Otwiera się przekrwione oko, a z ust wydobywa się przeraźliwy jęk.

– Owczarza trzeba wołać – odzywa się stojąca z boku Wiga. – Może mieć połamane kości. Owczarz na kości najlepszy.

– Którego? Tego, co kładł w łupki nogę Alberta? – oburza się Agata. – Wszystko zrobił źle. Biedny Albert, mógł jeszcze żyć.

– Tamten owczarz umarł na morowe powietrze – uspokaja zielarka. – W Chwalimiu jest starzec, co jeszcze za pana Żychlińskiego nastawiał kości.

– Chyba że. Bo tamtemu nawet kozy nie dałabym dotknąć.

Posłano więc po chwalimskiego owczarza, a tymczasem do oględzin przystępuje Wiga. Najpierw przemywa brudne od błota i krwi oblicze nieznanego. Jest opuchnięte, posiniaczone i podrapane. Wysokie czoło zdobi wielki guz, a z rany za lewym uchem sączy się krew.

Nieznanomy jest przytomny, lecz na pytania Baltazara nie odpowiada, jakby ich w ogóle nie słyszał. Jedynym w tej chwili sprawnym okiem śledzi ruchy zielarki i od czasu do czasu pojękuje.

Antoni Radoszewski jest przekonany, że widzi sługę diabła. Nic dziwnego. Wszak tropieniu ziemskich pomocników Szatana poświęcił życie. Ich obecność wyczuwa na odległość, a istota, która się przy nim krząta, nie tylko wygląda jak mieszkanka piekieł. Zapach ma również piekielny. Woń ziół, dymu, brudu i kozich odchodów nie może należeć do nikogo innego. Kto wie, czy pod grubą spódnicą nie ukrywa nogi

zakończoną racią. Co prawda to, co mówi do drugiej kobiety, wydaje się zwyczajne, lecz to na pewno dla niepoznaki każe potłuc liście kapusty i przykładać do obolałej głowy. Ani chybi ma na myśli co innego i kiedy ci ludzie, którzy mu się przyglądają, sobie pójdą, rzuci się na niego i zadusi, by zabrać jego duszę do piekła.

Nikt nie wie, jak bardzo zasłużył na wieczne potępienie. Jeden straszliwy czyn obrócił wniwecz lata bogobojnego życia. Nie żyje babimojski proboszcz, który od dziecięctwa był mu duchowym przewodnikiem. Zginął męczeńską śmiercią z rąk Szwedów, a on, jego siostrzeniec, w ramach nałożonej sobie pokuty przybywa każdego roku na miejsce hańby, by właśnie tam błagać Boga o wybaczenie.

W zasięgu oka Antoniego pojawia się nowa postać. To bezzębny starzec w wieku Abrahama. Przemoczone zwoje wełnianych tkanin, w które jest spowity, wydzielają kolejny zapach komponujący się z diabelską wonią bijącą od wiedzy. Czy można mieć jeszcze jakieś wątpliwości? Trafił do piekła, na które zasłużył. Na nic pokuta, posty i samobiczowanie.

Diabelski odpowiednik biblijnego Abrahama prawie go unosi, a potem ciągnie za ramię, wyrywając bark z ciała. Chorego ogarnia ciemność.

– Wydobrzeje. – Starzec, który nastawił zwichnięty bark, obmacuje teraz żebra i głowę pozbawioną chwilowo okładu z liści kapusty. – Najpewniej rąbnął łbem w gałąź i spadł z konia. Wygląda na to, że kości ma całe. Niech poleży ze dwie niedziele, a potem może jechać dalej.

Konsylium skończone. Wiadomo wszystko, prócz tego, kim jest człowiek leżący bez przytomności na stole w świetlicy.

Agata woła na śniadanie, ale Wiga się wykręca. Nie będzie jeść. Nie ma ochoty. Musi już iść, bo kozy głodne. Coś się wydarzyło, tylko co? Kucharka nie pojmuje, dlaczego podczas obmacywania kości przez owczarza zielarka nagle pobladła, czemu oparła się o ścianę, jakby straciła siły, a potem wyszła, choć z nieba lecą potoki.



Deszcz pada już drugi tydzień. Krzysztof Unrug czuje się jak więzień zamknięty we własnym pałacu. Jest człowiekiem czynu, nie lubi siedzenia przy kominku i rozmawiania o byle czym. Wszystkie tematy się wyczerpały, zarówno te odnoszące się do planów rozwoju miasta, jak i samego gospodarstwa. Wiadomo już, które drzewa pójną pod topór, gdzie staną budynki dla pracowników folwarcznych, ilu osadników powinno przybyć wiosną i że najbardziej potrzeba ludzi w Chwalimiu.

Właściciel Karge i Unruhstadt z nudów zagląda czasem do chorego. Człowiek ów, nadal zamaskowany liśćmi kapusty, zaczyna odzyskiwać siły. Agata zmieniająca okłady uważa, że powinno się posłać po Wigę, bo jak tak dalej pójdzie, to zużyje się cały zapas warzywa. A szkoda by było. Głowa niespodziewanego gościa wygląda całkiem dobrze i, zdaniem kucharki, kapusta tu do niczego niepotrzebna.

– Dziwny jakiś – zwierza się Baltazarowi. – Ani chybi udaje chorobę. Pan Unrug go zagaduje, a on mruczy do niego spod tej kapusty, jakby nie mógł gadać. A potrafi przecież, bo jak powiedziałam rano, że już dość okładów, bo opuchlizny prawie nie ma, to on na to, że jest i mam go owinać. I jak byłby chory, toby tyle nie jadł. A konia z kopytami by zżarł, gdybym mu dała! Może, udając chorobę, chce się u nas przechować przez zimę?

– Do zimy jeszcze trochę zostało. Tak długo nie będzie siedział. Póki co trzeba być gościnnym – upomina Baltazar.

Jemu obecność nieznajomego nadmiernie nie ciąży. Przynajmniej Agata ma czym zająć myśli. Teraz, zamiast patrzeć przed siebie nieobecny wzrokiem, zastanawia się nad ubywaniem kapusty albo zamiarami gościa. W jednym zarządca zgadza się z kucharką. Mężczyzna wydaje się dziwakiem albo milczkiem. Prawdopodobnie jest wyznawcą starej rzymskiej wiary, bo kiedy Baltazar wspomniał, że w niedzielę z braku pastora nie będzie nabożeństwa, ale zbiorą się na wspólną modlitwę i czytanie Pisma, gość cofnął się o krok, jakby diabła zobaczył.

Na pewno jest bardzo religijny. Często się modli, klęcząc przed krzyżem wydobytym z podróżnej sakwy.

Niewielki podróżny krucyfiks z brązu Antonius, bo taką formę imienia woli Radoszewski, dostał kiedyś od wuja. Zgodnie z prośbą darczyńcy nigdy się z nim nie rozstaje. Tu, w miejscu opanowanym przez heretyków, jest obroną przed czyhającym z ich strony duchowym niebezpieczeństwem. Niech no tylko przestanie padać, a opuści dwór w Karge i już nigdy nie wróci w te strony. Musi się wreszcie szczerze wypowiadać i otrząsnąć z poczucia winy.

Szmer deszczu i modlitwy zlewają się w jedno. Radoszewski klęczy przed krucyfiksem. W mroku chmurnego dnia jego głowa wygląda upiornie. Część twarzy owinięta jest szmatą podtrzymującą liście kapusty. Odsłonięte są tylko usta, hiszpańska bródka i szare oczy, z których jedno nosi ślady niedawnego urazu.

Wraz z upływem czasu modlitwa, żarliwa z początku, staje się szeregiem wyuczonych formułek oddzielonych od tego, co się dzieje w umyśle.

Młodszy o trzynaście lat Antonius spaceruje z wujem w ogrodzie babimojskiej plebanii. Spierają się o naturę Boga. Różnią ich wiek, zasób życiowych doświadczeń i temperament. To wystarczy, by w oczach jednego Stwórcy był dobry, miłosierny i skłonny do wybaczenia, a drugi dostrzegał w nim jedynie bezwzględnego sędziego zsyłającego coraz to nowe kary na grzeszników. Ten gniewny Bóg istnieje oczywiście w wyobraźni młodszego z rozmówców. Z szacunku dla siwej głowy proboszcza nie odpowiada tak, jak by tego pragnął. By ochłonać po dyskusji, siodła konia i udaje się na przejażdżkę.

Czerwona kula słońca wisi nad horyzontem. Wkrótce zacznie się ściemniać, ale jeździec nie zawraca. Jedzie traktem w kierunku Karge. Zatrzymuje się w pobliżu folwarku nad jeziorem. Słyszy czyjeś głosy. Nie dobiegają jednak od strony chat, a z zupełnie innego kierunku. Gdzieś tam za błotami, zwanymi przez miejscowych bychorzem, jest małe jezioro. Zwykle trudno się do niego dostać, ale dawno nie padało, toteż można

przejsć suchą stopą. Antonius, wiedziony ciekawością, najpierw prowadzi konia, potem przywiązuje go do olchy, a sam przedziera się dalej, podążając ścieżką wydeptaną przez zwierzęta. Komary tną niemiłosiernie, lecz nie zamierza zawrócić. Nozdrza łapią zapach dymu, a głosy stają się wyraźniejsze. Jezioro jest chyba niżej niż miejsce, z którego dochodzą, dlatego młody mężczyzna porzuca ścieżkę i idzie pod górę. Zatrzymuje się na skraju dużej polany. Na jej środku płonie niewielkie ognisko. Wokół niego siedzi pięć dziewcząt. Wszystkie w długich białych koszulach z wieńcami z kwiatów i ziół na głowach. Rozmawiają głośno, wróżą sobie z kwiatów, wybuchają beztróskim śmiechem. W pewnej chwili zrzucają wieńce, ściągają koszule i zupełnie nagie niczym rusalki z rozpuszczonymi włosami odchodzą od ogniska. Brodząc w wysokiej trawie, zdają się czegoś wypatrywać.

– Znalazłam! – woła jedna, podnosząc rękę w triumfalnym geście. – Mam nasięźrza!

Wkrótce wszystkie znajdują poszukiwane ziele. Nacierają nim piersi, brzuchy, uda i podbrzusza, wypowiadając przy tym zaklęcie, którego mężczyzna nie rozumie.

„Czarownice!” – Antoniusa ogarnia lęk. Pragnie uciec stąd jak najprędzej, ale Szatan już go musiał spostrzec, bo trzyma ukrytego za czeremchą i nie pozwala odejść.

Tymczasem dziewczęta z powrotem włożyły koszule i przystroiły się wieńcami. Tańczą wokół ogniska, śpiewając pieśni pełne miłosnych zaklęć.

Niedługo zapadnie ciemność. Młodzieniec z całych sił walczy z pokusą. Klęka i, zamknawszy oczy, próbuje modlitwą pokonać pożądanie. Już! Czuje, że jest dość silny. Nie otwierając oczu, wstaje z kolan.

– Patrzcie!

Spojrzenia dziewcząt kierują się w jego stronę.

– Tam ktoś jest! Podgląda nas!

Nieruchomieją.

– Uciekajmy! – woła któraś.

Na rzucone hasło rozpierzchają się w różnych kierunkach.

Zostaje ta, która go zauważyła. W wieńcu na głowie, białej koszuli i z długimi jasnymi włosami wygląda jak leśna boginka. Zamiast zniknąć w gąszczu, Antonius stoi wpatrzony w niezmierną istotę. Nie wie, że bała się tylko przez chwilę. Już jest spokojna. Stało się to, czego oczekiwała. Wszak, nacierając się zieleń, wołała: „Nasiężrzele, nasiężrzele, rwę cię śmieie, pięcią palcy, szóstą dłonią, niech się za mną chłopcy gonia! Po stodole, po oborze, dopomagaj, Panie Boże!”.

– Jak ci na imię? – pyta go, przechylając na bok głowę.

– Antonius – mówi przez ściśnięte gardło i już żałuje wypowiedzianego słowa.

– Chodź do mnie, Antoniusie.

Boginka wyciąga rękę, a on ku niej idzie, choć rozum każe uciekać. Siadają naprzeciwko siebie na trawie w pobliżu ogniska. Przygląda mu się badawczo, jakby chciała sprawdzić, kogo przyprowadziły jej zaklęcia. Dotyka dłonią włosów, głaszcząc bródkę, przesuwając po ramieniu, bada guziki kaftana.

– Jesteś szlachcicem?

Kiwa twierdząco głową.

– I przyszedłeś do mnie? – Dziewczyna jest uradowana i patrzy mu w oczy. – Wiesz, że dziś sobótka? – pyta.

Chyba nie przeszkadza jej, że on milczy jak zaklęty.

– Wiesz, że w sobótkę wolno wszystko? – zdaje się kusić.

– Wszystko?

– Tak. Wszystko – odpowiada mu szeptem, choć nikt nie może usłyszeć. – Ale potem trzeba wziąć ślub.

– Ślub? – powtarza, jakby nie rozumiał. Popycha lekko dziewczynę, a ona kładzie się na miękkiej trawie. Oszałamia go zapach ziół i jej skóry. Nie wiadomo skąd wśród gałęzi pojawiają się małe migocące światełka. Najpierw kilka, potem jest ich coraz więcej. Dzieje się coś, czego nie

pojmuje. To czary, wobec których okazuje się bezsilny. Pożądanie bierze górę nad rozsądkiem. Zapomina o modlitwach, Bogu i składanych przyrzeczeniach. Jest tylko noc i dziewczyna.

O świcie budzi go chór ptaków i zimno. Chłód dokucza również leżącej obok istocie. Jeszcze się nie ocknęła. Tuli się do niego bezwiednie, szukając ciepła.

Dopiero teraz widzi ją dokładnie. Wilgotna od rosy koszula przylega do szczupłego ciała, jasne włosy rozrzucone w nieładzie pełne są źdźbeł trawy i drobnych listków. Zaróżowiony policzek wspiera na łokciu. Długie ciemnozłote rzęsy, czerwone, półotwarte usta... Antonius czuje, że jeszcze chwila, a znowu grzech nim zawładnie. Nie może na to pozwolić. Wstaje ostrożnie. Rozgląda się, czy czegoś nie zostawił, i wycofuje się do lasu.

Zaniepokojonemu wujowi opowiada o dziewczętach w lesie i grzesznych obrzędach, które widział z ukrycia. Proboszcz macha na to ręką.

– Jeśli masz być księdzem, musisz mieć więcej zrozumienia dla starych zwyczajów – mówi. – Zawsze na Świętego Jana młodzi palą ogniska i przy nich dokazują – tłumaczy. – Bywa, że grzeszą, by uniknąć zaplanowanego przez rodziców małżeństwa. Chcąc zmazać grzech sobótkowej nocy, trzeba wziąć ślub z tym, z kim się go popełniło.

– Ślub?

– No tak. Grzech pozostaje grzechem. Nie można dokazywać, a potem przed Bogiem udawać, że nic się nie wydarzyło. Ale o duszyczki tych dziewcząt nie musisz się martwić. – Proboszcz pociesza siostrzeńca, widząc jego zasepioną minę. – Chłopców z nimi nie było, a to znaczy, że tylko się bawiły. Płocze dziewczuszki. Ot co!

Minęło ponad trzynaście lat, a on nadal rozpamiętuje tamte wydarzenia. To była noc jego hańby. Dał się pokonać Szatanowi, który przysłał swą sługę, by go uwiodła. Zły dalej nie odpuszcza. Nocą podsuwa mu sny, w których pojawia się leśna boginka. Sny są grzeszne, pełne lubieżnych czynów, dlatego Antonius w podróźnej sakwie ma bicz, który służy do

wypędzania z ciała pożądliwych skłonności i bolesnej pokuty.

Trzydzieści lat temu poprzysiągł, że nie zostanie księdzem, lecz tym, który ściga sługi Szatana. Wytropił ich niemało i posłał na stos. Wciąż jest w drodze, szukając następnych. Jest sługą Boga – surowego, karzącego i nieskorego do przebaczenia.

Unruga i von Lesta spotkał przed laty w brandenburskiej oberży. To nie mógł być przypadek. Tak samo nie przypadkiem los zetknął ich znowu. Bóg chce coś mu powiedzieć, zwrócić na coś uwagę. Tylko na co? Dlaczego tego nie pojmuje?

Kolana bolą od klęczenia, głowa od wspomnień, a od upadku z konia bark i plecy. Dźwiga się z trudem. Patrzy w okno. Chyba przestaje padać. W sercu rośnie nadzieja na opuszczenie przybytku heretyków. Słyszy pukanie. Drzwi się otwierają. To Jakub.

– Panie, przyniosłem świecę. Agata przyjdzie zaraz z polewką.

– Nie chcę kolacji. Pomóż mi tylko rozebrać się do snu i posmaruj plecy tą maścią, którą zostawiła wiedźma.

– O! To się wam odmieniło. Nie chcieliście od niej niczego.

– Nikt cię o zdanie nie pyta. Przynies maść.

Jakub ma mocne dłonie. Tak mocne, że zwykle nacieranie borsuczym sadłem sprawia Antoniusowi ból. Zaciska jednak zęby, by nie okazać słabości.

– Kto wam tak plecy poharatał? Szwedzi?

– Nie twoja sprawa. Kończ już.

– Panie, a mogę jeszcze o coś spytać?

– O co?

– Tu. – Jakub dotyka palcem łopatki. – Co to takiego?

Pytanie chłopaka poprawia Antoniusowi nastrój i rozwiązuje język.

– To znak naszego rodu. Tylko niektórzy z nim się rodzą. Nosi go również moja matka. Właśnie ona opowiadała, że nasz daleki przodek brał udział w wyprawie krzyżowej. Wiesz, co to takiego?

– Pan Baltazar coś mi mówił – odpowiada chłopak niepewnie.

– Na wyprawy krzyżowe wyruszali chrześcijańscy rycerze ze wszystkich krajów, żeby wyzwolić grób Chrystusa z rąk niewiernych. Mój praszczur udał się tam pod rozkazami samego cesarza rzymskiego Fryderyka Barbarossy. Jak zapewne wiesz, cesarz utonął, zanim znalazł się na Ziemi Świętej, ale mój przodek, Henrik, dotarł na miejsce. Tam wślawił się bohaterskimi czynami. Podczas jednej z bitew ocalił innego rycerza, osłaniając go własnym ciałem przed włócznią niewiernego. Został wtedy ranny w łopatkę. Odtąd rodzimy się ze znakiem danym od Boga. – Mówiąc to, Antonius bezwiednie unosi podbródek i prostuje plecy, przybierając dumną pozę.

– Ktoś inny może mieć coś takiego?

– Ktoś inny?

– Na przykład ja albo pan Baltazar?

– Nie. To jest dane tylko nam na pamiątkę bohaterskiego czynu rycerza Henrika.

– A Rozala ma takie samiuśkie. Widziałem.

– Co za Rozala?

– Wnuczka Wigi. Mówię wam, że dokładnie tam, gdzie wy. Takie samiuśkie.

– To niemożliwe. Coś ci się pomyliło. Gdzie ta dziewczyna?

– Tutaj jej nie ma. Poszła na służbę do Zulich.

– A jej matka?

– Nikt nie wie. Gdzieś się zgubiła.

Antonius więcej nie pyta. Dobry nastrój mija. Sądził, że jeszcze jedna spowiedź, ostatnie wyznanie i rozprawi się ze swoim grzechem. Pokuta się jednak nie kończy. Bóg przyprowadził go w to miejsce, by usłyszał o córce czarownicy.



– Antonius Radoszewski... Nic mi to nie mówi.

– Zetknąłem się z jednym Radoszewskim pod Beresteczkiem. Jan mu chyba było na imię – odpowiada Krzysztof, choć myślami jest gdzie indziej.

– Nie wiadomo, czy podał prawdziwe nazwisko. Dziwny człowiek. W oczy bał się spojrzeć.

– Wiesz co, Baltazarze, mnie się zdaje, że gdzieś go już widziałem. Wciąż chował twarz za liśćmi kapusty, a kiedy w końcu kucharka je zdjęła, nacisnął kapelusz na głowę tak mocno, że ledwie usta i brodę można było zobaczyć. Jeść z nami nie chciał, z nikim nie gadał, tylko siedział w izbie jak borsuk w norze. On chyba nie chciał być rozpoznany.

Krzysztof i Baltazar stoją w bramie i patrzą na drogę za oddalającym się jeźdźcem. Lodowaty wiatr, który od niedawna w dzień suszy, a w nocy mrozi błoto na drogach, strąca właśnie ostatnie liście z drzew.

– Na nas też już czas. Kareta czeka. Będziemy się żegnać, kuzynie. – Głos Krzysztofa jest ciepły jak nigdy. – Nudziłem się tutaj – wyznaje – ale i wypocząłem. Wiele spraw przemyślałem. Teraz trzeba wracać do obowiązków. Wojna ze Szwedami trwa nadal. Odzyskaliśmy Poznań i Kraków, lecz Karol Gustaw nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Trzeba być gotowym, bo wiosną wojska znowu się ruszą.

Unrug serdecznie ściska Baltazara i razem z pisarzem wchodzi do karety. Jakub, kucharz oraz reszta międzychodzkiej służby wsiadają na konie.

– Jakubie! – woła Baltazar. – Ucz się pilnie i szybko wracaj. Jesteś tu potrzebny.

Jakub kiwa głową na znak, że rozumie.

Odjeżdżają.

Dopiero wtedy wychodzi z kuchni Agata. Razem z Baltazarem patrzą za oddalającymi się podróżnymi.

– Dobrze, że pojechali. – Z piersi Agaty wydobywa się westchnienie ulgi. – Najbardziej mi dopiekł ten dziwak, co do nikogo gęby nie otwierał.

A ile kapusty się przez niego zmarnowało!

– Nie narzekaj. Gościnność to święty obowiązek.

– Jestem ciekawa, czy chociaż podziękował.

– Podziękował. Na pożegnanie powiedział Unrugowi, że jest nieskończenie wdzięczny.

– Dobrze i to, bo już się bałam, że wyjedzie nocą i nawet „z Bogiem” nie powie. Zimno mi. – Agata kuli ramiona.

– Znowu zostaliśmy sami – mówi Baltazar, obejmując ją ramieniem i przyciągając do siebie. Słońce wychyliło się zza granatowych chmur, oświetlając rozlewiska na łąkach i srebrząc wodę w rzece wylewającej się z brzegów.

– Zima idzie. – Przez ciało Agaty przebiega dreszcz. – Chodźmy do domu.

– Chodźmy.

W królestwie kucharki jest ciepło. Żar zabezpieczony popiołem przed wygaśnięciem czeka, by dorzucić do niego dREW. Po chwili siadają przy stole z kubkami pełnymi grzanego piwa z miodem.

– Postarzałam się – zwierza się Agata. – Lubię spokój.

– Nareszcie jesteśmy sobie równi. – Baltazar się uśmiecha.



Śnieg zaczął sypać przed Bożym Narodzeniem, a w połowie stycznia przyszedł mróz, jakiego nawet najstarsi nie pamiętali. Niektórzy mówią, że morze zamarzło. W Karge słyszeli o tym od posłańców przybywających do dworu. Powtarzają więc, choć owego morza nigdy nie widzieli.

Od czasu do czasu docierają tu wiadomości od Unruga. Z listów od właściciela posiadłości Baltazar się dowiedział, że całkiem niedaleko, bo w Poznaniu, spędza zimę para królewska. Warszawa jest już wolna, lecz Zamek Królewski, zniszczony podczas działań wojennych, nie nadaje się

do zamieszkania. W Poznaniu, jakby wojny ze Szwedami nie było, organizuje się bal za balem, poluje w okolicznych puszczech, a niejako przy okazji odbywa się wymiana korespondencji dyplomatycznej zmierzająca do porozumienia z Karolem Gustawem. Z listów Unruga wyłania się obraz życia próżnego i beztroskiego. Osobą, o której Krzysztof wspomina z niezmiennym szacunkiem, jest Jej Królewska Mość Ludwika Maria, kobieta zainteresowana wzmocnieniem państwa, a także ciekawa nowinek z dziedziny nauki i kultury. Unrug, bywający często w Poznaniu, w każdym liście z wiadomych sobie powodów namawia Baltazara, by przyjechał i się rozerwał po ponurych przejściach okresu zarazy. Zarządca grzecznie, lecz stanowczo odmawia. Nie widzi dla siebie miejsca pośród bawiących się i plotkujących dworzan.

W Karge i Unruhstadt mało kto ma ochotę na zabawę. Prawie każdy nosi w sercu wspomnienie o bliskich zabranych przez czarną śmierć. Życie toczy się od świtu do zmierzchu. Zimą to zaledwie kilka godzin, które trzeba wypełnić pracą przy warsztacie, kołowrotku, wrzecionie albo przy zwierzętach. Kiedy zapadają ciemności, ludzie kładą się do snu, bo świece trzeba oszczędzać. Zresztą we wspólnym łóżu o wiele łatwiej znieść mróz wdzierający się do chaty.

Wiga nie ma do kogo się przytulić. Nocami, zanim rozgrzeje się pod stertą baranich skór, trzęsie się z zimna i rozmyśla o Dorotce, Rozalce i kłusowniku, który jakby o niej zapomniał. Być może uznał, że już dość tej zabawy – zielarka została postraszona i go nie wyda. Zaraza oszczędziła złego człowieka, a nie powinna. Przecież Wiga zdobyła się na czyn ostateczny. Wydobyła spod krzaka czarnego bzu kobyłą czaszkę, a potem zakopała ją przed progiem jego domu, wypowiadając zaklęcia mające sprowadzić na niego śmierć. Gdyby ktoś ją na tym przyłapał, zostałaby uznana za czarownicę i poprowadzona na stos. Tak strasznie zaryzykowała, bratając się przy tym ze złymi duchami, i nic. Nic się nie stało. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie!

Zimowe noce są długie. A kiedy jest się całkiem samym, ciągną się bez końca. Ledwie za oknem ze zwierzęcego pęcherza pokaże się zapowiedź

świtu, zielarka wydobywa się spod baranich skór i rozpala ogień. Czarne, przydymione ściany teraz pokryte są szronem pochodzącym z oddechów i koziego obornika. Przez kilka jasnych godzin szron stopnieje tylko w pobliżu paleniska. W kątach i na najbardziej odległej ścianie zachowa się do wiosny. Woda w drewnianym cebrzyku zamarza, dlatego Wiga nie zostawia jej na noc. Po prostu idzie rano po śnieg i topi go, stawiając wiadro niedaleko ognia.

Dzisiaj zielarka wybiera się do wsi. Zamierza odnieść gotową wełnę i wziąć nowy zapas przędzy. Przy okazji zajrzy do Elżbiety, wdowy po grabarzu. Kobieta zupełnie sobie nie radzi po śmierci męża i synów. Zaraza zabrała jej wszystkich bliskich. Tak się przez to załamała, że teraz musi korzystać z opieki wiejskiej społeczności. Wiga zaopatruje ją nie tylko w zioła i maści. Od czasu do czasu niesie jej trochę sera albo mleko, a kiedy stwierdziła, że nie ma co trzymać dwóch kóz i zarznęła starszą, dała kobiecie kawał zapeklowanej koziny. Pomagając Elżbiecie, nie wie nawet, że w ten sposób niektórym się naraża.

Mijając kuźnię, nie widzi śledzących ją niechętnych oczu Wojciecha. Pomocnik kowala wychodzi na zewnątrz dopiero, kiedy Wiga jest już daleko. Patrzy za nią, a potem spluwa, klnąc pod nosem. Chłopak, który terminuje w kuźni, patrzy zdziwiony.

- Co wam garbuska zrobiła, że za nią plujecie? – pyta.
- Nienawidzę wiedźmy, ot co!
- Czemu mówicie, że ona wiedźma? Mojego brata wyleczyła z gorączki. Matka ją zawsze woła, jak kto w domu chory.
- No to uważajcie, żeby wam Złego do domu nie ściągnęła.
- Złego? – Chłopak żegna się pospiesznie. – Skąd?
- Na pewno ma konszachty ze złymi duchami. Widziałeś kiedyś babę, co by sobie dawała ze wszystkim radę bez chłopca? Niedawno, jak poszła do wsi, zajrzałem do jej chałupy.
- Nie baliście się?
- Ja się jej nie boję. Nawet jak zaklęciami próg zabezpieczyła, to nade

mną one nie mają mocy.

– A po co do niej łaziliście?

– Lubię wiedzieć, co kto ma.

– Do nas też chodzicie?

– U was nie ma nic ciekawego. Macie zwyczajnie, jak każdy.

– A garbuska?

– Też niby zwyczajnie, ale jak baba sama, to nie ma prawa mieć pełnych garnków kaszy i grochu, żołądzi w beczkach i drewna na dwie zimy. Ma wszystkiego tyle, że jeszcze starej Elżbiecie nosi.

– To chyba dobrze, że biednej pomaga.

– Mówię ci, że ona jest ze Złym w zмовie. A słyszałeś, że ta jej Rozala, co nie wiadomo skąd się na świecie wzięła, do miasta na służbę poszła? Myślisz, że ktoś by tak zwyczajnie wziął dziewczynę bez pochodzenia? Na pewno zaklęciami tych ludzi z miasta otumaniała. Widziałeś jej oczy?

– Rozali czy garbuski?

– Garbuski przecież! – Wojciech się denerwuje. – Chociaż dziewczucha ma podobne. Jak nic uroczone. Trzeba uważać, żeby jakiej choroby nie zadała. Moja córka, Agnieszka, przez nią umarła.

– Do roboty chodźcie, zamiast gadać po próżnicy! – Gniewny głos kowala przerywa Wojciechowe wywody, jednak niepokój zasiany w umyśle chłopaka zostaje.

Wiga tego nie planowała, ale teraz, gdy załatwiła wszystkie sprawy we wsi, nogi same ją niosą do dworu. Długa samotność jej dojadła. Nie chce wracać do pustej chałupy, nie nagadawszy się do syta.

Szczęśliwie Baltazar, którego obecność krępowałyby zielarkę, jest na zrębie. Agata krząta się przy obiedzie. W dworskiej kuchni jest ciepło i pachnie warzywną polewką na mięsie. Aż się chce posiedzieć. Wiga odkłada toból z wełną, odstawia kosz i zdejmuje kozuch oraz wielką wełnianą chustę. Pod spodem ma jeszcze drugą, cieńszą, okrywającą tylko głowę.

– Trochę mi lżej. – Wzdycha z ulgą. – Mróz, że trudno oddychać, a ja cała się spociłam.

– Po co tyle dźwigasz? Młoda nie jesteś. Powinnaś bardziej uważać.

– Nie chciałam dwa razy chodzić. Bardziej niż zimna boję się ślizgawicy. Gdybym złamała nogę, byłoby po mnie.

Agata, nie pytając, nalewa do miski zupy z mięsem, a na desce kładzie pokrojony chleb.

– Jedz – zaprasza. – Pewnie jesteś głodna.

Wiga pochłania zupę, a Agata nad czymś się zastanawia. Czeką, aż przyjaciółka wytrze chlebem resztki zupy, i zachęcona jej pełną zadowolenia miną, odzywa się:

– Dawno chciałam cię o coś zapytać, ale jakoś nie śmiałam...

– Nie śmiałaś? – Wiga się dziwi. – Pytaj.

– Bo widzisz, cały czas w głowie mi stoi ten dzień, kiedy rannego przywieźli z folwarku. Tak nagle wtedy wyszłaś...

– Kozy były głodne.

– Wiem, że nie o kozy chodziło. Nie chcesz, to nie mów. – Kucharka się dąsa i odwraca w stronę paleniska, udając, że musi zajrzeć do garnka.

Wiga się zastanawia, rozgląda, jakby się bała, że ktoś usłyszy, wreszcie wyznaje:

– Ten człowiek miał na plecach znak taki samiutki jak moja Rozala.

– To co? Mało ludzi ma coś na skórze? Patrz. – Agata odsuwa czepek i pochyla głowę, odsłaniając małe brązowe znamię na karku.

– Nie słyszałaś? Taki samiutki! Wiem, że każdy coś ma, ale takie same trafiają się tylko w rodzinach. Chodzę do rodzających, czasem widzę to samo u matki i u dziecka. U ojca też. Pamiętasz Jaśka od rybaka? Miał na gębie czerwoną plamę i ojciec też. Albo jak jeszcze za pana Żychlińskiego żona krawca urodziła dziewczynkę, a potem zrobiła się awantura, bo miała na szyi taki samiutki znak jak sąsiad?

– O tym nie słyszałam. Chyba mnie tu jeszcze nie było. I co się stało?

– Dzieciak raz-dwa umarł. Krawiec go upuścił na podłogę. Niby niechcący.

– Biedactwo!

Wiga ma prawdopodobnie nadzieję, że Agata zapomni, o czym rozmawiały na początku. Podnosi się z ławy i oznajmia:

– Ugrzałam się, głodna też nie jestem, mogę iść dalej.

– Czekaj! Nie powiedziałaś mi wszystkiego. Nawet jeżeli Rozala i tamten człowiek mają to samo na plecach, nie myślisz chyba, że to jej krewniak.

– Tłumaczę sobie, że to niemożliwe, ale wiem, co widziałam. Próbuję zająć głowę czym innym, ale nie potrafię. Czy pan Baltazar powiedział ci, kim on jest?

– Mówił, że się nazywa Radoszewski i że to milczek. Nic więcej.

– Był tu kiedy wcześniej?

– Zastanawiasz się, czy mógł spotkać twoją Dorotę? Po co ci to? Nie pogonisz za nim i nie powiesz, żeby się zajął Rozalą.

– Chciałabym wiedzieć, czy on tu był, kiedy przepadła moja córka.



Błoto jest wszędzie. Sięga niebios, wlewa się do wnętrza chat i zdaje się przenikać do ludzkich umysłów.

Mija zima najgorsza ze wszystkich. Właściwie jest już wiosna, lecz trudno tak nazwać to, co się dzieje w pogodzie. Śnieg padał przez cały luty, potem, w marcu, dosypywał, jakby go było za mało. Ostatnia śnieżycą przyszła z końcem miesiąca, a drugiego dnia kwietnia zaczęło wiać. Ciepły południowo-wschodni wiatr błyskawicznie topił grubą, białą warstwę. Rzeki oszalały. Piętrząca się kra zatykała koryta, woda występowała z brzegów, zalewając pastwiska, pola i chaty. Rzeczpospolitą udreńczoną wojną, zarazą i srogą zimą nawiedziła powódź.

W Karge błoto jest wszędzie. Gdziekolwiek człowiek chce postawić

stopę, w nie wpada. Ziemia się napiła. Ze wzniesienia, na którym są pola, woda spływa w dół, żłobiąc głębokie koryta. Wielka Wieś, Karge, Unruhstadt i Chwalim znalazły się w pułapce. Z jednej strony spływa na nie topniejący śnieg, z drugiej jest rzeka zalewająca pastwiska i łągi. Tonie część Karge nazywana Dolną Wsią. Woda jest w chatach, a ludzie i zwierzęta schronili się na nieco wyżej położonych terenach. Niektóre owce zimujące w szopach na obrzeżach wsi trzeba było przepędzić, inne stoją prawie po brzuchy w rozmoczonych odchodach. Głód zagłęda zwierzętom w oczy. Na nasiąknięte wodą albo całkiem zalane pastwiska nie można ich wygonić, a siano się kończy.

Do wspomnień z czasu zarazy i myśli męczących w długie noce dokłada się błoto. Nic nie jest tak, jak być powinno. Bezradność człowieka w zderzeniu z naturą przytłacza. Sprawia, że pozostaje mu tylko opuścić ręce, usiąść i czekać na cios.

Wiga musiała pójść do wsi. Nie to, że ktoś ją wołał. Nie może już znieść bezczynności. Do lasu albo na łąki nie ma po co się wybierać. Wszędzie woda albo śnieg. Tym razem nie dźwiga żadnych ciężarów. Przy sobie ma tylko woreczek z grochem dla Elżbiety i zawiniątko z ziołami i maściami, które da Agacie. Bywa, że ludzie szukają pomocy we dworze. Jeszcze za Żychlińskiego pieczę nad domową apteczką trzymała żona właściciela, a różnych specyfików dostarczały kolejne zielarki. Teraz kucharka pełni rolę pani udzielającej pierwszej pomocy.

Idąc do Elżbiety, zawsze mija miejską studnię, z której mieszkańcy Unruhstadt czerpią wodę. Dzisiaj, brnąc boso przez błoto, skupia się na utrzymaniu równowagi, dlatego późno dostrzega gromadkę kobiet otaczających cembrowinę. Nie oczekują na swoją kolejkę. Żuraw sterczy nieruchomo, a one z nosidłami na ramionach albo z cebrzykami w dłoniach zawzięcie deliberują.

Normalnie Wiga przyspieszyłaby kroku, by czym prędzej zejść im z oczu. Większości z nich nie zna. To osadniczki przybyłe w ostatnich latach do powstającego miasta. Są w dobrej komitywie, a przy studni zawsze mają coś do omówienia. Gdyby do nich podeszła, zapewne

zamilkłyby i obrzuciły niechętnymi spojrzeniami. Teraz nawet nie zwracają uwagi na garbatą zielarkę wyciągającą stopy z młazszczącej mazi pełnej najróżniejszych nieczystości. Są zbyt zaaferowane, a może nawet wystraszone. Do uszu Wigi dolatują słowa, z których domyśla się, co się stało. Podobno w pewnym oddaleniu od traktu wiodącego na zachód pod topniejącym śniegiem znaleziono ciało. Nie wiadomo, kto to ani jak długo leżał. Większość kobiet jest zdania, iż to wędrowiec, który zamarzył zimą. Wiadomość budzi jednak niepokój. Tak wiele złych rzeczy ostatnio się wydarzyło, a trup przy drodze może być znakiem zapowiadającym następne nieszczęścia.

Wiga też tak myśli. Zwykle przecucia jej nie mylą. I tym razem coś jej podpowiada, że to dopiero początek. Wyciąga nogę z brei i, podpierając się kijem, robi kolejny krok. Wyczuwa stopą coś miękkiego. To prawdopodobnie martwy szczur. Dreszcz obrzydzenia przebiega po plecach, a mleko wypite z rana podchodzi do gardła. Rusza dalej, ale teraz każdy krok naznaczony jest obawą nadeptnięcia na coś równie odrażającego.

Elżbieta jest bardzo chora. Wracając bosą z niedzielnego nabożeństwa, skaleczyła się w piętę. Wiga od progu czuje zapach niezwiastujący niczego dobrego. Noga aż po udo jest obrzęknięta, a z rany wydobywa się cuchnąca wydzielina.

– Czemu mnie wcześniej nie wołałaś?

– Jak? Mało kto do mnie zachodzi. A do ciebie kto by poszedł, jak takie błoto.

– Przecież wszyscy powinni się tobą opiekować. Powiem zarządcy, że cię samą zostawili.

– Daj spokój. Będzie z tego kłótnia. Ja i tak umieram.

– Co ty mówisz! Nie wolno tak.

– Wigo, nie oszukuj mnie. Wiem, że śmierć stoi za drzwiami i czeka. Daj mi czegoś, żebym zasnęła i długo się nie męczyła. Odkąd morowe powietrze moich zabrało, stale myślę, żeby pójść za nimi. Daj mi coś, Wigo, żebym zasnęła.

Uścisk dłoni starej kobiety jest wciąż mocny. Trzyma zielarkę za przegub i nie pozwala jej odejść. Patrzy w oczy błagalnie i czeka na obietnicę.

– Jutro przyniosę ci żabiego barszczu – odzywa się Wiga po długim namyśle. – Będiesz po nim dobrze spała. Tylko nie bierz za dużo, bo możesz zasnąć na zawsze.

W kuchni u Agaty jak zwykle ciepło i przytulnie. Zarządca we wsi. W gospodarstwie cicho, jakby nikogo nie było. Wiga, nakarmiona i obdarzona chlebem, ma właśnie wychodzić, kiedy zjawia się von Lest.

– Już wiadomo, czyje ciało odłoniła odwilż – oznajmia wyraźnie zasmucony. – To chłopak z Dolnej Wsi. Pracował u nas jesienią.

Wiga siada z powrotem na ławie, jakby zabrakło jej sił.

– Nie – mówi. – To nie o niego chodziło. Nie o Adama. Ja nie tego chciałam.

– Co ty mówisz? – Agata nie rozumie, co się dzieje. – Jaki Adam?

– Ten zamarznięty miał na imię Adam – wyjaśnia Baltazar. – Skąd wiedziałaś? – zwraca się do Wigi, ale ona zdaje się nie słyszeć. Zrywa się z ławy, nie biorąc chleba, i wypada na zewnątrz. Szybko, nie zważając na błoto, pędzi w stronę swojej chałupy. Wywraca się, podnosi, i uwalana brunatną mazią, podpierając się kijem, idzie dalej. Nagle się zatrzymuje. Najpierw spogląda w niebo, jakby tam szukała wyjaśnienia, potem bierze rozmach i pełna gniewu raz za razem tłucze kijem w błoto.

– Nie on, rozumiesz?! Nie o niego chodziło! Nie o Adama!



Wierni, którzy nie zmieścili się w kaplicy, stoją w palącym słońcu i opędzają się od natarczywych much. Zaraz po święcie Zmartwychwstania zrobiło się upalnie. Błoto najpierw zamieniło się w twardą skorupę, a potem w pył. Wkrótce wyszło na jaw, ile drobnych zwierząt, dzikich i hodowlanych, znalazło śmierć w wodzie i w mule.

Burmistrz Unruhstadt i zarządca Karge nakazali sprzątanie wszelkich nieczystości i wywożenie ich za miasto, do dołów po glinie. Niewiele to pomogło. Czarna śmierć co prawda nie wróciła, ale żniwo zaczęła zbierać czerwotka. Wszystkie te nieszczęścia sprawiły, że śmierć starej Elżbiety i znalezienie ciała Adama przeszły bez większego echa. Za to Wiga, dręczona poczuciem winy, nie może znaleźć sobie miejsca. Teraz też, zamiast próbować usłyszeć, co mówi pastor głoszący w kaplicy kazanie, spogląda na matkę Adama. Kobieta w czerni jest coraz chudsza. Córek z nią nie ma. Jan Broda, jej mąż, też stoi samotnie. Wyróżnia się pośród innych mężczyzn dostatnim przyodziewkiem i porządnymi skórzanymi butami. Ci, którzy mogą sobie pozwolić na takie buty, zwykle zajmują pierwsze miejsca w kaplicy. Dziwne, że Broda woli stać pod gołym niebem.

Agata, wyszedłszy ze świątyni, wypatruje zielarki. Ta robi właśnie krok w stronę Brodowej. Chce powiedzieć, jak bardzo jej szkoda chłopaka. Odpycha ją jednak nieprzyjazne spojrzenie.

– Mam nowiny. Chodź. – Agata bierze Wigę pod ramię i prowadzi do dworu. – Całą niedzielę będę sama. Możemy spokojnie porozmawiać – zachęca opierającą się zielarkę.

Siadają na ławeczce pod lipą i gaszą pragnienie chłodnym piwem przyniesionym z lodowej piwnicy. Machają przy tym gałązkami bzu, by odgonić muchy pchające się do kubków, ust i oczu.

– Co to za nowiny? – pyta Wiga bez szczególnego zainteresowania.

– O Adamie, tym, co go znaleźli w lesie przy trakcie.

– O Adamie? Przecież on już w grobie.

– Ale prawdy o nim nikt dotąd nie znał – mówi tajemniczo Agata. – Brodowie z nikim nie są blisko. Sprowadzili się kiedyś do Karge, bo ona dostała chałupę po babce. Kiedy znaleziono tego chłopaka, to ktoś sobie przypomniał, że ta babka właśnie dawno temu wyznała w sekrecie, że wnuczka nieszczęśliwie wyszła za mąż, że kochała kogo innego i jak Broda na Śląsku przez rok las rąbał, ona wróciła do kochanka, chociaż już miała dwójkę dzieci. Adam to nie syn Jana, a kochanka. Broda w końcu

wrócił, tamtego zabił, a ją przez całą wieś całkiem gołą przepędził, żeby wstydu jej narobić.

– I co? – Wiga dawno się domyśliła, że Adam nie jest dzieckiem Brody, dlatego nowina przekazana przez Agatę nie budzi emocji.

– Broda przed katem się wybronił, bo przyznano mu rację. Musiał tylko zapłacić karę. Chłopaka zawsze nienawidził, a tylko dlatego go przy życiu zostawił, żeby grzech swojej kobiecie przypominać.

– Ona też go nienawidziła.

– Może i tak było, ale jeżeli kochała jego ojca, to chyba nie powinna. W ogóle to dziwna z niej kobieta. Wiesz, że wszystkie córki oddała na służbę? Chociaż najmłodszą mogła przy sobie zostawić.

– Gdzie są?

– Dwie w Gross Schmöllen, a jedna w Kopanicy.

– To wszystko? Chciałabym już iść.

– Dwa dni temu posłaniec przywiózł list. Gości będziemy mieć w pałacu.

– Pan Unrug?

– Nie. Te panie, co kiedyś były z dziewczynką. Pamiętasz?

– Co mam nie pamiętać. Patrzyły na mnie, jakbym była jakimś dziwadłem. Kukła po nich została. Rozalka ją ma. Po co przyjeżdżają? Znowu mała chora?

– Nic nie wiem o dziewczynce. Po co przyjeżdżają, też nie. Baltazar zły jak osa, bo mają być tu kilka dni, a potem on ma je do Międzychodu odstawić. Pan Unrug chyba nie rozumie, ile tu pracy. Baltazar nie ma czasu zajmować się gośćmi, a tym bardziej podróżować. W dodatku planował przed zniwami pojechać na Śląsk. Ma tam jakieś pilne sprawy. Mnie nie mówi, o co chodzi, a ja nie pytam. Żoną nie jestem, żeby musiał się tłumaczyć.

– Niedługo będziesz.

– Niby tak, ale im bliżej ślubu, tym mniej jestem pewna, czy dobrze zrobiłam, że się zgodziłam. Byłam wtedy po chorobie i nie myślałam

jasno. Powiedz, czy to normalne, żeby szlachcic brał kucharkę za żonę?

– Nie przeszkadzało ci to, kiedy prosiłaś o zioła na kochanie.

– Kochałabym i teraz, ale ślub to co innego. Wolałabym żyć jak przedtem.

– W grzechu? Nic dobrego z tego nie wyszło.

– Mogę żyć w grzechu, byle się nie wydało. A tak, odkąd powiedział, że chce mnie za żonę, nawet mnie nie pocałował. Prawie rok żyjemy obok siebie jak obcy. Patrzę na niego czasem, widzę, że coś go gryzie, przytuliłabym, pocieszyła, a tu nie wolno, bo nie wiadomo, czyby do grzechu nie doszło.

– Pójdę już. – Wiga się podnosi i sięga po kij. – Widzisz? Już bez niego mi ciężko. Jeszcze rok temu podpierałam się tylko wtedy, gdy coś dźwigałam. Teraz nie ruszam się bez patyka.

– Rozala powinna wrócić. Byłoby ci lżej.

– Niech siedzi w mieście. Tu nie ma dla niej żadnej przyszłości.

Wiga odchodzi, a w jej głowie kłębią się myśli o Adamie, płonnych nadziejach, że on i Rozalka kiedyś... i że sama jest winna, iż wszystko przepadło.



Kareta z gośćmi właśnie zatrzymała się przed wejściem do pałacu. Dwóch pachołków towarzyszących paniom dla ochrony nie zsiada z koni, czekając na polecenia. Jeszcze chwila i drzwi pojazdu się otwierają. Pierwsza stawia nogę na stopniu pani Teodora Broniewska. Baltazar oczekujący gości na progu pałacu zauważa, że starsza pani nic się nie zmieniła. Jest trochę zmęczona podróżą, poza tym wygląda, jakby czas się dla niej zatrzymał. Jeszcze na dobre nie wysiadła, a już lustruje dziedziniec w poszukiwaniu czegoś do skrytkowania. Rozczarowana brakiem niedociągnięć ustępuje miejsca towarzyszce. Pani Luiza de Croy, po mężu Skórzewska, a obecnie wdowa po Wacławie Skórzewskim, ma stosowną do okoliczności zboląłą minę. Z listu zapowiadającego

przybycie gości Baltazar się dowiedział, że latem ubiegłego roku małżonek pani Luizy poległ w walkach o Poznań. Agata, czekająca na polecenia w odległości kilku kroków od von Lesta, wypatruje dziewczynki, lecz poza dwiema służącymi nikt więcej z karety nie wysiada.

Pałac wysprzątno tak dokładnie, że trudno byłoby znaleźć na meblach najmniejszy pyłek. Gdyby jednak zapomniano o jakiejś drobince kurzu, ujawniłoby ją na pewno słońce wpadające do wnętrza przez czyste szyby. Jego gorące promienie sprawiają, że na twarzy pani Teodory pojawia się uśmiech pełen satysfakcji.

– Kto zostawił odsłonięte okna? Jak można było dopuścić do nagrzania komnat. Proszę natychmiast zaciągnąć zasłony! Panie Baltazarze, musisz czym prędzej zatrudnić dobrą służbę – zwraca się do idącego za nią pół kroku z tyłu von Lesta. – Wiem, wiem – mówi, nie bacząc na to, że mężczyzna się nie odezwał. – Na wsi trudno o wyszkolonych ludzi. A ty podobno masz tylko kucharkę. Co może wiedzieć kobieta od garnków o prowadzeniu domu. Potrzebna tu służba i ochmistrzyni, żeby nad wszystkim trzymała pieczę.

– Jestem tu sam – udaje się wtrącić Baltazarowi. – Nie trzeba mi gromady pokojówek i lokajów. Przydaliby się raczej ludzie do pracy w polu.

– Pole to jedno, a pałac drugie. Szlachcic powinien żyć na odpowiednim poziomie. Jeszcze o tym porozmawiamy. Teraz udamy się do naszych komnat, by zmienić suknie, a tymczasem kucharka niech podaje obiad.

Podczas posiłku pani Teodora nie mogła nie poczynić uwag na temat zbyt słonej polewki, niedopieczonego mięsa, rozgotowanych warzyw i deseru, którego nie tknęła, bo dziwnie wyglądał. Luiza Skórzewska starała się łagodnie mitygować towarzyszkę, lecz odnosiło to odwrotny skutek.

Nie lada wyzwaniem jest dla Baltazara poobiedni spacer z paniami – Teodorą kroczącą przodem i Luizą u jego ramienia. Doskonale zdaje sobie

sprawę z zaniedbania parku. Ogrodnik z Międzychodu nadzorujący całość przyjeżdża zbyt rzadko, a przyuczony przez niego chłopak umarł na czarną śmierć. Von Lest uważa pielęgnację żywopłotów i formowanie drzew za rzecz drugorzędną wobec powstrzymania ataku perzu, lebiody oraz gąsienic na uprawy warzyw. Wyjaśnienia, że morowe powietrze zabrało wielu pracowników, nie przekonują pani Teodory. Na wszystko ma gotową odpowiedź. Gdyby nie dodające otuchy uściski Luizy, Baltazar opuściłby towarzystwo, nie bacząc na obowiązki gospodarza. Za to przy wieczerzy oznajmia, że jutro z samego rana wybiera się na pola i prawdopodobnie nie będzie go aż do wieczora.

Przed snem zagląda do kuchni. Agata myje talerze. Widać, że płakała. Teodora Broniewska potrafi boleśnie kąsać.

– Do niczego się nie nadaję – skarży się kucharka. – Źle gotuję, nie umiem sprzątać, nawet grządki w ogródku skrytykowały. Kiedy mnie zobaczyły, zaczęły rozmawiać po cudzoziemsku. Na pewno mówiły o mnie, bo patrzyły tak...

– Nie przejmuj się nimi – pociesza Baltazar. – Jeszcze dwa dni i będzie spokój.

– Ale ty z nimi pojedziesz.

– Muszę, chociaż nie wiem po co. Podobno boją się jechać przez lasy, bo coraz więcej zbójców. Krzysztof myśli, że jestem taki jak kiedyś.

– A jaki kiedyś byłeś?

– Zuchwały. Nie bałem się śmierci, bo wydawało mi się, że nie mam po co żyć. Zanim ożeniłem się z Zuzanną i osiadłem w moich włościach, uczyłem się szermierki u najlepszego mistrza w Italii. Potem, kiedy straciłem żonę i dzieci, przez wiele lat walczyłem, a jeszcze później dbałem o bezpieczeństwo Krzysztofa. Pewnego razu w Niderlandach na trakcie między Lejdą a Utrechtem napadli na nas zbójcy. Było ich siedmiu. We dwóch daliśmy im radę.

Wejście jednej ze służących przerywa opowieść.

– Pani Broniewska kazała sobie zrobić herbaty z mięty, bo brzuch ją

boli.

– Mogła tyle nie jeść na kolację – mruczy pod nosem Agata, ale rozgrzebuje zabezpieczony na noc żar i dokłada drewek. – Jak ty z nią wytrzymujesz? – pyta dziewczynę.

Zostały same, bo Baltazar na wspomnienie o pani Teodorze czmychnął z kuchni.

– Nie jest zła. Tylko tu wciąż biadoli, jakby coś w nią wstąpiło. Nie wiem, po co mamy tutaj siedzieć jeszcze dwa dni, jak nic jej się nie podoba.

– Pani Skórzewska pewnie już śpi.

– Gdzie tam. Suknie w kufrze przewraca.

– Do czego jej suknie? Na wieś się wybiera?

– Chyba chce się waszemu zarządcy spodobać. Odkąd owdowiała, siedzi u pani Broniewskiej na łaskawym chlebie. Skórzewski miał niewiele, bo żył ponad stan. To, co po nim zostało, zapisane na dziewczynkę. Laura jest teraz u dziadków we Francji, a pani Skórzewska poluje na męża.

Kucharce nie dane było położyć się do snu, bo jak tylko wyszła służąca pani Teodory, w kuchni zjawiała się pokojówka młodszej z dam z innym poleceniem. Miała więc Agata co robić do późna, a przy tym o czym myśleć.



Perspektywa spędzenia dnia w siodle dawno nie była tak kusząca. Ranek jest rześki, powietrze pachnie sianem, a z lasu dobiega kukanie. Baltazar jak zwykle zamierza wyruszyć bez śniadania. Normalnie później wpadłby na chwilę coś przekąsić, ale nie dzisiaj. Jeśli zgłódnieje, wstąpi raczej do karczmy. Wszystko, byle uniknąć towarzystwa gości.

Zarządca rażno zmierza ku wybiegowi dla koni, mija budynek stajni i staje jak wryty. Przy ogrodzeniu czeka Luiza Skórzewska i wita go

radosnym uśmiechem.

– Postanowiłam pojechać z panem – oznajmia. – Teodora nie czuje się najlepiej i woli zostać sama.

– Nie mam siodła dla damy – próbuje się bronić Baltazar.

– Ależ to drobiazg! Potrafię jeździć na męskim. Mam nawet odpowiedni strój. Proszę spojrzeć. – Mówiąc to, Luiza rozstawia szeroko nogi. To, co wydawało się spódnicą, okazuje się spodniami o bardzo szerokich nogawkach.

– Będę na polach cały dzień. – Von Lest chwyta się ostatniej deski ratunku.

– We Francji wiele razy towarzyszyłam w polowaniach memu ojcu i braciom. Naprawdę długo wytrzymuję w siodle. A jeśli panu dokuczę, odeśle mnie pan do pałacu. – Skórzewska uśmiecha się filuternie, jakby była pewna, że nic takiego się nie zdarzy. – I już nie chcę słyszeć żadnych wymówek! Prędko! – zwraca się do stajennego oczekującego kilka metrów dalej. – Proszę osiodłać dla mnie konia i przytroczyć kosz z prowiantem.

Napotkawszy pytające spojrzenie mężczyzny, Baltazar przyzwala skinieniem głowy, tym samym poddając się ostatecznie.

– Nie wiedziałem, że mówisz pani po polsku. Kiedy byłyście tu trzy lata temu, rozmawialiśmy po łacinie.

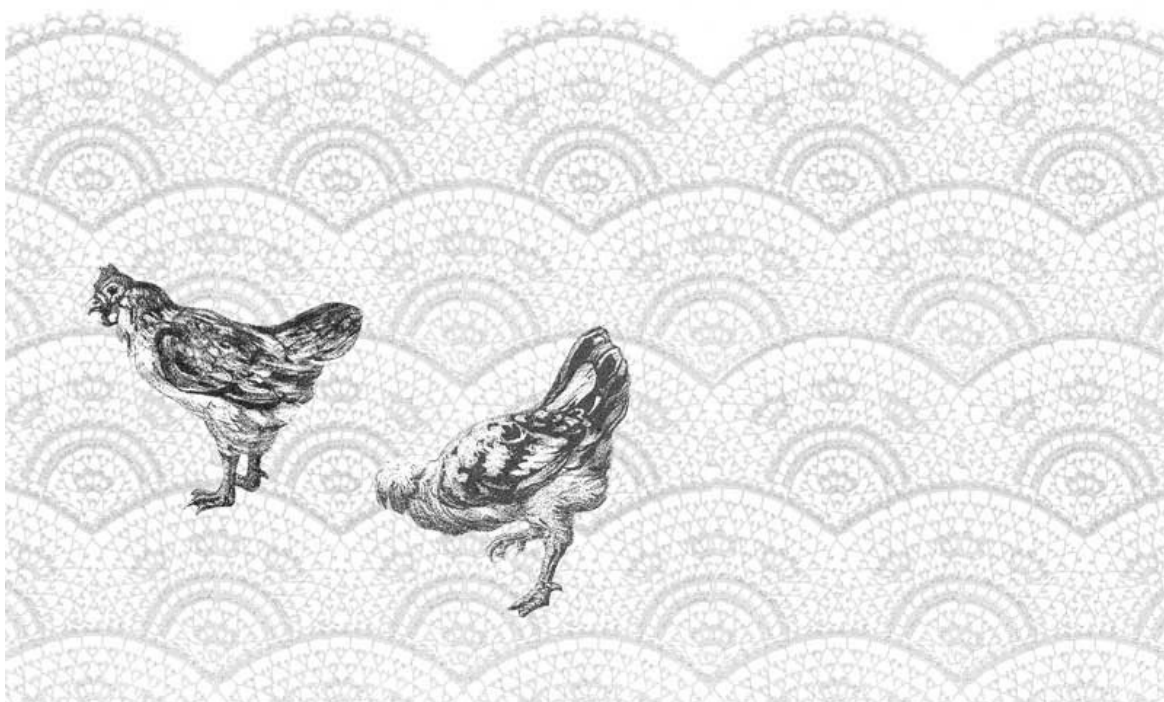
– Och, musiałam się nauczyć. Matka mego świętej pamięci męża wymagała, bym porozumiewała się w tym języku i żeby Laura też się go uczyła. Biedaczka nie potrafiła zamienić słowa po francusku, niemiecku albo po łacinie. W towarzystwie czuła się kompletnie zagubiona. Ja trzy lata temu mówiłam już dość dobrze, ale swobodniej czułam się w łacinie. Teraz nie mam takich problemów. Jedyne od francuskiego „r” nie mogę się odzwyczaić.

– Szczerze podziwiam. Ja nadal mam kłopoty z tym językiem. Zresztą tu, na granicy Królestwa Polskiego i Brandenburgii, mowa jest mieszanką polskiego i wszystkich innych języków, jakie ludzie ze sobą przywieźli.

Wbrew obawom Luiza Skórzewska okazuje się przyjemną towarzyszką. Zadaje wiele pytań, a von Lest cierpliwie tłumaczy, dziwiąc się, skąd u mieszkanki pałaców taka ciekawość spraw wiejskiego gospodarstwa. Przed południem zsiadają z koni i w cieniu dębu jedzą śniadanie przygotowane w nocy przez Agatę. Gawędzą dalej, a dama wykorzystuje przy tym cały arsenał powłóczyстых spojrzeń, skromnych uśmiechów, łez uронionych z powodu wdowieństwa i tęsknoty za córką oraz zachwyty nad mądrością Baltazara.

Późny obiad, a raczej wczesną wieczerzę, też jedzą tylko we dwoje. Pani Teodora dalej niezdrowa, dlatego została u siebie. Krótka czerwcową noc odurza dźwiękami i zapachami. Von Lest wierci się w łóżu. Spacer przed snem zamieszał mu w głowie. Muśnięcie delikatnej dłoni, westchnienie i kolejna łza obudziły w nim czułość i chęć niesienia pomocy tej delikatnej istocie. Rano budzi się ze świadomością, że śniły mu się orzechowe oczy, gładka szyja i suknia z głębokim dekoltem.

ROZDZIAŁ V





Oddalając się od dworu, Baltazar się nie zastanawia, co myśli stojąca w bramie kucharka. Dziwnie mu lekko zostawić pilne obowiązki. To, czego sobie nie wyobrażał jeszcze parę dni temu, teraz stało się czymś normalnym. „Karge się nie zawali, jeśli nie będzie mnie przez jakiś czas” – powiedział zdumionej Agacie. Nie dodał, że czuje się młody i pełen nadziei. Na co? Tego nie potrafiłby wyjaśnić. Gdyby ktoś go zapytał, co się z nim dzieje, na pewno powiedziałby, że nic, że tylko spełnia prośbę Krzysztofa. Eskortuje jego powinowate do Międzychodu.

Na postojach towarzyszy damom podczas spaceru, a w karczmie, w której zatrzymują się na noc, pilnuje, by miały czyste prześcieradła i pokój zamykany od wewnątrz.

Międzychód robi wrażenie wyludnionego. Nic dziwnego, morowe powietrze mogło zabić nawet połowę mieszkańców. Rodzina właściciela jest od jakiegoś czasu z powrotem w zamku, jednak wydaje się, że wszyscy żyją tym, co się działo do niedawna w odległym o pół dnia drogi Sierakowie. Otóż blisko miesiąc bawiła tam para królewska. Niektórzy mówią, że była to wizyta pojednania między Janem Kazimierzem a rodem Opalińskich, którzy na początku wojny stanęli po stronie Szwedów. Inni dostrzegli, że pobyt na zamku w Sierakowie położonym blisko granicy z Brandenburgią wykorzystywała Ludwika Maria do prowadzenia ożywionej korespondencji dyplomatycznej. Nie jest żadną tajemnicą, że to właśnie Jej Królewska Mość faktycznie kieruje polityką zagraniczną państwa.

Krzysztofa nie ma w pałacu. Towarzyszy królowej podczas krótkiej wizyty w Berlinie, a jego ludzie strzegą jej bezpieczeństwa. Podczas drogi powrotnej władczyni ma się zatrzymać w Międzychodzie, dlatego

przybycie Teodory Broniewskiej, ciotki Marianny Unrug, oraz Luizy i Baltazara nie robi na nikim wrażenia. Żona Krzysztofa, która wyszła powitać gości, wygląda na zmęczoną. Biały czepiec szczelnie okrywający włosy wiązany pod brodą i ciemna, skromna suknia czynią panią Mariannę starszą, niż jest w rzeczywistości. Nie ma jeszcze dziesięciu lat, odkąd jest żoną Unruga, a już bardziej przypomina stateczną matronę niż delikatne i słodkie dziewczę, jakie Baltazar pamięta z pierwszej wizyty w Karge. Po krótkiej, zdawkowej rozmowie na temat podróży von Lest opuszcza panie i udaje się na poszukiwanie Jakuba.

W domu zarządcy dowiaduje się, że chłopak ma już wolne i gdzieś poszedł. Gdzie i po co, nie wiadomo. Kobieta udzielająca informacji patrzy podejrzliwie, jakby Baltazar pytał o miejsce przechowywania oszczędności, a nie o młodzieńca praktykującego u jej męża. Nie pozostaje nic innego, tylko próbować znaleźć Jakuba w gospodarstwie. Tu pierwsza napotkana osoba pokazuje w stronę pobliskiego jeziora.

– Poszedł pławić wasze konie – wyjaśnia mężczyzna.

Piaszczysty szlak prowadzący do wody znaczą ślady kopyt i racic, odchody zwierząt, roje much i charakterystyczny zapach unoszący się w powietrzu. Wszędzie, poza tym jednym miejscem, dotarcie do brzegu utrudniają krzewy, drzewa i wysokie pokrzywy.

Mimo że zbliża się wieczór, nadal jest gorąco, dlatego Baltazar zatrzymuje się w cieniu. Przed sobą ma widok na pozbawione trzciny zejście do jeziora i fragment zalanej słońcem srebrzystej tafli. Konie brodzą w wodzie. Od czasu do czasu kładą się i tarzają, rozpryskując wokół wielkie krople. Jakub siedzi na piasku. Z mokrych włosów przyklejonych do opalanej skóry spływają krople wody. Von Lest nie widzi twarzy chłopaka, lecz przygarbione plecy i opuszczona głowa pozwalają się domyślać, że coś go trapi. Nagle w pamięci Baltazara pojawia się obraz sprzed blisko jedenastu lat. Błotnista droga i samotne dziecko na jej środku. Zrezygnowane, obojętne, czekające na śmierć. Jakub na brandenburskim pustkowiu i Jakub siedzący na piasku są tak samo samotni.

Wierzchowiec Baltazara pierwszy wychodzi z wody. Zatrzymuje się tuż przed chłopakiem i pochyla łeb, jakby szukał smakołyków. Jakub nie ma przy sobie niczego, co sprawiłoby przyjemność zwierzęciu. Kilka pieszczotliwych klepięć i młodzian podnosi się z piasku. Dopiero teraz widzi, że nie jest sam. Uśmiecha się powściągliwie na widok znajomej twarzy.

– Dlaczego nie przyszedłeś się przywitać?

Wyrzut w głosie Baltazara nie robi na chłopaku żadnego wrażenia.

– Przyszedłem, ale byliście tak zajęci damą, że mnie nie zauważyliście.

– Tak? – Von Lest nie umie ukryć zmieszania. – Mogłeś poczekać. Owa dama bardzo chciała cię poznać.

– Mnie?

– Tak, ciebie. Widziała cię kiedyś w Karge. Jak tylko przyjechała, od razu pytała, gdzie cię może znaleźć.

– Chce dostać lalkę z powrotem? Przecież kazała ją wyrzucić!

– Jaką lalkę?

– Tę, którą dałem Rozali, a potem Wiga przyszła do was się awanturować.

– Już sobie przypominam. Nie, to na pewno nie o to chodzi. Pytała o twoich rodziców.

– Co jej powiedzieliście?

– Że jesteś sierotą i że mieszkasz ze mną w starym dworze, a teraz praktykujesz w Międzychodzie. Dzisiaj prosiła, bym cię do niej przyprowadził. Czekał na mnie przed pałacem. Po kolacji po ciebie wyjdę. Tylko nie przychodź w tych mokrych portkach, co je masz na sobie, i włóż czystą koszulę.

Baltazar powiedział Luizie Skórzewskiej znacznie więcej o Jakubie, mimo to nie rozumie przyczyny jej zainteresowania chłopcem. Ona sama nie potrafiła tego wyjaśnić. „Pragnę tylko na niego spojrzeć, nic więcej” – rzekła.

Jakże piękny byłby ten wieczór, gdyby nie chmary komarów lęgnących

się na podmokłych terenach otaczających jezioro i pobliską rzekę. Pani Luiza w sukni z dekoltem niedającym zbyt wielu szans wyobraźni opędza się przed krwiożerczymi bestiami. Nie poświęcałaby się tak bardzo, gdyby nie upór pani Teodory, która każe kuć żelazo, póki gorące. Obie są zdania, że von Lest jest prawie gotowy porzucić śmieszne i niegodne szlachcica plany poślubienia kucharki i oświadczyć się wdowie po Skórzewskim.

„Gdzież się podział ten dziwak?” – Pani Luiza staje na palcach i rozgląda się nad labiryntem z bukszpanu. Po kolacji poszła tylko zmienić suknię. Czwarty raz tego dnia. Niech widzi, że ją stać, choć nie stać jej wcale. Wszystko, czym dysponuje, to ruchomy majątek, który ze sobą wozi. Od Teodory wie, że von Lest ma dobra na Śląsku. Teraz są w dzierżawie u kuzyna Baltazara. To żadna przeszkoda. Po ślubie można odzyskać ziemię i postawić pałac. Nie musi być duży. Wystarczy taki jak w Karge. Pieniądze też von Lest ma na pewno. Wszak od lat na nic nie wydaje, a dochody z dzierżawy wpływają. Luiza się uśmiecha. Życie z Baltazarem może być przyjemniejsze niż ze Skórzewskim. Nie dość, że męża nigdy nie było w domu, to jeszcze wydawał majątek na kochanki. Von Lest jest starszy, stateczniejszy i, co nie mniej ważne, nie ma dzieci i matki, która będzie rządzić. „Gdybym się mocno postarała – Luiza obmyśla przyszłość, opędzając się od komarów – zapisałby wszystko na mnie, a po jego śmierci zostałabym bogatą wdową. Nie to, co teraz”.

Są nareszcie. Widzi ich na końcu alejki. W tej chwili nie zwraca uwagi na Baltazara. Interesuje ją wyłącznie jasnowłosy chłopak. Jest znacznie wyższy i męźniejszy niż trzy lata temu, ale zauważa w nim to samo uderzające podobieństwo. Znowu ma wrażenie, że spotkała ducha. Czy to możliwe, że dwie osoby, które dzielą lata i wielka odległość, mogą mieć tyle wspólnych cech? Podobny chód, sylwetkę, kolor włosów, rysy twarzy, a nawet pochmurne spojrzenie? Luiza nieświadomie rozchyła usta i trwa w osłupieniu.

– Jesteśmy. – Baltazar mówi przesadnie głośno, jakby chciał obudzić z odrętwienia wpatrzoną w chłopca kobietę. – Chciałaś pani zobaczyć Jakuba.

– Jakuba – powtarza jak echo Luiza.

– O co chodzi, pani? Czemu tak pobladłaś?

Zamiast zrozumiałej odpowiedzi z ust Skórzewskiej wydobywa się potok francuskich słów. Mówi do siebie, nie zważając na to, że prócz niej nikt tu nie zna tego języka. Tak jak gwałtownie zaczęła mówić, tak szybko ucina i rozgląda się po parku, jakby chciała sprawdzić, czy nikt jej nie podsłuchał. Tymczasem komary bez przeszkód siadają na jej twarzy, dekolcie i odsłoniętych ramionach.

– Co ci jest, pani? Źle się czujesz? Odprowadzić cię do pani Teodory? – Zatroskany von Lest delikatnie dotyka ramienia Luizy.

– Do Teodory? O, tak! Zaprowadź mnie, proszę.

Zdezorientowany Jakub patrzy za oddalającą się parą. On również nie pojmuje zachowania Luizy Skórzewskiej. Zastanawia się jeszcze przez chwilę, a potem, wzruszywszy ramionami, odchodzi w kierunku rządówki.



Trzy kompanie Polaków i jedna kompania wojsk cesarskich odpowiadają za bezpieczeństwo Jej Królewskiej Mości Ludwika Marii oraz towarzyszących jej osób. Podjęcie tych wszystkich ludzi jest nie lada wyzwaniem, nawet jeśli mają spędzić w Międzychodzie tylko kilka godzin. Królowa wraca z Berlina, gdzie spotkała się z elektorem brandenburskim. W podróży towarzyszył jej Krzysztof Unrug. Zapewne dlatego Ludwika Maria uczyniła mu ten zaszczyt i, mimo pośpiechu, zgodziła się przyjąć zaproszenie na obiad w zamku.

Marianna Unrug dużo wcześniej została uprzedzona o królewskiej wizycie, dlatego w chwili przybycia niecodziennych gości wszystko jest gotowe. W głównej sali międzychodzkiego zamku przygotowano miejsca tylko dla najbliższego otoczenia królowej oraz dla rodziny Unrugów, ale i tak jest dość tłoczno. Wszyscy oczekują na wejście Ludwika Marii i jej dwórek. Królowa i damy, jak to jest w zwyczaju, przebierają się do

obiadu. Wreszcie nadchodzą. Wyglądają jak barwne kwiaty w strojnych, kolorowych sukniach, z głębokimi dekoltami i klejnotami na długich białych szyjach. Pachną też niczym kwiaty, bowiem skropiły się obficie perfumami, miast myć ciało, co jest niezdrowe i niezalecane przez medyków.

Królowa, choć długo jest w Polsce, wciąż nie przywykła do sarmackich dań – tłustych, obficie przyprawionych korzeniami i kwaśnych. Ceni za to polską kuchnię za umiejętność zastępowania tego, czego nie da się szybko sprowadzić z dalekich krajów, a co jest obecne w kuchniach południowej i zachodniej. Lubi na przykład suszone wiśnie używane zamiast rodzynek czy siekane grzyby dodawane w miejsce kaparów.

Tu, w Międzychodzie, pod kierunkiem francuskiego kucharza przygotowano obiad idealnie trafiający w upodobania władczyni, w dodatku bez zamienników.

Na stole przykrytym białym obrusem zjawia się właśnie lekka, orzeźwiająca polewka stosowna do upalnej pogody. Zupa ta jest esencjonalnym wywarem z kapłonów pięknie podzielonych, z dodatkiem odrobiny masła i octu winnego, wzbogacona garścią rodzynek i kaparów.

Kolejnym daniem serwowanym po zmianie obrusów jest frykassa zabelana. Mięso polano sosem sporządzonym z drobno siekanej cebulki podsmażonej na maśle, podlanej rosółem i zagęszczonej żółtkami. Aksamitny, żółty sos pokrywający mięso na półmiskach posypano świeżo tłuczonymi zielonymi pistacjami. Całości dania dopełniają otaczające kompozycję bronelle, czyli duże suszone śliwki. Jednocześnie z frykassą na stole pojawia się pasztet francuski z gołębi i cielęciny wzbogacony dodatkiem karczochów, kalafiorów i duszonych pieczarek. Obu daniom towarzyszą jeszcze drobne figatelle z cielęcego mięsa w sosie agrestowym.

Następna zmiana obrusa i zastawy zapowiada wety, czyli słodki deser. Stanowią go kandyzowane owoce, gruszki i jabłka w miodzie oraz uwielbiane przez królową pomarańcze. Pite jest reńskie wino^[37].

Pierwsza od stołu wstaje królowa. Udaje się na krótki odpoczynek

przed dalszą podróżą. Część gości wychodzi na zewnątrz, by pospacerować w cieniu drzew, inni pytają o privetę, czyli swojski ustęp, a jeszcze inni, znalazłszy pustą komnatę, ucinają krótką drzemkę.

Baltazar szuka Jakuba. Jak każdego, kto ma jako taki wygląd i ogładę, i jego zagoniono do pracy. On akurat znalazł się w grupie sług noszących garnki z kuchni do kredensu^[38]. Nie spotkawszy Jakuba w okolicy kuchni, wraca do pałacu. Wśród ludzi sprzątających talerze, sztucce i kielichy też go nie ma. Von Lest zaczyna się denerwować. Miał czekać po pracy. Przecież się umawiali, że razem pójda do Unruga prosić o zgodę na powrót chłopaka do Karge. Lada chwila Krzysztof wyjedzie z królową do Sierakowa i nie wiadomo, kiedy wróci. Znowu wychodzi na zewnątrz.

– Tu jesteś, panie Baltazarze! – Radosny okrzyk pani Teodory zatrzymuje von Lesta w miejscu. – Szukamy cię z panem Umiłkowskim, a ty przepadłeś jak kamień w wodę.

– Taki dzień, że wszyscy gdzieś przepadają – odpowiada zrezygnowany mężczyzna. – Czegóż chce ode mnie Umiłkowski?

– Jak to? Podobno nie widzieliście się od czasu poselstwa do Westfalii. Tak mi powiedział. Gdzież on jest? Dopiero co tu był. – Pani Teodora kręci głową, próbując zlokalizować polskiego szlachcica. – O! Właśnie do nas idzie!

Wawrzyniec Umiłkowski, mimo że starszy o jedenaście lat, zachował młodzieńczą sylwetkę i gdyby nie kilka siwych włosów w podgolonej czuprynie, można by powiedzieć, że czas się go nie ima.

Nadchodzący szlachcic ma podobne spostrzeżenia o Baltazarze, bo, pomijając powitanie, woła:

– Von Lest, ty się wcale nie starzejesz! Rzekłbym, że wyglądasz lepiej niż kiedyś. Widać, że wieś służy ci lepiej niż wojaczka.

– No nie wiem. – Teodora kwaśno kwituje pochwały Umiłkowskiego. – Schłopiał nam pan Baltazar. Zbyt rzadko wychyla się ze swych wygodnych wiejskich pieleszy. Szlachcic powinien bywać, odwiedzać sąsiadów, przyjmować gości, a od czasu do czasu pokazać się na królewskim dworze. Żony ci trzeba, mości Baltazarze. – Mówiąc to,

Broniewska lekko uderza wachlarzem ramię von Lesta. – Kobiety, która tobą pokieruje, poprowadzi w odpowiednie towarzystwo, doradzi, jak się zachować i ubrać. Tak, tak. Kaftan, który masz na sobie, pamięta pewnie czasy Walezego.

– Ależ... – próbuje wtrącić Baltazar.

– Obserwowałam cię przy obiedzie. – Teodora nie pozwala sobie przerwać. – Skubałeś te wspaniałe potrawy niczym skromna panienska. Domyślałam się, że marzyłeś o wieprzku w kapuście. Oj, schłopiałeś, von Lest. Ratunku ci trzeba. Czy nie mam racji, panie Umiłkowski?

– Cóż poradzić, kiedy wszystkie porządne panny to katoliczki. – Zapytany próbuje dopiec heretyczce Broniewskiej, lecz nie z takimi przeciwnikami pani Teodora miała do czynienia.

– Czy to nie katolicka i wielce świątobliwa królowa przywiozła do nas obyczaj wydobywania na światło dzienne niewieścich wdzięków, które dotąd pozostawały w ukryciu?

– Czyżbyś pani była niechętna naszej władczyni? – Umiłkowski unosi brew, co nadaje jej twarzy wyraz żartobliwej podejrzliwości.

– Ja? Skąd! – oburza się Teodora Broniewska. – Przeciwnie. Uważam, że królowa jest mocno niedoceniana. To prawda, że podobnie jak król i ty, panie Wawrzyńcu, trwa przy starej, błędnej wierze, ale gdyby nie ona, przepadłaby Rzeczpospolita. Jesteśmy tu sami, więc mogę powiedzieć, co myślę. Cały swój majątek na wojnę królowi oddała. Nie musiała, a zrobiła.

– To tylko pożyczka.

– Pożyczka! Niby skąd ten safandula weźmie tyle pieniędzy, żeby oddać? Mówię ci, wszystko przepadło. A tyle dobrego mogła jeszcze zrobić. Szczęście, że zanim ją król z pieniędzy ograbił, zdążyła trzy szpitale ufundować w Warszawie^[39].

– Nie ograbił. Sama dała. – Umiłkowski broni Jana Kazimierza. – Szpitale pani wymieniasz, a trzech zakonów sprowadzonych przez królową do Polski już nie?

– Nie dałeś mi powiedzieć. I jeszcze, że...

– Że miesza się do polityki, że spiskuje przeciwko naszej wolności szlacheckiej, że się z zagranicą układa, króla nie pytając, francuszczyznę wszędzie wtyka, przez co nasze polskie obyczaje w cień odchodzą, wreszcie, że kieruje małżonkiem jak Etiopczyk słoniem.

– A co ma robić, jak niezgula! Jedyne, co potrafi, to dwórki bałamucić. Jakby nie był synem króla, a jurnego chłopca! – Wykrzyczawszy te słowa, pani Teodora nagle milknie. Zmieszanie na twarzach Umiłkowskiego i von Lesta sprawia, że do głowy krewkiej niewiasty dociera, iż przesadziła. Rozgląda się, by sprawdzić, czy ktoś jeszcze usłyszał tę niepoehlebną opinię o władcy. Na szczęście nikogo w pobliżu nie ma. Broniewska oddycha z ulgą. Nie chodzi o to, że coś by jej miało za to grozić. W Rzeczypospolitej króla wciąż spotykają różne afronty. Bardziej niż niechęci władcy starsza pani obawia się gniewu Jej Królewskiej Mości, która zawsze staje po stronie małżonka.

Uspokojona odzyskuje animusz i, chcąc mieć w tej rozmowie ostatnie słowo, dodaje z dezaprobatą:

– Bo całkiem bez pomysłu żecie nam króla wybrali, panowie szlachta.

– Chcesz pani powiedzieć, że niewiasty lepiej by wybrały? – Umiłkowski znowu prowokuje.

Broniewska chyba nie ma ochoty na dalszą dyskusję, bo namyśla się chwilę, a potem odpowiada:

– Mnie by się podobało, gdyby szlachcianki na równi ze swoimi mężami mogły wybierać króla, ale czy dobrze by wybrały, tego nie wiem. Bóg równo głupotę między kobiety i mężczyzn podzielił.

Baltazar, którego zupełnie nie interesują dworskie potyczki, najchętniej by się oddalił i spróbował znaleźć Jakuba. Pani Teodora dostrzega jego zniecierpliwienie. Sama również przygląda się każdemu, kto wychodzi z pałacu.

– Królowa jeszcze odpoczywa – mówi, jakby czytała w myślach von

Lesta.

– Pani Skórzewska też gdzieś przepadła.

– Jest z królową. Luiza to przecież dawna dwórka królowej. Stęskniła się za swoją panią i za dworem – wyjaśnia Broniewska. – U mnie cisza i spokój, a jej akurat żałoba minęła. Potrzebuje rozrywki, biedactwo.

– Skoro poobiedni odpoczynek jeszcze trwa, może zdążę znaleźć Jakuba. Wybaczcie, to pilna sprawa, muszę was pożegnać. – Baltazar nisko się kłania pani Teodorze, a skinienie głowy kieruje do Umiłkowskiego.

Już ma odejść, lecz pan Wawrzyniec powstrzymuje go pytaniem:

– Kogo szukasz? Kim jest Jakub?

– Pamiętasz dziecko, które znaleźliśmy w Brandenburgii?

– Mówisz o tym nieszczęśniku, któremu balwierz ściał kołtun?

– O tym samym.

– Co z nim?

– Wychował się przy mnie w Karge, a teraz tu, w Międzychodzie, przysposabia się do zarządzania.

– Wiadomo już, skąd się wziął na tej drodze?

– Nie, ale i nikt niczego nie szukał.

– I zarządcą ma być? Przecież nic o nim i jego pochodzeniu nie wiecie.

– Dla mnie pochodzi z Karge. To wystarczy – chłodno ucina Baltazar i odwraca się, by odejść.

– Von Lest! Zaczekaj! Poszukam razem z tobą. Jestem ciekaw, jak on teraz wygląda. – Umiłkowski podbiega, a nie słysząc sprzeciwu, dołącza do Baltazara. Razem zmierzają w stronę bocznego wejścia do pałacu.

Nie minęła minuta, odkąd Jakub opuścił komnatę, w której wypoczywa królowa. Ludwika Maria Gonzaga i Luiza de Croy Skórzewska patrzą sobie w oczy.

– To on – mówi władczyni. – Na pewno. Wszystko się zgadza. Powiedz słudze, żeby zawołał Unruga.

*

– Wiem, kim jest ten młodzieniec – oznajmia Unrugowi królowa. – Nie pytaj o nic. Chłopak ma natychmiast zniknąć. Ktoś kiedyś pragnął jego śmierci. Jeśli się dowie, że przeżył, nie spocznie, póki nie dokończy dzieła. Jego szpiedzy są wszędzie, w moim otoczeniu także. Prędko! Działaj, nim będzie za późno.

Po chwili królowa zostaje sama. Opiera głowę o miękkie obicie wygodnego krzesła i przymyka oczy. Twarz pozbawiona oficjalnego, władczego wyrazu przypomina oblicze zwykłej, zmęczonej kobiety. Nieprzypudrowany nos błyszczy się i czerwieni, a drugi podbródek jest bardziej widoczny niż zazwyczaj. Od dziecka o coś walczy, próbuje przetrwać w świecie pełnym intryg i zawiści. Ta walka zmusiła ją do przyjęcia reguł przeciwnika. Straciła bliskich, ukochanego mężczyznę i dzieci. W świecie, w którym się obraca, nie ma litości, mimo to pragnie ocalić syna kobiety, która nigdy jej nie zawiodła. Trwała przy niej nawet wtedy, gdy znalazła się w więzieniu. Ludwika Maria chce zrobić coś dobrego. Pragnie zwrócić swojej przyjaciółce zaginionego syna. Najpierw jednak musi zadbać, by był bezpieczny.

Tymczasem Jakub, oszołomiony spotkaniem z królową, wychodzi z pałacu i zatrzymuje się oślepiiony słonecznym blaskiem.

– Jesteś nareszcie! Gdzie się podziewałeś? Zresztą później mi powiesz. Szybko! Chodźmy do pana Unruga, bo zaraz będą odjeżdżać. – Baltazar, nie zważając na Umiłkowskiego, łapie Jakuba za rękaw i prowadzi w stronę głównego wejścia.

Ktoś jeszcze zwraca uwagę na chłopaka. Kiedy ten się oddala z Baltazarem, podchodzi do Umiłkowskiego. Zagaduje po francusku, lecz słysząc w odpowiedzi jedynie coś, co francuski przypomina, przechodzi na łacinę.

– Kim oni są? – pyta polskiego szlachcica.

– Baltazar von Lest, krewniak Unruga, i znajda Jakub.

– Znajda?

– Ongiś razem z Unrugiem i von Lestem w Brandenburgii znaleźliśmy błąkającego się chłopca. Wzięliśmy go ze sobą. Wychował się w Karge, a teraz tutaj służy.

– Nie byliście ciekawi, kim jest?

– Nie. Zresztą tam nikogo nie było prócz martwego starca. Dzieciak miał szczęście, żeśmy zabłądzili.

Nieznajomy wyciąga od Umiłkowskiego wiadomości, ale wzrok ma utkwiony w wejściu do pałacu. Kiedy Unrug, Baltazar i Jakub pospiesznie opuszczają międzychodzką siedzibę, ów człowiek zostawia Umiłkowskiego w pół zdania i podąża za trójką mężczyzn.

– Wiadomo! – denerwuje się pan Wawrzyniec. – Tylko cudzoziemiec może się tak zachować.



Goście wyjechali. W pałacu i wokół niego panuje ociężała cisza zakłócana monotonnym brzęczeniem pszczoł zbierających nektar z kwiatów lipy. Domownicy, garstka krewnych i służba – wszyscy odpoczywają. Nawet kredensarz, policzywszy srebrne i cynowe talerze, półmiski i kielichy, dzbany i obrusy, odprawił chłopców kredensowych i drzemie na ławie. W kuchni też spokój. Na kolację będzie to, co na obiad. Jedynie reńskie wino zastąpi się piwem z własnego browaru.

Baltazarowi nie dany jest odpoczynek. Natychmiast wyrusza w drogę. Nie do Karge, a do miejsca wskazanego przez Krzysztofa. Ma komuś przekazać Jakuba wraz z listem od samej Ludwiki Marii. Nikt niczego nie wyjaśnił ani jemu, ani chłopcu. Wie jedynie, że znalezione w błocie dziecko okazało się kimś ważnym dla królowej. I choć nie rozumie sensu swojej misji, nie zamierza dyskutować. Pragnie jedynie pożegnać się z paniami, z którymi spędzał ostatnio wiele czasu.

Przez otwarte okno dobiegają go ich głosy. Wydaje mu się, że usłyszał swoje nazwisko. Przystaje, by obciągnąć kaftan i strzepnąć z rękawa jakiś paproch. Niestosowna ciekawość zatrzymuje go na moment dłużej, niż

jest to potrzebne.

Tymczasem w komnacie zajmowanej przez panie Skórzewską i Broniewską nie ma mowy o błogostanie. Luiza co prawda siedzi wygodnie na krześle, lecz dłoń trzymająca wachlarz zdradza ekscytację.

– Co robić? Co robić? – powtarza gorączkowo, uderzając o kolano złożonym wachlarzem.

– Brać wróbla i nie oglądać się na gołębia. – Odpowiedź pani Teodory jest zdecydowana i pozbawiona nerwowości. Starsza pani chętnie by odpoczęła, lecz Luiza nie zamierza przestać.

– Ale kto wróbel, a kto gołąb? Von Lest to chyba wróbel, bo niemłody, nudny i wciąż o zbożu gada. A ten, którego wynalazła mi królowa, to gołąb? Tak myślisz? Prawda, że bogaty, ale całkiem stary i cuchnie podobno jak ścierwo.

– Jeśli cuchnie, to szybko zejdzie z tego świata – pociesza Broniewska, dyskretnie ziewając. – On gołąb – potwierdza przypuszczenia Luizy. – To magnat, bogaty tak, że sam nie wie, ile czego ma. Królowa chce go na swoją stronę przeciągnąć. Twoja w tym ma być rola, żeby się udało. Po to wydała cię za Skórzewskiego, a teraz daje ci następne zadanie. Gdyby było pewne, że się uda, powiedziałabym, idź za starego, tylko nos zatykaj. We Francji nie miałybyś żadnych widoków na taki mariaż, ale tutaj niektórym wszystko, co francuskie, odbiera rozum. Mało to swoich dwórek królowa uposażyła przez korzystne zamęścia? Wystarczyła odrobina różu na policzkach, utrefione włosy, szyja odsłonięta do pasa i francuskie gruchanie. Przez politykę Jej Królewskiej Mości niejedna tutejsza dobrze urodzona i posażna panna została sama.

– A ty, Teodoro? Dlaczego ponownie nie wyszłaś za mąż?

– Ja mam majątek, a ty nie masz niczego. Kandydat nudny czy cuchnący, nieważne, byle miał pieniądze. Inaczej do końca życia będziesz zależna od krewnych – poucza Broniewska. – Spać mi się chce, a ty przeszkadzasz. Idź łapać wróbla.

– On w garści.

– Póki się nie oświadczy, siedzi na gałęzi. Mówię ci, idź, bo przez ciebie będę przed Marianną świeciła oczami, że cała intryga na nic.

Mężczyzna stojący pod oknem natychmiast rusza przed siebie i po chwili niknie za rogiem. Jego twarz oblewa rumieniec wstydu. Nie dlatego, że podsłuchiwał. Raczej to, co usłyszał, powoduje zażenowanie. W jednej chwili zrozumiał, że był tylko obiektem polowania, wróblem, którego chciano złapać w sieć. A przy tym o mały włos okazałby się człowiekiem bez honoru, bo mało brakowało, a zapomniałby o obietnicy złożonej Agacie. Teraz jest wdzięczny Krzysztofowi, że powierzył mu zadanie, które pozwala mu umknąć z tego miejsca z podniesionym czołem.

– Głupiec! Głupiec! Głupiec! – karci sam siebie, zmierzając szybkim krokiem do stajni, gdzie czeka gotowy do podróży chłopak.

Poszła! Pani Teodora przymyka oczy, a sen pomalutku ogarnia znękanie upałem członki. Już śnić zaczyna...

– Uciekł!

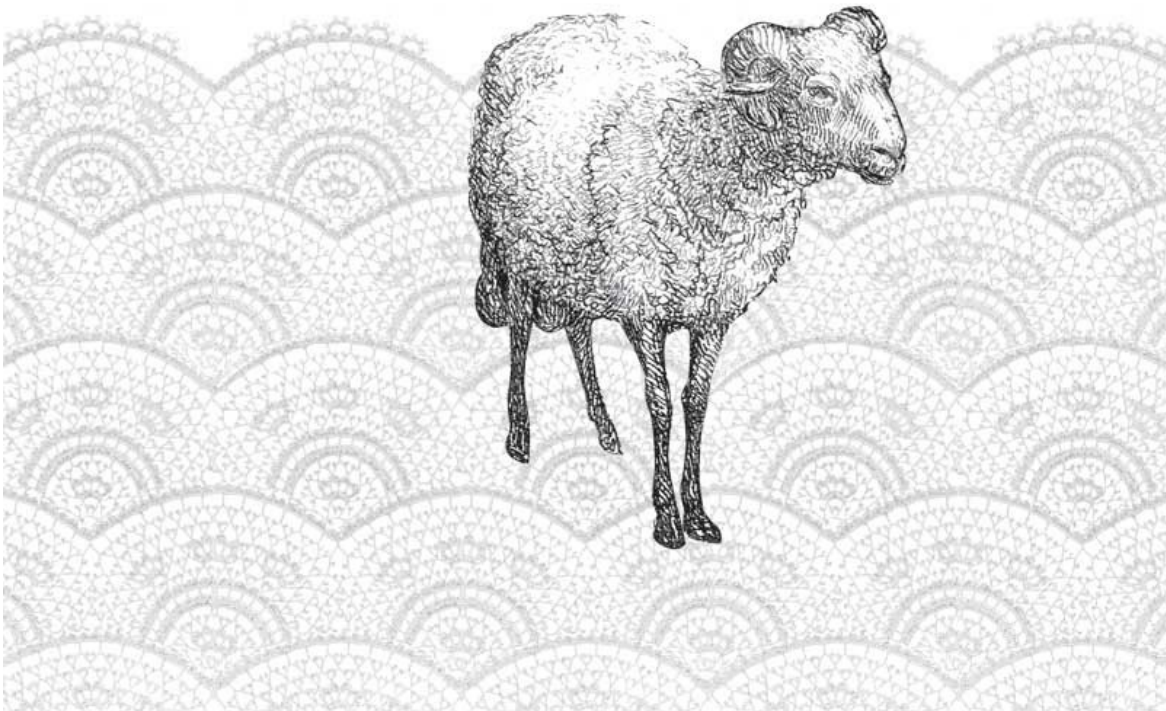
Krzyk Luizy wyrywa Broniewską z błogostanu.

– Kto? Co? – Zrywa się przestraszona.

– Wróbel uciekł! Cham ostatni nawet się nie pożegnał! Dobrze mówiłaś, że schłopiał. – Łzy upokorzenia płyną po policzkach Skórzewskiej.

– No cóż. Ty goń za królową i próbuj łapać gołębia. Ja tu zostanę, żeby przed Marianną się ukorzyć.

ROZDZIAŁ VI





Siedem dni upłynęło, odkąd Baltazar wyjechał z Karge, a kucharka od pięciu wychodzi za bramę dworu i patrzy na drogę. Powinien już wrócić. Niedługo żniwa. To do niego niepodobne, żeby wszystko zostawić i siedzieć w gościach tyle czasu.

„Niepodobne? – waha się Agata. – Przecież nie wiem, jaki jest między swoimi”. Bo to Skórzewska, Broniewska i Unrug są swoimi Baltazara. Nie ona. Nigdy dotąd nie uświadomiła sobie tego tak głęboko. Widziała, jak obtańcowywał Skórzewską, jak zaglądał jej w oczy i gadał z nią czasem po cudzoziemsku. Czy kucharka w nieodłącznym czepku i fartuchu, z dłońmi poplamionymi jagodowym sokiem, może rywalizować o szlachcica z pachnącą, ufryzowaną i wypoczętą damą? Które miejsce byłoby dla niej przeznaczone przy stole? O czym rozmawiałaby z gośćmi, gdyby tu jacyś się zjawili? Śmialiby się za plecami z niej, a może nawet z Baltazara, że wziął sobie taką prostą babę. Jeśli przedtem miała wątpliwości, teraz jest pewna. Żadnego ślubu nie będzie.

Mijają kolejne dni, a im więcej czasu upływa, tym bardziej Agata się niepokoi. Rozmyślenia nad ślubem i tym, kto do kogo bardziej pasuje i co wypada albo nie, pomału schodzą na dalszy plan. Coraz częściej staje na drodze i patrzy. Wóz, stado owiec, krowy pędzone do wodopoju, posłaniec gnający dokądś z wiadomością – każde poruszenie wywołuje przyspieszone bicie serca.

Dziesiątego dnia już żadna robota nie idzie Agacie. Najchętniej stałaby za bramą i nieustannie patrzyła. Cokolwiek myślała o Baltazarze i jego zauroczeniu panią Luizą, już nie ma znaczenia.

– Niech tylko wróci cały i zdrowy. Niech wróci, bo bez niego nie ma

życia – szepcze do siebie.



Wiga odpoczywa. To niezwykle w jej przypadku tak siedzieć na wysokim progu chaty i nic nie robić. Może nie całkiem nic, bo koza się pasie, ale patrzenie na kozę to żadna robota.

Wigę bolą plecy. Od świtu pielęła marchew na dworskim polu. Kiedyś dałaby radę pójść jeszcze po mech albo po gałęzie do lasu. Teraz jej trudno. Perspektywa smutnej, bezradnej starości zbliża się nieuchronnie. Agata powiedziała kiedyś, że Rozala powinna wrócić i pomagać babce. Tego jednak Wiga nie chce. Jeśli wnuczka by wróciła, podzieliłaby jej los. Zostałaby samotną, żyjącą na uboczu zielarką, zależną od ludzkich humorów, a po latach i ją dopadłaby samotna starość. Nie, tak być nie może.

Dorota pragnęła czegoś więcej. Wkładała makową spódnicę i chodziła z podniesioną głową. Coś się stało, nie wiadomo co, ale być może przez tę spódnicę zniknęła. Rozalka jeszcze makowej spódnicy nie nosi, ale Wiga wie, że ma ją w głowie. Też chce czegoś, co jej się nie należy. Czy przez to może ją spotkać coś złego? Na pewno. Tyle że Rozala jest mniej zuchwała od swej matki i ma instynkt dzikiego zwierzątka, który pomoże jej przetrwać między nieżyczliwymi ludźmi.

Babka tęskni za Rozalą. Dziewczyna nie odwiedza jej tak często, jak obiecała pani Barbara. Zanim wyjechał zarządca, pojawiła się pewnego wieczoru, a rano odeszła. Pan Tytus, który miał interes do von Lesta, przywiózł ją ze sobą. Spędziła z Wigą tylko jedną noc. Podobno jest niezbędna pani Barbarze. Poza tym mówi już trochę inaczej i ubiera się nie tak jak kiedyś. Rozala już tu nie pasuje. Nie pasuje tym bardziej, jeśli jej ojcem jest szlachcic, ten dziwny, ponury człowiek, który nie wiadomo po co pojawił się jesienią w Karge. Wiga nie może zapomnieć o nim i znamieniu, które wnuczka ma na plecach. Czy to możliwe, że przez niego zniknęła Dorotka?

Wiga odpoczywa. Siedzi na progu i nie robi nic, tylko myśli. Tymczasem jeszcze dzisiaj życie zielarki się odmieni, a winien temu będzie pies.

*

Nie wiadomo, skąd przyszedł. Błąka się po wsi od tygodnia. Sama skóra i kości. Dziwne, że jeszcze chodzi i próbuje zdobyć coś do jedzenia. Widać bardzo chce żyć i to pragnienie go trzyma. Jeśli coś znajduje, to najczęściej w pobliżu chałup, gdzie gospodynie wyrzucają kurom zepsute resztki.

Z krzaków, gdzie się schował przed upałem, wywabiło go chluśnięcie. Kiedy tylko gospodyni zamknęła za sobą drzwi, wychylił się, rozejrzał, czy nie czyha na niego jakieś niebezpieczeństwo, i na drżących łapach zbliżył się do plamy na piasku. Stoi teraz, próbując lizać mokrą ziemię, szukając pojedynczych krup, które się wylały razem z wodą. Wtem nozdrza łowią zapach przypominający lepsze czasy. Kaszy już nie ma, ale coś tu przecież jest. Łapy, choć słabe, rozgrzebują udeptaną ziemię. Pies kopie coraz szybciej. To, co tak wspaniale pachnie, jest już blisko. Dotyka czegoś zapiaszczonym nosem, chwyta zębami, próbuje ciągnąć... Grad wyzwisk i rzucona miotła kładą kres psim wysiłkom.

Ręka gospodyni wyciąga się po to, co odkopał pies. Nad końskim czerepem najpierw zawisa cisza, potem z gardła rozgniewanej kobiety wydobywa się krzyk pełen wściekłości.

– Wiga!!! Ty wiedzmo! Ja ci tego nie daruję!

Ktoś, a niewiasta jest pewna, że to Wiga, naruszył świętość progu chaty. Każdy wie, że to magiczna granica oddzielająca domostwo od wszelkich nieszczęść tego świata. Jedynie osoba bardzo źle życząca domownikom mogłaby zakopać pod progiem deskę z trumny albo ziemię z grobu. Najgorszym jednak, co można zrobić, jest zakopanie końskiego czerepu. To i odpowiednie zaklęcia oznaczają wyrok śmierci na kogoś z tej chaty.

Ani Wiga, ani Agata nie mają pojęcia, co się dzieje w Karge

i Unruhstadt. Wiga, bo mieszka na uboczu, a Agata jest zbyt zajęta czekaniem na Baltazara.

Tymczasem większość dorosłych mieszkańców porzuciła swe zajęcia i, stojąc w większych lub mniejszych grupkach, o czymś rozmawia. Niektórzy gestykują, wydają gniewne okrzyki, a potem idą dalej, niosąc straszną wieść. Kto żyw, kopie przed swoim progiem, by sprawdzić, czy i jemu nie podrzucono jakiego przekłętego przedmiotu albo kości. I choć znajdują najwyżej kosteczki kurcząt przypadkowo zagrzebane przez zwierzęta, to zgroza ich ogarnia, bo kto wie, może do kosteczek dodano złe słowa i nieszczęście gotowe. Chociaż są wzburzeni, zarazem czują ulgę. Wyjaśniło się to, co było dotąd niewytłumaczalne. Narodziny kalekiego dziecka, śmierć innego, choroby bydła, gąsienice na kapuście, sroga zima, powódź i susza, gradobicie, wypadki i czarna śmierć. To nie Bóg karał ludzi za grzechy. To wiedźma Wiga sprowadzała na nich to wszystko.

Zmiana w życiu Wigi już się rozpoczęła, lecz ona o tym nie wie. Tak samo jak każdego dnia zagania kozę do chaty. Zrobiło się późno. Zaraz będzie ciemno. Czas rozpalić ogień i ugotować coś na wieczkę. Dawno nie miała w ustach niczego ciepłego. Wciąż ser, mleko i surowe warzywa. Byle co, byle zapełnić brzuch i mieć siłę do pracy.

Klęcząc przy palenisku, uderza krzesiwem o krzemień. Nic się nie dzieje. Albo ręce są zbyt słabe, albo nie ma w nich prawdziwej ochoty. Przysiada na piętach i pustym wzrokiem spogląda na kupkę chrustu. Mija chęć na ciepłą strawę. Z kawałkiem zeschniętego koziego sera siada na zydlu i czeka, choć nie wie na co.



Dwie osoby wiodą prym w ciżbie, która zebrała się przy miejskiej studni. Najwięcej do powiedzenia ma Wojciech, pomocnik kowala. On zawsze wiedział, kim jest garbuska. Mówił, że to niemożliwe, żeby baba, co nie ma chłopca, dawała sobie radę i głodna nie chodziła. Czemu nikt go nie

słuchał? Może wtedy nie sprowadziłaby tutaj morowego powietrza. Kto wie, czy do studni czego nie wsypała, żeby ludziom i bydłu zaszkodzić.

Kobiety zwykle czerpiące w tym miejscu wodę jedna przez drugą przypominają sobie, że przecież widziały tu Wigę. One stały i rozmawiały, więc tylko spojrzęła tymi swoimi urocznymi oczami i poszła. Ale coś niosła. Na pewno proszek do zatrucia studni. Wtedy, dzięki temu, że one strzegły, wiedźmie się nie udało, ale mogła przecież spróbować kiedy indziej.

Ktoś nieśmiało proponuje, żeby posłać do Gross Schmöllen po pastora.

– Akurat w sprawie baby będzie jechał po nocy. – Wojciech kręci głową, jakby chciał pokazać, jak niemądry jest to pomysł.

– To chodźmy do burmistrza – proponuje ktoś inny.

– Pojechał na jarmark do Zulich. Wróci jutro – wyjaśnia Erna, żona bogatego sukiennika.

– A zarządca Karge, von Lest?

– Jego też nie ma.

– Nikt nie rządzi? – niepokoi się jeden z osadników przybyłych kilka tygodni temu.

– Jak to nikt! My wszyscy rządzimy! – Pomocnik kowala wypina dumnie pierś, jakby „my” dotyczyło wyłącznie jego.

– A czemu Brodowa nic nie mówi? Przecież to ona znalazła czerep.

Wywołana kobieta stoi z fragmentem końskiej kości w dłoni. Milczy, odkąd wykrzyczała swą złość i strach, a potem się wyzaliła Wojciechowi wracającemu z kuźni do domu. Potrącana i popychana przez tłoczących się ludzi, zdaje się niczego nie słyszeć. W otaczającym ją tłumie robi w głowie bilans własnych katastrof, tragedii i zwykłych niepowodzeń. Sięga pamięcią do przeszłości, w której nie znała Wigi, ale przecież jakaś inna wiedźma mogła zniszczyć jej życie, rzucając zaklęcie.

Najpierw została zmuszona przez matkę do poślubienia Brody, podczas gdy w sercu miała tylko Stacha. Uciekła od okrutnego męża, a potem do niego wróciła. Kobieta wspomina, jak zdarł z niej suknię i gnał nagą przez

wieś, chcąc w ten sposób ukarać cudzołożnicę. Nikt nie stanął w jej obronie, nikt z gapiów nie zawołał, że dość tego. Przeciwnie, nawet pastor powiedział, że jako mąż dobrze postąpił. Broda nie zabił Adama, syna Stacha, tylko dlatego, by nigdy nie zapomniała o grzechu. Za to znęcał się nad dzieciakiem, a jej zapowiedział, że jeśli dojrzy choć cień czułości między nimi, żywcem obedrze chłopca ze skóry. Nauczyła się więc nienawidzić własne dziecko, by je ocalić. Potem zaczął nocą przychodzić do najstarszej córki. Kiedy jej zabrakło, a kolejna dziewczynka podrosła, także do niej. I wciąż mówił, że to kara. Wszystko przez nią i jej występki. Tej zimy, zanim zaczął padać śnieg, na krótko pojawił się Adam. Chciał być na ślubie brata. Broda od razu mu powiedział, żeby się wynosił. Dała mu jęczmienny placek na drogę. Nie uśmiechnęła się, nie pożałowała, że głodny i zziębnięty. Dała placek i wypchnęła za drzwi. Ale i tego było dla Brody za wiele. Poszedł za Adamem.

Wszystko w niej drży od wspomnień. Ścisła koński czerep i myśli, że to nie przypadek, iż właśnie na nią uwziął się los. Ktoś taki jak Wiga rzucił zaklęcie, ktoś sprawił, że spotkała Brodę.

– Brodowa! Powiedz coś! – Mężczyzna stojący obok daje jej kuksańca.

Patrzy na niego jakby obudzona ze snu, a potem woła:

– Mam imię! Dlaczego nikt nie nazywa mnie po imieniu?!

Ludzie otaczający studnię milkną. Wszystkie oczy zwracają się w stronę kobiety. Ci, którzy ją dotąd otaczali, odsuwają się jak od zapowietrzonej.

– Mam na imię Lotta! Słyszycie?

– Pomieszało jej się w głowie. – Sąsiadka bierze ją pod łokieć i delikatnie popycha. – Chodź do chałupy. Zaprowadzę cię.

– Nie! Zostanę. Wiga musi za wszystko zapłacić.

– A jeśli to nie ona? – Nieśmiałe pytanie żony owczarza ginie w gniewnych okrzykach.

– Tak! Idźmy do wiedzy! Niech za wszystko zapłaci!

Ruszają bezładną grupą. Niektórzy zwalniają i, korzystając z mroku,

gubią się między chatami. Inni odłączają się tylko na chwilę, by wziąć ze sobą kij albo widły. Kiedy wychodzą za opłotki, jest ich połowa albo i mniej. Nim docierają do kuźni, zapada ciemność. Księżycyca ani śladu. Jest nów. Trzy puste noce, podczas których czary zyskują większą moc. Co, jeśli wiedźma zechce zaszkodzić tym, którzy do niej idą? Sprowadzi na nich chorobę albo zabierze wzrok? Czy ciemność jest naturalna, czy już gorzej widzą?

Wojciech wyczuwa niepewność. Wbiega do kuźni, bierze stojące w kącie pochodnie, przykłada je do ognia i płonące daje trzem mężczyznom, zostawiając sobie ostatnią.

– Nie ma się czego bać! – woła. – Sprawiedliwość jest po naszej stronie. Wiedźma nic nam nie zrobi! Chodźmy!

Są na miejscu. Przyszli cicho, nie rozmawiając. Ich obecność zdradzają jedynie cztery pochodnie. Wiga na pewno śpi. Oni też by spali, gdyby nie mieli sprawy do załatwienia. Jak wywabić wiedźmę z chałupy? Tylko Wojciech zachodził do chaty zielarki bez lęku, ale i on czuje się teraz niepewnie. Wydaje mu się, że na kominie coś siedzi. Wysila wzrok, by się upewnić. Sowa? Jeśli tak, to komu wieszczy śmierć?

Stoją, nie wiedząc, co dalej. Co chcą usłyszeć od Wigi? Co pragną jej zrobić? Otacza ich ciemność. Coś szeleści w zaroślach. W koronach drzew szumi wiatr. Szczeka kozioł.

Kozioł? Zaraz... A jeśli Zły się z nich śmieje?

Lotta wyczuwa niepewność. Zaraz się rozejdą, a wiedźmie się upieczą.

– Wołajcie ją, Wojciechu – ponagla przewodzącego im mężczyznę.

– Sama wołaj. Tobie czerep pod progiem zakopała.

Brodowa zbiera się w sobie. Robi zamach i końska czaszka ląduje przed drzwiami.

– Wychodź, wiedźmo! – krzyczy. – Zabierz, co twoje!

Odpowiada jej cisza. Nawet las milczy i czeka. Dreszcz przebiega im po plecach.

– Chodźmy – szepcze ktoś. – Przyjdziemy rano.

Odwracają się z ulgą. Nawet Wojciech uważa, że to dobra propozycja.

– Nie! Nie wolno wam!

– Ale...

Gwałtowne szarpnięcie i pochodnia wyrwana z ręki pomocnika kowala leci w stronę strzechy. Deszcz od dawna nie padał. Suche źdźbła zajmują się błyskawicznie.

– Trzeba ją obudzić! Spali się! – woła jakaś kobieta.

– Niech się spali. Tylko to się wieźmom należy. – Brodowa stoi i patrzy na płomienie, odbierając zapłatę za swoje zmarnowane życie. Ogień coraz zuchwalej obejmuje dach i krokwie. Strzecha zapada się do środka, sypiąc gradem iskier.

Nikt nie wybiega z chałupy. Nie woła, by gasić. Nie błąga o pomoc.



Okno izby, w której śpi Agata, wychodzi na podwórze. Nawet gdyby nie leżała z twarzą zwróconą do ściany, nie dostrzegłaby łuny pożaru. Kucharka nie może zasnąć. Po upalnym dniu przyszła duszna, ciepła noc. W ciasnym pomieszczeniu nie ma czym oddychać. Zostawiła otwarte drzwi, ale to nie pomaga. Siada na łóżku, zrzucając pościel na podłogę. Koszula lepi się do ciała, więc ją ściąga i też rzuca.

Kładzie się na brzuchu, przytulając policzek do prześcieradła. Teraz trochę lepiej. Zapada w płytki, niespokojny sen. Budzi się ze świadomością, że nie jest we dworze sama. Czyżby stróż wszedł do środka?

Sięga po koszulę i szybko ją wkłada przez głowę. Dom zna tak dobrze, że nie musi zapalać świecy. Najpierw czuje zapach spalenizny, a potem oczy przyzwyczajone do ciemności dostrzegają ciemną postać.

Zjawa czy człowiek?

Strach paraliżuje ruchy. Zatrzymuje się w progu, nie mogąc postawić następnego kroku.

- Agata? To ty?
- Baltazar! Już myślałam, że to duch. Dzięki Bogu, wróciłeś! Zapalę świecę i dam ci jeść.
- Nie zapalaj. Nie jestem głodny.
- Już ci moje jedzenie nie smakuje?
- Jestem w podróży od rana. Muszę wpierw odpocząć. Zjem rano.
- Zaczekaj! Nie idź jeszcze. Powiedz tylko, dlaczego tak długo cię nie było.
- Pan Unrug powierzył mi zadanie. Nic więcej ci nie powiem, bo to tajemnica.
- Dlaczego czuć cię spalenizną?
- Agata, nie mam sił tu stać i z tobą rozmawiać. Jeśli chcesz wiedzieć coś jeszcze, chodź ze mną do alkierza.
- Dotąd nie pozwalałeś, żeby grzechu nie było – dziwi się Agata.
- Nijakiego grzechu nie będzie. Wszystko mnie boli. Chcę się tylko położyć.
- Powiedz mi, czemu śmierdzisz dymem. – Agata powtarza prośbę po tym, jak pomogła Baltazarowi się rozebrać i wygodnie ułożyć.
- Zamiast natychmiastowej odpowiedzi pada pytanie:
- Co tu się działo, kiedy mnie nie było?
- Chyba nic... – Agata się zastanawia. – We dworze ludzie robili, co trzeba. Ja do nikogo nie chodziłam, to żadnych plotek nie słyszałam.
- Wiga przychodziła?
- Nie. Mówiła, że będzie chodzić do pielienia.
- Nikt na nią nic nie mówił?
- Nie! Mów, o co chodzi, bo zaczynam się bać.
- Byłem już blisko Karge, kiedy zobaczyłem płomienie. Od razu wiedziałem, że to chata Wigi.
- Boże jedyny! A co z nią? Żyje?
- Nie wiem. Kiedy tam dojechałem, stał tylko komin. Reszta to jedno

bezładne ognisko.

– Co się mogło stać? Od komina się zapaliło albo zaproszyła ogień? Może zdążyła uciec? – Agata próbuje się uspokoić. – Z samego rana pójde jej szukać – postanawia.



Jest w samej koszuli. Gdyby nie wyszła za potrzebą, leżałaby teraz przywalona belką jak ta biedna koza. Muchy już obsiadły zwęglone, cuchnące truchło. Poza nim niczego nie rozpoznaje ze swego dobytku.

Była w krzakach, kiedy ich usłyszała. Dotarło do niej każde słowo. Widziała pochodnię spadającą na strzechę.

Teraz krąży wokół pogorzeliska. Nie wie, co zrobić, dokąd pójść. We wsi nie może się pokazać. Przecież chcieli ją spalić.

Ktoś idzie. Bardziej to czuje, niż słyszy. Ucieka w krzaki.

– Wigaaa...!

– Nie krzycz. Tu jestem. – Umorusana, podobna do diabła postać wyłania się z zarośli.

– Żyjesz! Dzięki Bogu! Już myślałam, że po tobie. – Agata podbiega do zielarki i bierze ją w ramiona. – Co się stało? To od komina?

– Od ludzi. Przyszli nocą i podpalili.

– Och! To nie może być prawda. U nas nie ma takich.

– Są. Widziałam ich i słyszałam.

– Kto? Powiedz. Baltazar odda ich pod sąd.

– Czekaj. Muszę pomyśleć, co ze sobą zrobić. Nie mam niczego prócz koszuli na grzbiecie.

Agata patrzy na Wigę siedzącą na kłodzie. Wygląda żałośnie. Brudna od sadzy koszula ledwo osłania chude ciało. Krzywe plecy wypychają do góry cienką tkaninę, przez co wydają się bardziej garbate niż zwykle. Popiół pokrywa splecione, przyprószone siwizną włosy.

Wiga nie ma niczego. Nawet chustki, spódnicy ani kija do podparcia.

Został tylko komin.

Broda kucharki zaczyna drzeć.

– Chodź ze mną – mówi, pochylając się nad przyjaciółką. – Chodź – powtarza, ujmując jej dłoń. – We dworze dużo miejsca. Zanim odbuduje się chatę, możesz spać ze mną.

– Nie pójdę. Obrócą się przeciw zarządcy i tobie. Chcieli mnie spalić. Was też mogą. Przyjdą nocą i nic nie zrobicie.

Agata wie, że Wiga ma rację, dlatego nie nalega. Nie upiera się także dlatego, iż obawia się reakcji Baltazara. Przemówili się rano. Wspomnił coś o sierpniowym terminie ślubu. Wtedy powiedziała o swoich przemyśleniach, o nierówności między nimi i że może żyć z nim w grzechu, bo skoro królowie mają kochanice i Bóg im wybacza, to im też wybaczy. On na to, że mogła nie zgodzić się od razu, bo teraz za późno, żeby wszystko odwoływać. Wyszedł i zaraz pojechał na pola.

Nie chce mówić Widze o tym wszystkim, bo dla niej to mało ważne wobec braku dachu nad głową.

– Jeśli nie do dworu, to dokąd pójdziesz? – pyta.

– Do ojca. Do Grünwaldu.

– Masz ojca?

– Lepiej, żebym go nie miała.

– Nigdy o nim nie mówiłaś. Czemu?

– O diable się nie gada.

– I chcesz iść do niego?

– A co mam robić?

– Coś wymyślimy.

– Pójdę, i to zaraz. Dam sobie radę.

Agata już nie dyskutuje. Zdaje sobie sprawę, że nie ma żadnego wpływu na to, co robi Wiga.

– Polecę do dworu i przyniosę ci jakiś przydziewek – mówi, ruszając z miejsca. – Tylko nigdzie nie idź! – woła, odchodząc w pośpiechu.



– Poszła? – Baltazar, mocujący się teraz z łykowatą sztuką mięsa w kapuście, ma co prawda minę tak samo ponurą jak z rana, ale się odzywa.

Agata bierze to za dobrą monetę i kontynuuje rozpoczętą przed chwilą opowieść.

– Poszła, biedaczka. Znalazła w lesie solidny kij do podparcia i poszła. – Głośne chlipnięcie sprawia, że von Lest podnosi głowę. – Żebyś ty widział, jak szła taka zgięta wpool i nieszczęśliwa. Płakałam jak dziecko. Nie mogłam się powstrzymać. A ona nawet się nie obejrzała.

– Powiedziała, kto to zrobił?

– A gdzież tam. Nic a nic.

– I tak się dowiem. Coś takiego się nie ukryje. Nie daruję podpalaczom. Pod sąd oddam. Niech nie myślą, że to puszczyć płazem. Przy takiej suszy las mógł się spalić. Wiesz, jakie byłyby straty?

– Baltazarze... a jak nas podpałą?

– Nie bój się. Dwór to nie chata na uboczu. I przestań już płakać. Wiga to twarda baba. Nawet takie coś jej nie złamie. Po żniwach zaprzęgnę dwukółkę i zawiozę cię do Grünwaldu, żebyś zobaczyła, co u niej.

– To już się nie gniewasz?

– Za ślub? Nie. Wiem, że te utrefione damy ci dojadły. Po ślubie mogłoby być jeszcze gorzej. Ja się ludzkich języków nie boję, ale ciebie mi szkoda.

– Och, Baltazarze. Kamień spadł mi z serca. Już myślałam, że pani Luiza zawładnęła twoim sercem i niedługo tu zamieszka. Byłeś przy niej taki inny.

– Nauczono mnie okazywać damom szacunek. Tylko tyle – odpowiada von Lest, skupiając wzrok na ostatnim kawałku twardego mięsa. – Mam kłopot – odzywa się ponownie, odsuwając pusty talerz.

- Jaki?
 - Prezent ślubny się zmarnuje.
 - Prezent?
 - Przygotowałem sakiewkę, w której jest dość talarów, byś kupiła sobie ładny domek.
 - Sobie? A ty?
- Baltazar wyciąga rękę do Agaty stojącej po drugiej stronie stołu.
- Chodź. Usiądź koło mnie. – Mając ją blisko, otacza ramieniem. – Jestem stary. Mogę umrzeć za rok lub dwa.
 - Nie mów tak!
 - Ja jestem stary, a ty, choć młodsza, na zamążpójście nie masz co liczyć. Nowy zarządca mógłby wziąć inną gospodynię, a ty zostałabyś z niczym. Chałupa Macieja poszła w ręce jego rodziny. Gdzie się podziejiesz?
 - Nie mów o śmierci – prosi Agata, pociągając nosem. – Obiecuj lepiej, że to będzie dom dla nas, kiedy pan Unrug zamiast ciebie da tu Jakuba.
- Von Lest chciałby wyznać prawdę, wyjaśnić, że Jakub daleko i nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś tu się zjawi, lecz związany danym słowem milczy.
- Obiecuj – naciska Agata. – Dopiero wtedy możemy wziąć ślub.
 - Obiecuję. A na razie będziemy żyć w grzechu. Po co tracić czas, kiedy nie wiemy, co będzie jutro. – Powiedziawszy to, przyciąga ją do siebie, a ona kładzie głowę na jego ramieniu. W sennej ciszy letniego popołudnia słychać jedynie skrzypienie studziennego żurawia i brzęczenie much w kuchni.



Wiga zdążyła już dojść do Draszkowego Ostrowa^[40]. Jakiś wewnętrzny głos każe jej wspiąć się na wzniesienie i obrócić w stronę Karge. Nie widzi niczego prócz drzew, ale nie ma to znaczenia. Myśli biegną do

spalonej chaty i kota zakopanego pod czeremchą, odwiedzają chorych próżno wyglądających jej pomocy i wędrują wszędzie tam, gdzie szukała Dorotki.

Jan Broda nie wie, że jego droga w tej chwili przecina się z myślami zielarki.

Powiewy ciepłego wiatru przynoszą zapach spalenizny. Mężczyzna uśmiecha się z satysfakcją. Palcem nie dotknął wiedźmy, a spotkał ją koniec. Wojciech powiedział mu, że chyba się spaliła. Nikt nie sprawdzał, bo każdy boi się tam pójść.

Koński czerep pod jego progiem zakopała! Głupia baba. Sądziła, że tak go zabije, a teraz myśli, że zabiła Adama. Gdyby nie to, że własnym nożem dokonał dzieła, jej byłby wdzięczny za śmierć bękarta.

Wtedy, gdy rozpoznała go w lesie, wydał na nią wyrok. Wcześniej chciał się zabawić. Cieszył go jej strach. Najlepsze było, kiedy wyszła rano i wpadła na wiszącego kota. Patrzył z zarośli, jak go odcina i lamentuje. Przyjemność byłaby większa, gdyby zrobił to z dziewczyną. Miał taki zamiar, ale stara chyba coś wyczuła, bo się małej pozbyła.

Podoba mu się ta dziewczuszka. Nieduża, ale harda. Nie tylko jej śmierć sprawiłaby mu przyjemność. Nie tak dawno musiała być u starej, bo widział, jak szła do dworu, a potem odjeżdżała na wozie. Jednak szkoda, że wiedźma się spaliła. Mała już nie ma po co przyjeżdżać.

Broda sprawdza sidła i potrzaski. Pusto dzisiaj. Pożar chaty wypłoszył stąd zwierzęta. Zajrzy jeszcze w okolicę głębokiego stawu, który w jednym miejscu ma zejście dogodne dla zwierząt. Tam często coś się łapie.

Zyskiem z pokątnego handlu mięsem dzieli się z Wojciechem, pomocnikiem kowala, który robi dla niego potrzaski. Ludzie nie chodzą samotnie w głąb lasu, boją się, że zabłądzą, spotkają leśne duchy albo niebezpieczne zwierzęta. On lubi las i te miejsca, które inni omijają. Tylko garbuska mu przeszkadzała. Nawet w niedzielę, gdy wszyscy siedzą we wsi, ona kręciła się tam, gdzie nie powinna.

Potrzask przy wodopoju też pusty. Prawdopodobnie zwierzęta gaszą

pragnienie gdzie indziej, bo przez suszę trudno im dosięgnąć lustra wody. Tam, gdzie zwykle graniczyło z trawiastym brzegiem, teraz jest dwa łokcie niżej. Korzenie olchy rosnącej tuż nad stawem, zawsze ukryte pod powierzchnią, sterczą teraz pionowo, powykręcane niczym stado pełznących do góry węży.

Coś tam jest! Kłusownik się pochyla, by lepiej się przyjrzeć czemuś, co poruszyło się w wodzie. Czyżby sum? Dawno nie jadł suma. Jego mięsa nikomu by nie sprzedał. Przygotuje się i przyjdzie innym razem, ale chce być pewny. Pochyla się jeszcze bardziej, chwytając się gałęzi olchy.

Nagły trzask i mężczyzna wpada do wody. To nic. Nawet nie jest zimna. Tylko trzewik uwiązł między korzeniami. Mężczyzna, wystawiając głowę nad powierzchnię, szarpie się z całej siły. Nic nie pomaga. Coś go trzyma i nie chce puścić. Trzeba się zanurzyć i uwolnić stopę. Szkoda butów, ale trudno. Kupi nowe.

Nabiera powietrza i próbuje sięgnąć rękami stopy. Szuka po omacku. Coś złapał, lecz to nie but. Jest obrzydliwie śliskie i przypomina tkaninę. Broda otwiera szeroko oczy, by cokolwiek dojrzeć w zmętniałej wodzie. Nagle truchleje. Tuż przy bucie uwięzionym między korzeniami widzi czaszkę. Zdaje się patrzeć na niego pustymi oczodołami i śmiać się drwiąco. Miota się przerażony, ale zamiast się uwolnić, sprawia, że stopa zapada się głębiej. Już nie może wystawić głowy. Dusi się. Mimo woli otwiera usta i tylko ręka zaciśnięta na skrawku brudnoczerwonej przegniłej tkaniny wystrzela na moment do góry.

„Makowa spódnica – myśli, tracąc świadomość. – Mówili, że miała makową spódnicę”.

Literatura, która w największym stopniu pomogła mi w tworzeniu świata przedstawionego w powieści:

Bystroń Jan Stanisław, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 1, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976.

Delumeau Jean, *Strach w kulturze Zachodu XIV–XVIII w.*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1986.

Kirmiel Andrzej, *Międzyrzecz i ziemia międzyrzecka. Szkice z przeszłości*, Drukarnia Ligatura, Zielona Góra 2015.

Korsak Włodzimierz, *Piękno w lesie. Szkic z dziedziny estetyki*, na podstawie zachowanych rękopisów oprac. Henryk Leśniak, WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim, Klub Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej PZŁ Oddział Gorzowski, Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2019.

Parker Geoffrey, *Globalny kryzys. Wojna, zmiany klimatyczne i katastrofa w XVII wieku*, Napoleon V, Oświęcim 2019.

Tureczek Marcei, *Dzieje rozwoju przestrzennego Kargowej w czasach nowożytnych*, [w:] *Historia Kargowej i zarys dziejów miasta partnerskiego Weissenberg*, red. Wojciech Strzyżewski, Kargowa 2013.

Przypisy

[1] Pojęcie „dwór” prawidłowo odnosi się do budynku mieszkalnego oraz zabudowań gospodarczych i całego otoczenia, czyli sadu, ogrodu itp. Potocznie dworem nazywa się sam budynek mieszkalny.

[2] Mowa o wojnie trzydziestoletniej (1618–1648).

[3] Uznanie za swojaka w Rzeczypospolitej szlacheckiej można porównać ze współczesnym otrzymaniem obywatelstwa. Z byciem swojakiem wiązały się prawa i obowiązki wobec państwa.

[4] Pasewalk – miasto w Meklemburgii, w 1630 roku niemal całkowicie zniszczone przez wojska cesarskie.

[5] Kostrzyn nad Odrą.

[6] Wolsztyn, obecnie w woj. wielkopolskim, w rzeczywistości nosił wówczas nazwę Wollstein. Jednak, by ułatwić czytelnikowi orientację, przyjąłem zasadę, że miejscowościom leżącym wtedy w Polsce nadaję polskie nazwy, a tym po drugiej stronie granicy – niemieckie. Jedyne odstępstwo od tej zasady dotyczy Karge i Unruhstadt, miejscowości będących w granicach Rzeczypospolitej.

[7] W połowie XVII wieku na majątek Karge składały się: Wieś Górna (Oberdorf), Wieś Średnia (Mitteldorf) oraz Wieś Dolna (Niederdorf).

[8] Międzychód nosił wówczas nazwę Birnbaum.

[9] Tu: izba sypialna.

[10] Mowa „tutejszych” to język, który na pograniczu Wielkopolski, Śląska i Brandenburgii był mieszaniną słów pochodzących z języka polskiego, niemieckiego i łaciny nadal używanej przez ludzi wykształconych.

[11] Gabrielle, moja siostra. Zabili ją.

[12] Drybanek, inaczej trójnózek, to metalowa podstawka pod garnek ułatwiająca gotowanie nad ogniem w palenisku lub w kominku.

[13] Strój bobrowy, czyli *castoreum*, wydzielina z narządów rozrodczych samców. W medycynie ludowej służyła m.in. do leczenia bólu uszu, zębów, chorób kobiecych i melancholii.

[14] Grünwald, obecnie Jesiona, wieś w woj. lubuskim.

[15] Kolzig, obecnie Kolsko, wieś w woj. lubuskim.

[16] Dźwina albo Dźwinne – nazwa lasów i nieużytków w pobliżu Kargowej, w kierunku południowo-zachodnim. W XVI wieku był to obszar sporny między właścicielami Karge i dzierżawcą pobliskiej Kopanicy należącej do dóbr królewskich. Dźwinę ceniono m.in. ze względu na liczne barcie oraz dęby, u stóp których wypasano świnie. Drewno z dźwińskich dębów posłużyło do budowy kaplicy luterańskiej i karczmy w Karge.

[17] Wiersza – pułapka na ryby sporządzona z wikliny; samołówka.

[18] Biblia gdańska, 1 Mj 5, 5–11, biblia-online.pl [dostęp: 22.12.2020].

[19] Löwenberg – Lwówek Śląski.

[20] Namslau – Namysłów.

[21] Mowa o lisowczykach. Była to lekka jazda polska. Przemieszczała się błyskawicznie, wykorzystując efekt zaskoczenia. W przeciwieństwie do innych rodzajów wojsk nie potrzebowała taborów z zaopatrzeniem, żywiła się tym, co zabrała napadniętym. Lisowczycy nie pobierali żołdu, gdyż ich nagrodą były łupy. Słynęli z niewyobrażalnego okrucieństwa i poczucia bezkarności.

[22] Wojnowo – wieś w woj. lubuskim, w latach 1934–1945 Reckenwalde.

[23] Partaczami nazywano rzemieślników, którzy nie należeli do cechów. Często ich wyroby lub usługi były tańsze, toteż cechy zwalczały partaczy, przeganiając ich lub konfiskując narzędzia.

[24] W szlacheckich dworach lodowa piwnica mieściła się poza budynkiem. Sytuowano ją tam, gdzie zawsze panował cień. W zagłębionym w gruncie miejscu przechowywano surowe mięso i inne produkty wymagające chłodu. W utrzymaniu niskiej temperatury pomagały tafle lodu wycięte zimą z jeziora lub stawu. Do takiej piwnicy wchodziło rzadko i nigdy bez wyraźnej potrzeby, dlatego nawet latem panowała w niej temperatura bliska zeru.

[25] Sława, miasto w woj. lubuskim.

[26] Latem 1655 roku rozpoczęła się wojna ze Szwecją zwana potopem.

[27] Mowa o zaćmieniu Słońca 12 sierpnia 1654 roku.

[28] Zielona Góra, wówczas Grünberg, była pod panowaniem katolickich Habsburgów, którzy w tym konflikcie sprzyjali Janowi Kazimierzowi.

[29] Statki – dawniej naczynia kuchenne.

[30] Sulechów, miasto w woj. lubuskim. Nazwa miasta na przestrzeni wieków przechodziła ewolucję. Wariant Zulich pochodzi z mapy przedstawiającej Brandenburgię w XVII wieku.

[31] Brandenburgia była sojusznikiem Szwecji do 1657 roku.

[32] Letnik to lekka, prosta sukienka noszona latem.

[33] Czarną śmiercią nazywano epidemię dżumy.

[34] Zagata to ścianka z desek stała lub ruchoma, którą mocowano przy ścianie domu, a w powstałą przestrzeń upychano liście, słomę lub inny materiał ocieplający. Zagata sięgała zazwyczaj do dolnej krawędzi okna.

[35] Kosztywał to ludowa nazwa żywokostu lekarskiego.

[36] Koprowy, czyli miedziany.

[37] Menu królewskiego obiadu przygotował Maciej Barton, specjalista kuchni staropolskiej oraz szef kuchni w restauracji ośrodka wypoczynkowego Ostoja Chobienice. Pan Maciej udzielił mi

również wielu wskazówek dotyczących odżywiania się różnych warstw społecznych w XVII wieku oraz kuchennych obyczajów.

[38] Kredens to osobna izba przylegająca do jadalni, w której trzymana była zastawa stołowa, obrusy, serwety itp. Do kredensu służba przynosiła jedzenie z kuchni będącej często w osobnym budynku. Dopiero tutaj potrawy przygotowywano do podania na stół.

[39] Szpital wówczas nie był lecznicą, a raczej przytułkiem. Medyk pojawiał się tam rzadko. Niemniej owe szpitale pełniły ważną rolę, będąc ostatnią deską ratunku dla nędzarzy, bezdomnych i chorych.

[40] Draszkowy Ostrów, zwany też Śląskim Kopcem, to pojedyncze wzniesienie w lasach między wsiami Karszyn i Uście, pełniące niegdyś rolę jednego z punktów orientacyjnych wyznaczających granicę między Śląskiem należącym do Habsburgów a Rzeczpospolitą.

W czasach, gdy kobiety nie powinny rzucać się w oczy, ona nosiła makową spódnice

Jest rok 1647. Za kilka lat Rzeczpospolita zaleje szwedzki potop.

Na razie mieszkańcy polskiej wsi leżącej przy granicy z Brandenburgią i Śląskiem cieszą się pokojem. Pewnego dnia znika Dorota, córka miejscowej zielarki, Wigi. I choć pozostawia dwuletnią córeczkę, prócz Wigi nikogo to zniknięcie nie martwi...

Wszak taki powinien być los dziewczyny, która prowokowała otoczenie spódnica w kolorze polnych maków i pragnęła czegoś więcej, niż należało się wiejskim kobietom.

Tymczasem trzech wysłanników królowej Ludwiki Marii Gonzagi, przemierzając Brandenburgię spustoszoną przez wojnę trzydziestoletnią, znajduje małego chłopca. Nikt nie wie, kim jest i jak się znalazł na ponurym bezludziu.

Losy bohaterów splatają się w jednym miejscu, w Karge. Odtąd ono będzie sceną ich zmagania z wojną, zarazą, ludzką zawiścią i ponurymi tajemnicami. Nie udźwignęliby tego wszystkiego, gdyby nie przyjaźń, lojalność, miłość i marzenia pozwalające wierzyć w lepszą przyszłość.



Patronat medialny:



SPADŁO
MI Z REGAŁA



Książnica

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6231-1

EAN 9788327162311

U.KS.HIS053.1.01.01

